



WAR BOOK

Vladimir Wolff

**WŁADCA
WOJNY**

VLADIMIR WOLFF

Władca wojny



© 2022 Vladimir Wolff
© 2022 WARBOOK Sp. z o.o.

Redaktor serii: **Stawomir Brudny**

Redakcja i korekta: **Zespół redakcyjny**

eBook: **Atelier Du Châteaux**, atelier@duchateaux.pl

Projekt okładki: **Paweł Gierula**

Okładka: **Paweł Gierula**

ISBN 978-83-66955-35-6

Wydawca: **Warbook Sp. z o.o.**

ul. Bładnicka 65

43-450 Ustroń, www.warbook.pl

ROZDZIAŁ PIERWSZY

1

Kapitan Oleg Iwanowicz Frankow był okazem zdrowia. Trudno się dziwić – mało pił, zdrowo się odżywiał i uprawiał sport, głównie strzelectwo i biegi długodystansowe, w końcu bycie dowódcą kompanii szturmowej w 76 Gwardyjskiej Dywizji Desantowo-Szturmowej zobowiązuje. Poza tym Oleg nie był jeszcze taki stary, miał zaledwie dwadzieścia dziewięć lat. Piękny wiek, można by rzec. Większość jego dawniejszych kolegów zdążyła już założyć rodziny, a niektórzy nawet się rozwieść, ustatkować i tak dalej, ale on uważał, że na niego jeszcze nie pora. Szczególnie że czasy były niespokojne.

I to bardzo.

Ojczyzna została zaatakowana. Prawdę mówiąc, agresji z południa nikt się nie spodziewał. Turcja to przecież niedawny sojusznik. Do zerwania aliansu doszło po tym, jak w moskwie kilkutonowa bomba unicestwiła gmach fsb na Łubiance i przyległe kwartały ulic. Precyzyjnej liczby ofiar do tej pory nie udało się ustalić. Oficjalnie mówiło się o dwóch tysiącach zabitych oraz trzech i pół tysiącu rannych, lecz nieoficjalne szacunki były o wiele wyższe i jeżyły włos na głowie. Nadal niepojętym się zdawało, jak mogło do tego dojść. Gdzie były służby, które zazwyczaj wiedzą wszystko o wszystkich, a w tak gardłowej sprawie zawiodły na całej linii? Odwołanie paru ministrów oraz szefa federalnej służby bezpieczeństwa niewiele pomogło. Porażka tak ogromna, że w żaden sposób nie dało się jej ukryć, spowodowała, że zwykli ludzie wypięli się na władze. Prawdopodobnie sprawy zaszłyby dalej, może nawet do próby obalenia rządu, gdyby nie kolejna katastrofa, tym razem w cieśninie Bosfor, gdzie płynący do Odessy gazowiec wyparował w potężnej eksplozji, zmiatając przy okazji z powierzchni ziemi sporą część Stambułu.

Tak się jakoś złożyło, że tuż przed tą tragedią w cieśninie Dardanele znaleziono zwłoki nurka z miną magnetyczną. Okazał się nim rosjanin z oddziałów dywersyjnych.

Dla większości tureckiego społeczeństwa wszystko stało się jasne: podlirosianie nie zapomnieli o swoim dawnym wrogu i próbują go teraz zniszczyć za wszelką cenę. Za Ankarą stanęła Arabia Saudyjska, Pakistan i emiraty znad Zatoki Perskiej. Za moskwą nikt znaczący, czyli Fidzi, Wenezuela, Kuba i pomniejsze państwa, zupełnie nie liczące się w układach międzynarodowych.

Na Morzu Czarnym doszło do rzezi. Oba kraje za pomocą samolotów i rakiet wystrzeliwanych z okrętów próbowały zredukować potencjał przeciwnika do zera.

Po kilku dniach zmagania trudno było określić, kto wygrał. Obie strony, mimo ogromu strat, przypisywały sobie zwycięstwo, zdaniem ekspertów raczej niesłusznie.

Należało przegrupować siły. Rosjanie zaczęli ściągać świeże oddziały, których jednak nie było tyle, ile wymagała sytuacja. STAWKA, czyli Kwatera Główna Naczelnego Dowództwa, wciąż głowiła się nad następnym ruchem Ankary. Wydawało się, że na ataki najbardziej narażony będzie Krym – rosyjski niezatopialny lotniskowiec, godzący jak żądło wprost w terytorium Turcji oraz rejon Kaukazu.

Kapitan Frankow pamiętał artykuł, który w poprzednim tygodniu ukazał się w „Komsomolskiej Prawdzie”, że oto nadeszła z dawna wyczekiwana sposobność, by przejść Dardanele.

Autora chyba zanadto poniosła własna propaganda, a może teraz w szkole uczą, że wojna krymska była zwycięstwem Rosji? Frankow jednak pamiętał, czym się ona skończyła, a przede wszystkim dlaczego. Jego zdaniem Londyn i Paryż zaraz podniosą krzyk, że Ankarze dzieje się krzywda, i wyślą kontyngenty, by wesprzeć działania sojusznika z NATO. Kapitan zaczął się zastanawiać, czy aby dowództwo – uprzedzając te działania – nie postanowiło ich zrzucić wprost nad cieśninami, by zadać Turkom cios prosto w serce. W sumie Rosja dysponowała czterema dywizjami desantowymi i kilkoma brygadami na dokładkę, to nie było co. Cały problem w tym, że islamistyczne bojówki rozpanoszyły się po całym kraju. Czarne flagi dżihadystów już jawnie łopotąły w Machaczkałe, Astrachaniu i Krasnodarze. Rosjanie gremialnie i pospiesznie wyprowadzali się na północ, uciekając przed tym, co ich mogło spotkać.

A mogło wiele. Muzułmańscy sąsiedzi całkiem oszaleli. Dochodziło do napadów na szkoły, szpitale i cerkwie. Nie oszczędzano nikogo, mordując w najbardziej bestialski sposób. Aż trudno było uwierzyć, że to wszystko działo się w dwudziestym pierwszym wieku. Powbijane na sztachety odrąbane głowy, poćwiartowane ludzkie zwłoki, oskórowani żołnierze... Telewizja z początku dosyć dokładnie relacjonowała poszczególne incydenty, ale z czasem władze zaniechały tego, uznawszy, że podgrzewanie konfliktu wyznaniowego nie jest im na rękę. Islam, w przeciwieństwie do takiego katolicyzmu, to jedna z oficjalnych religii federacji, przede wszystkim zaś robienie sobie wroga ze wszystkich muzułmanów to droga donikąd, ponieważ coraz częściej dochodziło do spontanicznych odwetów. Nacjonalistyczni bandyci w dużych miastach i na prowincji dokonywali samosądów, które mobilizowały dotychczasowych umiarkowanych wyznawców Proroka. Spirala przemocy zaczęła nakręcać się zaskakująco szybko i rusji oprócz wojny z wrogiem zewnętrznym przyszło toczyć drugą na własnych tyłach.

Bezpieczne zaplecze to podstawa – najwyraźniej tak pomyślano na samej górze, co przełożyło się na działania poruczone oddziałowi kapitana.

Już od paru dni gonił swoich podkomendnych, jakby byli psami. Wciąż ćwiczenia, ćwiczenia i ćwiczenia. Męczące to, lecz konieczne, bo w szeregach znalazło się sporo osób z uzupełnień, a kompania Frankowa rozrosła się ponad stan. Dziś czekał ich mały egzamin. Niedługo zapakują się do transportowych Iłów 76 i desantują na poligonie czebarkulskim w obwodzie czelabińskim. Tam w ciągu trzech kolejnych dni wycisnie ich jak cytrynę i zgłosi gotowość do działań bojowych. Spodziewał się misji polegającej na osaczeniu i unicestwieniu którejs z licznych w tamtych rejonach band.

Bandy to nie wojsko, mimo to Oleg Iwanowicz trochę się martwił. Najbardziej doświadczeni żołnierze z jego kompanii walczyli na froncie, a tych, którymi przyszło mu obecnie dowodzić, w najlepszym razie dało się nazwać drugim sortem.

Desant – elita, psia jego mać...

Połowa z nich zdążyła już zapomnieć, co to znaczy być spadochroniarzem, wielu odwykło od ciężkich warunków służby. Sam zapał to trochę za mało. Potrzeba kilku tygodni, by wrócili do formy, lecz właśnie czasu im brakowało.

Frankow spojrział w niebo, gdzie białe cumulusy płynęły wolno na zachód. Pod Pskowem pogoda była idealna, ale jakie warunki panowały na Uralu, tego już mu nie przekazano. Mógłby spytać pilotów, ale właściwie jakie to miało znaczenie?

Kapitan usłyszał, jak łącznościowiec odebrał rozkaz z wieży kontroli lotów, co oznaczało, że pora zapakować się do transportowców i ruszać na misję.

Najwyższy czas. Dochodziła trzynasta. Lot to co najmniej dwie godziny, później skok i zebranie całego majdanu do kupy. Przez następne siedemdziesiąt dwie godziny wyciśnie z nich siódme poty, oddzieli ziarna od plew.

A teraz jazda, nie ma ani chwili do stracenia.

– KOMPANIA... – okrzyk kapitana dotarł do siedzących przy pasie startowym desantowców. – Powstań!

Dowódcy plutonów ustawili się na czele oddziałów.

Przedstawienie czas zacząć.

2

Dwie i pół godziny po wylocie znaleźli się w okolicach celu.

Frankow co rusz zerkał przez okienko. Pod nim rozciągały się lasy tak wielkie, że z trudem dawało się je ogarnąć wzrokiem. Tylko gdzieniegdzie spośród zwartej polaci drzew przebijała migotliwa tafla jeziora bądź większa polana.

Nad kabiną pilotów światło z czerwonego zmieniło się na zielone, a drzwi desantowe transportowca rozsunęły się na boki. Kapitan wstał i jako pierwszy zaczepił karabińczyk o stalową linkę przechodzącą przez całą długość ła. Skoczy jako pierwszy, reszta pójdzie za jego przykładem. Do tej pory Frankow wykonał ponad sto pięćdziesiąt skoków, przez co uważano go za doświadczonego skoczka, ale nadal emocje, które odczuwał w takich momentach, nie należały do przyjemnych. Pęd powietrza działał deprymująco.

Spadochroniarze ustawili się za nim, wielu z wyrazem ulgi na twarzy. Najpierw ćwiczenia, a potem lot w ciasnej ładowni pełnej chemicznych wylotów potrafiły doprowadzić na skraj wytrzymałości. Za parę minut będą na ziemi i odetchną świeżym powietrzem, a to dużo, tym bardziej, że szeregowego z końca zemdliło i zwymiotował wprost na bluzę kolegi.

Sierżant kierujący zrzutem dał znak. Ruszyli truchcikiem jeden za drugim, każdy z nadzieją, że i tym razem skok się uda.

Ta pierwsza sekunda, gdy nogi tracą oparcie, zawsze jest najgorsza. Później już nie ma odwrotu. Człowiekiem przez moment rzuca na wszystkie strony, a po trzech sekundach otwiera się nad nim czasza spadochronu. Szybkie spojrzenie w górę i niewypowiedziana ulga, do której dochodzi rozkosz szybowania niczym ptak.

Było mocno pochmurno, ale to kapitanowi nie przeszkadzało w najmniejszym stopniu. Zostaną zrzućeni na skraj lasu i ciągnącego się kilometrami pasa taktycznego. Problem w tym, że wiatr zaczął ich znosić na drzewa.

– *Job twoju mać* – zaklął siarczyście, ujrawszy pod nogami gałęzie rosochatego dębu.

Został przeszkolony na taką okoliczność i wiedział, co robić, choć już w tym momencie domyślał się, że bez strat się nie obędzie. Dobrze, jeżeli skończy się „tylko” na połamanych rękach i nogach, a nie na zgonach z powodu obrażeń wewnętrznych. Co prawda, niefart dotyczył desantowców z jednego tylko Iła, czyli pierwszego i drugiego plutonu bojowego jego kompanii, bo tych z trzeciego i wsparcia zrzućono nieco dalej na południe, ale marne to pocieszenie.

Nogi razem, zasłonić twarz. Bał się tylko, że złamie kręgosłup, co na resztę życia uczyni z niego kalekę. Spiął ciało w oczekiwaniu na uderzenie. Spadochron, jakiego używał, nie za bardzo nadawał się do manewrowania, pozostało więc za wszelką cenę zminimalizować skutki upadku. Udało się tylko połowicznie. Trochę się wygiął i ominął pierwszy konar, kolejnych już nie zdołał. Gdy zawisł na linkach, bolały go lewy bark i prawa noga od kolana aż do stopy. Miał sporo szczęścia, że nie nadział się siedzeniem na odłamanej przez wichurę gałąź.

Sprawdził, na jakiej jest wysokości, i zaczął kombinować, jak pokonać te ostatnie metry. Jeśli coś źle obliczy, nabawi się kolejnych obrażeń, a tego, oczywiście, wolał uniknąć.

Jakoś zlął na sam dół, cicho przy tym postępując. Krzyk z prawej strony sprawił, że własne problemy odłożył na bok. Był desantowcem, tacy jak on nie poddają się łatwo. Rozłożył kolbę AKMS-a i przerzucił broń przez ramię, gotów do działania. Teraz należało spojrzeć prawdzie w oczy i oszacować straty. Przykre, ale taki był obowiązek dowódcy.

Znalazł zastępcę dowódcy drugiego plutonu, chorążego Gawrowa, i wspólnie zaczęli scalać rozproszony oddział.

Obiektywnie mówiąc, nie było najlepiej.

Większość spadochroniarzy poniosła większe bądź mniejsze obrażenia. Niestety, zdarzyło się też wybite oko oraz otwarte złamanie kości podudzia. Dobrze, że sanitariusz pierwszego plutonu wyszedł ze zdarzenia obronną ręką, lecz ten z drugiego plutonu na razie zniknął bez śladu.

Gawrow miotał się na wszystkie strony. O ćwiczeniach w tej sytuacji nie mogło być mowy. Zamiast manewrów należało rozpocząć akcję ratunkową.

– Gdzie porucznik Pawliszczew?

Gawrow pozwolił sobie na wzruszenie ramionami.

– A Sycow?

– Przepadł.

Dowództwo pułku dostanie szału, gdy dowie się o tym incydencie. Już teraz armii brakowało wyszkolonych żołnierzy, a on przez głupi przypadek stracił kolejnych, i to bez kontaktu bojowego z nieprzyjacielem. Oj, nie pogłaszczą go za to po głowie.

– Wiadomo, ilu brakuje? – Frankow zadał to pytanie z ciężkim sercem.

– Na chwilę obecną około dwudziestu. Widziałem, jak wiatr pognał na północ przynajmniej niektórych z nich. – Gawrow machnął ręką, orientacyjnie wskazując kierunek.

– Trzeba po nich iść.

Sugestia nie przypadła chorążemu do gustu. Sam miał tylko podrapaną gębę, ale wielokilometrowy marsz w nieznanym terenie przez gęsty las i bagna wysię z niego resztę sił i sprawi, że jutro będzie chodzącym trupem.

– Stworzymy dwie grupy – postanowił Frankow. – Staniecie na czele jednej z nich. W ten sposób przeczeszemy większy obszar.

– Nie lepiej wezwać wsparcie?

Regulamin nic nie mówił o takiej sytuacji, a kapitan wątpił, by na podorędziu znajdował się transportowy śmigłowiec mogący ewakuować rannych do szpitala. Przecież trwała wojna i każda maszyna była na wagę złota. W tych okolicznościach muszą poradzić sobie sami.

– Ja poprowadzę drugą – powiedział twardo.

Chorąży za dużo sobie pozwalał. W gru będą musieli zwrócić na niego baczniejszą uwagę. Jeszcze trochę i zacznie siać defetyzm.

– Zbierzcie wszystkich, którzy są zdolni do marszu. Wyruszamy za pięć minut – wydał rozkaz kapitan i zaczął przyglądać się mapie, żeby wyznaczyć optymalną trasę.

Łatwo nie będzie. Te cholerne lasy ciągnęły się całymi kilometrami. Do najbliższej wsi było stąd ze trzydzieści wiorst, czyli dzień marszu. Nie każdy da radę. Niektórych trzeba będzie nieść na improwizowanych noszach.

Frankow otarł przedramieniem pot z czoła, próbując przebić wzrokiem gęstą masę zieleni ponad głową. Pozostało im co najwyżej pięć godzin dziennego światła, później zapadnie noc. Wtedy nikogo już nie odnajdą. Gdyby tylko dysponował kilkoma doświadczonymi podoficerami...

Ale nie dysponował.

– Przygotować się do wymarszu! – wrzasnął w stronę formującego się oddziału. – Gdzie wasz entuzjazm? No, gdzie, ja się pytam. Michajłow, ogarnij się – zwrócił uwagę kapralowi o płaskiej, pryszczatej twarzy. – Wy, Płastunow, zostajecie. Zorganizujecie tu punkt medyczny i poczekacie na porucznika Koliesowa. Zrozumiano?

– Tajest, towarzyszu kapitanie.

– Gawrow, idziecie z drugim plutonem. Ja biorę pierwszy. – W pierwszym było trochę mniej ludzi, ale na to nic nie poradzi. – Łączność co pół godziny, chyba że zajdą nieprzewidziane okoliczności. – Dokończył znacznie łagodniej. Oby zabrano stąd jak najmniej czarnych worków z trupami.

Czując nieznośne łaskotanie między łopatkami, odruchowo obejrzał się za siebie. Niczego oczywiście nie dostrzegł, ale nieprzyjemne wrażenie pozostało.

Głupi. Przecież nie ma się czego bać, to tylko gra świateł. Jedynym potworem na tej planecie jest człowiek, a gorszego sukinsyna od niego w tych lasach nie było.

Niestety, tym razem Frankow mylił się.

I to bardzo.

W szkole średniej co najmniej raz w tygodniu chodził do kina, a w domu obejrzał chyba wszystkie filmy SF, jakie wyszły po rosyjsku. Klasykę, tę radziecką i zagraniczną, znał na pamięć. „Star Wars”, „Władca Pierścieni”, „Terminator”, „Wiedźmin” – to się oglądało, i to tyle razy, że długie partie dialogów znał na wyrywki i potrafił nimi sypać przy lada okazji.

Z setek obrazów skumulowanych w jego pamięci jeden niemal idealnie pasował do okoliczności. Tam też oddział przedzierających się przez dżunglę komandosów natrafił na zwisające głową w dół ciało wypatroszonego człowieka. Zupełnie jak teraz. Umysł kapitana nie chciał się pogodzić z tym, co widział. Takie rzeczy normalnie się nie zdarzają.

– Kapitanie...

Rozcięcie biegło od szyi po brzuch. Jelita wypłynęły sinymi zwojami, układając się pod głową nieszczęśnika. Od smrodu robiło się niedobrze.

– Co robimy?

Frankow powoli odetchnął przez nos, usiłując nie skompromitować się przed podwładnymi.

– Zamknijcie mordę, Michajłow. A jeszcze lepiej zabezpieczcie teren. No ruszcie się, kurwa, bo nas tu noc zastanie.

Na wszelkie problemy posiadał jedną sprawdzoną metodę – zagonić ludzi do działania. Mają przestać myśleć, bo z tego biorą się tylko kłopoty.

– To sprawka diabła.

– Michajłow, jesteście debilem? Diabła nie ma. Zapamiętajcie sobie dobrze. Nigdy nie było, nie ma i nie będzie. – Głos kapitana zrobił się cokolwiek piskliwy.

– Lepiej, jak weźmiecie saperkę i od razu zaczniecie kopać sobie grób, bo jak wam...

– A co z nim? – Strach kaprała przed dowódcą jakby zmalął. – Przecie nie może tak wisieć.

– To go odetnijcie, do jasnej cholery, a reszta zabezpiecza rejon. – Przestał gapić się na zwłoki, rozsądek kazał skoncentrować się na tym, co muszą zrobić. Ręce mu dygotały febrycznie. Spodziewał się wszystkiego, ale nie takiej masakry.

Łądujący spadochroniarze mogli ponabijać się na gałęzie, więc nic dziwnego, że tego rozpruł jakiś odłamany konar. Nic innego nie przychodziło kapitanowi do

głowy.

– Długo to jeszcze będzie trwało?

Michajłow go wkurzał. Co ten głupek sobie wyobraża? Że kim on jest – prostakiem? Frankow skończył Riazańską Wyższą Szkołę Dowódczą Wojsk Powietrznodesantowych imienia generała armii W.F. Margiełowa, z jednym z lepszych wyników i był z tego szczególnie dumny. Uczyli go prawdziwi frontowcy pamiętający Czeczenię. Sam odbył jedną turę w Syrii. Przez pół roku uganiał się po pustyni za terrorystami w sandałach, odnosząc przy tym niegroźną ranę łydki. Do tej pory wspominał tamte czasy. Nabrał tężyzny i doświadczenia. A teraz co? Na takie wyzwanie nie został przygotowany.

– To Fiedutin – wysapał Michajłow, próbując dosięgnąć ostrzem desantowego noża linki z przyczepionym na jej końcu żołnierzem. – Z trzeciego plutonu. Wszyscy go znają.

Jak na złość Frankow nie potrafił sobie przypomnieć, o kogo chodziło.

– Łapę miał taką, że jak dowalił, to...

– Oszczędźcie mi szczegółów.

– I baby... – Kapral na moment się zawahał. – Chciałem powiedzieć, że kobiety go lubiły. Leciały za nim jak do miodu, a on litościwy był, żadnej nie odmówił.

– Ostrzegałem, Michajłow, żebyście zamknęli mordę. Tak czy nie?

– Oczywiście, że tak, towarzyszu kapitanie. Ja tylko tak. Żeby nerwy uspokoić.

Nagle odcięte ciało runęło głową prosto w węzowe sploty jelit. Frankow czym prędzej odwrócił wzrok.

Po tej części poligonu nikt się nie powinien kręcić. Czy mógł tu być jakiś chutor? Z mapy nic nie wynikało.

– Zabieramy go?

– I chcesz go nieść? W nocy przez te bagna? Nikt z nas nie ma tyle sił.

W oczach kaprała Frankow dostrzegł głęboko zakorzenioną niechęć. Jeżeli coś się komuś nie podoba, to już nie jego sprawa. On swoje obowiązki wypełniał z pełnym zaangażowaniem.

Sytuacja nieco się zmieniła i przypuszczał, że dowództwo jednak podeśle którąś z maszyn, by ich ewakuować, bo coś mu mówiło, że Fiedutin nie będzie jedyną ofiarą. Znajdą się kolejni i choć niczemu nie był winny, to i tak cała

odpowiedzialność spadnie właśnie na niego. Nie na pilotów i nie na dowódcę batalionu. Ci okażą się krystalicznie czyści.

Radiostacja na ramieniu kapitana niespodziewanie zatrzeszczała. Jeszcze do tej pory miał nadzieję, że jakoś to będzie, pozbierają się i rozpoczną przygotowany cykl szkoleń. Teraz nagle poczuł, że nic z tego nie wyjdzie.

– Frankow, mówcie. – Z przygnębienia zapomniał, jaki przybrał kryptonim. Może żaden?

– Mówi Gawrow, towarzyszu kapitanie. Mamy kłopoty.

Żadna nowina. Po uszy siedzieli w gównie.

– Jakiego rodzaju? – zapytał, zastanawiając się, czy coś może go zaskoczyć.

– Jeden z moich ludzi, konkretnie szeregowy Łodygin, zaginął.

Gawrow silił się na spokój, lecz w głosie wyczuwało się napięcie.

– Rozumiem, że oddalił się samowolnie.

– Tego nie powiedziałem.

– Gawrow, wy mi tu szopki nie odstawiajcie. – Frankow musiał uważać, by nie zacząć krzyżeć. – Jeżeli go nie ma, to znaczy, że zdezerterował. Za to grozi sąd polowy i karna kompania. Co najmniej.

Łodygin to kolejna osoba, o której niewiele mógł powiedzieć, co najwyżej tyle, że był niskim wypłozem pochodzącym z Woroneża. Kompletny przeciętniak. Aż dziw, że taka miernota trafiła do desantu.

– Szedł na końcu i ubezpieczał tyły. Nagle wyparował. – Chorąży przerwał. Ciężko oddychał, ale chyba nie ze zmęczenia.

– No, mówcie.

– Tuż przy ścieżce odkryliśmy ślady krwi.

– Może się zranił. – Umysł Frankowa próbował racjonalnie zinterpretować informacje.

– To gdzie ciało?

Kapitan zaczynał mieć dość tego lasu. Od momentu skoku nic się nie układało. Wciąż zmagali się z czymś, czego nawet nie potrafił nazwać. Pamiętał, jak nieraz śmiał się z artykułów w tabloidach o nawiedzonych miejscach, biesach, duchach i tajemnicach, z których wyjaśnieniem nie radzi sobie współczesna nauka.

Jeszcze przed kilkoma minutami myślał, że co to dla niego – potwora rozwałą serią z AK, niech no tylko wejdzie im w drogę. Tymczasem okazywało się, że rzeczywistość ich przerasta. Był bezradny jak dziecko we mgle. I znikąd pomocy.

– Gawrow, posłuchajcie mnie uważnie... – Rozkaz należało właściwie sformułować. Później, gdy już stanie przed sądem, każde jego zaniedbanie zostanie wyciągnięte na światło dzienne, każde słowo stanie się częścią oskarżenia. – Macie jeszcze co najmniej godzinę dziennego światła. Na razie kontynuujcie zadanie. Ile wam się uda obejść przed zmierzchem, w to już nie wnikam. Pilnujcie się wzajemnie, nie rozłażcie i nie...

Przerwały mu dziwne odgłosy dobiegające z głośnika, ni to skowyt, ni to płacz.

– Gawrow, co tam u was się dzieje?

– Towarzyszu kapitanie, chyba...

Usłyszał strzały. Stłumione, ale wyraźne.

– Gawrow! – krzyknął do mikrofonu.

Frankowowi odpowiedział pisk tak głośny i niespodziewany, że kapitan omal nie wypuścił mikrofonu z rąk.

Rozejrzał się na boki, widząc zaniepokojone spojrzenia swoich podkomendnych. Milczeli ponuro, lecz ich miny mówiły, że nie chcą tu być i zrobią wszystko, by jak najszybciej wydostać się z tego przeklętego lasu. Z nim lub bez niego.

A on, niezależnie od tego, co czaiło się za szarymi pniami drzew i w zielonej gęstwinie, musiał wiedzieć, co stało się z grupą chorążego. Był dowódcą, to do czegoś zobowiązuje.

4

Mustafa Czubarow, Tatar z Krymu, który tak świetnie odnalazł się w posowieckiej rzeczywistości, a później wszystko stracił, stając się ściganym przez państwo przestępcą, mocniej uchwycił rękojeść noża.

Znacznie zmężniał od czasu przemiany, jak nazywał efekt działania środków zaaplikowanych mu przez Reitza. Nie był już grubaskiem. Muskulaturą może nie imponował, ale kondycję miał znakomitą. Biegał, skakał i nurkował jak mistrz

olimpijski, choć i tak w żaden sposób nie dorównywał Reitzowi i Paully'emu, drugiemu nowemu kumplowi.

Był też sławny, chociaż nie w ten sposób, o jakim kiedyś marzył. Został bandytą. Terrorystą, człowiekiem, którym matki straszyły dzieci, najbardziej poszukiwanym człowiekiem w Rosji, przywódcą islamskich bojowników i wszelkiej maści wyrzutków, którym nie podobały się obecne porządki. W szeregach jego organizacji walczyli ludzie wywodzący się z filipińskiego ruchu Abu Sajjafa, Kaszmirczycy z Laszkar-i-Toiba, czeczeńscy partyzanci i egipscy separatyści z Półwyspu Synajskiego, libijscy i syryjscy dżihadyści, w sumie kilka tysięcy ludzi, sam nie wiedział ilu dokładnie. Czarny sztandar Proroka ponoszą wysoko, nic im się nie oprze. Czubarow czuł tę potęgę. Codziennie przybywali nowi, zachęcani przez mułłów w meczetach na całym świecie. Ten dżihad wreszcie przyniesie im zwycięstwo.

Kiedyś mogło się wydawać, że Rosji nic nie pokona, ale czasy się zmieniły. Wspomagana przez Ankarę, która pewnie rozgrywała przy okazji własną grę, wewnętrzna rebelia sprawiła, że dni obecnego reżimu wydawały się policzone. Od wieków to państwo nie było tak słabe jak w tym momencie. Wskaźniki ekonomiczne i demograficzne pikowały. Według oficjalnych statystyk Rosja wciąż liczyła grubo ponad sto czterdzieści trzy miliony obywateli, w rzeczywistości było ich znacznie mniej, z czego trzydzieści procent stanowili muzułmanie. Nie wszyscy spośród nich staną do szeregu, ale to bez znaczenia. I tak niedługo Rosjanie jako naród przestaną istnieć, a na całym obszarze federacji powstanie nowy kalifat. On, Mustafa Czubarow, będzie w nim jedną z najważniejszych postaci. Widział siebie nawet jako zarządcę jednej z prowincji albo – jeszcze chętniej – wojskowego komendanta. Bo należało to otwarcie powiedzieć: rozsmakował się w wojnie. Nie wyobrażał sobie bez niej życia. Zabijanie upajało jak narkotyk. Nigdy by nie pomyślał, że kiedyś tak go to wciągnie, ale stało się. Do tej pory nie wiedział, ile tracił.

Gdy przez gęste zarośla obserwował miotających się spadochroniarzy, uśmiech nie schodził z jego twarzy. Ci żołnierze podobno należeli do elitarnej formacji, ale w tym momencie wydawali się zupełnie bezradni. Jeden na pewno znajdował się na

granicy paniki. Wystarczy głośniej krzyknąć i będzie spieprzał, gdzie go oczy poniosą.

Przyczajony niedaleko Czubarowa bojownik napiął cięciwę łuku, przymierzył się i wypuścił strzałę. Facet rzekomo pochodził z Malezji, ale ile w tym było prawdy, tego Mustafa nie wiedział i niewiele go to obchodziło. Ważne, że promień trafił rosjanina w kark. Spadochroniarz otworzył usta i bezgłośnie padł twarzą prosto w poszycie.

Teraz do działania przystąpił krępy Uzbek, do niedawna hodowca kóz z Kotliny Fergańskiej. W paru skokach dopadł zwłok i wprawnymi cięciami noża odciął zmarłemu głowę. Koledzy zabitego dostaną szau, gdy zobaczą, co się stało. O to właśnie chodziło. Wściekłość sprawi, że staną się nieostrożni.

Czego właściwie tutaj szukali? Pojawili się dosłownie znikąd, zakłócając spokój oddziałowi Paully'ego, do którego wkrótce miał dołączyć Reitz ze stu pięćdziesięcioma bojownikami, wśród których była spora grupa egipskich komandosów i pakistańskich zwiadowców. Dopiero co opuścili oni szeregi armii, decydując się na dżihad. Ich wspólny rajd w głąb terytorium przeciwnika mógł przeważać szalę wojny. Przed bojownikami jeszcze spory odcinek do pokonania, lecz nie spieszyło się im jakoś szczególnie. Trochę jechali, więcej maszerowali, a teraz podciągali wsparcie i zaopatrzenie. Lasy poligonu czebarkulskiego wydawały się idealnym miejscem na kryjówkę i nagle takie zaskoczenie – oddział federalnych żołnierzy spadł im prosto na głowy. Ponieważ istniało niebezpieczeństwo, że spadochroniarze natkną się na nich albo na grupę Reitza i powiadomią dowództwo, trzeba było szybko się ich pozbyć. Stąd to całe zamieszanie.

Pomiędzy drzewami dostrzegł pierwszego z powracających żołnierzy. Teraz to już pójdzie szybko. Wykończą ich jednego po drugim tak, że w sztabie będą zachodzić w głowę, w jaki sposób kilkudziesięciu desantowców rozpląnęło się bez śladu.

Oby trwało to jak najdłużej.

Zmysły kapitana Olega Iwanowicza Frankowa naprężyły się niczym fortepianowe struny. Nie czuł głodu ani pragnienia, tylko przekonanie, że jest w stanie maszerować kilometrami, mając przy sobie jedynie karabinek i dodatkową amunicję. Wiedział, że wyczerpanie pojawi się szybciej, niż teraz się spodziewa, ale przynajmniej na razie kapitana niosły emocje.

Z początku narzucił ostre tempo marszu, jednak rychło okazało się, że musi zwolnić. Nie każdy miał tak znakomitą formę jak on. Na przykład Michajłow, cholerna zakała kompanii. Na krótkim postoju wziął kaprała na bok i w paru twardych żołnierskich słowach powiedział, czego od niego oczekuje.

Podoficer zrazu wyglądał na przejętego, ale szybko okazało się, że to tylko wybieg. Niech sobie dowódca mówi, co chce, a ja i tak wiem swoje. Atmosfera w oddziale stawała się nie do zniesienia. Z doborowej jednostki przemieniali się powoli w grupę osób dbających wyłącznie o siebie. Istniało niebezpieczeństwo, że w przypadku konfrontacji z... z tym, co na nich czyhało, rozbiegną się niczym stadko spłoszonych antylop.

– Czego się boicie? – Frankow przełknął ślinę, a później słowa bardziej wypluł, niż wypowiedział, nie kierując ich do nikogo konkretnego.

W efekcie przestraszył ich jeszcze bardziej.

– A idźcie do diabła – warknął obrażony na cały świat.

Od tej pory musiał się liczyć z tym, że oberwie kulkę prosto w plecy od wkurzonego podwładnego. Nie byłby to pierwszy taki przypadek. Całkiem niedawno zdarzyły się dwa podobne incydenty – jeden w Moskwie, gdzie pochodzący z Kaukazu poborowy wbił nóż w pierś dowódcy batalionu na placu apelowym podczas odprawy przed wyjazdem jednostki w strefę walk. Desperat oczywiście zginął, zastrzelony przez pozostałych oficerów, ale majorowi życia to nie zwróciło. Drugi incydent miał miejsce w Wołgogradzie podczas postoju kompanijnej grupy bojowej, gdy do kolegów zaczął siać seriami kolejny wyznawca Allaha.

Z muzułmanami w armii już od dawna był kłopot. Przeważnie kumali się ze sobą, tworząc osobne grupy, i bili swoich słowiańskich towarzyszy broni przy lada okazji. Trudno było sobie z tym poradzić. Ich bezczelność i buta przerażały samych dowódców. Pojawiły się głosy, by nie powoływać ich do armii, a tych, co są,

odesłać. Niby proste, pasujące do okoliczności rozwiązanie, tylko że wskutek tego z wojska odpłynęłoby ze sto tysięcy ludzi. Kim ich zastąpić? Mają wcielić miękkich studencików, którym na widok krwi robi się niedobrze? Prawdopodobnie taki będzie finał. A młodzi muzułmanie przejdą w szeregi islamistów. Na szczęście to nie jego problem. W jego kompanii nie służył żaden czarno... to znaczy muzułmanin. I dobrze, bo za cholere nie wiedziałby, co z takim zrobić.

Ścieżka, którą się poruszali, w pewnym momencie się rozwidła. Obie odnogi wyglądały nieciekawie. Poszycie stawało się rzadsze, za to las gęstniał. Powoli zapadał zmierzch. Niedługo nic nie będzie widać.

– Michajłow.

– Tak jest.

– Wybierz sobie pięciu ludzi – polecił Frankow, zarzucając taśmę automatu na ramię i sięgając po mapę. – Pójdziecie tym szlakiem. Spotkamy się za około czterdzieści minut tu, przy strumieniu. – Wskazał punkt na planie. – Gawrow dalej nie doszedł. Jest gdzieś w pobliżu, tylko musimy go znaleźć.

Michajłow całkiem nieregularnie głęboko westchnął. Pomysł nie przypadł mu do gustu.

– A wsparcie, towarzyszu kapitanie?

– Co wy ciągle z tym wsparciem, Michajłow? Kolegom nie chcecie pomóc?

– Za przeproszeniem, chorąży Gawrow nie jest moim kolegą. – Kapral skrzywił usta.

– A pozostali?

– To różnie.

– Sam widzisz. Oni by po ciebie poszli. Zrób to dla nich, a chorążym się nie przejmuj.

Upłynęła minuta, zanim Michajłow wyznaczył tych, którzy mieli ruszyć razem z nim. Frankow sam wiedział, że pomysł nie jest dobry, ale co w tym wypadku należało zrobić? Mają się błąkać po wyznaczonym kwadracie, marnując czas i siły? To nie do pomyślenia. W sumie i tak pójda oddaleni od siebie najwyżej o trzysta metrów. Miało to również ten plus, że gdyby coś zaatakowało jedną grupę, druga dzięki temu dystansowi będzie miała czas zareagować. Rzecz jasna, Michajłow nie

za bardzo nadawał się do tego zadania, niestety, nikogo innego na jego miejsce nie było.

W końcu każdy z pododdziałów ruszył wyznaczoną trasą. Kapitanowi nogi grzęzły w błocie, zwolnił z obawy, że z tej mazi wyciągnie stopę już bez buta. Na dodatek zaczęło siąpić, co do reszty popsuło oficerowi humor.

A to co?

Na ścieżce leżał jakiś jajowaty przedmiot, dziwny, z daleka przypominał piłkę. Skąd w tej głuszy piłka? Dopiero bliższe oględziny wyprowadziły Frankowa z błędu. To była głowa, w dodatku ludzka, nie zwierzęca. Twarz kogoś kapitanowi przypominała. Gdy tylko mózg przetworzył informacje, Frankow odskoczył od niej jak oparzony.

Oblicze chorążego wyglądało nawet nieco lepiej niż za życia. Może nie nabrał rumieńców, ale też charakterystyczny drwiący uśmiešek nie zniknął Gawrowowi z ust.

Kapitan przeżegnał się, tak jak nauczyła go matka. Powtórzył to raz i drugi. O karabinie zapomniał, przynajmniej na razie.

Łatwo jest pieprzyć głupoty o swojej odwadze, siedząc z kumplami przy piwie, bądź wyobrażać sobie, jakim to się jest twardzielem, oglądając film. Sam zrobiłbym to lepiej – taka myśl towarzyszyła kapitanowi na widok każdej hollywoodzkiej niedojdy.

No to ma okazję się wykazać... Na takie wyzwanie nie przygotowywała żadna akademia. Może Michajłow miał rację i w tych lasach faktycznie mieszka nieznany stwór, a oni nieświadomie weszli na jego teren?

Postępujących tuż za nim spadochroniarzy pogonił do tyłu. Teraz należało myśleć o ratowaniu własnej głowy.

Co w tej sytuacji powinien zrobić? Michajłow wraz ze swoją sekcją znajdował się po prawej. Działając wspólnie, wydostaną się z matni.

Seria strzałów z tamtego kierunku sprawiła, że Frankow wrócił do rzeczywistości. Stwór z piekła rodem raczej nie strzelałby z karabinu maszynowego.

– Sidorczuk, Iwanow, naprzód.

Nie chciał, by to miejsce stało się jego grobem. Jeżeli walczysz, to musisz wygrać, a tak zdeteminowany jak w tym momencie nie był jeszcze nigdy. Już on im pokaże, jak wygląda człowiek niemający nic do stracenia.

Niewyraźną sylwetkę napastnika dostrzegł na gałęzi parę metrów ponad ziemią. Złożył się do strzału i pociągnął za spust. Trafił bez problemu. Ciało zleciało na ziemię, obijając się o niższe konary, aż plasnęło o grunt.

Zadowolony przywarł do pełnego narośli pnia. Zdążył w ostatniej chwili. Seria z AK przeszła wachlarzem tuż ponad nim. Część pocisków odłupała korę z drzewa. Niektóre utkwily w nim na zawsze.

Teraz.

Zerwał się na równe nogi, próbując zmienić stanowisko. Już w chwili, gdy wstawał, wiedział, że to błąd. Oberwał w lewe ramię. Pocisk kalibru 7,62 mm ominął, co prawda, kość i przeszedł przez mięsień, ale ból był obojętniający. Kapitan mimowolnie wydał z siebie zduszony jęk.

Gdzie jest opatrunek? W przypiływie paniki zapomniał, gdzie do upręży przypiął apteczkę.

– Może ja...

Szeregowy Sidorczuk, jeden z bardziej doświadczonych desantowców w jego kompanii, znalazł się przy swoim dowódcy w paru skokach.

– Gdzie Iwanow?

– Osłania.

Szok, jakiego doznał, wcale nie przemijał. Wręcz przeciwnie. Było tyle krwi...

– Dam radę, dam radę – zaciskał zęby, powtarzając w kółko jedyne słowa, jakie przychodziły mu na myśl.

Sidorczuk tylko się uśmiechnął, a potem przez jego głowę przeleciała karabinowa kula. Na ocalałej połowie twarzy zastygło zdziwienie. Jak to tak? To już?

Frankow zamrugał, nie całkiem pojmując, na co patrzy. Szeregowy w końcu padł, przygniatając kapitana.

Zanim wyswobodził się spod ciężaru, upłynęła dobra chwila. Najgorsze było jednak to, że Iwanow przestał strzelać, co oznaczało jedno – został sam, bez pomocy i bez szansy na ratunek.

Strach sprawił, że przestał odczuwać ból. Przetoczył się na brzuch, szukając automatu, dostrzegł go i wyciągnął rękę, by przyciągnąć broń do siebie.

AKMS już prawie był w zasięgu, gdy ktoś przygniół go butem do ziemi.

– Nie tak szybko, *tawariszcz* komendant.

Bał się podnieść wzrok do góry, ale ostatecznie musiał to zrobić. Zobaczył człowieka z ogoloną głową i z brodą, ubranego w polowy mundur amerykańskiej armii. Takie uniformy da się kupić na każdym bazarze jak kraj długi i szeroki, ale przewieszony przez pierś MPT-76, standardowy karabin tureckiej armii, już niekoniecznie.

A więc tak wygląda diabeł. Może jeszcze należało dodać: współczesny diabeł.

Czart nie był sam. Dookoła wkrótce zaroilo się od jego towarzyszy. Wszyscy wyglądali podobnie, tylko jeden z nich się wyróżniał. Był czarny, o wyłupiastych oczach i wydatnym nosie.

– Jestem... – wychrypiął Frankow, nie wiedząc, co chce powiedzieć.

– Słuchamy.

– Jestem oficerem wojsk fede... federacji rosyjskiej i chroni mnie konwencja genevska.

– W dupie mam twoją konwencję – zarechotał ten, który stanął na karabinku kapitana, sięgając po ostry niczym brzytwa kindżał. – My uznajemy tylko prawo Proroka. To najwyższe prawo. A mówi ono, że w *dar al-harb* możemy robić, co chcemy.

Frankow pamiętał, że muzułmanie dzielili świat na dwie strefy: strefę pokoju – *dar al-islam*, zamieszkałą przez wyznawców Proroka, oraz *dar al-harb*, czyli całą resztę.

Już domyślał się, co go czeka. Nie będzie to nic miłego. Ze strachu zaczął oddychać nierówno, z przerwami, dławiąc się przy tym swoją własną śliną.

– Sam Najwyższy zesłał cię w nasze ręce.

– Nie sądzę – to było ostatnie, co zdołał powiedzieć. Reszta życia zmieniła się w ciąg niewyobrażalnego cierpienia. Żałował, że nie umarł wcześniej.

Na początek stracił prawe ucho. Stało się to tak szybko, że z początku nie zdał sobie z tego sprawy. Zaczął krzyczeć, lecz właśnie o to chodziło oprawcom. Jego język...

Ucho, język, to nic... Wił się, gdy zerwano z niego spodnie. Kastracja to ostateczna hańba. Najgorsze, że nic nie mógł zrobić. Trzymało go czterech dręczycieli, a piąty z kindziałem nacinał skórę, przyglądając się, jak z rany wycieka krew. Tortury najwyraźniej go bawiły.

I pomyśleć, że to człowiek człowiekowi zgotował ten los. ■

ROZDZIAŁ DRUGI

1

Dla Aleksandra Golicyna, rosyjskiego ministra spraw zagranicznych, ten dzień pełen był kłopotów. Jakby tego było mało, już od miesiący żył w ogromnym napięciu. Wszystko zaczęło się od zamachu na Łubiance... Nie, jeszcze wcześniej – w Warszawie, od porwania Anny.

Córka była dla niego wszystkim. W życiu się tak nie bał jak wówczas o nią. Gdy wróciła, omal nie zwariował ze szczęścia. Wtedy też pojawił się ten Polak, który ją uratował – Ernest – całkiem sympatyczny chłopak, to trzeba przyznać, w którym Anna zabujała się na śmierć i życie.

Las przesuwał się za oknami limuzyny odwożącej ministra do domu tylko nieco uspokajał skołataną nerwy, toteż Golicyn wzdychał ciężko raz po raz. Senne myśli snuły się wokół spraw państwowych i prywatnych. Ernest Wolski niedługo zostanie jego zięciem, aż trudno w to uwierzyć. Polak! No, ale – pomijając dziewczęce uczucia, które można by jakoś przeczekać, przedyskutować... – był to chłopak sprawdzony i podwójnie zasłużony. Polsko-amerykańska ochrona, którą minister wynajął po incydencie w Warszawie, szybko udowodniła swoją skuteczność w Moskwie, ponownie ratując Annę i wielu innych ludzi przy okazji. To za sprawą tej grupy w końcu intryganci w rządzie przestali wieszać na Golicynie psy. Wrogowie musieli skupić się na szalejącym w kraju terrorze, szczególnie po tej nieszczęsnej Łubiance...

Prawdę mówiąc, władza prezydenta Orłowa już wcześniej zaczęła się chwiać. Nie miał on tej charyzmy i bezwzględności co jego poprzednik. Coraz głośniejsze mówiło się też o tym, że nie potrafi dobierać sobie współpracowników, co Golicyn odczuł szczególnie boleśnie, jako że był dla *siłowników* sztandarowym przykładem błędu kadrowego. Dymisja jako zakończenie kariery to nawet nie najgorsze rozwiązanie, bywały gorsze – taka konkluzja nieraz przelatywała Aleksandrowi przez głowę. Ma forszę, może urządzić się za granicą, nic go tutaj nie trzyma. Miękkie lądowanie w Szwajcarii czy Austrii, w którejś z alpejskich dolin, to

marzenie wielu, z których niewielu na to stać. Dlaczego więc tkwił w tym miejscu, mając praktycznie nieograniczone możliwości?

Może dlatego, że uważał się za patriotę.

Jego dziadek, Lew Golicyn, walczył pod Kurskiem jako dowódca plutonu czołgów T-34 w 5 Gwardyjskiej Armii Pancernej generała Pawła Rotmistrowa. Stary Golicyn dojechał aż do Berlina, przechodząc cały szlak bojowy. Ze stolicy Niemiec oprócz Złotej Gwiazdy Bohatera Związku Radzieckiego, jaką otrzymał z rąk samego wielkiego żukowa, przywiózł trzy rowery i pięć zegarków. To był gość.

Później został przewodniczącym kołchozu o nazwie „Wielki Październik”, specjalizującym się w hodowli świń. Powołany powtórnie w 1956, o mały włos trafiłby do zbuntowanego Budapesztu. Od tego zaszczytu uchroniła go złamana na ćwiczeniach noga. Zmarł pod koniec lat sześćdziesiątych, gdy Aleksander był jeszcze mały, na raka płuc. Nie był jeszcze stary, miał pięćdziesiąt pięć lat, czyli dokładnie tyle, ile on teraz, ale taki jest efekt, jak się ćmi po dwa kopciuchy podłej machorki dziennie.

Ojciec Aleksandra, Borys, również został pancernikiem. Załapał się na 1968 i inwazję na Czechosłowację. Odniesione wtedy obrażenia o mało nie zakończyły jego kariery na samym jej początku. Młodego oficera bynajmniej nie postrzelili buntownicy, po prostu uległ wypadkowi, potrącony na poboczu przez nieostrożnego kierowcę ciężarowego ZiŁ-a 130. Szofer był pijany, to prawda, ale na trzeźwo tego całego syfu nie dawało się przeżyć.

Rehabilitacja trwała pół roku. To dość, by ześwirować z nudów, jednak ojciec nie należał do ludzi, którzy łatwo się poddają. Odkrył w sobie talent do języków, dzięki któremu w przeciągu kilku miesięcy nauczył się francuskiego i hiszpańskiego. Ten potencjał został dostrzeżony, a przed Borysem otworzyły się nowe możliwości.

Po kursie w Akademii Sztabu Generalnego młodego majora wraz z rodziną wysłano na placówkę na Kubę, gdzie spędził trzy lata. Aleksander wspominał tamte czasy z rozrzewnieniem. Później wylądowali w Nikaragui. Kiedy wrócili do Rosji, nikt z rodziny nie potrafił się w niej odnaleźć. Wkrótce rozpoczęła się wojna

w Afganistanie, a on wylądował w Moskiewskim Państwowym Instytucie Stosunków Międzynarodowych kształcącym przyszłe kadry dyplomatyczne.

Od tego zaczęła się jego droga na szczyt.

Ilekcio wracał pamięcią do minionych lat, nie potrafił sobie darować jednego – za mało czasu poświęcił własnej rodzinie. Annę wychowała Wiera, przy jego minimalnym udziale. Oczywiście cieszył się, widząc, jak dziewczyna dorasta, ale był gdzieś na uboczu, nie angażując się tak mocno, jak by mógł i powinien.

A teraz zapewne zostanie dziadkiem.

Jasny gwint, nie był jeszcze taki stary!

Sprawy rodzinne zeszły na boczny tor, gdy przypomniał sobie o jutrzejszym posiedzeniu rządu. Dziś wykona parę ważnych telefonów, a jutro zaproponuje podjęcie tajnych negocjacji z Turkami – może w Sofii, a może na Cyprze. Jakiś układ muszą wynegocjować.

Nie tak dawno Oleg Prilepin, były już minister obrony federacji rosyjskiej, informował go, że przeprawa z Ankarą wcale nie będzie łatwa i przyjemna. Doraźny deal był dobry, niemniej w grę wchodziły zbyt duże różnice interesów, by dobra passa miała trwać w nieskończoność.

No i skończyła się – od razu wojną na pełną skalę. Informacje z frontu były, delikatnie mówiąc, niepokojące. Jeżeli do konfliktu włączy się Ukraina, to Moskwa ma przerabane. Jak na razie trzyma Kijów na dystans, ale długo to nie potrwa. Ukry aż przebierają nogami, żeby im dokopać i w zaistniałych warunkach byli w stanie to zrobić. Na początek pójdą Donieck i Ługańsk, a co dalej? Wyrzucą ich z Kaukazu, to logiczny wniosek. Ukraińsko-turecka ofensywa na Powołżu odetnie ich od najlepszych rolniczych ziem i sprawi, że wróg dotrze do rdzenia państwa. Krym przepadnie, to jasne. Już teraz jego utrzymanie sporo kosztowało. Rostów nad Donem stał się zapleczem frontu, podobnie jak Astrachań, te punkty należało utrzymać za wszelką cenę. Tylko skąd brać na to siły i środki?

Limuzyna Golicyna wyjechała z lasu. Zbliżając się do jego podmoskiewskiej rezydencji, kierowca zwolnił przed drogowym posterunkiem żołnierzy z rosgwardii pełniących służbę na tym trudnym odcinku. Od jakiegoś czasu blockposty jeszcze wzmocniono, a prócz solidnego muru pojawiły się dodatkowe zasieki. Atak

w sercu kraju na osiedle zamieszkałe przez rosyjską elitę wcale nie był taki niemożliwy, jak to się niektórym do niedawna wydawało.

Teraz powoli. Po uliczkach krążyły zmotoryzowane patrole i strażnicy z psami. Mimo tych środków bezpieczeństwa każdy tu bał się o swoje życie. Na pobliskim lotnisku w gotowości stały prywatne odrzutowce gotowe wywieźć właściciela i jego majątek daleko w świat. W sumie zawsze to jakieś rozwiązanie. A jaki on miał pomysł na życie po klęsce? Jak nie Szwajcaria, to Polska. Kiedy Ernest zostanie jego zięciem, takie rozwiązanie nasuwało się samo przez się. Anna pójdzie za mężem bez wahania i nie da się namówić na żadną Genewę bądź Zurych. Co pozostanie? Kraków? Zakopane?

Nie może tak myśleć. Wojna wciąż trwała i wiele się jeszcze może wydarzyć. Jak nie dziś, to jutro. Nieodgadnione są przecież Boskie wyroki.

2

Oddech Cyrusa Parkera, który Plazma czuł na swoim karku, tylko dopingował do podkręcenia tempa. Choć była to jedynie krótka przebieżka, dali z siebie wszystko. Amerykanin wciąż nie odpuszczał i już zaczynał deptać mu po piętach, więc Plazmie nie pozostało nic innego, jak zacisnąć zęby i pokłusować niczym chart na ostatniej prostej.

Tuż przed nimi wyłoniła się rezydencja Golicynów. Do ogrodzenia dopadli w ostatnim desperackim wysiłku, żeby udowodnić, który z nich jest lepszy.

– *Fuck...*

– Co mówiłeś? – Ernest Wolski odsłonił zęby w triumfalnym uśmiechu. – Musisz powtórzyć. Ostatnio nie najlepiej u mnie ze słuchem.

– Jak ty to robisz? – Parker otarł przedramieniem pot z czoła, spluwając przy okazji na ziemię. – W nocy Anna daje ci wycisk... Co się tak gapisz? Myślisz, że was nie słychać? Jeszcze jak. Sapiesz jak Amtrak.

– Co najwyżej jak lokomotywa, tak się mówi – sprostował słowa przyjaciela. – I dobrze ci radzę, w moim towarzystwie nie poruszaj więcej tej kwestii. Rozumiemy się?

– Masz cykora?

Nie odpowiedział. Sam wiedział, że przegina. To wina jego i Anny. Wznosząca fala zdawała się nie mieć końca. Sprawy zaszły daleko. Niedługo zostanie mężem i prawdopodobnie ojcem. Nawet wzięwszy pod uwagę tylko to, ostatnio żył nader intensywnie. O innych sferach działalności nie wspominając. Nie spodziewał się, że zajdzie tak wysoko.

– Sam nie wiem. – Plazma wzruszył ramionami. – Wiesz, jaka jest Anna. Jak już coś sobie wbije do głowy, to nie odpuści.

– Co racja, to racja.

Przeszli ścieżką wzdłuż kortu w stronę głównego budynku. Do środka nie weszli jednak od frontu, lecz od zaplecza. Na podjeździe stała limuzyna Golicyna, szofer wciąż kręcił się w pobliżu. Dziś przyszedł teść pojawił się w domu nieco wcześniej. Przyczyn mogło być wiele. Wszyscy wiedzieli, że kraj dryfuje w niewłaściwym kierunku.

W kuchni wyposażonej lepiej niż niejeden salon królowała Sonia, będąca kimś w rodzaju przełożonej domowego personelu. Od jej poleceń nie było odwołania i biada temu, kto nawet nieświadomie nadepnąłby kobiecie na odcisk. Wystarczyło, by koso spojrzała, a już wielu drżały kolana. Może nie ochroniarzom – którzy trzymali się z boku – ale pokojówce, lokajowi, kucharzowi i reszcie z pewnością. Gdy weszli, sprawdzała właśnie rachunki, podliczając ostateczną sumę na kalkulatorze. Na Plazmę spojrzała z sympatią, na Cyrusa z niechęcią. Kto wie, co jej chodziło po głowie.

– Dostaniemy wody? – Ernest nie musiał pytać, zrobił to jednak dla spokoju ducha.

– Z kranu czy z butelki? – Głos Soni brzmiał jak chrzęst gąsienic po szkle. Stanowczo za dużo ćmiła skrętów z kiepskiej machorki.

– Może być z butelki – zgodził się łaskawie.

– Wiesz, gdzie stoją.

Znalazł zgrzewkę mineralnej i zabrał dwie butelki, jedną od razu podając Parkerowi.

– Widziałem, że minister wrócił już z pracy.

– *Gospodin* Golicyn jest dziś wyjątkowo markotny – powiedziała Sonia z rozbijającą szczerością.

– A co się stało? – Od rana nie oglądał wiadomości, a sytuacja, jak mówiono, była dynamiczna.

– Mało to spotkało nas nieszczęść? – Kobieta załamała ręce. – Gdyby nie nasz dobrodziej, mój siostrzeniec trafiłby do wojska, i to od razu na pierwszą linię. Codziennie modłę się za niego przed ikoną Matki Boskiej Kazańskiej.

– Za siostrzeńca, tak?

– Za pana ministra, chłopcze. To taki wspaniały człowiek.

To fakt. Sonia wpatrywała się w Golicyna jak w obrazek, a Annę traktowała niczym własną córkę.

Na tym skończyli. Ernest i Cyrus poszli pod prysznic, a Sonia Wasiliewna do rachunków.

Stojąc pod strumieniem gorącej wody w części domu zarezerwowanej tylko i wyłącznie dla Golicynów, Ernest nie potrafił przestać myśleć o zmiennych kolejach swojego życia. Do niedawna był nikim, zwykłym popychadłem. Człowiekiem, którego usługi, za przeproszeniem, wyceniano na godziny. Dziś bujał się z największymi tego świata.

Szybko bardziej usłyszał, niż poczuł, że ktoś za jego plecami otwiera drzwi do kabiny. Uśmiechnął się pod nosem, zagryzając usta.

– Stęskniłam się – usłyszał głos Anny i poczuł jej palce na swoich plecach.

– Ja też – powiedział zgodnie z prawdą, choć nie było go z godzinę.

– Jeszcze sobie pomyślę, że mnie zaniedbujesz.

Dłonie ministerialnej córki zaczęły masować kark Ernesta, by powoli zsuwać się po skórze.

Wiedział, że się nie opanuje. Zresztą, jaki miałoby to sens? Odwrócił się i zaczął robić dokładnie to samo, czego doznał przed chwilą. Czas popłynął szybciej. Kabina prysznicowa to nie najlepsze miejsce na szybki numer, ale wiedział, jak sobie poradzić. Miał w końcu sporo krzepy, a dziewczyna nie była ciężka. Do jadalni zejda przyjemnie odprężeni i w dobrych nastrojach. Rodzice Anny już dawno pogodzili się z tym, co robią, mimo wielu prób zachowania dyskrecji.

Ubierając się, zauważył, że jest już późno i niedługo Sonia poda kolację. W domu Golicynów panował zwyczaj wspólnych posiłków, a od niedawna

uczestniczył w nich również Ernest. Reszta ekipy nie dostała tego zaszczytu, wciąż stołując się w kuchni. Im to odpowiadało, tylko on wciąż czuł się niezręcznie, zdając sobie sprawę, że pasuje do jaśniepańskiego stołu jak pięść do nosa. Nie to, żeby Golicynowie okazywali mu wzgardę, wręcz przeciwnie – byli mili i sympatyczni – co nie zmieniało jego przekonania, że jest nie na swoim miejscu.

Dziś coś się zmieniło. Od samego początku posiłku panowała atmosfera przygnębienia, nawet szczebiot Anny nie mógł tego zmienić. Widać było, że Aleksander, choć stara się uczestniczyć w konwersacji, myślami jest daleko.

Przy obcych minister raczej niczego nie chłapie, ale warto spróbować. Nieformalne kanały w dyplomacji były tak samo ważne jak te oficjalne.

– Słyszałem, że w Permie doszło do zamachu na dworcu kolejowym. Siedem osób zginęło, szczątków jednej nie udało się zidentyfikować – Plazma zacytował wiadomość usłyszaną przed momentem w radiu.

Siedząca naprzeciwko Ernesta Wiera miała minę, jakby pierdnął. Przy tym stole nie poruszało się takich tematów.

– To pewnie zamachowiec. – Aleksander odstawił niedojedzony kapuśniak. – Pełno ich teraz wszędzie. Większość z nich nielegalnie przekroczyła granicę, głównie z Kazachstanem. Tamtejsze służby nie są w stanie ich wszystkich wyłapać. Nie są w stanie albo i nie chcą. Przekazano mi, że istnieje parę kanałów przerzutowych. Jedne wiodą z Kaukazu, inne z dawnych republik. Podobno ciągną też przez Estonię i Łotwę, później są przejmowani...

– Przez kogo? – zapytała Anna niezbyt zorientowana w tych kwestiach.

– To skomplikowana operacja, córeczko. Nagle staliśmy się wrogiem numer jeden dla wszystkich muzułmanów na świecie.

– Bez przesady – zaproponował Ernest, świadom jednak, że w słowach ministra jest dużo prawdy.

Faktem było, że wsparcie islamistów dla reżimu w Ankarze stało się naprawdę spore. Państwa do tej pory wrogi Turcji przesunęły się na neutralne pozycje, nie chcąc drażnić swoich obywateli, a dziesiątki tysięcy tych bardziej radykalnie nastawionych wybierało się na dżihad. Jeden z nich najwyraźniej wysadził się w Permie.

Dalszą rozmowę przerwał dzwonek telefonu. Odebrał Aleksander, słuchał z kamienną twarzą, ale gdy skończył, walnął pięścią w stół. Wyglądało to na akt bezsilności i rozpacz.

– No... – Wydawało się, że Wiera zamieni się w głaz.

– Do... do... hmm... – Upłynęła chwila, zanim szef rosyjskiej dyplomacji zebrał się w sobie. – Doszło do kolejnego zamachu w Permie. Tym razem detonowano samochód pułapkę. Większość ofiar, a jest ich ponad pięćdziesiąt, to policjanci i ratownicy. Eksperci oceniają siłę wybuchu na pół tony.

– Jasna cholera – wyrwało się Ernestowi.

– To nie koniec. Jakiś oddział desperatów zaatakował elektrownię jądrową w Nowoworoneżu. Napastnicy wdarli się do środka. Trwają walki, by ich stamtąd wykurzyć. Grupa Alfa poniosła straty. Ostrzelano śmigłowce, którym ją przrzucano. Jeden uszkodzono. – Aleksandrowi ponownie załamał się głos. – Są... są straty.

Trudno mu było nie współczuć. Jeśli obiekt nie zostanie szybko odbity, groziła im koszmarna katastrofa. Elektrownia znajdowała się w obwodzie woroneskim blisko granicy ukraińskiej. Od stolicy obwodu dzieliło ją niespełna pięćdziesiąt kilometrów.

Dlaczego Rosjanie wcześniej nie wzmocnili ochrony tego strategicznego przeciw obiektu? Inna sprawa, że kołderka robiła się za krótka, a federacja rosyjska doby prezydenta Władimira Orłowa to nie związek sowiecki komunistycznych kacyków czy nawet Rosja jego poprzednika.

– Przykro mi. – Plazmie nic więcej nie przyszło do głowy.

Wiedział, że to banał, ale tak to jest, gdy wojuje się z całym światem. Przynajmniej Chińczycy nie próbowali zająć Syberii, korzystając z okazji, choć kto wie, co się wydarzy za parę tygodni. Może chińskojęzyczna mniejszość będzie potrzebowała ochrony?

– Żeby nie było: Turcy też liżą rany. – Golicyn spróbował skierować rozmowę w lepszym kierunku. – Stracili sporo samolotów. Wyeliminowaliśmy większość ich F-16 i kilka okrętów. Fregatę „Yavuz” wczoraj wieczorem.

Słaba to była pociecha. Tureckie korpusy pancerne i zmechanizowane koncentrowano blisko granicy z Gruzją. Gdy ruszą, Tbilisi ograniczy się jedynie do

werbalnych protestów, lecz nie zrobi nic, by je powstrzymać. Po kilku godzinach jazdy drogą E117 dotrą do rosyjskiej granicy, a dalej już ledwie krok do Władykaukazu. Pozostali ruszą z Azerbejdżanu. Dla nikogo nie było tajemnicą, że niedaleko Baku zgromadzono sporo oddziałów sił specjalnych. Ich wkroczenie wydawało się pewne, a to zwiąże siły rosyjskie na południu.

I było się z nimi kumać? To jak przyjaźń ze wściekłym psem. Wcześniej czy później cię ugryzie.

– Jeszcze trochę i odzyskamy kontrolę.

Plazma nie potrafił wyczuć, czy Golicyn faktycznie wierzy w to, co mówi.

– A rebelia w miastach i na prowincji?

– Mobilizujemy nowe oddziały. Wkrótce dojdzie do przesilenia i nie ma znaczenia, ilu ich będzie. Górujemy nad nimi pod każdym względem. Zgrupowanie band pod Ufą już zostało rozbite. Nasi spadochroniarze spisali się świetnie. Mało kto wyszedł z kotła.

Plazma powoli kiwnął głową, sugerując, że zgadza się z ministrem, przypuszczał jednak, że te prognozy są nazbyt optymistyczne.

– Dlaczego bili się z nimi spadochroniarze, a nie rosgwardia?

Pytanie najwyraźniej wprawiło gospodarza w zakłopotanie, bo nie od razu znalazł odpowiedź.

Posiłek dokończyli w równie podłym nastroju, jak go zaczęli.

– Możemy zamienić słowo? – Golicyn wytarł usta serwetką, przyglądając się Ernestowi. – Obiecuję, że nie potrwa to długo.

Wyszli, odprowadzani zdumionymi spojrzeniami Wiery i Anny.

– Chciałbym cię prosić o przysługę – zagaił minister, gdy już znaleźli się w jego gabinecie. – Nikt nie wie, co będzie dalej. Mogą mnie dopaść w każdym momencie.

– Proszę tak nie mówić. – W głowie Plazmy zapaliły się czerwone ostrzegawcze światełka. Golicynowi w równym stopniu mogło chodzić o rosyjskie służby, co i o muzułmańskich radykałów. W tej sytuacji trudno powiedzieć, kto gorszy.

– Wiem, co mówię. Jest źle, a będzie jeszcze gorzej. Muszę wytrwać, ale to nie dotyczy mojej żony i córki. – Minister siedział sztywno wyprostowany, zupełnie

jakby miał się poddać jakiemuś medycznemu eksperymentowi. – Zajmij się nimi. O to cię proszę. O Annę się nie martwię, ale Wiera zostanie zupełnie sama. W razie konieczności wywieź je do Polski. Nie zniosę myśli, że może stać się im coś przykrego. Obiecujesz?

To musiała być prosta odpowiedź, żadnego mataczenia.

– Jasne, że tak – powiedział z głębokim przekonaniem. Rozumiał Golicyna aż za dobrze. Wojna wkrótce wejdzie w decydującą fazę i wtedy nikt nie będzie chciał się znaleźć po stronie przegranych.

3

Informacja o tym, że dwa plutony jednej z kompanii batalionu należącego do 76 Gwardyjskiej Dywizji Desantowo-Szturmowej rozpląnęły się w lasach poligonu czebarkulskiego, wolno torowała sobie drogę przez poszczególne szczeble biurokratycznej drabiny. Było tyle ważniejszych wydarzeń. Niemniej tylu ludzi, a tym bardziej doświadczonych spadochroniarzy, nie znika ot, tak sobie, bez przyczyny. Jakiś powód musiał być. Po pierwsze i ostatnie mogli zdezerterować – to najbardziej prawdopodobne wyjaśnienie. Gdy wiadomość o tym dotarła do generała Zachara Izmajłowa, zastępcy dowódcy do spraw operacyjnych Centralnego Okręgu Wojskowego, ten najpierw się zafrasował, a zaraz potem nakazał wysłanie kompanii zmotoryzowanej w celu przeczesania okolicy zdarzenia, dokładniej rzecz biorąc, rejonu niefortunnego wypadku. Izmajłow nakazał też w trybie pilnym dostarczyć sobie teczkę osobową kapitana Olega Frankowa.

Teczka miała formę skanu. Przejrzał ją natychmiast i prawdę mówiąc, mocno się rozczarował. Nie znalazł w niej niczego istotnego, same duperele. Wychodziło, że facet jest przeciętniakiem. Żadnych nagan i żadnych pochwał. Średnia pozycja na listach osób kończących akademię. Opinie przełożonych pozytywne, lecz bez zachwytów. Takich oficerów w armii służyły tysiące. Co się więc stało?

Tok myślenia Izmajłowa przerwała informacja o zaginięciu kilku policjantów z drogówki. Ci, podobnie jak dwa plutony z kompanii Frankowa, byli i nagle się rozpląnęli we mgle. Na poboczu drogi uralskiej niedaleko granic poligonu znaleziono tylko ich radiowóz.

Zmowa?

Nic z tych rzeczy. To nie przypadek. Pod ich boki operować musiał spory rebeliancki oddział. Odpowiedzieć sobie należało na pytanie, czy to miejscowi muzulmanie, czy obcy infiltratorzy.

Generała zaniepokoiło to przypuszczenie. Taka ewentualność świadczyła o przenikaniu wroga daleko poza bezpośredni rejon walk. Mógł się oczywiście mylić, ale coś mu mówiło, że tak jest. Czas pokaże, jak rozwine się sytuacja.

Frankow najwyraźniej miał pecha. Jeżeli jeszcze żył, to generał mu tego nie zazdrościł.

4

Powiedzieć, że Reitz był niezadowolony, to tyle, co nic nie powiedzieć. On aż kipiał z wściekłości. Przez moment Mustafie wydawało się, że rzuci się na niego z pięściami, pobije, a na koniec obedrze ze skóry. Na szczęście dla Czubarowa nic takiego się nie stało. Reitz przez zaciśnięte zęby wycedził „idiota” i na tym się skończyło.

Długi i szybki odskok zaczęli dokładnie trzy minuty później. Najpierw szli na północ. Gęsty las wydawał się ciągnąć bez końca. W okolicach poligonu zostać oczywiście nie mogli. Rosjanie niedługo się ockną i rozpoczną poszukiwania. Bojownicy mogliby dać im nauczkę, ale przecież nie taki był cel ich misji. Stoczą bitwę, lecz nie tutaj. Przed nimi spory szmat drogi do przebycia. Przeciwnika należało wykołować, zacierając za sobą wszelkie tropy. W tym akurat pomogła pogoda. W nocy zaczęło padać, a mżawka przeszła z czasem w ulewę. Z wysłuchanej w radiu prognozy wynikało, że padać będzie przez trzy kolejne dni.

Allah był miłosierny. Dokładnie o to chodziło. Będą przemoczeni do suchej nitki, ale dla prawdziwych wojowników Boga to żadna niedogodność.

Szybko okazało się, że paru z nich odstaje. Nie każdy może biec przez trzy doby w przemoczonym ubraniu, dźwigając sprzęt i broń, żywiąc się suchymi racjami. Co było robić? Mustafa zajmował się nimi osobiście. Specjalnie ustawił się na samym końcu kolumny. Nikt z nich nie mógł wpaść w ręce wroga, to jasne jak codzienne pięć modlitw pobożnego wyznawcy Proroka. Nie robił przy tym hałasu. Udawał, że chce pomóc, a później podrzynał im gardła. Metoda cicha

i skuteczna. Z jednym był tylko kłopot, bo nie przyuważył go w porę, gdy ten skrył się pod kobiercem z paproci, i musiał się wrócić, otrzymawszy sygnał od jednego z pomocników. Znalazł jednak marudera i już bez najmniejszych skrępowań odesłał w zaświaty. Ten człowiek nie nadawał się do dżihadu, to pewne.

Pojawienie się Paully'ego nie zaskoczyło Mustafy w najmniejszym stopniu. Prawdę mówiąc, nie mógł się tego doczekać. Od czasu, gdy Reitz i Paully uratowali mu skórę, był im dozgonnie wdzięczny. Nawet więcej niż wdzięczny. Łasił się do nich niczym szczeniak do nowego właściciela. Do tej pory nie potrafił sobie wytłumaczyć, skąd się to wzięło. Wcześniej taki nie był. Biznes prowadził twardą ręką, potrafił zrugać i przykopać. Jednej dziwce złamał rękę, innej szczękę, ale ci dwaj to zupełnie inna kategoria ludzi. Bardzo chciał im dorównać. Wiedział jednak, że nigdy tak się nie stanie.

– Pojedziesz do Magnitogorska – powiedział Paully bez żadnych wstępów, co trochę zaskoczyło Czubarowa. Prawdę mówiąc, nie spodziewał się nowego zadania, zwłaszcza teraz, gdy znajdowali się już prawie u celu wędrówki.

– To konieczne?

– A jak ci się wydaje? – Twarz komandosa przyozdobił grymas niechęci. – Nie zapomnij, kim jesteśmy i jaki mamy cel.

– Pojadę i co dalej?

– Kiedyś wspomniałeś, że znasz miasto. – Paully bezustannie obracał głową niczym anteną radaru.

– Byłem tam raz.

– Wystarczy. Na ulicy Bakunina jest nasz lokal kontaktowy.

– Do kogo należy?

– Tego nie musisz wiedzieć. – Głowa przestała się obracać. Cała uwaga metaczłowieka skupiła się na Czubarowie. – Mieszka tam nasz sympatyk, pobożny muzułmanin, szczerze oddany sprawie dżihadu.

– I chce się do nas przyłączyć?

– Ma siedemdziesiąt lat, idioto. Wyświadcza nam przysługę. Będzie tam na ciebie czekała pewna osoba. Odbierzesz ją i wspólnie dołączycie do oddziału. Masz na to trzy dni.

Czubarow przełknął ślinę, zastanawiając się, po co to wszystko. Takie zamieszanie z powodu jednej osoby? To niespotykane. Ci, których potrzebowali, już wędrowali wraz z nimi. Zdziwił go też pośpiech. Był sprawny, ale w trzy dni nie obróci w obie strony.

– Nie dam rady. To...

– Dwadzieścia kilometrów stąd jest wieś. – Paully nie pozwolił Tatarowi skończyć. – Czekaj tam na ciebie samochód. Jak wyruszysz już teraz, zdążysz przed zmierzchem.

Co dziwne, nie czuł szczególnych emocji. Do niedawna takie zadanie uznałby za przekraczające jego możliwości, dziś przyjął je ze spokojem.

– Pamiętaj, czego cię nauczyliśmy.

– Nie przyniosę wstydu – zapewnił gorliwie.

Komentarza się nie doczekał. Paully odszedł, wydając po drodze rozkazy. Oddział szykował się do wymarszu. Skoro tak, to i na niego pora.

Określił kierunek marszu i rozpoczął przygotowania. Zdjął połowy mundur i wyszperał z plecaka cywilne łachy. Oddał broń, pozostawiając sobie pistolet do samoobrony oraz nóż. Przy pierwszej okazji spróbuje się ogolić. Broda prowokowała i przyciągała uwagę. Nosili ją głównie muzułmanie, a z tym, co porosło szczękę Mustafy, stanie się podejrzanym, gdy tylko wyjdzie z lasu.

Zerknął na zdobiącą przegub ręki zdobyczną omegę. Właśnie minęła szesnasta. Ostatni rebelianci nikli za drzewami. To znak i dla niego. Nie chciał myśleć o tym, co się stanie, jak skrewi. Paully wydlubie mu oczy albo wyrwie serce przez gardło. On bardzo nie lubił, gdy ktoś popełniał błędy, to Mustafa wiedział doskonale.

5

– W tym tygodniu to raczej nie, może w przyszłym. Tak jak powiedziałem. Co tu jest niejasne?

Podpułkownik Konstantin Mamontow z niezadowoleniem potarł czoło. Od dobrego kwadransa próbował wytłumaczyć swojemu odpowiednikowi we Wschodnim Okręgu Wojskowym, czego od niego oczekuje, a tamten najwyraźniej nie chciał przyjąć tego do wiadomości.

– Dlatego, że jest za wcześnie. Pozwólcie naszym ludziom działać. To przecież nie stanie się od razu. Bezpieczeństwo jest najważniejsze.

Jak oczekiwać efektów, skoro do Głównego Zarządu Wywiadowczego armii, czyli sławetnego gru, trafiały takie głęby? Do niedawna standardy były wyższe.

– Powtarzam jeszcze raz, poczują się pewnie, to dadzą znać. – Mamontow zachował dla siebie przekleństwo, jakie cisnęło mu się na usta.

Był zmęczony, a czekało na niego jeszcze wiele spraw do załatwienia. On też martwił się chińskimi instalacjami atomowymi w Mongolii Wewnętrznej, ale nie uważał tego za takie zagrożenie dla bezpieczeństwa państwa jak rozprzestrzeniający się muzułmański bunt. Najpierw załatwią jedno, później zajmą się drugim. Tak uważał i nic nie przekona go, że powinno być inaczej. Nie mógł kontrolować siatki agentów, zajmując się jednocześnie gaszeniem pożarów tuż pod bokiem. To zadanie tego bałwana. Wyniki przyjdą albo i nie, kto to mógł wiedzieć. W tym fachu wszystko jest możliwe.

Po kolejnych pięciu minutach uznał, że wystarczy. Zleci to jednemu ze swoich zastępców. Jeśli polecą głowy, on będzie kryty. Westchnął, upił łyk zimnej już kawy i spróbował przypomnieć sobie, czym się zajmował przed kłopotliwym telefonem.

A tak... Operacja Guliwer rozwijała się w najlepsze. Przeciwnik połknął haczyk. To dobrze. Podpułkownik już się martwił, że nic z tego nie będzie, a praca całego zespołu pójdzie na marne.

Mamontowa od jakiegoś czasu martwiło, że struktury wroga są bardzo hermetyczne i nie sposób do nich przeniknąć. Wcześniej nie było z tym problemu. Na terenie niemal wszystkich państw arabskich posiadali znakomite rozeznanie, aż nagle okazało się, że to przestało wystarczać. Agenci i informatorzy, a nawet zaprzyjaźnieni oficerowie wywiadu nie potrafili powiedzieć, co się dzieje. W tryby doskonale układającej się współpracy nagle ktoś nasypał piachu, i to od razu całymi garściami. Ten gazowiec, który detonując, zniszczył sporą część Stambułu, to prowokacja, podobnie jak zamach w Moskwie. Obywatelom to wystarczyło, różnym kręgom władz też podpasowało, no i są efekty...

Tak dużej i dobrze zorganizowanej operacji nie udałoby się przeprowadzić amatorskimi środkami. To poważna robota, a jego zadaniem było dowiedzieć się,

kto im bruździ. Operacja Guliwer miała dać odpowiedź na to pytanie.

Nazara Larysowa zwerbowali dawno temu, właściwie od razu, gdy tylko dowiedzieli się o nim, ponieważ został obdarzony przez los wyjątkowym talentem. Na strzelnicy czy torze przeszkód, co prawda, raczej się nie sprawdzi, za to był jednym z najlepszych hakerów na usługach fsb, a było ich bez liku. A że pochodził z Karaczajo-Czerkiesji, autonomicznej republiki na Kaukazie, i był muzułmaninem, tym lepiej. Setki podobnych do niego chłopaków przyłączyły się do dżihadu, on też mógł. Umiejętnie spreparowali jego legendę i podsunęli przeciwnikowi. Nazar pojechał do Kataru, gdzie jak każdemu wiadomo... – tu Mamontow pozwolił sobie na gorzki uśmiech – znajdowało się jedno z centrów światowego terroryzmu, i zgodnie z zaleceniem pilnie uczęszczał do jednego z meczetów, gdzie nauczał mułła powiązany z radykałami. Larysow nie tylko chodził do świątyni, ale czynnie udzielał się na forach internetowych, nawiązując rozliczne kontakty. Wkrótce poproszono go o jedną drobną przysługę.

Do tej pory pułkownik na myśl o tym zgrzytał zębami. Ta „drobnostka” spowodowała awarię sieci energetycznej słynnego Uralwaganzawodu w Niżnym Tagile, czyli Uralskiej Fabryki Wagonów, produkującej – jak sama nazwa wskazuje – czołgi. Podobnie zresztą jak fabryki traktorów czy parowozów. Taka rosyjska tradycja.

W imię wyższej konieczności władze przełknęły gorzką pigułkę. Opłaciło się. Nowi przyjaciele Nazara kazali mu wrócić do kraju, gdzie czekało na niego nowe zadanie.

Larysow wylądował w Magnitogorsku, w zapyziałej melinie, której właściciel uważał się za muzułmanina. Rozdrażnienie chłopaka musiało sięgać zenitu. Geniusze nie znoszą, jak się nimi pogardza, a co miał Nazarowi do zaproponowania ten ciul, który ledwo recytował parę pierwszych sur z Koranu, a na dodatek zamieszkiwał lokal przypominający chlew? Oby nie trwało to długo, bo Larysowa szlag trafi i żadna siła nie zmusi do powrotu. Choć jako fachowiec to czystej wody diament, jako człowiek posiadał swoje humory. Doświadczeni agenci uważali, że jest trudny w prowadzeniu, i coś w tym musiało być. Niemniej służba w organach wywiadu wojskowego to nie łaskotki i swoje niezadowolenie należy schować do kieszeni, inaczej dostanie się im wszystkim.

Konstantin, czując parcie na pęcherz, już wstawał na krótką przerwę, gdy odezwał się jeden ze stacjonarnych telefonów. Niechętnie uniósł słuchawkę, spodziewając się kłopotów.

– Mamontow, słucham – warknął z przyzwyczajenia.

– Izmajłow.

– Witam, towarzyszu generale. – Głos podpułkownika od razu zrobił się cieplejszy. – W czym mogę pomóc?

– Może znacie aktualne położenie grupy, która zaplątała się w poblize poligonu czebarkulskiego? Same z nimi kłopoty.

– A jest taka grupa?

– Żartujecie sobie?

Mamontow natychmiast zaczął sprawdzać informacje, przebierając cicho palcami po klawiaturze komputera. Szybko okazało się, że była niepotwierdzona wiadomość o oddziale rebeliantów kierującym się na północ, ale w natłoku innych zdarzeń nie uznano tego za istotne. Oj...

– To raczej plotka niż fakt.

– Na kogo w takim razie natknął się kapitan Frankow, przeczesując lasy w poszukiwaniu swojego rozproszonego oddziału, ja się pytam?

– Frankow mógł zabłądzić.

– I dlatego od siedemdziesięciu dwóch godzin nie ma z nim kontaktu. Wyszedł, *job twoju mać*, na spacer i się chłopak zamyślił.

– Zajmę się tym niezwłocznie. – Tylko w ten sposób dawało się rozbroić tę tykającą bombę. Izmajłow nie miał opinii szui, ale nie lubił, gdy się z nim pogrywało, a doprowadzony do wściekłości potrafił zaszkodzić. Lepiej mieć w nim przyjaciela niż wroga, nawet jak się jest wyższym oficerem wywiadu.

– Osobiście?

– Oczywiście, towarzyszu generale. Przy okazji pogonię kogo trzeba do galopu i zgłoszę się, jak będę już coś wiedział, mogę...

Izmajłowa nie interesowały dalsze usprawiedliwienia i po prostu odłożył słuchawkę, czym zirytował już i tak rozdrażnionego Mamontowa.

Konstantinowi na głowę spadł kolejny problem. Jak to się stało, że przeoczyli grupę, która przeniknęła tak daleko w głąb federacji, i czego ci desperaci szukali w

lasach południowego Uralu?

Wzrok podpułkownika zaczął błądzić po mapie, wędrując od miasta do miasta, po zakładach przemysłowych i instalacjach wojskowych. Trochę tego było, choć nie tak dużo jak w europejskiej części kraju.

Drgnął, usłyszawszy dzwonek telefonu, tym razem komórkowego. Jaka czekała go kolejna niespodzianka? Numer był służbowy i należał do kolegi Mamontowa. Odebrał ze strachem.

– Moskwa stoi? – Próba żartu wypadła blado.

– A stoi i pewnie jeszcze trochę postoi. – W bezbarwnym głosie człowieka po drugiej stronie nie słychać było cienia wesołości. – Na pewno chcesz wiedzieć, jak nam idzie w Nowoworoneżu.

– Oczywiście.

– Ścigamy niedobitki, tak się skurwysyny pochowały.

– Obiekt bezpieczny?

– Powiem krótko: na chwilę obecną nie ma zagrożenia. Zareagowaliśmy w porę. Nikt niepowołany nie wkroczył do dyspozytorni. Co prawda, walnęli erpegim w blok reaktora, ale go nie uszkodzili. Narobili trochę pomniejszych szkód.

– Naszym mocno się dostało?

– Pamiętasz Zajcewa? Był z nami na roku. Później przeniósł się do specnazu.

– Jasne. Co z nim?

– Przykro mi. Zginął.

Na Mamontowie nie zrobiło to wrażenia. Skoro Zajcew przeniósł się do oddziałów specjalnych, gdzie jak uważał, czekał na niego szybszy awans, to już jego sprawa. Wiedział, że będzie ryzykował własną głową. Był w Syrii, Donbasie, a zginął w drugiej co do wielkości elektrowni jądrowej w kraju. Kto by się spodziewał...

– Co z innymi?

– Nie znasz ich. Wkrótce opublikujemy pełną listę.

– To da górze do myślenia.

– Z pewnością. – Rozmówca Mamontowa roześmiał się głośno. – Do następnego. Odezwę się niebawem.

Z Konstantina zeszła odrobina ciśnienia. Szkoda Zajcewa, ale zadanie zostało wykonane. Wybiją tych błaznów co do jednego. Nie ma znaczenia, że bandyckie oddziały wyrastały jak grzyby po deszczu. Dajcie nam czas, a wyrwiemy chwasty tak, że więcej już się nie odrodzą. Pod Ufą oczyścili teren, teraz pora na ścierwa, które znalazły się pod Czelabińskiem. Nie mógł też stracić z oczu Nazara, bo to przez niego trafią po nitce do kłębka.

Podpułkownika czekał długi wieczór i jeszcze dłuższa noc, lecz taką wybrał służbę i nie będzie z tego powodu narzekał. Przynajmniej siedział w ciepłe, a nie zapierdalał w terenie. W razie potrzeby kimnie się na biurku. Najważniejsze to myśleć pozytywnie. To przecież nic nie kosztuje. ■

ROZDZIAŁ TRZECI

1

Samochód, jakim Mustafa miał dojechać do Magnitogorska, okazał się prastarym żyguli, niemniej układ kierowniczy działał, bak był pełny, a wycieraczki dostatecznie sprawne, by odprowadzić nadmiar wody z przedniej szyby, bowiem ponownie zaczęło padać.

Czubarow ostatni raz rozejrzał się po zarośniętym krzewami porzeczką i agrestu obejściu, skąd odebrał wóz. W oknach chaty pobłyskiwało mdłe światło, ale nikt z niej nie wyszedł. Pewnie tak miało być.

Wrzucił wsteczny, wycofując rzęcha na błotnistą drogę. Musiał przy tym uważać, żeby nie zakopać się po osie. Nikt go przecież nie wyciągnie. Jakoś sobie poradził i już po chwili jechał w stronę nieodległej szosy, mijając chylące się ku upadkowi domostwa. Nie zdziwiłby się, gdyby pozostało tu najwyżej trzydzieści procent mieszkańców. Reszta zmarła bądź wyjechała za chlebem. Prezydenta i jego klikę takie miejsca nie interesowały. Wkrótce zabraknie również tych, którzy dziś chowali się w swoich chałupach. Mustafa ich nie żałował. Na ich miejsce przyjdą inni. Południe kontynentu borykało się z wieloma problemami, nie tylko z demograficznym. Cóż, po tym chorym państwie zostanie niedługo tylko śmierdząca dziura, a natura nie znosi próżni. On, Mustafa Czubarow, i jego bojownicy ustanowią nowy kalifat, tym razem rozpościerający się od granicy z Chinami po Bosfor i od Oceanu Arktycznego po Morze Arabskie. I wszystko to stanie się jeszcze za jego życia.

Zwolnił przy wyjeździe z szutrówki na coś, co nazywano tu drogą krajową. Do Magnitogorska to w lewo. Reflektory rozjaśniały mrok najwyżej na dwadzieścia metrów przed nim, reszta nikła w ciemnościach zagęszczonych strugami deszczu.

Walcząc z niespodziewanym atakiem senności, wjechał na szosę, energicznie kręcąc kierownicą bez wspomaganie. Gazem za to operował umiarkowanie intensywnie. To nie były warunki, by popierdzielać, ile mocy w silniku. I widoczność słaba, i sama droga do kitu, wszędzie dziury, które ulewa zmieniała w jeziora i przepastne pułapki. Z przeciwka minął go wojskowy pędzący KamAZ

oraz BTR starego typu, w dodatku rozbryzg o mało nie splukał dychawicznego żyguli z jezdni. Czubarow zaklął, choć nie wypadało. Uspokoił nerwy i zmówił krótką modlitwę pod nosem. Wkrótce minął tablicę informacyjną, wedle której do Magnitogorska pozostało sto osiemdziesiąt kilometrów. Niedaleko, jakoś dojedzie. Byle tylko nie trafić na posterunki policji bądź wojska.

Niespodziewanie poważnym problemem okazał się też głód, który coraz bardziej doskwierał Mustafie. Solidnego posiłku nie jadł od paru dni, przeważnie przęłykał suchary i suszone owoce, czasami zagryzł czekoladą, popijając wszystko zimną wodą. Daleko tak nie zajedzie. Obiecał sobie, że w Magnitogorsku wejdzie do pierwszego czynnego baru i napcha kołdun ile wlezie.

Starął się wycyrklować tak, by na miejsce dojechać wczesnym rankiem. Będzie miał wtedy czas i na doprowadzenie się do porządku, i na posiłek. Jakoś przemęczy się te parę godzin, byle mógł teraz trochę odpocząć. Znalazł boczny dukt i wjechał pomiędzy strzeliste drzewa. Rozłożył siedzenie, lekko uchylił okno, a następnie spróbował wyciągnąć się na siedzisku. O wygodzie nie mogło być mowy, ale zasnął, zanim zdążył jakoś lepiej się umościć.

Spałby dłużej, może nawet do południa, lecz obudził go niespodziewany odgłos. Usiadł już całkiem rozbudzony.

Zarośnięta gęba tuż przy bocznej szybie uświadomiła Mustafie, że wpadł w kłopoty.

– O co...

– Wyłaź. Nic ci nie zrobimy.

Doprawdy? Tamtych było trzech, w tym jeden uzbrojony w myśliwską strzelbę. U pozostałych nie dostrzegł broni.

– Dobrze, porozmawiajmy.

Przejechał dłonią po głowie, kombinując intensywnie, jak wyjść cało z tej niemiłej przygody. Pójdzie na żywioł. Przecież nie wystraszy się trzech obrzępałów.

Wysiadł z samochodu i oparł się plecami o karoserię.

– Jeżeli mogę...

Nie dokończył. Dostał pięścią w szczękę i osunął się na ziemię, czując w ustach metaliczno-cierpki smak krwi.

– Dogadajmy się.

Odpowiedzią był kopniak wymierzony prosto w zębra. Zablokował go łokciem, ale siła uderzenia sparaliżowała Mustafie ramię.

Dłużej nie będą tak się bawić. Za pasek miał wsunięty pistolet, ale lepiej zrobi, używając noża.

Ostentacyjnie niezdarnie podnosił się z ziemi, przy czym kucając, obrócił się nieznacznie, żeby przyjrzeć się napastnikom. Pierwsza konkluzja była taka, że są zarośnięci podobnie jak on. Trochę śmierdzieli, a na widok ich ubrań brała żalność. Pewnie wybrali się na łowy i przez przypadek znaleźli Mustafę. W sumie niegroźni, zwykle szumowiny. Dostaną wycisk szybciej, niż się spodziewają.

– Ramzan, załatw tego gnoja raz a dobrze – dopingował bijącego kmiot kryjący się za jego plecami.

Strzelbę trzymał ten po lewej. Tyle szczegółów Mustafie wystarczyło. Ustalił kolejność. Nie pozostało nic innego jak przejść do działania.

– Macie jeszcze czas – powiedział, plując kropelkami krwi z poranionych ust.

– Na co?

– By uwierzyć w Allaha.

Chyba ich nie przekonał, bo się roześmiali. Z rękawa kurtki wyjął ostrze i jednym ruchem umieścił klingę w pachwinie kopiącego go człowieka. Facet zakwilił jak niemowlę, a oddech uwiązł mu w gardle.

Trwało to może sekundę. Wyszarpnął nóż, nie zawracając sobie głowy rannym, a właściwie żywym trupem. Przeniósł ciężar ciała na lewą nogę. Z trzech metrów nie mógł chybić. Rzucił i trafił w pierś przeciwnika, zanim do tego dotarło, co się święci. Ostatniego z napastników dopędził w paru krokach, podciął mu nogi, a później zadusił, zaciskając palce na jego tchawicy. Żadnych emocji. Był zimny niczym kamień nagrobny.

Dla pewności, ale i własnej uciechy, złamał mikrusowi kark, westchnął i wstał. Szkoda, że nie było z nim Paully'ego. Ten akt agresji na pewno przyjąłby ze zrozumieniem, a może i uznaniem. Cofnął się o parę kroków, przystając przed tym, którego chwilę wcześniej wytrzebił.

– I po co wam to było? – zadał retoryczne pytanie.

Człowiek przed nim konał, wijąc się z bólu. Jedną nogą był już po tamtej stronie.

– Jesteście muzułmanami?

Nieznaczny ruch głowy nie pozwalał na jednoznaczną interpretację odpowiedzi, ale Mustafa uznał, że tak.

– Ja też i nie przypominam sobie, żebym w Koranie czytał o napadaniu na podróżnych. – Mustafie zebrało się na kazanie. – A ty modlisz się tak, jak nakazał Prorok?

Odpowiedź w zasadzie go nie interesowała, ten facet już i tak się nie pomodli. Musiałby natychmiast trafić do szpitala, a kto go tam zawiezie? Na pewno nie Czubarow.

Tę czynność powtarzał ostatnio wielokrotnie – odchylił mężczyźnię głowę do tyłu i kosą otworzył aortę. Odsunął się od razu, by nie zostać zbryzganym krwią, a następnie przyjrzał się okolicy. W tym miejscu nie mógł ich zostawić, za blisko drogi. Ciało należało przenieść głębiej w las.

Zaczął od mikrusa. Z nim miał najmniej problemu. Zwłoki wcisnął pod pień zwalonego modrzewia. Wkrótce obok spoczęli jego koledzy. Naciął trochę gałęzi i przykrył nimi ciała. Nic więcej nie wymyśli. Na parę dni wystarczy. Co będzie dalej, zależało tylko od woli Allaha.

2

Magnitogorsk kojarzył się z jednym – wielką hutą stali, której budowa i uruchomienie w czasie planu pięcioletniego zostały uwiecznione w poezji i w pieśni. A tam gdzie huta, tam i syf. Nad miastem wisiał gęsty smog, od którego Mustafę wzbierało na wymioty.

Do miasta wjechał od północy, gdzie dominowała nowa zabudowa, o ile można tak powiedzieć o blokach wybudowanych pół wieku temu, w czasach breżniewa. Budynki w centrum to już czysty socrealizm. Cechą charakterystyczną było to, że miasto rozpościerało się na obu brzegach rzeki Ural, zatem wystarczyło wejść do tramwaju, przejechać przez most i znaleźć się w Azji. Większość przemysłu ulokowano właśnie po tamtej stronie, podczas gdy część europejska to głównie dzielnice mieszkaniowe.

Jadąc powoli główną aleją, wypatrywał miejsca, gdzie mógłby napchać żołądek. Ruch uliczny wydawał się mniejszy, niż to zapamiętał z poprzedniej wizyty. W tych niespokojnych czasach kto nie musiał wychodzić, zostawał w domu, trzymając się z dala od kłopotów.

Znalazł sklep, gdzie zaopatrzył się w parę akcesoriów. Nożyczkami od razu przystrzygł brodę. Może i zrobił to nieudolnie, ale nie rzucał się już tak w oczy. Chętnie skorzystałby też z łaźni, ale nie potrafił jej namierzyć. Jadłodajnię o nazwie Tri Rozy znalazł niedaleko placu o wdzięcznej nazwie Październikowy. Wybór dań był niewielki, a do pory obiadowej jeszcze daleko, ale wcale się tym nie zraził. Naleśniki smakują równie dobrze rano, co w południe. Zjadł ich sześć, aż poczuł się syty. Popił mocnym, gorzkim czajem i popadł w dziwne odrętwienie. Za żadną cholere nie chciało mu się ruszać dalej.

Chwilę trwało, nim zmusił się jednak do wysiłku, wyszedł na zewnątrz i przechodzącą w pobliżu kobiecinę zapytał, jak dotrzeć na ulicę Bakunina. Okazało się, że jest niedaleko, w sam raz na parominutowy spacer. Willi z ogrodem się nie spodziewał, ale zatęchłej rudery z wejściem pomazanym różnokolorowymi napisami też nie. Do tego dochodził odór kanalizacji, pleśni i Bóg jeden wie czego jeszcze. Klatka schodowa wyglądała tragicznie, podobnie jak drzwi wiodące do poszczególnych mieszkań. Wdrapał się jednak na trzecie piętro i znalazł numer lokalu kontaktowego.

Dzwonek oczywiście nie zadziałał. Zastukał więc, jedną ręką trzymając uchwyt pistoletu. Jeśli trafi na kocioł, załatwi tego, który otworzy mu drzwi, i spróbuje uciec. Należało być przygotowanym na każdą ewentualność.

Coś zachrobotać, drzwi odemknęły się i oczom Czubarowa ukazała się postać siwowłosego starca ubranego, wbrew przewidywaniom, całkiem schludnie. Tego wrażenia nie psuły nawet plamy na ciemnych spodniach i swetrze.

– W jakiej sprawie?

Dobre wrażenie prysło, gdy poczuł z ust mężczyzny alkohol.

– Mam odebrać przesyłkę. – Mustafa omiół wzrokiem korytarz. Na razie nie dostrzegał zagrożenia. – Z petersburga.

– A nie z Moskwy? – Starzec wyrecytował drugą część hasła.

– Na pewno z petersburga. Przyjaciel mnie prosił – dokończył Czubarow. – Jeszcze dziś wracam do domu.

Został przepuszczony i znalazł się w środku. Obszedł lokal z dwoma pokojami, malutką kuchnią i jeszcze mniejszą toaletą, dywanami na podłogach i landszaftami na ścianach.

– Jak się ma nasz przyjaciel? – zapytał.

– Nudzi się.

Larysowa znalazł w kuchni. Oceniał, że ciemnowłosego chłopaka o gładkich policzkach i rozbieganych oczach ma najwyżej dwadzieścia pięć lat. Na dżihad nadawał się tak jak Mustafa do pracy w kwiaciarni.

– Zbieraj się – wydał krótkie polecenie. – Jedziemy. Rzeczy masz spakowane?

– Wystarczy mi pięć minut.

Mustafa znalazł taboret i przysiadł na nim ciężko.

– To nad czym się jeszcze zastanawiasz?

Chłopak znikł w jednym z pokoiów.

– Były z nim kłopoty? – spytał Czubarow szeptem, tak by haker go nie usłyszał.

– Jest dość nerwowy – powiedział starzec. – Zupełnie jak mój najstarszy wnuk.

– Co masz na myśli?

– Bezczyność mu nie służy. Dla niego to tortura. Siedział tu całe cztery dni.

– I co robił?

– Nic. Grał na komputerze. Od rana do wieczora i przez większą część nocy.

Fakt, że sprzęt ma pierwsza klasa. Na bazarze sporo za niego dadzą.

Czubarow uniósł palec wskazujący prawej ręki w ostrzegawczym geście.

– Powiedziałeś o nim komuś?

– Nie. Po co miałbym to robić? – Właściciel mieszkania uciekł spojrzeniem w bok.

– Instrukcje nie były dość wyraźne? – Tatar się zjeżył, wyczuwając kłamstwo.

– Przysięgam, że dochowałem tajemnicy.

Mustafa schylił się i sięgnął do dolnych drzwiczek wiekowego kredensu. W schowku znalazł trzy butelki alkoholu bez etykiet, w tym jedną opróżnioną w trzech czwartych. Wyjął korek i powąchał zawartość. Zaleciało podłym bimbrem.

– Na cholerę ci to potrzebne?

- To nie moje.
- A kogo?
- Mam znajomych.

Czubarow zazgrzytał zębami. Sam musi podjąć decyzję. Że też muszą z nimi współpracować tacy niekompetentni durnie...

3

Nazar jednym ruchem łowił rozmowę dobiegającą z kuchni. W zasadzie był przygotowany do wyjazdu. Bez żalu opuści tę norę. Pozostawała tylko jedna rzecz do zrobienia. Jeden z komunikatorów na jego laptopie został przygotowany do tajnej łączności. Jak do tej pory nikt nie przejrzał programów, którymi się posługiwał, co – biorąc pod uwagę jego zajęcie – wydawało się dziwne. Czyżby ci wszyscy groźni terroryści nie wiedzieli, jak się tym posługiwać? Z drugiej strony, został poproszony o pomoc w dżihadzie właśnie dlatego, że się na tym znał lepiej od nich.

Nie wiedział, dokąd trafi, ale sam widok mężczyzny, który po niego przyszedł, przerażał. Ten facet miał śmierć w oczach. Na pewno zabił już niejednego człowieka. Co w takim razie zrobi z nim, gdy się dowie, że Nazar pracuje dla wroga?

Niewesołe myśli na razie odsunął na bok. Napisał wiadomość do centrali w moskwie i zaczął pakować sprzęt. Tymczasem z kuchni zaczęła do niego dochodzić coraz głośniejsza rozmowa.

4

- Nie lubię się powtarzać. Pytanie było proste i oczekuję prostej odpowiedzi.
- Poświęciłem się dla sprawy...

Starzec nie dokończył, bo pięść Mustafy trafiła go w podbródek, ogłuszyła i posłała na podłogę.

- Te brednie zachowaj dla innych.
- Kiedy...

Chyba trzasnął go nie dość mocno. Mógł poprawić, ale wybrał inne rozwiązanie. Znalazł kuchenny nóż i lepiącą się od brudu deskę do krojenia chleba.

- Nazar, możesz tu przyjść?

Chłopak pojawił się niemal natychmiast.

– Przytrzymasz go.

– Za co?

– Za rękę, debilu.

Larysow nie wyglądał na krzepkiego, z początku też nie potrafił pojąć, o co Mustafie chodzi. Dopiero widok deski i noża sprawił, że w jego oczach błysnęła iskierka zrozumienia. Zaraz się okaże, jak ten bystrzak reaguje na krew.

– Co wy robicie?

– Będiesz mówił? – Pięść Czubarowa wzniosła się i zawisła tuż nad głową starca.

– Tylko raz, kumplowi. Mieszka niedaleko. Razem chodzimy na ryby.

– Tak nazywasz chłanie od rana do wieczora?

Urznięcie palucha tęnym narzędziem nie było wcale takie proste, jak by się mogło wydawać. Trochę się nad tym natrudził, bo co prawda krew od razu popłynęła szeroką strugą, lecz kość pękła dopiero po kolejnym mocniejszym nacisku.

Dziadyga zabalgotał zdumiony widokiem. Jego przerywany szloch urwał się, gdy zaliczył kolejny cios w zęby, tak że tym razem spadł z krzesła.

– Otóż nie wierzę ci – oświadczył Tatar pochylony nad skurczonym ciałem. – Jesteś kłamcą. Od początku do końca. Przystałeś do nas, by kablować do fsb.

– Nieprawda.

– Opowiadasz mi bzdury, kiedy ja chcę usłyszeć konkrety. Wyobraź sobie, że nie skończę, dopóki nie usłyszę całej prawdy.

– Piliśmy we trzech i może coś powiedziałem.

Trzech? No coraz lepiej. Jednego to jeszcze namierzy i skręci mu kark, ale jak tak dalej pójdzie, okaże się, że ma do likwidacji wszystkich znajomych i znajomych znajomych tego przygłupa.

Spojrzał na Larysowa wybałuszającego na niego swoje wielkie i czarne jak węgiel oczy.

– Co się gapisz? Zbieraj kłamoty. Musimy już iść.

Cieniak. Za kopiejkę w nim psychicznej odporności. Jeszcze się nie napatrzył na przemoc i trupy. To się szybko zmieni. Za parę dni stanie się ekspertem.

– Musisz go zabić.

– Ja? – Nazar odskoczył, czym rozbawił Czubarowa.

– To nic takiego. Zrobisz to w imię Allaha. Jeden cios i po sprawie. –
Rozmawiali tak, jakby starzec ich nie słyszał.

– Nie po to przystąpiłem do dżihadu.

– Przepraszam, ale jak to sobie wyobrażałeś? Że nie pobrudzisz sobie rączek?

Czubek ostrza tego samego kuchennego noża przebił skórę na szyi i przeszedł przez gardło z boku. Było z tym znacznie mniej problemu niż z głupim paluchem. Jeszcze parę uderzeń serca i będzie po wszystkim.

– No. Widzisz, jakie to proste? – Nie było sensu dłużej się nad tym rozwodzić. Jeden obrazek znaczy więcej niż tysiąc słów.

Larysow zaczął się trząść. To musiał być pierwszy trup w jego życiu. Co się porobiło z tymi ludźmi...

– Jedziemy. Szkoda naszego czasu.

Od rana zlikwidował cztery osoby w imię wyższej konieczności. Najwyższy to widział i na pewno będzie łaskawy, szeroko otwierając przed nim bramy raj.

5

Stwierdzenie, że Rosja jest ogromnym państwem, to banał nad banały. Jedenaście stref czasowych, siedemnaście milionów kilometrów kwadratowych powierzchni – od lodowych pustkowi Oceanu Arktycznego po nadkaspjskie stepy i tajgę nad Amurem. Jej ziemia kryje nieprawdopodobne bogactwa – od rzadkich minerałów po ropę naftową i gaz w nieprawdopodobnych ilościach. Mogła zostać spichlerzem świata, dostawcą surowców i zaawansowanej techniki dla całego globu, hiper-Chinami, funkcjonować godnie i bezpiecznie... A oni to wszystko zaprzepaścili. Co gorsza, ich potomków czekał los niewolników.

Aleksander Golicyn nie przyglądał się prezydentowi federacji rosyjskiej Władimirowi Władimirowiczowi Orłowowi, lecz mapie zdobiącej jedną ze ścian wielkiego gabinetu. W tym czasie nowy minister obrony Lew Andriejewicz Sacharow referował najnowsze wydarzenia i prawdę mówiąc, nie napawały one optymizmem.

– Do tej pory straty wśród naszego personelu wojskowego wyniosły dwa i pół tysiąca zabitych, sześć tysięcy rannych i przeszło tysiąc zaginionych.

– Aż tylu? Zaginionych? – Brwi prezydenta przesunęły się w górę.

– Brak ciał nie pozwala nam jednoznacznie stwierdzić, co się z nimi stało.

Ministrowi zabrakło odwagi, by powiedzieć prawdę. Takich obiekcji nie miał Nikołaj Pierunow, człowiek zawiadujący Ministerstwem Spraw Wewnętrznych.

– Proszę powiedzieć, że zdezerterowali. Tak będzie prościej i uczciwiej.

Twarz Sacharowa spochmurniała. To nie była jego wina. Stanowisko szefa resortu obrony spadło na niego niespodziewanie i wciąż nie czuł się pewnie w nowej dla siebie roli.

– To prawda? – zapytał Orłow.

– Są takie przypuszczenia – odparł Sacharow. Wydawało się, że chce wstać i wyjść. – Wciąż badamy tę sprawę.

– I co zrobicie z dezerterami?

– Rozstrzelamy.

– A wystarczy wam do tego odwagi? – zakpił Pierunow.

– Strata w sumie jest niewielka. – Golicyn pospieszył w sukurs koledze. – Skoro nie chcieli walczyć, to ich ubytek z szeregów nie ma znaczenia. A że trzeba ich przykładowo ukarać, to już inna sprawa. Sądzę jednak, że problem będzie się nasilał i już teraz musimy podjąć odpowiednie kroki, by mu przeciwdziałać.

– Z armią zawsze są problemy – skwitował Pierunow półgębkiem.

– Proponujecie ją rozstrzelać i zastąpić rosgwardią?

– Rosgwardia jest lojalna – wycedził Pierunow.

– Nikt tego nie podważa. Bez naszych dzielnych gwardzistów w ogóle nie dalibyśmy rady.

Ukłucie okazało się celne. Dopiero co w Togliatti, przemysłowym mieście nad Wołgą w obwodzie samarskim, oddziały podlegające MSW okazały się bezradne wobec zamieszek, podczas których rabowano sklepy i podpalano samochody. Przyczyną rozruchów był głód, który powoli rozcapierał kościste paluchy ponad federacją. Produkty takie jak zboże czy mięso dawało się jeszcze kupić na wolnym rynku, gdzie nie brakowało producentów, problem w tym, że rezerwy finansowe

państwa pochłaniała kolejna wojna. Na jej prowadzenie wydawano kolosalne kwoty. Rządzący zdawali sobie sprawę, że nikt im nie pomoże.

Kraje muzułmańskie się na nich wypięły, a nieoficjalnie szkodziły, jak mogły. Chiny same chętnie ogołociłyby ich z ostatniego worka pszenicy. Całe szczęście, że Europa, pogrążona w kolejnym kryzysie, koncentrowała się na własnym przetrwaniu, zamiast na podgryzaniu rosyj, a przede wszystkim zaś USA nie mogło im dokopać, obezwładnione własnymi problemami. Pomijając już pandemię, która spustoszyła Stany Zjednoczone, to szeroko rozumiana lewica i prawica skoczyły sobie do gardeł. Starcia trwały w całym kraju i choć na tym etapie trudno było powiedzieć, jaka opcja weźmie w końcu górę, to ważne, że wojna domowa dopełni dzieła zniszczenia i Ameryka nieprędko wróci do gry. Jeśli w ogóle będzie dla niej jeszcze miejsce.

W aktualnej sytuacji należało poradzić sobie samemu, tylko nie do końca wiadomo, w jaki sposób to zrobić. Generalnie otaczały ich państwa wrogie bądź takie, z których nic nie dawało się wycisnąć. Ot, choćby Mongolia.

– Jeżeli chodzi o Togliatti, to zawinił brak jednoznacznych rozkazów. – Pierunow usiłował się bronić.

– Proszę nas oświecić w tej materii.

– Tłum należało rozproszyć siłowo.

– Czyli strzelając do naszych obywateli? – zapytał z głupia frant Golicyn. – O to chodzi? Mamy zabijać ludzi niemających co włożyć do garnka? Gotujących liście i korę? To nasza strategia? Daleko na tym nie zajedziemy. Macie inny pomysł na państwo niż wszystkich po kolei rozstrzelać?

– Ciekawe, co usłyszymy z ust ministra Golicyna, gdy w Petersburgu i w Moskwie wybuchną buntów głodowych na wielką skalę? Jak na razie sytuacja aprowizacyjna nie jest jeszcze zła, ale to się szybko może zmienić.

Aleksandrowi przypomniały się słowa pewnego polskiego komunisty o tym, że władzy raz zdobytej nie oddamy nigdy. Pierunow najwyraźniej też był tego zdania, co gorsza, wystarczyło przyjrzeć się minom zasiadających przy stole dygnitarzy – większość myślała podobnie jak minister spraw wewnętrznych. Minister obrony chyba też. Nie po to człowiek całe życie wdrapuje się po szczeblach kariery, by na

koniec odejść w pokorze. To nie w ich stylu. Bizantyjscy cesarze zwyciężali, ewentualnie ginęli na posterunku, a oni uważali się za ich spadkobierców.

– Wprowadzimy bony żywnościowe na odpowiednio niskim poziomie. Dla biedoty wystarczy, bogatsi sobie poradzą – zaproponował minister transportu, jeden z gołębi i raczej sprzymierzeniec Golicyna. Minister rolnictwa tylko kiwnął głową.

– To może nie wystarczyć.

– Bądźmy twardzi. Zróbmy jak towarzysz stalin: wyślijmy na wieś grupy do rekwizycji zboża i bydła. Na jakiś czas wystarczy – dalsze propozycje specja od kolei i dróg były już bardziej zdecydowane. Chyba wyczuł, skąd wieje wiatr.

– Takich słów oczekiwałem. – Orłow nie miał w sobie nic z putina ani lenina, ale niekiedy potrafił zaskoczyć. – Jak to wygląda od zaplecza?

Resort rolnictwa to domena Igora Popowa. Dziś ten absolwent Moskiewskiego Uniwersytetu Państwowego imienia M.W. Łomonosowa najwyraźniej nie był w formie. Najpierw długo zwlekał z odpowiedzią, a gdy już się na nią zdobył, mówił cicho i powoli.

– Prognozy nie są dobre. Pogłowie bydła spadło o piętnaście procent w stosunku do roku ubiegłego.

Golicyn musiał się mocno wysilić, by cokolwiek usłyszeć.

– Więcej, bo o około siedemnaście procent mniej notujemy pozostałych zwierząt hodowlanych. Drób to już zupełna tragedia. Plony zbóż w poszczególnych kategoriach też będą... hmm... mniejsze.

– Dlaczego tak się dzieje?

– Sądzimy, że ma to związek z odpływem ludzi do miast, zwłaszcza na południu kraju. Chłopi się boją. Zostawiają wszystko i wyjeżdżają do rodzin w dużych ośrodkach miejskich, w nadziei, że tam jest bezpieczniej. Ci, którzy zostają, gromadzą żywność i organizują samoobronę. Niekiedy wynajmują ochronę. – Nie musiał dodawać, że bandytyzm ma się doskonale.

– Możemy temu przeciwdziałać?

Rosja – niegdyś potęga, dziś to kolos na glinianych nogach, i to skruszałych. Każdy z nich zdawał sobie z tego sprawę.

– Wysyłając wojsko? I czego będą pilnować, pustych stodół i obór? Na odtworzenie zasobów potrzebujemy dwóch – trzech lat.

– Czyli...

– Czyli że nawet wygrawszy wojnę, będziemy głodowali.

– Nasz naród jest twardy. Wiele razy to przerabialiśmy. – Pierunow patrzył na Popowa z nieskrywaną pogardą. – Otworzymy kolektywne gospodarstwa.

– Czyli kołchozy i sowchozy...

– Możemy je nazwać kibucami, jeżeli taka wasza wola – prychnął szef MSW. – Odtworzymy bazę, a na jej podstawie odbudujemy samowystarczalność.

– To wprowadzenie kołchozów doprowadziło swego czasu do największego głodu w historii – przypomniał minister rolnictwa.

Golicyn nie sądził, by Pierunow był idiotą, bo na takiego nie wyglądał. On świadomie szedł w populizm, co prowadziło Aleksandra do jednego wniosku – ten facet koniecznie chce zostać nowym prezydentem. Demagog, szef jednego z najważniejszych resortów i człowiek bez skrupułów. Niebezpieczna mieszanka. Czy Orłow tego nie widzi?

– Proszę nam powiedzieć, co się stanie, jak nie podejmiemy odpowiednich działań? – Prezydentowi pomysły żywcem przeniesione z minionych dekad najwyraźniej również nie przypadły do gustu.

Od opinii, które zaraz padną, będzie zależała ich przyszłość. Co do tego Orłow nie miał złudzeń.

– Czy się to komuś podoba, czy nie, jest tylko jedna odpowiedź – zaczął Popow powoli. – Głód. Należy to powiedzieć wprost. Niedobory dotkną całej branży spożywczej i wszystkich jej gałęzi, a nie tylko zboża i mięsa. Wiem, że cyferki niektórych nudzą, ale podam konkretne dane, tylko dla przykładu. Moi eksperci obliczyli, że produkcja przetworów mlecznych spadnie o trzydzieści procent, może nawet o trzydzieści pięć. To samo z warzywami i owocami – co najmniej trzydzieści procent. Zresztą, jak tak dalej pójdzie, to na polach i w sadach i tak nie będzie miał kto pracować. Dalej... przetwórstwo ryb, tu też notujemy poważne spadki.

Nikt z nich nie wiedział, że jest aż tak źle. Groziła im katastrofa na całej linii.

– Co z interwencyjnym zakupem żywności?

– Problem w tym, że ceny znacząco poszybowały w górę. Choćby cena ryżu jest dziś o jedną czwartą wyższa niż przed rokiem. Kukurydza i soja, czyli pasze –

dwadzieścia procent. Najwięksi producenci zaczęli się cenić, a nasze rezerwy finansowe są na wyczerpaniu.

Kłaniały się wieloletnie zaniedbania i spychanie rolnictwa na margines. Wszystko się kupi za ropę i gaz, co tam... Co prawda, zebranych tu problem głodu bezpośrednio nie dotyczył, w końcu rząd się zawsze wyżywi – jak powiedział pewien klasyk, Golicyn nie pamiętał już który – ale jak ta najedzona władza nakarmi milionowe masy, które już teraz przymierały głodem?

– Czy zwiększając eksport surowców, jesteśmy w stanie zrównoważyć budżet?

Kolejnym zagadniętym był człowiek odpowiedzialny za gospodarkę. Jego pucułowata twarz w drucianych okularach zdawała się emanować spokojem. Golicyn jednak wiedział, że to tylko pozory.

– Nie sędzę. Nasz system przesyłowy jest mocno nadwyrężony, a potencjalne nadwyżki w stosunku do wydobycia są konsumowane przez armię i siły bezpieczeństwa. Poza tym należy utrzymywać stały zapas rezerw. Nie wiemy, co wydarzy się w najbliższych tygodniach czy miesiącach. Synoptycy już teraz sugerują nadejście srogiej zimy. W pierwszej kolejności...

– Nas interesuje stan obecny, a nie prognozy na styczeń czy luty – złośliwie wtrącił Pierunow. – Nasi europejscy kontrahenci z pocałowaniem ręki wezmą, co im zaproponujemy.

– No... niekoniecznie. Europa w wyniku ostatnich zawirowań mocno postawiła na energetykę jądrową oraz odnawialne źródła energii, a w produkty ropopochodne zaopatrują się w Stanach, które sprzedają je za pół ceny, byle mieć dopływ gotówki na wojnę. To wszystko sprawia, że eksport naszej ropy nie stanowi już tak dobrego źródła dewiz jak kiedyś. No i nasze koszty rosną. Złóża są daleko i w znacznej mierze wyeksploatowane. System przesyłu zasadniczo przez lata nie był konserwowany, co generuje spore ubytki. Dobre złóża są na północy, lecz najpierw musimy się do nich dostać, potrzebujemy technologii, pieniędzy i czasu – a nie mamy żadnej z tych rzeczy.

Zapadło kłopotliwe milczenie. Wiedzieli, że znaleźli się na skraju przepaści, tylko nie wiedzieli, jak zawrócić. Ostatni kryzys nie był ich winą, a od kiedy USA przestały pełnić rolę światowego żandarma, uwaga muzułmanów ponownie skupiła się na nich.

Co więcej, mimo trwającej wojny Golicyn nie był przekonany, że Ankarze na niej zależy. Jaki miałyby to sens? Odbudowa Imperium Osmańskiego to brednie dla maluczkich. Dogadywali się na wielu płaszczyznach, a tam, gdzie zgrzytało, potrafili znaleźć sensowne rozwiązanie. To było pragmatyczne państwo. Gdy nagle zabrakło putina, ich wzajemne relacje zrobiły się oschłe, choć nie unosił się nad nimi cień Stanów. Świat stał się niebywale niebezpieczny, a dbałość o własne interesy wymagała całkowitego zredefiniowania.

– Obawiam się, że pomysły moich szanownych kolegów, mimo że płyną z głębi serca, przesuną grożącą nam katastrofę najwyżej o rok – powiedział Golicyn, obserwując milczące gremium. – Możemy rekwirować zboże, nie zapobiegnie to jednak najgorszemu, skoro jest go za mało. Musimy spojrzeć prawdzie w oczy i odpowiedzieć sobie szczerze na najważniejsze pytanie. Nasza armia powoli się wykrusza, to nie jest zarzut w stosunku do kogokolwiek. Wszyscy znamy już dane o stratach, na razie relatywnie niewielkich, ale jak odbierze je społeczeństwo? Pamiętam wojnę w Afganistanie. Jak się skończyła?

– Tym, że nieboszczka partia komunistyczna odeszła w zaświaty – niewesoło zauważył Popow.

– Właśnie. Była *glasnost* i *pierestrojka*. Wszystkim wydawało się, że idzie ku lepszemu, i nagle wszystko się zawaliło. Obecnie prowadzimy działania wojenne o niewielkim natężeniu, poza pierwszym okresem i bitwą o Krym. Dziś nękają nas uzbrojone bandy islamskich fanatyków wyposażonych w maczety i Kałasznikowy, a nie wymyślne systemy uzbrojenia. Likwidując je, tracimy ludzi, jednego po drugim, i nie ma znaczenia, czy są to żołnierze, policjanci, czy gwardziści. Wszyscy służą ofiarnie. Tylko pomyślcie, co się stanie, gdy wśród nich pojawią się antywojenni agitatorzy.

– A są tacy? – zdziwił się prezydent. – Nikt mnie o tym nie informował.

– Sądzę, że dezercerzy musieli ulec czyimś namowom. Nieważne, czy był to kontakt osobisty, czy internetowy. Uciekli, a takie przypadki będą się powtarzały. Do tej pory szczyciliśmy się tym, że nasza przewaga nad wrogiem jest miażdżąca. Ale to odnosiło się do państw. Stało się jednak coś niebywałego: tym razem naszym wrogiem nie jest państwo czy nawet sojusz wrogich nam mocarstw, a cały świat muzułmański. Wszystkich ich nie zabijemy, tym bardziej, że miliony z nich

żyją z nami w jednym kraju. Im ostrzej będziemy z nimi walczyć, tym więcej będziemy mieli ich przeciw sobie. Musimy, powtarzam, musimy się z nimi ułożyć, inaczej nas zaleją.

Golicyn zerknął na zaciskającego zęby Pierunowa.

– Proszę nam powiedzieć, ile było do tej pory cywilnych ofiar konfliktu? Ile wiosek zostało spalonych, ile szpitali unicestwiono, ile osób opuściło miejsce swojego zamieszkania? To jest najważniejsze. A nie zestrzelenie nawet stu tureckich samolotów.

Minister spraw wewnętrznych odchylił się na fotelu. Wydawało się, że pytanie Golicyna jest dla niego obraźliwe.

– Czekamy. – Orłowa ten problem również zainteresował.

Prezydent chrząknął raz i drugi i ponaglającym gestem dał znać ministrowi, by ten w końcu udzielił odpowiedzi.

– To same szacunki. Liczby zmieniają się każdego dnia. Niemal każdej godziny...

– Zatem... – W Orłowie zaczęła narastać złość.

– Około dwudziestu tysięcy zabitych i zaginionych cywili głównie z obwodów riazańskiego, astrachańskiego, wołogodzkiego i orłowskiego oraz, oczywiście, Krymu. Do tego należy doliczyć przeszło dziesięć milionów uchodźców z terenów objętych walkami.

– Dziesięć milionów?

Liczba wydawała się nieprawdopodobna.

– Tak nam się wydaje.

Teraz liczby przytoczone przez Popowa nabrały sensu. Niestety dotknęło głównie południa kraju, ale napady zdarzały się też na północy i w okolicach samej Moskwy. Każdy muzułmanin był podejrzany. To zresztą poróżniło ich z przywódcą Czeczenii, który obwarowany w swojej górskiej republice przyglądał się wydarzeniom i co jakiś czas słał im dobre rady w stylu „przyjmijcie Allaha” i „prawda was wyzwoli”. Dureń nie wiedział, że jest pierwszy do odstrzału. Nie wisi już nad nim parasol ochronny, jaki dawał mu Putin, a jego stronnicy powoli znikali w wirze historii. Kto w tych czasach chciałby się afiszować z takim bandytą jak on? Większość rodów miała z nim na pieńku.

– Zdefiniowaliśmy już problem. Teraz musimy znaleźć sposób, by go rozwiązać. – Golicyn kuł żelazo, póki gorące.

– Na przykład jaki?

– Dialog. Musimy na nowo ułożyć się z Ankarą – powiedział bez wahania. – Wysłałem pierwsze zapytania. Zdaje się, że Turcy są zainteresowani. Teraz należy dopracować szczegóły. To zajmie dzień lub dwa, jeżeli oczywiście uzyskam zgodę.

– Co proponujecie?

– Głosowanie.

Stąpał po cienkim lodzie. Może się grubo przeliczyć, ale należało podjąć radykalne działania, inaczej straty będą jeszcze większe.

– Jeżeli mogę... – wtrącił się minister obrony.

Porozumiewawcze spojrzenie pomiędzy Pierunowem a Sacharowem zaniepokoiło Golicyna.

– Zgadzam się z naszym kolegą, ale same działania dyplomatyczne tu nie pomogą. Najlepiej zrobimy, łącząc je ze środkami militarnymi.

– Mianowicie?

– W ciągu paru dni skoncentrujemy siły do ofensywy.

– Stać nas na to?

– Pracujemy nad tym od pewnego czasu – zapewnił Sacharow. – Koncentracja wojsk tureckich na wybranych odcinkach bardzo nas niepokoi, a my nie możemy czekać, aż wykonają następny ruch. Walki na Krymie sporo nas kosztowały. Nie dalej jak dziś rano odebrałem meldunek o przejściu kolejnych tureckich okrętów przez Bosfor. Sądzymy, że ponownie zaatakują Krym, ale tym razem bardziej zdecydowanie, jeżeli mogę tak powiedzieć. Możliwe, że uderzą z dwóch kierunków jednocześnie. Właśnie na Krym i na przesmyk pomiędzy Kaukazem a Morzem Kaspijskim.

– Nie sądziłem, że kiedykolwiek pójdą na takie ryzyko.

– To już nie jest Turcja, jaką znaliśmy. Ich pewność siebie po wojnie z Grecją znacznie wzrosła. Są już nie tylko importerem, ale i eksporterem wielu nowoczesnych środków walki, a przywódcom udało się rozniecić w narodzie ogień fanatyzmu. Bardzo trudno z nimi walczyć. Nie ustępują, biją się do końca. Oni naprawdę sądzą, że wygrają, a każda kolejna ofiara tylko przybliża ich do celu.

– Dobrze. – Orłow podjął decyzję. – Sądzę, że nasze działania powinny pójść dwutorowo.

– Czyli wojna i pokój.

– Dokładnie tak. Minister Golicyn przygotowuje grunt pod przyszłe rokowania. Gdzie miałyby się toczyć?

– Prawdopodobnie w Nur-Sułtanie w Kazachstanie. Za dwa dni chciałbym się spotkać z ich prezydentem i przedstawić nasz punkt widzenia.

Może i dobrze, że nie doszło do głosowania. Sądząc po obecnym układzie, siły obu frakcji układały się niemal po równo. Zagrał *va banque* i prawie dopiął swego. Rozumiał też Sacharowa, Pierunowa i ich popleczników. Pokój należało zawrzeć na własnych warunkach. Trzeba tym barbarzyńcom wybić z głowy pomysł okupowania najmniejszego nawet skrawka rosj. Niech wiedzą, że siłą niczego na niej nie wymuszą.

Inna sprawa, że armia często grzeszyła nadmierną pewnością siebie. Proponowana przez nich operacja niekoniecznie musi zakończyć się sukcesem. Tym bardziej należało przygotować grunt pod rozmowy pokojowe. Druga wojna krymska, jak powoli zaczynano nazywać trwający konflikt, może mieć katastrofalne skutki dla federacji. Im szybciej zabierze się do minimalizowania strat, tym lepiej dla wszystkich. ■

ROZDZIAŁ CZWARTY

1

Świtało.

Mimo chmur przysłaniających niebo słoneczne promienie przebijały się ponad horyzontem, padając na białą, śnieżną czapę góry, która rozblęśla na różowo. To było miejsce, do którego zdążali. Nie interesowała ich góra jako taka, a to, co się znajdowało pod nią.

Na terenie federacji rosyjskiej nie brakowało tajnych miejsc, zamkniętych miast i ośrodków badawczych, o istnieniu których nie wiedział przeciętny obywatel. Jamantau to najważniejszy z nich. Od dawna na jego temat krążyły legendy. Oficjalnie nie istniał. Czubarow, gdy dowiedział się, dokąd zdążają, uznał to za żart. Dość szybko zmienił jednak zdanie. Paully i Reitz wiedzieli więcej, niż chcieli powiedzieć. Dopiero po długich namowach zdradzili kilka szczegółów. Ich informacje, nawet jeżeli nie do końca precyzyjne, okazały się na tyle interesujące, że wyprawa nabrała sensu. Sami by tu nie dotarli. Pomógł turecki wywiad, od dawna przyglądający się rosyjskim pracom na południowym Uralu.

Półgębkiem mówiło się, że Jamantau to wielki magazyn żywności oraz zapasowy ośrodek dowodzenia, z którego można prowadzić działania zbrojne podczas wojny atomowej, podobny do amerykańskiej bazy NORAD wykutej w górze Cheyenne w Kolorado, takie samowystarczalne podziemne miasto dające schronienie najwyższym dygnitarzom, gdy Moskwa zostanie zrównana z ziemią.

Wszelkie dywagacje na ten temat natychmiast ucinano, ale coś było na rzeczy. Świadczyły o tym instalacje energetyczne, jakie rozbudowano w okolicy. W innym przypadku ich wybudowanie nie miało racjonalnych podstaw. Znajdujące się w pobliżu miasto Mieźgorje oraz osada Tałty, oba mające status zamkniętych, posiadały własne elektrownie. Powodów takiego wyróżnienia nie podano. Już to samo czyniło okolicę niezmiernie interesującą. Rejon zabezpieczały silne oddziały Gwardii Narodowej rozlokowane tak, by w ciągu paru minut dotrzeć pod samą górę. Natomiast masyw wciąż stanowił zagadkę. Wbrew temu, co twierdzili miejscowi, nie mieściły się tam wrota do piekła, czy też jak chcieli inni, przejście

do innego wymiaru, tylko laboratoria. Wiedzieli o tym od jednej z osób, które wcześniej tam przebywały. Podobno cel znajdował się na wyciągnięcie ręki. Opanowanie kompleksu może zmienić losy wojny. Nikt nigdy ich stamtąd nie wykurzy.

Wydawało się, że ludzi do tego zadania mają dość. Niedługo podzielą się na oddziały. W terenie nie byli sami. Silna grupa partyzantów pod Ufą na tyle skutecznie skupiła uwagę na swoich działaniach, że Rosjanie przerzucili w tamten rejon dodatkowe oddziały z okolic Jamantau, co czyniło zadanie znacznie łatwiejszym. Federalni posiadali też sprzęt, jakiego brakowało rebeliantom – kołowe transportery BTR-80 i BTR-82A, samochody opancerzone Tigr i śmigłowce Mi-8. Pewnym zaskoczeniem okazało się zainstalowanie w pobliżu wyrzutni przeciwlotniczych systemu S-400 Triumf. Czyżby Rosjanie bali się ataku tureckich F-16 lub rakiet manewrujących? Niczego nie można wykluczyć. Obecność S-400 tylko potwierdzała wcześniejsze przypuszczenia – ośrodek to coś więcej niż magazyn.

Czubarow ze swojego miejsca pod drzewem obserwował Larysowa, którego postawa wyrażała się w jednym zdaniu: „Co ja tu, kurwa, robię?”.

Chłopak stanowił ich atut. Taki bystrzak na pewno poradzi sobie z zabezpieczeniami. Na wszelki wypadek Mustafa nie odstępował go na krok. Reitz urwałby mu łeb, gdyby Nazarowi coś się stało. Owszem, szli z nimi informatycy tacy jak Ahmed Sabri, doktorant Uniwersytetu Kairskiego, ale podobno nie mógł równać się z Larysowem, w dodatku problemem był język – Sabri posługiwał się arabskim i angielskim, natomiast po rosyjsku nauczył się zaledwie paru słów. Na razie jakoś dawał sobie radę. Przeszedł krótkie szkolenie z obsługi broni, a jego ekwipunek ograniczono do niezbędnego minimum. Ahmedowi, choć pełnemu zapału i poświęcenia, nie sposób było powierzyć do wykonania samodzielnie najprostszego zadania. Brak znajomości rosyjskiego znacznie go ograniczał. Musieli działać w zespołach, gdzie przynajmniej jedna osoba znała arabski i rosyjski. Na razie nie była to wielka uciążliwość, bo i tak dotychczas poruszali się grupą.

Jeden z żołnierzy kichnął, drugi rzucił krótką uwagę i wkrótce gęstwina rozbrzmiała echem zduszonych rozmów.

– Zamknąć jadaczki – warknięcie Czubarowa sprawiło, że momentalnie zapadła cisza.

Gadulstwo to problem. Wystarczyła chwila nieuwagi i już rozpoczynały się pogawędki.

– Nie wiem jak ty, ale ja czuję się kurewsko podniecony – rozległ się głos Paully’go.

Metaczułowiek wylazł nie wiadomo skąd i tak cicho, że serce przestało Mustafie bić na parę sekund. Takie słowa nie licowały z etosem wojownika świętej wojny, ale Czubarow już dawno przestał zwracać uwagę na podobne szczegóły. Wyszczrzył zęby na samą myśl o orgii zabijania, która się wkrótce zacznie.

– Przyjrzyj się temu.

Na ekranie tabletu Paully’ego wyświetlała się satelitarna mapa okolic Jamantau.

– Reitz pójdzie na Mieźgorje, ja zaatakuję sam obiekt. – Palec zastępował wskaźnik.

– Jak to sobie wyobrażasz?

– Tu jest droga. Słabo ją widać, ale sądzimy, że prowadzi do głównego wejścia, inaczej umiejscowienie tego tu posterunku nie miałooby sensu.

Wzrok Czubarowa wyłowił z całej gamy zieleni i szarości obiekt, o którym wspominał dowódca.

– Ilu ich tam może być?

– Ze dwudziestu. Pluton maksymalnie. Pilnują tego odcinka. Mają ciężarówkę i samochód pancerny. Rotacja następuje co parę dni. Służba nie jest ciężka.

– Mimo wszystko... – Mustafy te wyjaśnienia nie przekonywały.

– Raz dziennie przyjeżdża do nich ciepłe żarcie z Mieźgorje, taki catering. Tak jest dla nich wygodniej niż utrzymywać kucharza dla kilkunastu ludzi. Samochód jedzie i wraca, cała wyprawa zajmuje godzinę. Okazja sama pcha się w ręce.

– To się mogło zmienić.

– Nie zapominaj, jak oni działają. To armia. Tam życiem kieruje regulamin, a nie czyjeś widzimisię. Skoro kuchnia przygotowała żarcie dla całego batalionu, to należy załadować gorący posiłek w termosy i dostarczyć tam, gdzie trzeba. Proste?

– Co ja mam robić?

Do tej pory nie poruszali tej zasadniczej dla Czubarowa kwestii.

– Bateria S-400 jest dla nas tak samo ważna jak wejście do kompleksu. Masz ją przejąć, a jak się nie da, zniszczyć.

W skład dywizjonu wchodziło osiem wyrzutni, radar obserwacji dookólnej 96L6-1, stanowisko dowodzenia, mobilna wieża dla stanowiska antenowego, wozy techniczne i gospodarcze. Cały ten majdan ochraniało kilkudziesięciu żołnierzy. Z mapy wynikało, że ustawiono ją na rozległym płaskowyżu niedaleko Białoriecka, drugiego z dużych miast, znajdującego się na południe od Jamantau.

– Dostaniesz dziesięciu ludzi.

Chciał powiedzieć, że to mało, ale w porę ugryzł się w język. Paully wybiłby wszystkich w pojedynkę.

– Coś nie tak? Minę masz nietęgą.

– Załatwić personel to nie wszystko. Jak mam tego użyć? Nie znam się na tym. To dla mnie czarna magia. Lepiej...

– Zamknij się i daj pomyśleć.

Sprzęt wymagał wiedzy i umiejętności, nie użyje go we właściwy sposób pierwszy lepszy chłystek.

– Pójdzie z tobą Mahmmud – zdecydował Paully.

– Który Mahmmud? Mamy ich kilku.

– Nie pamiętam, jak się nazywa, ale służył w syryjskiej armii tego sukinsyna Al-Asada i został przeszkolony przez ruskich w obsłudze S-400.

– Jeden mi nie wystarczy.

– Kogo jeszcze chcesz?

– Bo ja wiem... – Udawał, że się zastanawia. – Może Larysow się nada?

– On idzie ze mną. Pomoże nam rozgryźć zabezpieczenia.

– To może Jabril?

– Dobra, możesz go zabrać. Tylko miej na niego oko. – Paully wstał, otrzepując siedzenie. – Nazar... – Machnął ręką na hakera. – Zbieraj się. Idziesz ze mną.

Nowe zadanie pasowało Mustafie. Nie było szczególnie skomplikowane. Kilku kiziorów wystarczy do poszatkowania ruskich na plasterki, natomiast opanowanie przez bojowników zdolnego do użycia kompleksu sprawi przeciwnikowi sporą niespodziankę.

Gdyby jeszcze przy okazji ustrzelić coś sensownego...

2

Prawdę mówiąc, Nazar Larysow był przerażony.

Nie tak to sobie wyobrażał. To znaczy tak, ale inaczej. W każdym razie nie tak, że będzie musiał zasuwać nie wiadomo gdzie i po co wśród leśnej głuszy w towarzystwie dzikusów, którym w głowie tylko zabijanie.

Ostrzegano go, ale był mądrzejszy. Naoglądał się filmów i naczytał książek o tajnych agentach. Początki pracy dla gru były obiecujące, a wyjazd do Kataru przyjemnie emocjonujący. Już mu się wydawało, że jest samym Jamesem Bondem. Brakowało jedynie pięknej kobiety u boku i byłby z niego prawdziwy pan świata. Powrót do rosj sprowadził Nazara na ziemię. Tu nic nie było tak, jak to sobie wymyślił.

Śmierć właściciela lokalu kontaktowego zrobiła na nim piorunujące wrażenie, ale to jeszcze nic. Dalej było gorzej. Ryzyko nagłego zgonu wzrosło niewyobrażalnie. Mogli, na ten przykład, zostać zbombardowani przez rządowe samoloty. Kto się przejmie takim jak on?

Operacja z początku wydawała się prosta – wstąpi w szeregi Nadwołżańskiego Emiratu Państwa Islamskiego i będzie przekazywał szczegółowe informacje swoim mocodawcom w moskwie. Teoria nie budziła zastrzeżeń, gorzej z wykonaniem. Laptop trzymał przy sobie, lecz nie było okazji, by go uruchomić. Telefon skonfiskował ten bandzior, który po niego przyjechał, i wywalił do rzeki. Za nim nie płakał, ale laptop to model z wyższej półki, wart małą fortunę. Jego odebrać sobie nie pozwoli.

Po nocce spędzonej wraz z oddziałem obudził się cały obolały, zziębnięty i głodny. Tak bardzo chciał się znaleźć jak najdalej stąd.

Ponaglenie brodatego łysielca, który jak się zdawało, tutaj dowodził, sprawiło, że zaczął się trząść. Ze strachu albo z zimna. Sam nie wiedział dokładnie.

– Czekasz na specjalne zaproszenie? I daj ten złom.

– To kosztuje tyle co samochód. – W Nazarze narastał bunt.

– Tym bardziej. Ja się tym zaopiekuję.

Jednoznaczne „nie” raczej sobie odpuści. Przeciwwstawienie się dowódcy to jak prośba o karę śmierci. Z drżącym sercem, potulnie oddał laptop.

– Sabri. – Zduszony głos szefa rozszedł się po obozie.

– Tak. – Egipcjanin zerwał się z ziemi i podbiegł do dowódcy.

– Spójrz, jaki prezent dostałeś od naszego przyjaciela.

Oczy informatyka zrobiły się wielkie jak spodki.

– Zaopiekuj się nim dobrze. – Paully szelmowsko mrugnął okiem.

Blasu szczęścia bijącego od Sabriego nie dało się opisać, za to dla Nazara był to najgorszy dzień w życiu. Jedyna broń, jaką posiadał i jaką umiał się posłużyć, została mu zabrana i przekazana innemu.

Co teraz robi?

Bez laptopa był niczym, kompletnym zerem zdany na łaskę tych psychopatów, bo to, że Paully jest nienormalny, nie ulegało dla Larysowa wątpliwości. Równie dobrze mógłby zacząć piłować zęby w szpic i jeść surowe mięso, ludożerca.

Parcie na pęcherz, jakie w tym momencie odczuwał, było tak wielkie, że omal nie popuścił w spodnie. Powstrzymał się ostatecznym wysiłkiem woli. Zacisnął też zęby, żeby nie zwymiotować.

W zamian za laptop otrzymał automat. Kiedyś, w ramach przygotowań, strzelał z czegoś takiego, ale wyniki okazały się do kitu. Czy tym pacanom wydaje się, że pogna w pierwszej linii na umocnienia wroga?

Już nie był rozżalony, tylko wkurwiony. Pociągnął parę razy nosem, przerzucając taśmę karabinka przez ramię.

Igrał z ogniem i się poparzył. Czas pokaże jak mocno.

3

Czubarow przeciągnął się, aż zatrzeszczały kości.

Od dawna nie był w tak znakomitej formie. Można powiedzieć, że jechał na haju. Haju zabijania, mówiąc precyzyjnie. Zrobił parę kroków i z lizjery lasu zaczął obserwować żołnierzy doglądających wyrzutni. Widział w nich myszy, a w sobie kota. Spadnie na nich, gdy się najmniej będą tego spodziewali. To głównie obsługa, a nie wyszkoleni komandos. Z oddziałem zabezpieczenia będzie więcej jazdy, ale i tym się nie martwił. Większość z nich o określonej porze gromadziła się przy wozie gospodarczym, z którego wydawano im żarcie. Mustafa zaczynał odnosić wrażenie, że dla większości służących w armii ludzi najważniejszą sprawą był

pełen kałdun, co zapewniały kawa i batoniki przegryzane pomiędzy głównymi posiłkami. Obowiązki znajdowały się na drugim miejscu.

Gdyby jeszcze w wojaczce byli tak sprawni jak podczas wymiatania gulaszu z menażki. Ci, których miał przed sobą, to jakiś drugi sort. Niepotrzebnie tak się ich obawiał. Co prawda, na każdego z nich przypadało czterech – pięciu tamtych, ale przecież nie będzie się z nimi wdawał w strzelaninę, nie było takiej konieczności. Powybijają ich pomalutku, powolutku, jednego po drugim, z zaskoczenia. Najchętniej zacząłby od razu, ale musiał poczekać na znak Paully'ego. Całość akcji należało skoordynować w czasie, a nie działać pod wpływem emocji.

Do miejsca akcji podchodzili całą noc. Ten ostatni odcinek, choć najkrótszy, był najtrudniejszy. Istniało spore ryzyko natknięcia się na federalny patrol. Mieźgorje i Białorieck to jednak miasta garnizonowe. W razie potrzeby Moskwa rzuci do walki wszystko, czym dysponuje w regionie. A wszystkich nie powstrzymają.

Mustafę dziwiło co innego. Oprócz małego lądowiska dla śmigłowców w Mieźgorje brakowało w okolicy miejsca, gdzie mogły operować duże maszyny transportowe bądź pasażerskie.

Zastanawiające.

Skoro pod górą wykuto sieć tuneli, to w jaki sposób wymieniano personel tam przebywający?

A jeżeli to magazyn, to jak w takim razie dostarczano zapasy? Kolei też nie uświadczysz w pobliżu. Pozostawała sieć drogową i na tym koniec.

W sumie nie jego sprawa.

Niech Paully już się zlituje i wyśle sygnał. Jeszcze trochę i uschnie z nudów albo zacznie wybijać własnych ludzi.

4

Słuch miał znakomity, więc jako pierwszy usłyszał warkot silnika zbliżającej się ciężarówki.

Najbliższa minuta to jego solowy występ. Na wszelki wypadek na koniec lufy pistoletu wsunął tłumik i wprowadził nabój do komory. Był gotów.

Wraz z nim tuż przy leśnym, wijącym się zakosami dukcie zaczęło się jeszcze dwóch komandosów, ale to osłona, gdyby przypadkiem sprawy potoczyły się nie w

tym kierunku co trzeba.

Zastanawiając się, gdzie zorganizować sabotaż, zdecydował się na pierwszy zakręt drogi wiodącej z koszar Gwardii Narodowej do wartowni przy starych magazynach. Punkt wydawał się idealny. Nikt ich nie usłyszy, a i ryzyko, że zostaną dostrzeżeni przez któregoś z wartowników, uznał za znikome.

Ural 375 sunął powoli, mozolnie pokonując kolejne metry. Na zakręcie jeszcze zwolnił. Paully poczekał, aż wóz znajdzie się o trzy metry od niego, a następnie wyskoczył z kępy krzaków i w paru susach dopadł pojazdu, wskakując na pakę. Wcześniej widział kierowcę i pomocnika skupionych na rozmowie. Kto na tym zadupiu będzie gapił się w lusterka, skoro poza nimi nikogo innego tu nie było?

Odchylił plandekę i przyjrzał się termosom ustawionym w równych rzędach. Aż się prosiło, by naszczać do każdego z osobna, ale nie o to tym razem chodziło. Z kieszeni bluzy wyciągnął fiolkę z silnym środkiem usypiającym. Końska dawka specyfiku pośle w objęcia Morfeusza każdego, i to już po paru minutach. Wymyślił to sobie już wcześniej, na etapie planowania. Rosjan najlepiej pokonać sposobem, a nie w otwartej walce.

Po trzydziestu sekundach był gotowy do odwrotu. Przełożył obie nogi przez burtę i zeskoczył na ziemię, płasko przyległ do gruntu, a następnie przeturlał się w bok, na pobocze.

Ekipa z Urala zostawi pełne termosy, zabierze puste i wróci do koszar. Dzień jak co dzień.

Lepsza nuda na tym odludziu niż śmierć w obronie ojczyzny. Tak na pewno myślał każdy z federalnych, a on wcale się im nie dziwił. Zjawiska fali w rosyjskiej armii od lat jakoś nie dawało się wyplenić, może mało komu na tym zależało. Oficerowie gardzili swoimi podwładnymi, traktując ich jak mięso armatnie. Życie rekruta nie przedstawiało dla nich większej wartości. To jedynie osoba w ewidencji. Czy jest, czy jej nie ma, jakie to miało znaczenie?

Drugim elementem przesądającym o słabości armii federalnej okazała się logistyka, która zawodziła na całej linii. Uzupełnienia przychodziły z opóźnieniem i dotyczyło to nie tylko ludzi. Wygodniej było ciągnąć za sobą cysternę z paliwem niż liczyć na pomoc oddziałów zaopatrzeniowych, bo te pojawiały się

nieregularnie, kierując się przy tym własną logiką, która nie miała wiele wspólnego z solidnym planowaniem i elastycznym reagowaniem na sytuację.

Paully'emu to wisiało. Czy rosyjscy żołnierze byli bici i czy dostawali jedzenie, to nie jego sprawa. Właściwie im gorzej wiodło się kacapom, tym lepiej dla niego.

Nie spiesząc się, przeszedł w pobliże posterunku – piętrowego murowanego budynku tuż obok płotu oddzielającego tajgę od magazynowych baraków i paru budowli, których przeznaczenia tylko się domyślał. Ponad obiektem rozciągał się masyw Jamantau. Zastanawiające było, że całość robiła wrażenie opuszczonej już dawno temu. Wszędzie dawało się zauważyć sterty gruzu i zwały ziemi, których nie zdołano wywieźć. Czego więc tu pilnować?

Oddział czekał, aż da znak, a on odliczał minuty. Federalni gadali, snując się z kąta w kąt. Zaledwie kilku z nich posiadało karabiny, reszta zajmowała się czynnościami gospodarczymi. Wyglądali na kompletnie znudzonych. Myśl, że mogą być obserwowani, była dla nich równie abstrakcyjna jak lot na Księżyc.

Pojawienie się ciężarówki trochę ich rozruszało. Część racji wydano od razu, pozostali zadowolili się jedynie kawą. Ural odjechał, a życie wróciło do normy. Paully'ego trochę zaskoczył widok dwuosobowego patrolu z psem. Wilczur wydawał się podenerwowany. Co jakiś czas ujadał, ciągnąc przewodnika w stronę lasu. Opiekun skarcił zwierzę, co uspokoiło je na kilka minut. Mimo wszystko należało mieć ich na oku.

Bardzo nie chciał zaczynać szybciej, niż to konieczne, ale jak nie będzie wyjścia...

Wcześniej z całej grupy wybrał kilku najsprawniejszych. Teraz wraz z nimi podkradł się na parę metrów od wartowni. Większość z tych, których widział, słaniała się na nogach. Bujali się w przód i w tył, prowadząc leniwe rozmowy, nieświadomi tego, że za parę minut przestaną istnieć. Nie musieli zasnąć. Wystarczy, że ich reakcje staną się wolne i pozbawione energii. Któryś z nich głupkowato się roześmiał. Patrol odszedł, odprowadzony wzrokiem przez Paully'ego. Wysłał za nimi Czeczena mającego wyjątkowy dar wtapiania się w tło i automat z tłumikiem, sprzęt w sam raz do likwidacji takiego zagrożenia.

No to jazda.

Wstał, trzymając wyciągniętego przed siebie Glocka z magazynkiem na dwadzieścia jeden naboji.

Bach, bach, bach i bach, białe obłoczki dymu rozpląnęły się w powietrzu. Dla Paully'ego zabijanie było formą zabawy. Przesuwał się do przodu w stronę szlabanu, eliminując pozostałe cele. Boki asekurowała obstawa. Szybko przedarli się na chroniony obszar. Rosjanie dopiero teraz zareagowali, lecz równie dobrze mogli stać dalej z rękami w kieszeniach.

Dostrzegł dowodzącego posterunkiem kapitana i posłał go w zaświaty. Oficer umarł, mając usta pełne krwi. Paully wcale go nie żałował.

Wymienił magazynek na nowy i dopiero wtedy wszedł do środka. Skulił się, gdy seria z AK przeszła nad jego głową. Sukinsyn strzelał ponad drewnianą ladą recepcji, za którą ustawiono biurka. Oprócz niego był tam jeszcze jeden koleś. Akurat ten nie do końca jarzył, co się dzieje.

Paully nie chybiał, a już na pewno nie z trzech metrów do nieruchomego celu – miało to urok egzekucji. Rozwalił drania, nim tamten skorygował swój błąd. Drugi z federalców pożegnał się z życiem minutę później.

– Na górę.

Komendę mógł sobie darować. Egipscy komandosi znali się na swojej robocie. Kiedyś szkolili ich amerykańscy rangersi. Jakież to były piękne czasy.

Echa pojedynczych wystrzałów dochodziły do niego z różnych stron, lecz wkrótce ucichły. Od początku akcji upłynęły niespełna dwie minuty. Teraz Reitz i Czubarow mogli się wykazać swoimi umiejętnościami.

5

Mieżgorje nie należało do dużych miast, liczyło trochę ponad czternaście tysięcy mieszkańców. Ten punkt zagubiony wśród gór i tajgi nikogo by nie interesował, gdyby nie kompleks Jamantau. Życie toczyło się tu wokół koszar batalionu rosgwardii znajdującego się na wschodnim skraju miasta.

Wszystkich gwardzistów nie dawało się powystrzelać, a przynajmniej nie w odpowiednio krótkim czasie, dlatego też Reitz wybrał zupełnie inny sposób, by pozbyć się – przynajmniej na jakiś czas – problemu wynikającego z ich obecności.

Do tego potrzebował terenowego UAZ-a, szofera i znakomitego rozpoznania, również wywiadowczego. W mundur rosyjskiego pułkownika przebrał się odpowiednio wcześniej. Akcja była ryzykowna i należało podejść do niej nad wyraz ostrożnie. Dlatego zdecydowali, że Paully najpierw rozprawi się z obsadą wartowni, a dopiero później Reitz spróbuje przekonać dowodzącego batalionem oficera do swoich racji.

Wyjechali z bocznej drogi na asfaltową, całkiem wygodną szosę R316 przebiegającą przez ten rejon Baszkortostanu. Dojazd zajął im kwadrans. Grupka kręcących się przed sklepem mieszkańców nie zwróciła na nich najmniejszej uwagi. Wjechali w aleję prowadzącą w stronę koszarowych zabudowań. Puls Reitza bił równie miarowo jak zaraz po przebudzeniu – on po prostu tak miał.

Wartowników ich widok nie zaskoczył. Jeden podszedł do UAZ-a i zajrzał do środka.

– Przepustka jest?

Reitz powoli obrócił głowę w jego kierunku.

– Zawiadom podpułkownika Markowa, że przybył oficer inspekcyjny z ministerstwa.

– Tak jest.

Żołnierz pobiegł do oficera dyżurnego. Porucznik przyjął meldunek i pospieszył w ich stronę.

– Dobrze, że was widzę. – Reitz nie pozwolił odebrać sobie inicjatywy. – Mają natychmiast otworzyć bramę, ale już. Nie mam całego dnia do zmarnowania. Markow jest u siebie? No, co tak wytrzeszczacie gały? Już zapomnieliście, jak należy się zameldować?

Odpowiedź Reitza nie interesowała, ale podrygi gwardzisty nawet go rozbawiły. Niezapowiedziana inspekcja. Dobrze wiedzieli, z czym to się je.

Dowódca garnizonu urzędował w budynku na wprost bramy i placu apelowego, na pierwszym piętrze, tuż przy schodach. Wyposażenie, choć stare, lśniło czystością. Każdy, kogo Reitz spotkał na swojej drodze, trząsał obcasami na jego widok.

Z marsową miną i założonymi do tyłu dłońmi przeszedł przez sekretariat, nie zaszczycając nikogo spojrzeniem. Jego mundur zdobiony rzędami baretek robił

należyte wrażenie. Przynajmniej na razie.

Markow okazał się niewysokim mężczyzną ze sporą łysiną na czaszce, który na widok Reitza wyskoczył zza swojego biurka, marszcząc czoło w bezbrzeżnym zdumieniu.

– Wszyscy wynocha – warknął.

Przybocznych wymiotło momentalnie.

– Kim... hmm... kim jesteście?

Reitz wzruszył ramionami.

– To nie ma najmniejszego znaczenia. Ważne, kim wy jesteście. Na tym się skoncentrujmy.

– Doprawdy?

– Zanim przejdę do istoty sprawy, która mnie tu sprowadza, wyjaśnijmy sobie to i owo. – Reitz nonszalancko, zamiast do podpułkownika, podszedł do okna, z którego rozciągał się widok na las. – A wy dobrze się zastanówcie, zanim podejmiecie decyzję. Tylko tyle wam radzę.

Usiadł na krześle ustawionym obok regału wypełnionego książkami, głównie autorstwa teoretyków wojskowości.

Rosyjski podpułkownik bił się z myślami. O wizycie nie został uprzedzony, a sam gość budził w nim mieszane uczucia. Roztropnie zatem milczał, co dawało szansę na zebranie myśli.

– Nazywacie się Markow. Iwan Pawłowicz Markow – zaczął Reitz cichym, niemal znudzonym głosem. – Lat czterdzieści sześć, o ile pamiętam, z tego dwadzieścia cztery w służbie. Imponujący wynik, muszę powiedzieć. Wasi rodzice mieszkają w moskwie, przy Prospekcie Kutuzowa czterdzieści sześć, prawda? Ojciec z zawodu nauczyciel, matka księgowa. Macie siostrę...

– O co właściwie chodzi? – Markow zaczął się denerwować.

– ...Marię, lat czterdzieści dwa, zamieszkałą również w moskwie wraz z rodziną przy Nowym Arbacie, z mężem i synem... Dalsze szczegóły sobie darujemy. – Reitz uśmiechnął się pod nosem. Dane recytował z pamięci. – To nas w zasadzie nie interesuje.

– To wszystko można wyczytać w moich aktach personalnych.

– Ja to doskonale wiem. Do mnie natomiast przemawiają zupełnie inne fakty. Z waszą pierwszą żoną rozeszliście się pięć lat temu. Ksenia?... – Udał, że się zastanawia. – Została potraktowana w sposób mało elegancki. Puściliście ją z torbami, ledwie wiąże koniec z końcem.

– To jej wina. – Markow zacisnął zęby.

– Bo nie dała wam dzieci? Towarzyszu. – Reitz rozłożył ręce. – Są różne sposoby, ale wy wybraliście najprostszy z możliwych, jeżeli mogą tak powiedzieć. Anastazja Pietrowna jest od was o osiemnaście lat młodsza. To wyjątkowo atrakcyjna osoba, trzeba przyznać.

– O co wam chodzi? – Głos dowódcy batalionu stał się odrobinę głośniejszy.

– Są też dzieci. Paweł... tak, lat sześć. To ciekawe, bo wychodzi na to, że zadawaliście się z Anastazją jeszcze przed oficjalnym rozwodem.

– Wołam wartę.

– Ale wcześniej, żaloszny złamasie, zatelefonuj do rodziny i dowiedz się, czy jej niczego nie brakuje.

To był krytyczny moment. Zaraz okaże się, czy charakterystyka osobowa Markowa, sporządzona przez wywiad, jest trafna.

– Śmiało. – Wskazał na telefon. – A nie, przepraszam. Przecież macie komórkę.

Markow stał się purpurowy na karku. Bił się z myślami. To było widać. Jego rodzina mieszkała w wygodnej willi kilkaset metrów stąd. Specjalnie kazał ją wybudować i wyposażyć. Chciał, by im niczego nie brakowało, a teraz przyszedł ten człowiek i wykręcił go niczym mokrą szmatę.

Wyjął aparat. Gdy rozmawiali przed godziną, wszystko było dobrze.

– Anastazja... tak dobrze cię słyszeć.

– Iwan, tu są jacyś ludzie.

Markowa zatkało. Bandyści? W jego domu? Jak do tego doszło?

– Wystarczy – słowa nieznajomego dotarły do podpułkownika z bardzo daleka.

– Ty...

– Dalej. Nie obrażę się. Pistolet, kutasie, masz w kaburze, jakbyś zapomniał.

Wydawało się, że Markow chce zrobić pięć rzeczy naraz. Trwało to moment, a później rosjanin pochylił się i chwycił za pierś, ciężko oddychając.

– Chcesz ich jeszcze zobaczyć? – Reitz wiedział, że wygrał. – Myślę, że się dogadamy.

– Co mam robić?

– Na początek wystarczy, że nie zrobisz nic głupiego. Dalej się zobaczy.

6

W razie konieczności zniszczyć, najlepiej jednak przejąć.

Wskazówka nie dawała wielkiego pola manewru. Paully'emu wyraźnie chodziło o unicestwienie obsługi i obrócenie rosyjskiej technologii przeciw jej twórcom. Wszystko zgodnie z zasadą pełnego wykorzystania tego, co znajdowało się pod ręką. Czubarow zgadzał się z nim całkowicie. Im dłużej będą opóźniać kontratak, tym lepiej.

Mustafa lekko uniósł głowę, wypatrując wartownika tuż przy mobilnym radarze. Do tego żołnierza nie dotarło, jak istotnie wypełnia zadanie. Łaził wzdłuż ściany lasu, nawet nie udając, że jest zainteresowany służbą. Przystawał, gapił się w niebo i ciężko wzdychał, co wyraźnie sugerowało, że myślami jest daleko stąd.

Mustafa przyłgnął plecami do pnia sosny, poczekał, aż żołnierz przejdzie obok, i podkraść się do niego od tyłu. Jedną ręką zatkał mu gardło, a drugą, uzbrojoną w sztylet, dźgnął frajera w nerkę.

Ból będzie tak wielki, że go sparaliżuje. Czuł, jak życie powoli wycieka z rosjanina, gdy odciągał zwłoki do lasu.

Jednego mniej.

Pozostałe posterunki zostały zlikwidowane równie sprawnie i cicho. Dopiero granat ciśnięty pomiędzy żołnierzy ochrony wywołał chaos. Strzelanie do federalnych przypominało polowanie na kaczki. Kłopotem była dość rozległa przestrzeń, na jakiej ustawiono baterię, i całkiem liczna obsługa. Nikogo nie mogli pominąć, inaczej plan nie wypali.

Idący za Mustafą Jabril krótką serią wykończył starszego podoficera przemykającego chyłkiem pomiędzy krzakami jałowca. Drań mimo ołowiu w plecach wciąż się ruszał, co jednak nie miało znaczenia. Był bezbronny i ciężko ranny, wyzionie ducha w parę minut.

Opancerzony Tigr ruszył do przodu spod stanowiska dowodzenia. Ściął pierwszy zakręt, wypadając na gruntową drogę wiodącą do najbliższej szosy.

Tatar zaklął pod nosem. Wszyscy jego ludzie byli zajęci. Zresztą pociski z karabinów krzesaly jedynie iskry na karoseriach, nie czyniąc siedzącym w środku żołnierzom najmniejszej szkody.

Potrzebował granatnika przeciwpancernego, ale operator rury akurat gdzieś się zapodział. W bitewnym zgiełku tak to już bywa.

Nie namyślając się wiele, popędził na przełaj przez polanę, nie zważając na świszczące ponad głową pociski. Tak zdeterminowany nie był od dawna. Albo zatrzyma pancerkę, albo zginie. Innego rozwiązania nie było.

Na dachu Tigra znajdował się właz umożliwiający dostęp do PK zainstalowanego na obrotnicy. To jego szansa. Nie był Paullym czy Reitzem i nie zatrzyma wozu samą siłą woli.

Zbiegł ze wzgórza, mając nadzieję, że kierowca go nie dostrzeże. Wyciągał nogi lepiej od niejednego olimpijczyka. Na koniec odbił się i wylądował, zaczepiwszy palcami o uchwyt idący przy krawędzi dachu.

Tigrem zarzuciło, a on boleśnie obił sobie żebra. Rozeźlony do granic możliwości podciągnął się, próbując uchwycić klapę. W tym momencie napędzała go czysta nienawiść. Za jego krzywdę, za straty, jakie poniósł, za wygodne życie, jakie prowadził, zemści się teraz, jak na wojownika świętej wojny przystało.

Odrzucił właz i wsunął się do środka niczym wąż. Był tam tylko jeden człowiek, który już wcześniej słysząc, że ktoś znalazł się na dachu, próbował gwałtownymi manewrami posłać Mustafę na pobocze.

Teraz szarpnięcia kierownicą zrobiły się jeszcze rozpaczliwsze. Czubarow uchwycił go jedną ręką, próbując sięgnąć gardła. Przyniosło to ten skutek, że wóz obrócił się bokiem do kierunku jazdy i przekoziłkował. Mustafa już nie kontrolował sytuacji. Przynajmniej zatrzymał samochód, a styl, w jakim to zrobił, nie miał najmniejszego znaczenia.

Kiedy odzyskał przytomność, poczuł, że krwawi z paru rozcięć na głowie, ale większych obrażeń nie odniósł, mógł się poruszać. Niejeden mógł Mustafie pozazdrościć kaskaderskiej akcji. Sam nie sądził, że jest zdolny do podobnego wyczynu. Jak widać, nie tylko Paully jest urodzonym akrobatą. Klnąc, jak na

rosjanina przystało, poszukał wyjścia. Obcasem buta trącił głowę kierowcy, który cicho zajęczał.

– Na cholerę ci to było?

Rękawem bluzy wytarł krew płynącą z nosa. Energia zupełnie z niego uszła, tak że uśmiercenie żołnierza nie sprawiło mu przyjemności.

Powrót okazał się trudniejszy, niż myślał. Ledwo powłóczył nogami. Potrzebował wypoczynku, a tu czekały na niego kolejne obowiązki. Na szczęście okazało się, że walka już jest zakończona, a Mahmmud zdążył zabrać się do przeglądu.

– Mamy wszystkich? – zapytał Jabrila nadzorującego znoszenie ciał.

– Rafi pognął za ostatnim.

Nie to pragnął usłyszeć, ale OK. Paully nie przemyślał wszystkiego do końca. Z dodatkową piątką bojowników nie byłoby tylu kłopotów.

– Działa. – Mahmmud wychylił się z wozu dowodzenia z kciukiem uniesionym do góry.

– Co teraz?

– System jest zautomatyzowany. Wystarczy, jak powiem Sabriemu, co ma robić.

Dysponował po jednym człowieku na wyrzutnię, to stanowczo za mało. Niech Paully tu jeszcze kogoś podeśle, bo inaczej przyjdzie im co najwyżej zaminować każde stanowisko i dołączyć do sił głównych.

Sięgnął po radio. Został wysłuchany, lecz nie otrzymał jednoznacznej odpowiedzi. Ma się trzymać i dopasować do okoliczności. Oznaczało to tyle, że znalazł się sam na wysuniętej pozycji w oczekiwaniu na atak sił federalnych. Wszystko na ten temat. Akurat minęło popołudnie. Wszedł do pojazdu dowodzenia i przystanął za plecami Mahmmuda wpatrującego się w ekran.

– Wyjaśnij mi, co oznaczają te znaczki. – Domyślał się, czym są, ale lepiej, jak fachowiec potwierdzi jego domysły.

– To samoloty znajdujące się w promieniu kilkuset kilometrów od nas.

– Radar jest aż tak potężny?

– Jesteśmy wpięci w system, dlatego ich widzimy. Tu są oznaczenia. To lot wojskowy, a tu cargo do Ułan Ude.

– Da się je zestrzelić?

– Są za daleko. Co najwyżej ten, ale też bym nie próbował. Jest na skraju zasięgu rakiet.

– Fascynujące.

To było trochę jak komputerowa gra. Może mało dynamiczna – nic, tylko w półmroku przesuwały się symbole i mrgały światełka – ale za to w realu i ze wszystkimi tego konsekwencjami. ■

ROZDZIAŁ PIĄTY

1

Spenetrowali sumiennie cały rejon, mimo to wejścia do kompleksu i tak nie udało się im namierzyć. To frustrowało i zrodziło pierwsze wątpliwości. Być może wysiłek został podjęty na próżno, a Jamantau to mimo wszystko legenda spreparowana przez rosyjski wywiad, taka *maskirowka*, kosztowna, za to działająca jak lep na takich frajerów jak oni.

W takim razie... Nie, to się nie może tak skończyć.

Krótką rozmowa dawała niewielką, ale jednak, nadzieję. Od tego należało zacząć. Dla Reitz'a to rutyna. Nie było osoby, która się przed nim nie otworzy.

W Mieźgorje czas upływał swoim trybem. Jednym się dłużył, innym wydawało się, że płynie wartkim strumieniem. Do tych drugich należał podpułkownik Iwan Markow.

Niby nic się nie działo, człowiek, który przebywał wraz z nim w gabinecie, wydawał się kulturalny, ale to były pozory. Markow znał się na ludziach i w sposobie bycia gościa dostrzegł cechy psychopaty. Na samą myśl, że życie żony i dzieci jest zagrożone, Iwanowi jeżył się włos na głowie.

Chodziło o Anastazję. To dla niej rozszedł się z pierwszą żoną, narażając na nieprzyjemności. Wiedział, że ma swoje lata i w jego życiu nic dobrego już się nie wydarzy. To był ostatni dzwonek. Trafił dobrze i jak do tej pory nie żałował swojej decyzji.

Teraz ten terrorysta rozmawiał przez komórkę odwrócony do niego plecami. Drugi raz taka sposobność już się nie powtórzy. Gdyby tak...

Stojąca na biurku figura atlety ważyła ze trzy kilogramy. Jeden cios i z czaszki przebierańca zostanie miazga. Tylko co później? Ma wezwać żołnierzy do broni i otoczyć własny dom? Efekt będzie taki, że zginą wszyscy. Muzułmańscy radykałowie nie przepuszczą nikomu. Dobrze o tym wiedział.

Podpułkownik z ciężkim sercem zrezygnował z planu, ale to nie znaczyło, że pozwolił się złamać. Reitz skończył rozmowę nieświadomy myśli krążących oficerowi po głowie.

– Mam nadzieję, że doszliśmy do porozumienia? – Pytanie zawisło w powietrzu. – Rozumiem, że wasze poczucie przyzwoitości i zawodowa odpowiedzialność zostały wystawione na próbę, ale spójrzcie na to z innej perspektywy. Co jest cenniejsze...

– Wystarczy – słowo z trudem przecisnęło się podpułkownikowi przez gardło.

– Dobrze. Ujmę to tak. Do tej pory nie udało się nam zlokalizować wjazdu – powiedział Reitz. – Oszczędzimy wam wiele kłopotów, gdy usłyszę, jak dostać się do środka. Proszę mi tylko nie mówić, że nie ma tam żadnej bazy, bo i tak nie uwierzę, a kłamstwo będzie miało swoje konsekwencje. Nie dla mnie. To chyba oczywiste.

Markow przełknął ślinę. Każde słowo intruza trafiało w punkt. Wierzył w nie bez zastrzeżeń.

– Skrajny prawy barak. Winda znajduje się na środku pomieszczenia sterowni pod ścianą.

– To wszystko?

– Słyszałem o tunelu, ale dostać się do niego jest niebywale trudno. – Czoło rosjanina zrosił pot.

– To wejście, o którym mówisz, jest głównym wejściem?

– Zapasowym – natychmiast odpowiedział Markow. – Ewakuacyjnym. Do wykorzystania w szczególnych przypadkach.

– A główny tunel komunikacyjny?

– Nie wszystkie informacje zostały mi przekazane. – Markow wzruszył ramionami.

– Ochrona?

– W środku? Tego nie wiem. Nie kontaktujemy się z tymi na dole. W ogóle nie przypominam sobie, by taki przypadek miał miejsce, odkąd tu jestem.

– Jeżeli kłamiesz...

Markow pokiwał głową, kompletnie zrezygnowany. W imię ratowania rodziny zdradził ojczyznę.

– Wezwij swojego zastępcę, zdaj obowiązki. Jedziemy na wycieczkę.

– Do kompleksu?

– Do twojego domu. Tam poczekamy i sprawdzimy, czy mówiłeś prawdę.

Markow zeszywniał. Może to irracjonalne, lecz w koszarach czuł się bezpieczniej. W domu będzie całkowicie zdany na łaskę tych fanatyków.

– To major Romanow – bardziej stwierdził, niż zapytał Reitz.

– Tak.

– Piękne nazwisko. Jak u ostatniego cara. Nie próbował wam wcisnąć, że ma arystokratyczne pochodzenie?

Faktycznie. Markow przypomniał sobie taki wypadek sprzed paru tygodni, gdy major zaczął coś bredzić o swojej rodzinie.

– Pochodzi z Samary. Jego stary był tokarzem. Płynie w nim tyle błękitnej krwi co i we mnie. Romanow... Też mi coś. Słyszałem, że nie potrafi znaleźć własnego tyłka.

– Jest dobrym oficerem. – Podpułkownik poczuł się w obowiązku stanąć w obronie swojego zastępcy.

– Ale za bystry to nie jest. – Wydawało się, że Reitz chce splunąć na podłogę. – Dobra. Wołaj tego geniusza, nich i ja zajrzę mu w oczy.

– Wypuścicie moją rodzinę?

– Jak skończymy, to wypuścimy. Masz moje słowo. Nie spadnie im włos z głowy, ale musisz współpracować, inaczej za nic nie ręczę.

Markow był tylko człowiekiem. Czego więcej od takiego wymagać.

2

Sterownik znajdował się tam, gdzie przekazał mu Reitz, podobnie jak platforma windy. Pully śmiało stanął na jej środku w towarzystwie najsprawniejszych komandosów. Czuł ulgę i podniecenie, dwa stany, jakich nie doświadczał zbyt często, zwłaszcza jednocześnie.

Zjazd był powolnym, szarpiącym nerwy doznaniem. Betonowa studnia zdawała się ciągnąć bez końca, z każdym metrem w głąb wyraźnie spadała temperatura powietrza. Ktoś za plecami Reitza przyzywał Allaha. Być może sądził, że zostały im ostatnie minuty życia. Niewykluczone, kto to mógł wiedzieć.

Z boku pod nogami ukazała się jaśniejsza smuga powiększająca się z każdym uderzeniem serca.

Kolejny etap za nimi. Byli jakieś czterdzieści metrów poniżej poziomu magazynu.

I po co te nerwy?

Hala, do której dotarli, okazała się ogromna i przeraźliwie pusta. Kilka sodowych lamp oświetlało przestrzeń, ledwie rozpraszając mrok. Czuć było stęchlizną i mokrym cementem.

Mechanizm zatrzymał platformę przy ciągnącej się wzdłuż ściany rampie. Schodnie znajdowały się kawałek dalej.

Paully nic nie musiał mówić. Oddział ruszył za nim posłusznie, wypatrując potencjalnych niebezpieczeństw. O ile się nie mylił, to wjazd do hali znajdował się po drugiej stronie – tak przynajmniej sugerował biały pas mocno złuszczonej farby. Próbował wyłowić z panującej ciszy jakieś dźwięki. Zdaje się, że słyszał pracę silnika, ale tego nie był do końca pewny.

Dotarcie do końca hangaru zajęło im pięć minut. Dalej był szeroki korytarz z torami kolejki wąskotorowej. Brakowało oznaczeń sugerujących położenie węzła łączności, elektrowni czy punktu uzdatniania wody. Sam korytarz ciągnął się prawdopodobnie pod całym masywem od Jamantau. Jeżeli tylko na to poszły dziesiątki miliardów dolarów, to zrobiono niewiele. Chodziły słuchy, że kompleks wciąż jest w budowie. Widząc gołe ściany, był w stanie się z tym zgodzić. Może resztę funduszy rozkradli i ta wydmuszka to wszystko, co zostało z planów ruskiego NORAD-u. Ale by się Putin zdziwił, gdyby musiał tu trafić na czas wojny atomowej...

Żarty żartami, jednak Reitz, podobnie jak Paully, nie był człowiekiem ulegającym emocjom. Znał Rosjan dostatecznie dobrze, by wiedzieć, że są mistrzami podstępów. Nikt nie zainwestowałby grubej forsy tylko do wydrążenia czegoś, co miało wprowadzać w błąd.

Po pierwsze: gdzie wywożono urobek? Tysiące metrów sześciennych skały przecież nie wyparowały. Musiano je przetransportować, a to oznaczało, że gdzieś znajdował się tunel wlotowy. I kto powiedział, że to jedyne piętro?

Dudnienie ucichło, lecz teraz rozległo się na nowo. Wiedział już, dokąd iść.

– Patrzeć pod nogi. – Rozkaz był krótki. – I nie myśleć o odwrocie. Idziemy tylko do przodu – zastrzegł.

Przygotowując się do misji, przeczytał kilka książek o podziemnych fortyfikacjach, głównie francuskich i niemieckich, ale nie tylko. Japończycy w latach wojny światowej, jak i Chińczycy całkiem współcześnie tworzyli cuda podziemnej inżynierii. Zaś Rosjanie uchodzili za specjalistów w tym fachu. Tunele dla atomowych łodzi podwodnych, silosy rakiet balistycznych, podziemne centra dowodzenia, moskiewskie Metro 2. Wiadomości zbierał jak perły, tu jedna, tam druga, bez pewności, że są prawdziwe. Wszystko było tajne lub ściśle tajne. Internety też nie wiedziały nic pewnego, mity przeplatały się z dezinformacją. Na temat Jamantau to już zupełna tragedia. Byli prawdopodobnie pierwszymi ludźmi z zewnątrz, którzy dotarli do wnętrza kompleksu.

W tym momencie Paully'emu przyszła do głowy kolejna myśl – dlaczego to wszystko było tak słabo chronione? Jak obiekt tak istotny dla kraju mógł być pilnowany przez jeden batalion rosgwardii?

Co prawda, w Białoriecku znajdował się liczny garnizon, ale był oddalony o czterdzieści kilometrów od Jamantau.

Coś tu śmierdziało. I to bardzo.

3

Nazar Larysow obgryzał paznokcie. Nic innego nie miał do roboty. Do szturm posterunku się nie nadawał. To zadanie dla śniadoliczych twardzieli z południa. Sprzętu został pozbawiony – to co mu pozostało? Na teren wartowni wszedł dopiero niedawno. Komandosi już zdążyli wszystko uprzątnąć.

Zaczął kombinować, jak by dorwać się do komórki i wysłać wiadomość, ale jego anioł stróż, brodaty fanatyk z Kaszmiru, wybił Nazarowi tę myśl z głowy.

Niech ich wszystkich szlag trafi.

Na ostatnich nogach poszukał miejsca, gdzie mógłby posadzić swoje cztery litery.

Główne pomieszczenie zostało zbryzgane krwią, więc nie zabawił tam długo, a już widok bojownika ciągnącego za nogę zwłoki odebrał Nazarowi ochotę na cokolwiek. Smuga krwi biegła od biurka przez cały korytarz na zewnątrz. Rosjanin wciąż miał otwarte oczy, co sprawiało upiorne wrażenie.

Trochę spokoju haker zaznał w biurze dowódcy posterunku. Tu akurat nikt się nie kręcił. Zmęczony, opadł na fotel i położył nogi na blacie. Ochroniarz ulokował się w drzwiach, nie spuszczać zeń wzroku, ale przynajmniej na chwilę hakerowi zrobiło się nieledwie błogo, aż pomyślał o drzemce. Paully gdzieś się wybrał, w każdym bądź razie nie widział go od dawna. Jak zginie, ziemia odetchnie. Tylko tak można myśleć o tym świrze.

4

- Weź jeszcze to...
- Wystarczy.
- Nie kłóć się ze mną. Wiem lepiej, czego ci potrzeba.
- Czy to propozycja?
- Nieee... Zabieraj te łapy.
- Zostawisz spragnionego na środku pustyni?
- A ile masz czasu?
- Właściwie już jestem spóźniony.
- Przecież czekają.
- Masz rację. To jak?
- Jestem gotowa. Ty, jak widzę, też.

5

Czubarow drgnął, słysząc wezwanie płynące z radia. Ktoś tam nagle przypomniał sobie o nich i teraz domagał się złożenia pełnego raportu. Co miał robić? Nie wiedział nawet, jaki mają kod.

Niepewnie sięgnął po słuchawkę, starając się odwlec to, co nieuchronne.

- Zgłaszam się – powiedział grobowym głosem.
- Co się tam u was wyprawia? – Z telefonu wylał się wrzask. – Mamy stan podwyższonej gotowości, a wy odstawiacie takie numery?
- Mieliśmy awarię sprzętu – zaryzykował krótką odpowiedź. – W sumie nic poważnego. Poszły bezpieczniki.
- Jakie bezpieczniki? System jest sprawny? Dlaczego nie zgłosiliście tego faktu zaraz po zaistnieniu?
- Uznałem, że poradzimy sobie we własnym zakresie.

– Od tego są specjaliści.

Czubarow nabrał powietrza do płuc i powoli je wypuścił, starając się nie popaść w irytację. Zwodzić, kręcić i mataczyć – zdaje się, że taka była filozofia wojny, jaką prowadzili. Jak to się nie sprawdzi, atakować z zaskoczenia.

– Już wszystko gra.

– Gra? Z kim ja właściwie rozmawiam? Gdzie jest major Antonow?

– Jest... eee... niedysponowany. Źle się poczuł – to było pierwsze, co ślina przyniosła Mustafie na język.

– Wysyłam zespół ratunkowy.

– Nie trzeba.

– Ja wiem lepiej, czego wam trzeba. Wasze niedbalstwo stanie się obiektem dochodzenia ze wszystkimi tego konsekwencjami.

Ależ się wystraszył. Chodźcie, sukinsyny, to zaraz się przekonacie, co was czeka. Martwił się tylko tym, że wieść o ich operacji zbyt szybko dotrze do rosyjskiego sztabu. Poza tym miał gdzieś, kiedy przyjdą i w jakiej liczbie.

Trzasnął słuchawką, nie zwracając sobie głowy zakończeniem rozmowy. Uznał, że ma godzinę spokoju. Później rozpęta się piekło.

6

Nie tak dawno Paully przeczytał w pewnym artykule, że kompleks może pomieścić do stu tysięcy personelu. Jak do tej pory nie spotkali nikogo. To się szybko mogło zmienić, bo przecież całkiem niedawno słyszał łoskot pracy wysokopiętnego urzędnika.

Jako pierwszy wychylił się, próbując przebić wzrokiem przestrzeń przed nimi.

Jasna cholera, prawie nic nie widział, co okazało się wyjątkowo przykrym doświadczeniem.

– Zostajecie.

Były egipski kapitan sił specjalnych imieniem Mansur, rosły trzydziestolatek z gęstą czarną brodą spływającą na pierś, przesunął się bliżej dowódcy.

– Będę osłaniał.

– Dobra, ale nie podchodź za blisko.

Pochylony, szybkim krokiem ruszył przed siebie. Niedaleko stał agregat. To on tak hałasował. Ktoś go musiał uruchomić. Kiedy? To już zupełnie inna sprawa.

Przeszedł jeszcze parę kroków, zatrzymał się i przywołał Mansura.

– Czekaście tu na mnie.

Skoro za nimi nie było nikogo, to jedyny słuszny wniosek był taki, że rosjanie znajdują się z przodu. Tunel po prawej sprawiał wrażenie technicznego. Był węższy i niższy, a ściany to czysty granit, nie beton. Być może to w nim pracowała ekipa budowlana. Gdy nim szedł, rozchlapывał wodę. Na wysokości oczu przechodziły pęki kabli, które niespodziewanie nikły gdzieś w suficie.

Niespodzianką była też ściana na końcu. Ślepy korytarz nigdzie go nie zaprowadził. Lepiej już wrócić do głównego tunelu i spenetrować to, co znajdowało się dalej.

Kolejne rozczarowanie spotkało Paully'ego dziesięć minut później. Słyszał oczywiście, że obiekt jest w rozbudowie, ale nie spodziewał się czegoś podobnego. Co to ma być? Gdzie te wszystkie cuda, o jakich huczały internety?

Kompleks Jamantau najwyraźniej nie przedstawiał większej wartości. Zaprojektowany, by przetrzymać uderzenie jądrowe, był wydmuszką czasów breżniewa i jelicyna. Być może plany faktycznie dotyczyły wybudowania w tym miejscu potężnego schronu, ale coraz więcej świadczyło za tym, że pomysł zarzucono. Zmieniły się priorytety, zabrakło funduszy – kto to może wiedzieć? Przekazane Paully'emu informacje wywiadowcze były bogate i szczegółowe, dotyczyły personelu i infrastruktury obu najbliższych garnizonów, administracji cywilnej miast, wszystkiego. Tylko o Jamantau nie wiedział prawie nic. No i ta zagadka chyba się rozwiązała: tu po prostu nic nie było! Garnizon pilnuje zwykłej góry, o niczym nie wiedząc, jakaś szkieletowa załoga na wszelki wypadek dogląda odwodnienia czy czegoś takiego – i nic poza tym. Dał się nabrać i tyle. Finito. Nie każde działanie musi się zaraz zakończyć sukcesem.

Wszystko się zgadzało. Oprócz drobnego szczegółu. Z literatury pamiętał, że obiekty na Linii Stalina maskowano na różne sposoby – u góry chałupa, niżej stanowisko działka ppanc, ciężkiego karabinu maszynowego bądź miotacza ognia. Czy w tym przypadku było podobnie? Znaleźli jeden poziom. Kto powiedział, że jest jedyny?

– Mansur, weźmiesz dwóch ludzi, cofniesz się do windy i sprowadzisz tu pozostałych. Zwłaszcza tego zakichanego Larysowa. Ma tu być za dziesięć minut.

Egipcjanin skinął głową i odszedł. Jeżeli mają przeszukać cały poziom, potrzebował do tego zdecydowanie większej ekipy, a i tak efekt był niepewny. Właściwie błakali się jak we mgle zdani na przypadek.

– Reszta za mną.

Przeszli następne dwieście metrów, nim dotarli do szybu. Złożone obok elementy konstrukcyjne sugerowały wyraźnie, że niedługo w tym miejscu zostanie zainstalowana winda. Na razie, chcąc dostać się niżej, należało zejść po stalowych szczeblach wmurowanych w beton.

Nie byłby sobą, gdyby natychmiast nie podjął ryzyka związanego z przeniknięciem na niższą kondygnację. Przecież dokładnie o to chodziło.

Uchwycił się pierwszej kotwy. Wysokość nie robiła na nim wrażenia. Zręcznie niczym małpa zaczął się zsuwać wciąż niżej i niżej.

Po trzydziestu metrach poczuł, że jest u celu. Tak to sobie wyobrażał. To było to, czego oczekiwał. Oświetlenie ukryto w podwieszanych sufitach, ściany wyłożono prefabrykowanymi panelami, może nie było sterylne czysto, ale też nie brudno – ot, standard bazy wojskowej.

Nie mając planów, nie wiedział, gdzie teraz skierować kroki. Na górze brakowało personelu, ale tutaj to już na pewno kogoś spotkają.

Raz przeczytał, że Jamantau podzielono na sektory. Może nie chodziło o sektory, a o poziomy, a pod tym, na którym stał, znajdowały się dwa kolejne? To wymagało sprawdzenia. Na razie rozejrzą się tutaj.

Mijane hale nie były tak duże jak ta pierwsza. Owszem, posiadały sporą kubaturę, ale bez przesady. W jednej na stojakach ulokowano setki automatów Kałasznikowa, i to w wersji AK-203. W następnym mundury, hełmy i indywidualne wyposażenie. Uniformów starczyłoby dla całego pułku i jeszcze trochę by zostało. Był szpital na kilkaset łóżek, sala gimnastyczna, konferencyjna, łaźnia i potężna serwerownia. Maszyny liczące ciągnęły się szeregami i wszystkie pracowały.

Na jaką cholere?

Znalazł stołówkę i magazyn żywności oraz rusznikarnię. Całość w oczywisty sposób kojarzyła się z koszarami. Brakowało jednak żołnierzy.

Paully potarł brodę. Nie wiedział, co o tym myśleć. Niewykluczone, że w przypadku wojny przybędą tu najwyższe władze państwowe wraz z rodzinami oraz elitarną ochroną, na przykład pułkiem kremlowskich pretorianów lub oddziałem z federalnej służby ochrony. To miało sens. Gdzieś niedaleko powinny znajdować się apartamenty Orłowa i pozostałych dygnitarzy.

Jeszcze nie widział wszystkiego, ale już teraz pomyślał, by pozostać tu dłużej, wydawał się kuszący. Z definicji można tu przetrwać parę miesięcy bez wychodzenia na zewnątrz.

Entuzjazm przysłoniły brutalne realia. Posiadał zbyt nieliczną ekipę. Może się tu zamknąć, ale wtedy zostanie zablokowany. Federalni otoczą teren i mucha nie przeleci, jak tu się mawia. To będzie ich koniec.

Pojawił się Mansur z pozostałymi. Nazar przyglądał się otoczeniu wzrokiem pełnym niedowierzania.

– Istny sezam – powiedział Paully, klepiąc hakera po ramieniu. – Widziałeś te komputery?

– To kłustry – sprostował Nazar.

– Kłustry, mówisz? Niech ci będzie. Znajdź terminal i się podłącz. Chcę wiedzieć, jak wielki jest kompleks i co jeszcze zawiera. Jak już rozgryziesz system, to mnie zawołaj. Dam ci Mansura jako dodatkową ochronę.

– Poradzę sobie sam.

– Twoja sprawa. – Paully'emu było to obojętne. – Im szybciej się uwiniesz, tym lepiej dla nas wszystkich.

Czuł się tu prawie jak pan na włościach. Pokonali Rosjan przy minimalnym oporze, a ta baza dawała niebagatelne możliwości wyposażenia licznego oddziału, wiązania sił nieprzyjaciela czy dywersji.

Pokrzepiony tą myślą, postanowił dać bojownikom trochę wytchnienia. Niech odpoczną, zjedzą i naładują akumulatory. Nikt przecież nie wiedział, co ich czeka w najbliższej przyszłości.

Nazar ścisnął w dłoniach rękojeść pistoletu, zaskoczony tym, jak wpływa to na jego psychikę. Jeszcze z niego nie zabił, ale był pewny, że jest w stanie to zrobić. Po tym, co widział, uznał, że nie jest to znowu takie trudne. Tyle że mimowolnie wzdrygnął się, przypomniawszy sobie, jak potraktowano zwłoki rosyjskich żołnierzy.

Taka konfrontacja to jednak nie dla niego. Co innego zabijać, co innego być zabitym. W centrum obliczeniowym odniósł wrażenie, że jest obserwowany. Było to irracjonalne i dość traumatyczne. Doprawdy nie sądził, że mógłby tu schować się jakiś człowiek, zresztą upewnił się, lecz nie całkiem o to chodziło. Raczej groza wiejąca z kątów tak nim wstrząsnęła.

Jak najszybciej przeszedł obok serwerów, co kilka kroków oglądając się za siebie. W tej sali niczego nie znalazł, jednak nadzieja wciąż go nie opuszczała.

Im dalej zapuszczał się w głąb kompleksu, mijając kolejne sale, tym bardziej odczuwał pustkę tego miejsca. W końcu dotarł tam, gdzie korytarz rozchodził się w dwie strony. Obie wyglądały tak samo. Poszedł w prawo, co okazało się dobrym pomysłem. Znalazł się w części biurowej.

W pierwszym pomieszczeniu regały uginały się pod stosami tradycyjnych map, nie tylko federacji rosyjskiej, ale i każdego zakątka świata. Uznał, że to zabezpieczenie na wypadek, gdyby impuls elektromagnetyczny wyeliminował łącza komputerowe i satelitarne. Do łaski wróciłoby wtedy tradycyjne planowanie działań wojennych.

Dalej nie było aż tak ciekawie. Pokój łączności wyglądał zwyczajnie, tylko odrobinę archaicznie. Trudno, ważniejszy sprzęt niż lamperie na ścianach.

Z drżącym sercem uruchomił pierwszy z kompów. System wystartował momentalnie, choć nie wyglądało, jakby był na czuwaniu. Na monitorze wyświetliło się logo z dwugłowym orłem. Nazar odetchnął. Na początek wysłał raport do Moskwy, niech działają.

O co, u diabła, chodzi? Gdzie Internet? Tajne łącza?

Niczego takiego nie potrafił wywołać. System obsługiwał wyłącznie kompleks i nie był połączony ze światem zewnętrznym.

Rozczarowanieomal nie zabiło Nazara. Tak się napalił i co? Porażka. Rozejrzył się uważnie, pozostałe trzy stanowiska wyglądały identycznie, żadne się nie

wyróżniało, najmniejszy szczegół nie wskazywał, że któreś przeznaczone jest dla operatorów wyższego poziomu lub wyznaczonych do innych zadań. Nie pozostało nic innego, tylko sprawdzić wszystkie po kolei.

Nadzieja, że ktoś w końcu odbierze jego wezwanie, gasła wraz z kolejnymi sprawdzanymi maszynami. Nic, zero wyjścia na świat.

Może gdzieś w sieci znajdzie skomunikowane końcówki. Zabrał się do przeglądania struktury, która była praktycznie niechroniona. Widać tutejsi admini uważali, że najlepszym zabezpieczeniem systemu informatycznego nie są żadne hasła bądź czytniki, tylko kilka metrów żelbetu i batalion specnazu.

Kolejne katalogi rozwijały się przed nim jak karty w pokerze.

Na razie blotki. Instalacja przeciwpożarowa bardzo rozbudowana, ale nic w niej dla niego.

Zasilanie zewnętrzne podłączone jako rezerwa, bowiem energię do kompleksu dostarczała własna siłownia potrafiąca wygenerować dość prądu, by zasilić średniej wielkości miasto. Co intrygujące, pracowała w tej chwili pełną parą. Co się dzieje z taką mocą? Może to prywatna kopalnia bitcoinów putina? Obiekt był martwy, jak się wydawało. Nigdzie żywego ducha, acz wszędzie paliły się światła. Dziwił też brak kamer w salach i na korytarzach. Tak wielki obiekt nie był monitorowany? Jak to możliwe? Czyżby twórcy tego ośrodka aż tak wierzyli w niezwyciężoność chroniących go oddziałów? Niewiarygodne.

Dotarł do planów budowlanych. Wychodziło na to, że poziomy są trzy. Pierwszy, oznaczony jako dopiero przygotowywany do użytku, wyposażony został w strzelnicę i salę do ćwiczeń bojowych. Niżej zaprojektowano centrum logistyczne, a pod nim...

Co oznaczał symbol SB Gen3? Całe piętro.

Musiał poszukać wyjaśnień gdzie indziej.

Palce Larysowa przebiegły przez klawiaturę, aż w końcu znalazł to, czego szukał. Skrót SB to nic innego jak *Soldat Buduszcze* – żołnierz przyszłości! Gdy zagłębił się w katalog Projekt, aż go zatkało z wrażenia.

Kompleks Jamantau okazał się fabryką klonów. Pod jego nogami znajdowała się hodowla genetycznie zmodyfikowanych wojowników. Stanowisk nazywanych kapsułami były tysiące, a wszystkim zarządzał system komputerowy. Nie

przewidziano ludzkiego nadzorcy, w każdym razie nie doszukał się tego. Więc tu rzeczywiście nie ma nikogo. Prócz tych...

Przed oczami Nazara przewijały się terabajty danych. Nie znał się na tym, rozpoznał tylko, że to dokumentacja medyczna. Jego natomiast ciekawiło co innego – jaki status miał ten projekt? Czy go zakończono? Bo kto klonował, jak i z jakich komórek, to już zupełnie inne zagadnienie, na to nie było czasu. Z pewnością zaraz napatoczy się jakiś brodaty dżihadysta, trzeba było się streszczać.

Projekt uznano za „rozwojowy”, a proces produkcji trwał. Nazar znalazł informację, że do tej pory udało się „wyprodukować” – takiego słowa użyto – niespełna dwa tysiące osobników. Dokładnie tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąt dwie sztuki. W tym były „ubytki”. Niektórzy zmarli, innych „zlikwidowano”, bo ich parametry odbiegały od zakładanych.

Nazarowi po plecach przebiegł dreszcz. Tych ludzi, bo chyba tak można o nich mówić, wytworzono w sposób nieróżniący się chyba zbyt od hodowli kurczaków. W parę tygodni od pisklaka po brojlera, nie inaczej – bowiem w dokumentacji często powtarzały się słowa „akceleracja”, „przyspieszenie”, „hiperstymulacja” i pojawiały się procenty – nawet pięćdziesiąt. Aż strach pomyśleć, co działo się z ich psychiką, ale skoro próbowano uczynić z nich maszyny do zabijania, to bez wątpienia stłumiono pewne naturalne odruchy. Terminator o psychice beztroskiego dziesięciolatka strzelający z uśmiechem prosto między oczy? Zgroza.

Zależy dla kogo. Paully, gdy się o tym dowie, oszaleje ze szczęścia. Otrzyma niepowtarzalną okazję stanięcia na czele armii takich samych psycholi jak on sam. Dla świata zaskoczenie będzie całkowite. O istnieniu laboratorium wiedziało zapewne bardzo wąskie grono polityków i naukowców. Kto z czymś takim chciałby się obnosić?

Larysow poczuł, że następne minuty zadecydują o jego dalszym życiu. Stał przed niebagatelnym dylematem.

Paully i tak dowie się o wszystkim, wcześniej czy później – a znając życie, Nazar śmiało mógł założyć, że nastąpi to bardzo szybko. Wystarczy, że ktoś odkryje przejście niżej i dotrze do wylęgarni, wtedy zacznie się kombinowanie, do

którego wyjaśnienia zmuszą Nazara. Przywódcę tej bandy należało więc uprzedzić. Ale...

Pomysł, na jaki wpadł Larysow, wydał mu się genialny w swojej prostocie. Może to on wskrzesi tych żołnierzy? Nawet nie wszystkich, wystarczy jeden. Jeżeli jest dobry, poradzi sobie z całym oddziałem buntowników i z jego dowódcą. Do wyboru miał tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąt dwa osobniki. Tyle że nie wszyscy byli tacy sami. Hodowaną menażerię podzielono na kilkanaście typów, więc należało znaleźć odpowiedni. Byli dowódcy wyższego i niższego szczebla, snajperzy, zwiadowcy, łącznościowcy, paramedycy, saperzy, artylerzyści i tak dalej, zupełnie jak w normalnej armii. Każda z grup przeszła osobny program wirtualnego szkolenia. Prawdopodobnie w salach i na strzelnicy mieli poćwiczyć na sucho, a dopiero później wejść do działań bojowych jako zgrana jednostka.

Potrzebował... infiltratora.

OK. Przejrzał parametry, którymi charakteryzowali się metaludzie. Gościu, który przy tym robił, wyraźnie grał w gry, więc dane superżołnierzy wyglądały jak karty postaci z kolorowymi znacznikami cech: siła, odporność, szybkość, inteligencja...

Nałożył filtry. Skrzyżowanie wywiadowcy z zabójcą reprezentowało trzech osobników. Wszystkim podarowano życie tego samego dnia. W tym przypadku to siedmiolatkiwie z ciałami nastolatków.

Coś go tknęło. Dodał jeszcze jeden filtr. Bingo. Wszystkie trzy były kobietami. Z radości aż zatarł dłonie. Produkt może nie był jeszcze gotowy, ale Nazar nie zamierzał dłużej czekać. Być może kolejne generacje staną się nie tylko żołnierzami, ale i zabawkami. Skoro powstała technologia, to nie powinno być z tym problemu. Kraj zawsze potrzebował armii, ale zbyt na rynku cywilnym też nie będzie mały.

Spokojnie. Trochę się zagalopował.

Decyzja o ożywieniu klona nie była łatwa. Gdy to zrobi, nie będzie odwrotu.

Był świadom, że nie może zwlekać. Paully wkrótce zacznie go szukać, a on nie był jedynym hakerem w oddziale. Sprawa się rypnie i będzie za późno na cokolwiek – i dla niego, i dla kraju.

Wybrał osobnika oznaczonego jako FS/I/2282-1. Jak na imię i nazwisko to kiepsko.

I czy można nią w jakiś sposób sterować, czy działa w trybie automatycznym? No i komu będzie posłuszna? Na co się zgodzi? To dla niego sprawa życia i śmierci.

Od tego wysiłku umysłowego aż się spocił. Pieprzyć Paully'ego i pieprzyć gru. To on ryzykuje życie.

Ustawił kursor i uruchomił proces aktywacji, co natychmiast sprawiło, że schemat komory z czerwonego zmienił kolor na zielony.

Poszło. Już się tego nie cofnie. Zrobił to ze strachu czy z wyrachowania? Mniejsza z tym. Wciąż buzowały w nim emocje. Najwyżej się pomylił. I co mi teraz zrobicie?

8

Minuty płynęły i nic się nie działo. Na radarze systemu przeciwlotniczego S-400 pojawiały się różnorakie symbole, których znaczenia Czubarow nie rozumiał, ale najważniejsze, że żadna z maszyn nie kierowała się w ich stronę.

Armia działała ustalonym trybem i zanim decyzja dotrze do podwładnych, upłynie trochę wody w Wołdze.

Zresztą kto powiedział, że przylecą helikopterem? Mogą przyjechać samochodami. Dla niego nawet lepiej, będzie mniej zamieszania z przenoszeniem ich na tamten świat.

Mahmmud mruknął pod nosem, co zaniepokoiło Mustafę, który w gmatwaniu linii i wykresów nie potrafił dojrzeć niczego sensownego, więc na razie nie przeszkadzał, cierpliwie czekając na wyjaśnienia. Przez głowę przemknęła mu myśl, że może Mahmmud nie jest takim specjalistą, za jakiego pragnął uchodzić.

– Dowiem się w końcu, o co chodzi? – burknął zirytowany Tatar.

– Mamy cztery... już pięć obiektów w kontrolowanej przez nas strefie. Dwa śmigłowce i trzy samoloty. Wszystkie określono jako loty wojskowe.

– Które z nich stanowią zagrożenie?

– Dobre pytanie. To jest na pewno wojskowy transportowiec lecący w stronę Ufy. Z tego, co widzę, będzie tam lądował.

Ufa znajdowała się tylko – albo aż, zależy jak na to spojrzeć – sto pięćdziesiąt kilometrów od nich.

– Są loty z Białoriecka?

– Nie. Jeżeli już kogoś przyślą, to właśnie z Ufy lub Czelabińska. Tam wylądują i dalszą drogę odbędą śmigłowcami. W Białoriecku prawie na pewno nie ma specjalistów znających się na S-400, bo i skąd. W Ufie być może też nie. Dlatego ściągają ich, skąd się da.

– A pozostałe maszyny?

– Mi-17 – Mahmmud wskazał jeden ze znaczków. – Jeśli nie zmieni kursu, minie nas w odległości trzydziestu kilometrów. W tej chwili jest na wysokości pięciuset metrów. Wygląda na lot transportowy. Ta druga maszyna jest bliżej i najwyraźniej leci do Białoriecka. To szturmowy Ka-52. Jest też An-72, taki mały transportowiec, o tutaj, i rządowy Ił-96-300.

– Rządowy?

– Tak, salonka dla VIP-ów albo może nawet centrum dowodzenia. Rzadkość. W rosyjskim lotnictwie nie ma zbyt wielu maszyn tego typu, może z dziesięć.

– Kto może być na pokładzie? Orłów?

– Kto to może wiedzieć. – Syryjczyk tylko wyszczerzył zęby. Przedstawiał fakty, reszta zależała od Czubarowa. – Co robimy?

– Daj mi się zastanowić.

Taka okazja może się więcej nie nadarzyć. Czy nie o to chodziło Paully'emu? Przejść i użyć. Tak to określił. Za jednym zamachem sprzątną wiszące nad nimi zagrożenie i jeszcze zostanie sporo na dokładkę. Stawka warta ryzyka. Oby tylko Mahmmud i Sabri poradzili sobie z zadaniem.

– Zestrzel je.

– Które? – Syryjczyk z początku nie zrozumiał słów Mustafy.

– Wszystkie. Dasz radę to zrobić?

– Bez problemu.

Syryjczyk tak długo truł dupę rosyjskim instruktorom, że w końcu dowiedział się wszystkiego o mocnych i słabych stronach systemu. S-400 mógł jednocześnie śledzić i naprowadzać rakiety na sześć celów znajdujących się w odległości do czterystu kilometrów od nich. W tym momencie pozostawały im cztery obiekty do

zniszczenia, bowiem Ka-52 za dwie minuty siądzie w Białoriecku i zniknie im z radarów.

Pooznaczał cele i dał rozkaz do odpalenia pocisków. Wkrótce z tub startowych wystrzeliły gejzery dymu i ukazały się rakiety. Silniki marszowe nadały im prędkość mach piętnaście.

Nic więcej nie trzeba było robić. Reszta w rękach Allaha. ■

ROZDZIAŁ SZÓSTY

1

Ciągle czuł smak ust Wiery. Chwilę pożegnania zapamięta na długo. Tak bardzo nie chciał wyjeżdżać... Zrobił to z ciężkim sercem, pełen obaw i zwykłego strachu o własną rodzinę, choć wiedział, że pozostawia ją w dobrych rękach. Ernest się nimi zaopiekuje... w razie czego.

– Co podać? – Blondwłosa stewardesa w służbowym uniformie przystanęła obok Golicyna z promiennym uśmiechem przyklejonym do warg.

– Dziękuję, na razie nic. – Wypił już tyle płynów, że robiło mu się niedobrze. – Proszę tylko zawołać mojego sekretarza Sorokina, dobrze?

Uśmiech dziewczyny nieco przygasł. Zapewne nie wiedziała, którą z towarzyszących ministrowi osób prosi on do siebie.

– To tamten człowiek. – Golicyn wskazał odwróconego do nich osobnika w brązowym garniturze pochłoniętego rozmową z młodszymi dyplomatami.

– Oczywiście.

Szerokokadłubowy Il-96-300 należał do nielicznej floty rządowych maszyn, którymi przemieszczali się najwyżsi państwowi dygnitarze. Nie było w nim takich luksusów jak w salonce Orłowa, ale podróż odbywało się równie wygodnie. Kabiny wyłożono białą skórą. Ciągące się z tyłu rzędy foteli ustępowały w połowie maszyny części reprezentacyjnej z sofami, stołem konferencyjnym, barkiem i wielkim monitorem. Nieco dalej zlokalizowano centrum łączności. Biznes klasa komercyjnych linii lotniczych się przy tym chowała. Obsługę, nie mówiąc już o pilotach, wielokrotnie sprawdzano. Pasażerem był dziś minister spraw zagranicznych Aleksander Golicyn ze współpracownikami i ochroną.

Na razie poruszali się w przestrzeni powietrznej federacji, więc co złego mogło się im stać? Nic.

Prawdziwe schody zaczną się dopiero w Nur-Sułtan. Kazachstan, ich wieloletni sojusznik, a dawniej poddany, w ostatnim czasie prowadził bardziej asertywną politykę, ani chybi za sprawą płynących znan Bosforu obietnic i funduszy. Turcy wiedzieli, co robią. Spora część południowej granicy rosjii była praktycznie

odsłonięta. To przez nią wlewały się muzułmańskie dzikie hordy. Jej uszczelnienie wydawało się przedsięwzięciem nierealnym. Skąd do tego brać ludzi i sprzęt?

– Chciałeś mnie widzieć?

– Siadaj. – Aleksander wskazał miejsce obok siebie. – Wiemy już, kto będzie reprezentował Turków?

– Nadal nie jest to pewne, ale stawiam na Arata.

To pokrywało się z jego przewidywaniami. Arat był zausznikiem tureckiego przywódcy, w miarę młodym, bo ledwie przekroczył pięćdziesiątkę, i dobrze wykształconym na zachodnich uniwersytetach, a przy tym kutym na cztery nogi. Był też niebywale pewny siebie, sztywny i bez odrobiny poczucia humoru. Spotkali się raz i Golicyn tak go właśnie zapamiętał.

– Podobno niedawno przeszedł poważną operację?

– Według mnie to podpucha. – Sorokin poprawił luźno wiszący krawat. – Oni się w tym lubują. Ja na twoim miejscu bym na to nie liczył.

– Nie będzie sam. – Aleksander zrobił kwaśną minę.

– Dostanie kilku fighterów, którzy spróbują się wykazać. Na pewno postawią zaporowe warunki, a Arat będzie ich hamował, wychodząc na ostoję rozsądku. Proponuję już na początku rzucić im jakiś ochłap.

– Co masz na myśli?

– Zaczniemy od statusu Krymu.

– Orłow nie zgodzi się na jakiegokolwiek ustępstwa w tym zakresie.

– Nie muszą o tym wiedzieć, ale wytrącimy im argument z ręki. – Sorokin przywołał tę samą stewardesę, która wcześniej rozmawiała z Golicynem. – Szampana.

– Nie pij tyle – poradził Aleksander, któremu, co tu kryć, zdrowa wątroba kolegi imponowała nie raz. – Lepiej, żeby te muzułmańskie kanalie nie poczuły od ciebie alkoholu, bo gotowe się obrazić.

Sorokin puścił uwagę mimo uszu.

– Wiesz, że Pierunow wcisnął nam tu swojego człowieka? No... Po twojej minie widzę, że to dla ciebie zupełna nowość.

– Który to? – Golicyn odruchowo przyzezował w stronę tylnych miejsc.

– Nie oglądaj się.

– Zaraz mnie krew zaleje.

– Spokojnie. Po co te nerwy? – Sorokin zdjął kieliszek z tacki. – Mam wszystko pod kontrolą.

– Tylko tak mówisz.

– Posłuchaj. Rano dowiedziałem się, że młody Zołotow jest chory. Myślę sobie: cóż, zdarza się. To ten, który wcześniej prowadził attachat w Jordanii.

– Tam się nie sprawdził i wylądował na miękkim stołku w ministerstwie. – Głos Golicyna ociekał sarkazmem. – Kto go przyjął...

– To syn kolegi. – Sorokin nie wyglądał na zmieszanego. – Jeszcze się dotrze.

– Nie sądzę, by miał okazję.

– Aleś ty się zrobił upierdliwy na starość. – Połowa zawartości kieliszka znikła w gardle urzędnika. – Myślę sobie, wezmę Jewtuszenkę na jego miejsce, a tu...

Sorokinowi przerwał dźwięk alarmu i wyświetlający się napis „ZAPIĄĆ PASY”.

Serce skoczyło Aleksandrowi do gardła. Zaraz też zjawił się szef ochrony, który nie certoląc się, uchwycił ministra za łokieć i pociągnął za sobą.

– Kirył, co się dzieje?

– Nie ma czasu na wyjaśnienia.

Nagły zwrot sprawił, że pod Aleksandrem ugięły się nogi. Ił przyspieszył, a w oknach można było dostrzec dym od wystrzeliwanych z kadłuba flar z systemu obrony przeciwrakietowej. Ktoś ich atakuje?

– Do kapsuły.

Zataczając się, ruszyli korytarzem obok centrum łączności. Tuż za nim znajdowało się jedyne miejsce gwarantujące bezpieczeństwo na wypadek katastrofy. Nim tam dotarli, Aleksander wywalił się dwa razy. Racjonalne myślenie zastąpił brutalny instynkt przetrwania. Zewsząd dochodziły krzyki przerażonych pasażerów. Tuż przed nimi na czworakach posuwała się jedna z urzędniczek z wyraźnym obłędem w oczach. Na jej ciemnym kostiumie dawało się dojrzeć ślady wymiocin. Pamiętał, że ma na imię Irina i jest... a jakie to, u diabła, miało znaczenie? Była w jednym pantoflu. Drugi gdzieś zgubiła. Jej ręka uczepiła się spodni Golicyna.

– Nie chcę umierać.

Towarzyszący Aleksandrowi ochroniarz bez namysłu odtrącił ją na bok. Jej życie się nie liczyło.

– Prędeż.

Przyłożył dłoń do bocznego panelu rozpoznającego ślady linii papilarnych. Drzwi rozsunęły się w obie strony. Za nimi znajdował się fotel bezpieczeństwa. Został na niego wepchnięty. Czerwona lampka błyskała ponad jego głową jak opętana. Gdzie tu są pasy?

Guzdrał się. Sekundy upływały na bezowocnych próbach znalezienia klamry. W końcu palce trafiły na plastikowy uchwyt. Wygiął ramię, bardziej napinając mocowania. Prawie się udało, gdy potworny huk omal nie rozerwał mu bębenków w uszach, a samolot wpadł w korkociąg.

Jakimś niewyobrażalnym dla niego samego cudem spiął obie końcówki przytwierdzające go do fotela. Właz zamknął się automatycznie, odcinając Golicyna od reszty świata. Nie słyszał już nic. Tylko te wstrząsy. Był całkowicie zdany na łaskę systemów ratujących życie.

Nie wiedział, że samolot się rozpada. Prawe skrzydło odleciało pierwsze, później pękł kadłub. Część osób znajdujących się w tym miejscu wypadła na zewnątrz. Pęd powietrza zrywał z nich ubrania. Jedyne, czego pragnęli, to umrzeć jak najprędeż. Dla niektórych los faktycznie okazywał się łaskawy, gdy wpadali na masakrujące ich części rozbitej maszyny. Inni męczyli się całą minutę, zanim kruche ludzkie ciała nie zetknęły się z twardą ziemią.

Piloci walczyli do końca, lecz ich próby uniknięcia najgorszego z góry zostały skazane na niepowodzenie. Ił rozpadł się na milion kawałków, z których najmniejszy miał wielkość zapalniczki.

Golicyn, zamknięty w bezpiecznym kokonie, mógł się tylko domyślać szalejącej tuż obok katastrofy. Spadochron zadziałał automatycznie, co Aleksander odczuł jako nagłe szarpnięcie. Nawet nie był świadomy tego, że krzyczy, płacze i modli się jednocześnie. Tak bardzo pragnął dobrać do końca koszmaru, jaki stał się jego udziałem. Świadomość, że on żyje, a pozostali już nie, jeszcze do niego nie dotarła. Na pokładzie znajdowały się spadochrony, a personel został przeszkolony do reagowania podczas takich zdarzeń. Żal, że konferencję diabli wzięli. Co pomyślą o nich Turcy?

Sprawy wagi państwowej szybko przysłoniły bardziej przyziemne myśli. Samoloty nie rozpadają się w powietrzu tak same z siebie. Nie tak dawno w zbliżonych okolicznościach z życiem pożegnał się poprzedni rosyjski prezydent oraz przywódcy najbardziej uprzemysłowionych państw świata, a teraz podobna katastrofa stała się i jego udziałem. Ciężyło nad nimi jakieś fatum. Inaczej nie potrafił sobie tego wytłumaczyć.

2

Ernest stał przed dylematem. Nie wiedział, co Sonia poda na kolację, więc jak miał wybrać do niej wino? Po południu mowa była o rybach, pstrągu czy siei, ale od tamtej pory wiele się mogło zmienić. Z rozterką przyglądał się półkom, na których, pieczołowicie sklasyfikowane, leżały butelki win na wszystkie okazje. Rozsądek podpowiadał, żeby decyzję podjąć po konsultacji z gospodynią.

– Naszła cię ochota na kielicha?

– Spadaj, Cyrus. Twoje poczucie humoru zrobiło się ostatnio mało zabawne.

– Tylko chciałem pomóc, jakbyś miał opory, żeby samemu się zalać. Po prostu żal mi ciebie.

– Dlaczego? – Plazma cały się zjeżył.

– Już niedługo twoje życie stanie się przewidywalne aż do bólu. Żona, dzieci... Gdzie tu miejsce na prawdziwe emocje? Wiej, póki czas. – Amerykanin klepnął Wolskiego w ramię i odszedł, podśpiewując pod nosem hymn marines.

– Zazdrościsz mi – rzucił Ernest w ślad za nim.

Parker, nie odwracając głowy, pokazał mu środkowy palec i głośno się roześmiał.

Cwaniak. Teraz zgrywał chojraka, ale całkiem niedawno sam chodził jak struty. Aż strach się było do niego zbliżyć. Dziś tamte dni miał już za sobą, ale kto powiedział, że nie wróca?

Plazma okręcił się na pięcie i poszedł szukać Anny. Mijając salon, usłyszał sygnał stacjonarnego telefonu. Zatrzymał się, zastanawiając się, czy nie odebrać. To w końcu również należało do jego obowiązków. Okazało się, że nie musi. Uprowadzony przez Wierę pomaszerował w kierunku schodów. Postawił właśnie

nogę na pierwszym stopniu, gdy nienaturalnie wysoki kobiecy głos zatrzymał go w pół kroku.

– Kiedy... na litość boską... jak to się stało?

Zawrócił pełen najgorszych przeczuć. Wiera stała przy aparacie, ściskając słuchawkę. Wyglądała, jakby zaraz miała zemdleć.

Plazma już dawno nauczył się, że dzwoniący telefon to znak kłopotów jak kiedyś telegram – zwiastun nieszczęść. Fale emocji rozeszły się przez jego ciało podobne kręgom na wodzie. Za długo było spokojnie.

– Dlaczego? – krzyk rozpaczy Wiery odbił się od ścian.

Nogi same zanosły Ernesta na piętro. Anna musiała coś usłyszeć, bo już wstawała od biurka.

– Lepiej, jak zejdziesz.

– Po co?

– Szykują się problemy. Jeszcze nie wiem jakie, ale to na pewno coś poważnego. Twoja mama...

– Już schodzę.

Przemknęła obok niego ze zwinnością gazeli. Nim i on zszedł, zajrzał jeszcze do pokoju, który teoretycznie dzielił z Cyrusem.

– Zbierz wszystkich.

– Pablo i James pojechali na strzelnicę.

– To ich wezwij. Mamy krytyczną sytuację. Chcę widzieć wszystkich... za parę minut. No już!

Pierwsze, co zrobił Parker, to sięgnął po pistolet i karabinek. Wyjaśnienia mogły poczekać. Skoro coś się kroi, to na początek należało wzmocnić ochronę i przygotować środki transportu. Kto wie, czy nie trzeba będzie wiać.

Plazma zbiegł na dół, przeskakując po dwa stopnie. Anna już obejmowała matkę.

Wyjrzał na zewnątrz. Nic się tam nie działo, więc to nie przewrót i nikt nie przyjechał aresztować rodziny Golicynów.

– Oliwia, przydasz mi się. – Skinął na byłą agentkę wywiadu.

– Jasne. Wiadomo już, o co chodzi?

– Jeszcze nie, ale zaraz się dowiemy.

Wrócił do salonu pełen obaw, co tam zobaczy. Westchnął, widząc obejmujące się Wierę i Annę. To jeszcze trochę mogło potrwać, może pięć minut, może dziesięć. W tych sprawach nie miał zbyt dużego doświadczenia. Kobietom inaczej płynie czas.

Dobrze, że przyprowadził ze sobą Oliwię, ona szybciej je zrozumie. Na wszelki wypadek stanął w progu, tak żeby mieć widok na salon i drzwi wejściowe.

Przestraszył się, usłyszawszy pisk opon na podjeździe, ale prędko okazało się, że to Pablo i James wrócili z treningu, po czym natychmiast obsadzili wyznaczone posterunki.

– Możesz podejść na słowo? – Oliwia pociągnęła Plazmę za ramię. – Jest źle. Wiera ci wszystko opowie.

Usiedli pochyleni ku sobie niczym spiskowcy planujący akcję odwetową.

– Ten telefon był z ministerstwa. – Wiera zaczęła i zaraz się zawiesiła. Dobrze, że Oliwia podała jej szklankę z zimną wodą. Rosjanka opróżniła ją duszkiem i po chwili milczenia kontynuowała już pewniejszym głosem: – Sami niewiele wiedzą, ale samolot, którym Aleksander leciał na konferencję, uległ katastrofie.

– To pewne? – wyrwało się Plazmie.

– Na sto procent. Na razie nie podano informacji do mediów. Czekają z tym, aż na miejscu znajdą się służby ratunkowe.

Spojrzenia Ernesta i Oliwii skrzyżowały się. To informacja na wagę złota. Warszawa musi dowiedzieć się o tym natychmiast, bez zbędnej zwłoki.

– Co się stanie później?

– Orłow wystąpi z przemówieniem.

– Muszą znaleźć przyczynę katastrofy.

– Mówią o zestrzeleniu.

Plazma delikatnie poklepywał Annę po plecach, lecz siedział jak na szpilkach. Jego mózg pracował na zwiększonych obrotach. Śmierć ministra wiele zmieniała. Co prawda, nikt jeszcze jej nie potwierdził, ale ile osób wychodziło cało z takich katastrof?

Analogie nasuwały się same. I co to znaczy, że samolot został zestrzelony?

Zestrzelony? Przez kogo? Kto ma takie długie ręce?

Czyżby Turcy skorzystali z okazji, żeby pozbyć się jednego z bliskich współpracowników prezydenta Orłowa? To nie miało sensu. Nie robi się takich numerów. Najbardziej zajadli wrogowie muszą ze sobą rozmawiać. Pomijając już pogwałcenie wszelkich zasad, to kanały dyplomatyczne muszą być otwarte.

Może chodziło o bombę na pokładzie? Taka opcja wydawała się bardziej możliwa. Kto ją podłożył, to już inna sprawa. Golicynowi nie brakowało wrogów. Miał ich wielu, nie tylko w rządzie, ale i w samym ministerstwie. Teraz dopiero zacznie się jazda. Wzajemnym oskarżeniom nie będzie końca. Ucierpi autorytet Orłowa, ale czy Turcja na tym skorzysta, to już czas pokaże.

– Z kim Aleksander... – Nie dokończył, bo oto dzwonek telefonu rozległ się ponownie.

Nikt nie podniósł słuchawki. Wszyscy gapili się jak zahipnotyzowani w aparat, czekając, aż szarpiący nerwy sygnał zamilknie sam z siebie. Nie zamilkł, więc chcąc nie chcąc, padło na Plazmę.

– Rezydencja Golicynów – wysilił się na najlepszy rosyjski akcent, na jaki było go stać.

– Mówi Orłow.

Plazmie aż skóra ścierpła. Prezydenta po głosie poznał od razu.

– Wiera, to do ciebie.

– Kto?

– Wasz przywódca.

Chciał wstać i odejść, nie czując się upoważnionym do uczestnictwa w takiej rozmowie. Na miejscu zatrzymała go dłoń Anny. Skoro ona sobie tego życzy, nigdzie nie pójdzie.

Wiera słuchała i pochlipywała, co jakiś czas potakując. Wyraźnie nie była w formie. Smutne wieści spadły na nią tak niespodziewanie. Zresztą, prawdę mówiąc, kto jest gotowy przyjąć spokojnie coś takiego?

Prezydent pocieszał ją całe dziesięć minut. Najwyraźniej coś to dla niej znaczyło, bowiem uspokoiła się i już tak nie spazmowała jak jeszcze przed chwilą.

– Co powiedział? – zapytała Anna.

– Że dołożą wszelkich starań.

Plazma zmilczał. Zawsze tak mówią, przecież są politykami. Co dzień sypią obietnicami z rękawa.

– Właśnie rozpoczynają akcję ratunkową. Na miejscu powinni się znaleźć w pół godziny, bo samolot spadł w trudno dostępnym rejonie.

– Ale na terenie federacji? – Wolski wolał się upewnić.

– Tak, na południowym Uralu, w Baszkirii.

– Mogło być gorzej.

– Sądzą, że ktoś przeżył.

Tę uwagę akurat wolał pominąć milczeniem. Ludzie zwykle wolą karmić się złudzeniami aż do samego końca.

– Samolot wyposażono w jakieś dodatkowe specjalne systemy. Prezydent szczególnie to podkreślił – nakręcała się Wiera, co Plazma uznał za kolejny objaw stresu. – Jest tam kapsuła. Wystarczy do niej wsiąść i jest się bezpiecznym. Ile w tym prawdy, nie wiem, ale nie sądzę, by mnie oszukał.

Jeżeli kobieta czegoś nie pokręciła, to szanse Aleksandra na wyniesienie cało głowy z tej afery znacznie wzrosły.

– Wiadomo, kto nadzoruje akcję ratunkową?

Rosjanka zaprzeczyła, zresztą Plazma niczego innego się nie spodziewał. Takimi katastrofami zajmowało się Ministerstwo do spraw Sytuacji Nadzwyczajnych. Wystarczy znaleźć tam osobę życzliwą Golicynowi, a dostaną informacje z pierwszej ręki. Nim się do tego zabierze, należy pogadać z Warszawą.

– Przepraszam – bąknął pod nosem i wyszedł. Jego komórkę podobno zabezpieczono przed podsłuchem, ale kto ich tam wie. Znalazł aplikację i numer. Mateusz Kruczkowski, jego szef, na pewno się zdziwi.

A może nie?

– To ja – powiedział, gdy tylko uzyskał połączenie.

– Macie kłopoty?

– Siedzimy w nich po same uszy. Ten samolot z Golicynem na pokładzie, co leciał na rozmowy z Turkami, uległ wypadkowi, to znaczy raczej został zestrzelony. Na razie nikt nie wie, co się z nim stało.

Po drugiej stronie linii zapadła głucha cisza, wyraźny symptom, że podpułkownik Kruczkowski przyswaja wieści. Trwało to z pięć sekund, co

Ernestowi wydało się całą wiecznością.

– Jak oceniasz obecny stan bezpieczeństwa?

– Gadałem z Orłowem...

– Z kim?

A jednak. Zrobiło wrażenie.

– To miejscowy boss.

– Taa... Zaprzyjaźniłeś się z nim?

– Pracuję nad tym. Dobra, tylko odebrałem telefon – wyjaśnił. – Obiecał Golicynom wszelką pomoc. Wcale się nie zdziwię, jak pod domem postawią dodatkową ochronę.

Dopiero gdy to powiedział, zorientował się, jak bardzo skomplikuje im to życie. Nagła ewakuacja już nie wchodziła w grę. Zostaną zablokowani, nim zrobią pierwszy krok.

– Coś jeszcze?

– Chyba tyle.

– Informuj mnie na bieżąco.

– Jasne.

Gównu właśnie wpadło w wentylator, a Ernestowi nie pozostało nic innego, jak tylko obserwować skutki.

3

Takiej frajdy Mustafa Czubarow nie miał od dawna. Zniszczyli trzy z czterech celów. Wow! Panował nad całą przestrzenią powietrzną południowego Uralu. Kto mu teraz podskoczy?

– Dobra robota.

Mahmmud uśmiechnął się kwaśno. Było dobrze, ale mogło być jeszcze lepiej. Zestrzelone cele nie należały do wymagających, a piloci nie spodziewali się ataku. Chwila prawdy nadejdzie, gdy na niebie pojawią się Su-30 lub maszyny szturmowe. To dopiero będzie jazda. Skuteczność S-400, choć system reklamowano jako niezawodny, pozostawiała wiele do życzenia. Do tej pory rosyjskie systemy przeciwlotnicze najlepiej sprawdziły się, niszcząc rosyjskie samoloty, jak tego rozpoznawczego Iła 20M nad Morzem Śródziemnym. Ależ

wówczas była afera... Dobrze, że nie było go wtedy na służbie, bo i jemu by się oberwało. Tor M1 sprzątnął nad Teheranem pasażerskiego boeinga, a Buk ukraińskich separatystów unicestwił malezyjskiego airbusa. Można powiedzieć, że sukces gonił sukces. Chyba nie o tym marzyli ich konstruktorzy.

Chrząknął, próbując zwrócić na siebie uwagę.

– No co tam? Powiem Paully’emu, że to całkowicie twoja zasługa – zapowiedział Czubarow.

– Sabri mi pomógł – odpowiedział skromnie Syryjczyk. – Tak sobie pomyślałem, że warto przeszukać wrak tej rządowej maszyny. Na pokładzie na pewno zamontowano tajną aparaturę. Znajdą się komórki z wrażliwymi danymi, może dowiemy się, kto leciał – kusił. – Warto przyjrzeć się temu z bliska. To nie jest znowu tak daleko, najwyżej dwadzieścia kilometrów, może mniej.

Czubarow ściągnął brwi.

– Jaką masz pewność, że to wszystko nie porozpadało się przy zderzeniu z ziemią?

– Żadną – odparł Mahmmud zgodnie z prawdą. – Ale jak nie sprawdzimy, to się o tym nie przekonamy.

– Wspomnę o tym komu trzeba.

Mustafa, chwilę się zastanowiwszy, uznał pomysł za całkiem dobry. Nie myślał o łupach, ale o tym, że oto nadarza się kolejna okazja, by przytrzeć rosjanom nosa. Dotarcie na miejsce katastrofy zajmie ratownikom trochę czasu. Zajęci zbieraniem szczątków zapomną o niebezpieczeństwach czyhających w tutejszych lasach. Warto ich zaskoczyć po raz kolejny.

Kremliny muszą sobie uświadomić, że to już nie jest ich kraj.

4

Yaşar Güler, naczelny dowódca tureckich sił zbrojnych, uważał, że przez życie należy przejść tak, by nie pozostawić po sobie zbyt wielkiego smrodu. Czasami jednak nie ma innego wyjścia. Najbardziej obawiał się tego, że stracą inicjatywę, a wtedy stanie się to samo, co już przerabiali parę razy podczas wojen bałkańskich. Za najbardziej zagrożony uważał Sambuł. To nic, że Ankara była stolicą, to nad Bosforem biło serce kraju.

Ilekcio przelatyawał nad zrujnowanymi dzielnicami, nie potrafił opanować gniewu. Do pewnego momentu oficjalnie popierał sojusz z federacją rosyjską, tak wygodny dla obu stron, jednak gdy na czele państwa stanął charyzmatyczny Sulejman Dżabbar, wszystko się zmieniło. Stali się mocarstwem i świat powinien o tym usłyszeć. A skoro chcą reaktywować imperium, w każdej chwili muszą być gotowi do wojny. Grekom przytarli nosa, spychając ich z wysp otaczających Turcję do głębokiej defensywy. Trochę się przy tym wykrwawili, ale było warto.

Niemniej Grecy to jedynie kłótlivy narodek, żadne wyzwanie. Rosja to zupełnie inna liga. O nauczke prosiła się od dawna. Yaşar wiedział, o czym ruscy marzą: kolejny raz będą próbowali wyjść nad błękitne wody Morza Śródziemnego, zabezpieczając w ten sposób swoje interesy w tym regionie kosztem Turcji. Ryzykowne, ale do przewidzenia. Gdy zabraknie Turcji, zmięknie też Kijów. Güler nie sądził, by rosjanie próbowali opanować cały kraj, aż tak głupi nie są. Im chodziło o wąski przesmyk oddzielający Europę od Azji. Połączą się wówczas ze swoimi greckimi i serbskimi sojusznikami. Kiedyś byli blisko i ten przypadek wciąż nadawał kierunek ich myśleniu. Prowokacja, jakiej się dopuścili, była obrzydliwa i należało na nią odpowiedzieć z całą stanowczością.

Nad planem wojny z rosją pracował już od jakiegoś czasu. Grono asystentów, jakie mu towarzyszyło, nie należało do dużych. Taką sprawę powinno się trzymać jak najdłużej w tajemnicy. Nie był naiwny i zakładał, że rosjanie na pewno robili to samo.

Obecnie szlifował piątą wersję, która doczekała się własnej nazwy „Miecz Proroka”.

Trochę się im ten miecz stępił w bezsensownych akcjach odwetowych nad Krymem i Morzem Czarnym. Niepotrzebnie prezydent, w niektórych kręgach zwany Kalifem, tak się spieszył. Ponieśli dotkliwe straty, które byłyby nie do odrobienia, gdyby nie życzliwa pomoc sojuszników. Rosjanie też ucierpieli. Parę najbardziej elitarnych dywizjonów zostało wykrwawionych, a że Moskwa nie miała sojuszników, w czasie drugiej rundy Ankara może posłać ją na deski.

Na korzyść Turków działała też muzułmańska rebelia nekająca federację. Bez niej na pewno nie zdecydowaliby się na taki krok. Buntownicy wiązali znaczną część sił, które inaczej zostałyby rzucone na front. Kijów też nie pozostanie bierny.

Donbas i Ługańsk wciąż pozostawały pod władzą separatystów. W stosownej chwili Ukraińcy rozprawią się z nimi, co dodatkowo osłabi Moskwę.

Generał uznał, że Krym jest najważniejszy. Jego odbicie zmieni układ sił w regionie. Jak się nim podzielić z Ukrainą, o to nie dbał. Wytyczanie granic stanowiło domenę polityków. Tureckie siły powietrzne i wojska specjalne mogą nękać wroga na półwyspie, ale to ukraińskie oddziały pancerne i zmechanizowane muszą zdławić opór. To będzie jatka, ech...

Za nie mniej ważne uznał uderzenie z podstawy na Kaukazie, na północ w kierunku Machaczkały i Kizlaru i – jeżeli się da – zwrot na Krasnodar.

Plan był śmiały, ale tylko śmiałym sprzyja szczęście.

Güler wciąż miał głowę nabitą wątpliwościami. Szkoda, że Gruzja nie była po ich stronie. Jakaż to niesprawiedliwość losu. W tej rozgrywce lepiej więc niech siedzą cicho, podobnie jak Ormianie. Na tych przyjdzie kolej szybciej, niż się tego spodziewają.

A swoją drogą, jak to się wszystko pozmieniało... Ameryka odpadła pierwsza. Dobrze, że Turcja w porę postawiła na własny przemysł zbrojeniowy. Najgorzej było z lotnictwem, ale w miarę szybko dawało się uzupełnić braki. Katar, sojusznik znad Zatoki Perskiej, jeszcze przed wybuchem epidemii zaopatrzył się w nowoczesne maszyny Dassault Rafale, Typhoony oraz F-15QA. Wcześniej na wyposażeniu posiadał Mirage 2000-5, więc w ramach bratniej pomocy część maszyn trafiła do Turków.

Bezzałogowce, i to na światowym poziomie, produkowali sami. Niestety F-35, i to zarówno w wersji A, jak i B, przepadły bezpowrotnie. Ich jedyny jak na razie śmigłowcowiec uderzeniowy „Anadolu” będzie dysponował wyłącznie helikopterami, zatem w nadchodzących bitwach raczej się nie przyda. Mówi się trudno.

Dobrze, że Francuzi przestali się boczyć i do Turcji szeroką strugą popłynęły dostawy uzbrojenia. Stocznie cięły blachy na nowe okręty i choć na ich wprowadzenie do służby trzeba będzie poczekać, to się nie martwił. Najważniejsze, że nad Sekwaną zrozumiano powagę sytuacji i rozpoczęto poszukiwanie nowego sprzymierzeńca. Paryż nie chciał zostać sam w szybko zmieniających się realiach. Co prawda, umowę zawarto jeszcze przed rosyjskimi wyskokami, lecz każdy w

Pałacu Elizejskim miał świadomość, że ta wojna wszystko zmieni. Stary świat, jaki znali, runie. Stany Zjednoczone nie wstaną z kolan, Chiny może i by chciały przejąć rolę światowego lidera, ale wciąż nie zdecydowały się na jakieś radykalne kroki, tymczasem opór przeciwko Pekinowi wciąż rósł. Koalicja niezadowolonych z Tajwanem i Japonią na czele nie pozwalała zepchnąć się do narożnika.

Jeśli... tfu... Nie „jeśli”, tylko „kiedy” pokonają rosję, nic już nie będzie takie samo.

Güler gapił się na mapę zawieszoną w jego gabinecie i układał w myślach nowe granice. Jedną nogą muszą mocno stanąć na Bałkanach, tak by uzyskać połączenie z Bośnią. Z drugiej strony...

Pukanie do drzwi rozzłościło Yaşara, lecz niczego nie dał po sobie poznać.

– Wejść.

– Panie generale.

– Oby to było ważne.

– Nasłuch melduje, że w Baszkirii doszło do katastrofy.

– Co nas to może obchodzić?

– Spadł rządowy Il-96 z ministrem Golicynem na pokładzie.

To po konferencji. Ich delegacja mogła już wracać do domu.

– To wypadek czy zamach?

– Pierwsze sugestie analityków są takie, że doszło do przetasowań w strukturach władzy, a Golicyn padł ofiarą czystek.

– Kto by się spodziewał...

– Mówi się również, że Orłow stał się zakładnikiem *siłowników*. Mam tu najnowsze opracowania naszego wywiadu. – Oficer wyjął plik kartek z tekturowej teczki, jaką przyniósł ze sobą, i położył je na biurku. – Wynika z nich jednoznacznie, że szykują się do ofensywy.

Yaşar Güler zaczął przeglądać rozłożone materiały.

– Opróżniają magazyny zasobów strategicznych. Specjaliści twierdzą, że takiego ruchu na kolei nie było tam od dawna. Zmobilizowano wszystko, co się dało, nawet wycofane wcześniej lokomotywy. W prywatnych przedsiębiorstwach transportowych rekwirują ciężarówki. Rosgwardia wkroczyła do fabryk i kopalń, które od razu przeszły na trzymianowy system pracy.

– Jak wygląda przebazowanie ich lotnictwa frontowego? – zapytał Yaşar, nie mogąc znaleźć odpowiednich opracowań.

– Pod tym akurat względem nie dostrzeżono większych zmian.

Güler nie był tym zaskoczony. Rosjanie swoje siły ustawili odpowiednio wcześniej. Turecki wywiad monitorował oczywiście ruch w bazach WWS, ale nie był to poziom odpowiadający oczekiwaniom generała. Bezzałogowców nie wysłał tak daleko na północ. Brakowało mu satelitów mogących bez problemu zajrzeć rosjanom przez ramię, za to on doskonale wiedział, co się u niego dzieje. Zdecydowanie mści się brak zdolności ASAT i w czasie tej wojny to się raczej nie zmieni. Może gdyby pogadać z Chińczykami?... Pekin, podobnie jak Paryż, na kimś się przecież musi oprzeć. Żółtki na pewno przyglądają się wydarzeniom z zainteresowaniem, na razie tylko czekając na wynik walk. Gdyby jakoś ich przeciągnąć na swoją stronę... Choćby dla najnowszych samolotów. Warto popracować na tym kierunku. Może nie teraz, bo wyniki i tak nie zdążą wpłynąć na obecną batalię, ale w najbliższej przyszłości jak najbardziej.

– Wiadomo, co robi Orłow?

– Zaszył się na kremlu. Od paru godzin trwają tam ciągłe narady. Na ulicach odnotowano wzmożony ruch patroli policyjnych i rosgwardii.

– Boją się zamieszek?

– Trudno powiedzieć.

Wzrok Gülera ponownie skupił się na mapie. Sytuacja wyglądała całkiem interesująco. Rosyjski kolos wisiał nad muzułmańskim światem jak Lewiatan. Sami nie zdołają go pokonać nawet teraz. Potrzebowali jak najwięcej sprzymierzeńców. Szkoda, że Egipt, Iran czy Arabia Saudyjska nie są z nimi. Do prowadzenia wojny po pierwsze potrzebne są pieniądze, po drugie pieniądze, a po trzecie pieniądze. No i sprawny łańcuch dostaw oraz wyszkolony personel. Front przemieli to wszystko, kto nie polegnie, zostanie wypluty. Każdy, kto się tym interesuje, wie, jak to działa.

Islamskie bojówki w rosji szalały, ale i peszmergowie stali się nad wyraz aktywni, wiążąc część sił bezpieczeństwa na południowej granicy. Kurdów nie zmogło ISIS ani regularna turecka armia.

Kiedyś ich sojusznikiem były Stany Zjednoczone, tę rolę przejęli obecnie rosjanie.

To się wreszcie musi skończyć. Zero pobażania. I choć chciał się z nimi rozprawić natychmiast, to wiedział, że musi poczekać. Nie ma wyboru, przyjdzie wycofać część protureckich bojówkarzy z Libii i Syrii i przerzucić ich na północ, do Azerbejdżanu, gdzie wspomogą regularne siły. Był pewien, że zrobią na Kaukazie taki dym, że jeszcze za sto lat rosyjskie matki będą nimi dzieci straszyć.

– Proszę mnie umówić na spotkanie z prezydentem.

– Oczywiście. – Adiutant stuknął obcasami. – Na którą?

– Wieczorem. Jak się da, to na dwudziestą pierwszą. To pilne.

– Zrobię, co w mojej mocy.

Nie ma chwili do stracenia. Jeżeli wywiad się nie mylił – a Yaşar nie miał powodów, by tak sądzić – konieczne było uprzedzenie ataku rosjan, żeby zadać im jak największe straty. Inaczej Turcja stanie na krawędzi zagłady, nic z niej nie zostanie. Aż ciarki przeszły generałowi po plecach, gdy o tym pomyślał.

Przypadek Golicyna wcale go nie zaskoczył. Ot, reformator pożegnał się z życiem. Górę wzięli ci, którzy nadzieje na przyszłość widzieli w opcji militarnej. Świetnie ich rozumiał. Właściwie zbytnio się od nich nie różnił.

5

Obudziła się głodna.

Było jej też zimno i niewygodnie. Na końcu języka, a może w głowie, czuła gorzki smak samotności. Niewiele pamiętała, ale też blade obrazy przeszłości nie przedstawiały dla niej większej wartości. Najbardziej dotkliwie odczuwała brak siły. Czuła, że gdzieś w niej drzemie energia, z której na razie nie potrafiła wykrzesać nawet iskry. Nie wiedziała, ile czasu upłynęło, odkąd się obudziła, może coś, co się nazywa godziną, może dwie takie godziny, które upłynęły jej na próbach wydostania się z inkubatora. Zamknięcie w tym ciasnym i mrocznym sarkofagu to najgorsze, co ją do tej pory spotkało.

Kiedy udało jej się wreszcie go otworzyć, nie wygramoliła się zmachana, tylko zwinnie wysunęła. Wtedy uświadomiła sobie, że było to możliwe, gdyż jej ciało, do tej pory – jakby od zawsze – nieruchome i bezwładne, z każdym ruchem zaczęło wypełniać się siłą, jakby ktoś ją wpompowywał w organy i kończyny.

Żarzące się na czerwono światełka wskazywały drogę. Niepotrzebnie. Świetnie poradziłyby sobie bez nich. Wiedziała, dokąd ma iść i co robić. Na początek powinna pozbyć się jakoś galaretowatej substancji, która oblepiała całe ciało i dodatkowo je wyziębiała.

Rozejrzała się jeszcze po sali, gdzie spoczywały tysiące podobnych do niej istot.

Tak to chyba należało określić. Nigdy wcześniej ich nie widziała, tego była pewna, nie widziała w ogóle nikogo, coś jednak mówiło jej, że świat zamieszkują ludzie, a ci tutaj to nie ludzie. Coś jej mówiło... Co? Nagle odezwała się w niej pewność, myśl w postaci gotowej formuły, że tym zamkniętym towarzyszom jest do ludzi tak samo daleko jak dziecku do dorosłego. I że wyglądają jak ludzie, mówią jak ludzie i czasami zachowują się jak ludzie, jednak nimi nie są.

Kim więc się narodziła?

Na tak postawione pytanie dopiero musiała znaleźć odpowiedź. Łatwe to nie będzie. Skąd wiedziała, co ma robić, skoro nikt jej tego nie nauczył? A wiedziała dużo, jak jej się zdawało. Przynajmniej na razie kierowała się odruchami. Nie miała nic innego – też na razie.

Odnalazła łazienkę. Strumień zimnej wody sprawił, że przeszył ją pierwotny lęk. Na szczęście szybko się opanowała. Musi wytrzymać jak najdłużej, to ją zahartuje. Nałykała się wody i przepłukała usta. Od razu poczuła się lepiej. Znikł gorzki posmak z podniebienia, co okazało się całkiem przyjemne. Przez następne minuty tarła ciało znaną w kącie szmatą, aż uznała, że wystarczy.

Stojąc przed lustrem, przyglądała się sobie obojętnie. Tak więc wyglądała. Widok nie zrobił na niej wrażenia, ale starała się go zapamiętać.

Ubrała się w kamuflujący mundur i sięgnęła po broń. Sprawdziła karabinek i załadowała. Przyszło to samo z siebie. Wiedziała, że potrafi o wiele więcej. Ta myśl uspokajała.

Impuls do działania pojawił się niespodziewanie. Wiedziała co, gdzie, kiedy i – najważniejsze – jak.

Najgorsze było jednak to, że wciąż ssało ją w żołądku. Może krew ugasi jej pragnienie?

Spróbuj. Nic jej to przecież nie kosztowało. ■

ROZDZIAŁ SIÓDMY

1

– Spróbujcie nie ulegać emocjom.

– Łatwo ci mówić – fuknęła Anna, której frustracja osiągnęła absolutny szczyt.

– Wszyscy się pchają ze swoimi zbędnymi radami.

– Przynajmniej ich wysłuchaj. Nie każdy życzy wam źle.

Od pierwszego telefonu minęły trzy godziny, a oni wciąż nie wiedzieli nic pewnego. Ekipy działały, ale obszar, na którym spoczywały szczątki Iła, okazał się ogromny. Już pojawiły się głosy, że nie do każdego fragmentu rozbitej maszyny uda się dotrzeć. W akcji przeszkadzał teren – lesisty i górzysty, ciągnący się dziesiątkami wiorst, ze słabą infrastrukturą i nielicznymi osadami. Do tej pory nie znaleziono nikogo żywego, co jeszcze o niczym nie świadczyło. Jeżeli Aleksander dotarł do kapsuły, miał spore szanse na ratunek.

I tu pojawiło się małe ale. Kapsuła wyposażona była w nadajnik ułatwiający lokalizację, lecz jak twierdziły osoby odpowiedzialne za przebieg akcji, sygnału nie udało się zarejestrować.

– Odnoszę wrażenie, że przynajmniej połowa naszych znajomych jest w tej chwili przekonana, że to wstęp do czystek – powiedziała Wiera, ocierając oczy chusteczką. – Aleksander mówił mi nieraz, że gdy go zabraknie... – Nie skończyła. Wciąż targały nią emocje.

– Tam na pewno są odpowiedzialni ludzie. Spróbujmy do nich dotrzeć – powiedział Ernest.

– Większość z nich znajdowała się w samolocie.

Plazma z westchnieniem przewrócił oczami.

– O kim wspominał najczęściej, uważając go za sojusznika? No... musi być taka osoba.

– Popow.

– Kto to taki? – Nazwisko nic Wolskiemu nie mówiło.

– Igor Popow. Minister rolnictwa. Często się konsultowali, uzgadniając wspólne stanowisko.

– To już coś. – Plazma od razu się ożywił. – Masz prywatny numer?

– Oczywiście – odpowiedziała. – Dał mi go Aleksander. Tak na wszelki wypadek. O co mam zapytać?

– O osobę odpowiedzialną za akcję ratunkową, ale nie tam, na miejscu, tylko tu, w moskwie.

– Dobrze.

Wiera wyjęła z torebki różowy smartfon Apple'a. Patrzyli w napięciu, jak szuka numeru, przesuwając palcem spis połączeń. Musiała mieć ich tam setki. Wywiad za dostęp do aparatu dałby każde pieniądze.

– Igor ... – Już nie brzmiała jak płaczliwa nastolatka, tylko zdecydowana na wszystko kobieta. – Mówi Wiera. Pamiętasz...

Nie chciał jej krępować, więc wstał i oddalił się na parę kroków.

– ...ja też.

– Myślisz, że coś z tego będzie? – Oliwia stanęła obok niego. Zauważył głębokie cienie pod jej oczami. Najwyraźniej napięcie ostatnich godzin i jej się udzieliło.

– Nie wiem, ale zawsze warto spróbować.

Stali odwrócenii bokiem, niby nie przejawiając zainteresowania, choć czujnie łowili uchem każde wypowiedziane słowo.

– Wiesz, w jakiej sprawie się kontaktuję – ciągnęła Wiera. – To dla mnie wiele znaczy. Aleksander zawsze cię cenił.

Oby nie przesadziła z pochlebstwami, bo mogą wywołać skutek odwrotny do zamierzonego.

– Zrobisz to dla mnie? Będę zobowiązana. Jesteś prawdziwym przyjacielem.

Koniec. Ziarno zostało zasiane.

– Zorientuje się i da znać. To może chwilę potrwać – zaznaczyła. W jej głosie nie wychwytał słabości.

Zbliżała się pora wieczornych wiadomości. Telewizor grał i tak, lecz miał wyciszoną fonię. Twarz Orłowa na ekranie natychmiast skupiła ich uwagę jak magnes opiłki żelaza. Prezydent oblicze miał zacięte i godne zarazem, przywodzące na myśl wielkiego męża stanu.

Plazma dyskretnie ziewnął.

– Przyjaciele – zaczął Orłow.

O, będzie grubo – pomyślał Ernest. Głowy państw generalnie nie zwracają się do motłochu takimi słowami, a już na pewno nie w Rosji. Plebs nic dla nich nie znaczy. Skoro już zdobyli władzę, nie będą się podlizywali narodowi bez potrzeby. Orłow szybciej oskarży Turcję o cokolwiek, spiski i zbrodnie, niż przyzna się do błędów po swojej stronie, a tymczasem prawda leży tam, gdzie leży. Na pewno nie pośrodku, jak by chciało porzekadło.

W przemowę – tradycyjnie o wszystkim i o niczym – wdarł się dzwonek komórki Wiery. Aż podskoczyli z wrażenia.

– Tak?

Popow szybko się uwinął. Najwidoczniej posiadał niezłe doświadczenia ułatwiające poruszanie się w kremlowskiej dżungli pełnej drapieżników.

– Rozumiem... tak... oczywiście... Będę pamiętała. Dziękuję. Mam nadzieję, że wkrótce się zobaczymy – przy ostatnich słowach Golicyna odrobinę się zacięła.

Skończyli równo z prezydentem.

– Co powiedział? – Wolski omal nie wyszedł z siebie, lecz nie dawał tego po sobie poznać.

– Akcją z daleka i dyskretnie kieruje Pierunow. Na miejscu działają jego ludzie. Oczywistym jest, że znalezienie Aleksandra całego nie jest dla nich priorytetem.

– Rozumiem.

– Igor dał mi wyraźnie do zrozumienia, że są politycznymi wrogami. Ich cele są rozbieżne. Pierunow dąży do wzmocnienia własnej pozycji, a Aleksander... – Zrezygnowana machnęła ręką. – Sami wiecie.

– Można liczyć na jego pomoc?

– Pierunowa? – Wiera zdziwiła się niepomiernie.

– Popowa.

– Powiedział, że tak, ale kto go tam wie. Jest zaniepokojony, tak to określił. Nie powiedział wprost, że się boi, choć to dawało się wyczuć. Oni wszyscy są tacy sami.

– Tata nie może umrzeć – oświadczyła Anna. – Słyszycie? Ja na to nie pozwolę.

– Niczego pewnego nie wiemy. – Plazma wykonał uspokajający ruch ręką.

– Ale tak się stanie, gdy ludzie Pierunowa dotrą do niego pierwsi. Źle mówię? No, nie patrzcie tak na mnie.

– Prezydent na to nie pozwoli – powiedziała Wiera. – To przyjaciel.

– Czy ty się słyszysz, mamó? Jaki przyjaciel? Tam nie ma przyjaciół. Każdy chce podkopać drugiego, bo jest ogarnięty żądzą władzy. A ta władza przysłania im zdolność logicznego myślenia.

– Mnie się akurat wydawało, że jest odwrotnie – swoje trzy grosze dorzucił Ernest. – Ale dyskutować nie będę.

– Mamó, chyba nie zostawimy taty na pastwę tych zwyrodnialców? Sama mówiłaś, że najważniejsza jest rodzina.

– No tak...

– Poczekaj, nie tak prędko. Powiedz, co masz konkretnie na myśli. – Plazma spróbował sprowadzić rozmowę na bardziej racjonalne tory.

– Pojadę i osobiście dopilnuję spraw na miejscu.

– Ty?

– A co? Masz wątpliwości? Może myślisz, że sobie nie poradzę?

– To bez sensu.

– Co twoim zdaniem jest bez sensu? Tata... – Anna wybuchła płaczem i przez dłuższą chwilę nie dawało się jej uspokoić. Próbował ją pocieszyć, lecz z mizernym efektem.

– Nie możesz tam jechać.

– Dlaczego? – zapytała z błyskiem uporu w oku niczym mała dziewczynka. – Ty mi zabronisz?

– Bo to niebezpieczne.

Już w chwili, gdy to mówił, domyślił się, co Annie chodziło po głowie. Oliwia też od razu załapała.

– To nie...

– Zanim coś powiesz, przemyśl to dwa razy, bardzo cię proszę. Zrobisz to dla mnie?

– Przecież wiesz.

Miękł. Tak się dzieje, gdy seks przesłania zdrowy rozsądek. Wkrótce się dowie, co o tym pomyśle sądzą inni.

2

– Piotrze Siergiejewiczu, ile razy mam powtarzać, że klucze oddajemy na portierni, a nie zabieramy ze sobą? No ile? Tłumaczyłam to w zeszłym tygodniu, przed dwoma tygodniami i miesiąc temu. Wciąż to samo.

Jak on nienawidził tej jędzy... Najchętniej zacisnąłby palce na chudej szyi i udusił, czym zrobiłby przysługę całej ludzkości. Wyobrażał sobie ten powszechny aplauz i zasypujące go listy dziękczynne.

Bez słowa wyciągnął brelok z kluczem na kółku i położył przy okienku z wyciętą półokrągłą szparą.

– Życzę gównianego dnia.

– Co pan powiedział?

– Nic.

– Wszystko powiem dziekanowi. Tak nie może być! Trzydzieści lat uczciwie tyram na tej posadzie i nikt mnie jeszcze nie obraził.

Słowa kobiety goniły Piotra Siergiejewicza Gradowa, gdy zbiegał po szerokich schodach budynku Instytutu Genetyki Uniwersytetu Sieczenowskiego, czyli niegdysiejszego Pierwszego Moskiewskiego Państwowego Uniwersytetu Medycznego. Perspektywa zbliżającego się weekendu dodawała mu skrzydeł. W końcu się wyśpi – taki miał plan. Żadnego chlania, żadnych kumpli, żadnych dziewczyn. Padał na pysk ze zmęczenia. Praca dydaktyczna to nic przyjemnego, a materiał ludzki pogarszał się z każdym kolejnym rocznikiem studentów. Mimo to on dawał z siebie wszystko, żeby wytłumaczyć tym baranom przynajmniej podstawy, które powinni przyswoić sobie w szkole średniej.

Niemal dotarł na sam dół, gdy szerokie drzwi otworzyły się i do wnętrza budynku weszło ostrożnie dwóch typów w wymiętych marynarkach i rozdeptanych butach. Gradow najchętniej by ich wyminął, ale zablokowali całe przejście.

– Gradow?

– Eee...

– Profesor Piotr Siergiejewicz Gradow? – Obaj jak na komendę wyciągnęli służbowe legitymacje i zamachali nimi genetykowi na wysokości oczu. – Ministerstwo Obrony. Chorąży Kozłów i sierżant Sejn. Pojedziecie z nami.

– Panowie wybaczą, ale...

Byli od niego wyżsi, szersi w barach i dużo młodszy. Szarpać się z nimi nie będzie. Od razu zostanie sprowadzony do parteru i wrzucony na tylne siedzenie wozu. Ich kamienne mordy mogły przestraszyć samego Cerbera, choć mieli tylko po jednej.

– Czy nie wyraziłem się dostatecznie jasno? – zapytał ten, którego szmata wystawiona była na Kozłowa.

Profesor odwrócił głowę. Na szczycie schodów stała woźna, przyglądająca się tej scenie ze złośliwym uśmiechem.

– Możemy iść – powiedział zrezygnowany.

Na ulicy zaparkowano granatowego geely atlasa. Zawsze myślał, że przedstawiciele resortu obrony poruszają się wozami krajowej produkcji, lecz najwyraźniej się pomylił, zresztą nie pierwszy raz.

Kozłow usiadł obok niego na tylnej kanapie. Czyżby obawiali się, że ucieknie? Dobre sobie.

– Dokąd jedziemy?

Nie został zaszczycony odpowiedzią. Wjechali na obwodnicę Sadową, a później pomknęli szosą Entuzjastów na wschód. Po prawej minęli Moskiewskie Centrum Kliniczne, mcdonalda po lewej i na końcu szereg podmiejskich osad. Silnik samochodu generował lekkie drgania, przez co Gradowa ogarnęły mdłości. Denerwował się. Nie lubił być zaskakiwanym w ten sposób. I co to, u licha, za zwyczaj zatrzymywania porządnych obywateli bez przyczyny? Czasy towarzysza stalina i jego następców już dawno się skończyły.

Pytania cisnące mu się na język wolał zachować dla siebie. Wtulił się w kanapę i udawał, że drzemie, lecz jednocześnie pilnie obserwował, dokąd podążają.

Po drogowskazach zorientował się, że skręcili na południe, oddalając się od stolicy. W końcu zjechali z głównej szosy na boczny trakt, by po kilkuset metrach dojechać do strzeżonej przez wartowników bramy.

Kozłow pokazał jakiś dokument i zostali przepuszczeni. I znów las i droga prosta jak w pysk strzelił. Na jej końcu zamajaczył kompleks niewysokich budynków.

Wysiedli na parkingu. Kolejny posterunek przy przeszklonym wejściu. Wyglądało to jak instytut naukowy i pewnie oficjalnie nim było, bo na korytarzu

dostrzegł osoby w białych laboratoryjnych kitlach.

Przy windach został przekazany kolejnej ekipie. Ci byli jeszcze mniej rozmowni niż poprzednicy.

Winda zawiozła ich trzy piętra w górę, lecz na tablicy dostrzegł oznaczenia poziomów od piątego do minus dziesiątego. Tyle się nasłuchiwał w życiu o obiektach mających strategiczne znaczenie dla państwa, aż tu niespodzianie w jednym z nich się znalazł.

Kiedy tylko drzwi się rozsunęły, Gradow ciekawie rozejrzał się na boki, lecz niewiele było do oglądania: prosty korytarz z drzwiami po obu stronach.

– Poczekajcie – powiedział najwyższy z ochroniarzy.

Piotr smętnie kiwnął głową. Jak rozkaz, to rozkaz.

Trwało to z pięć minut.

– Idziemy. Jesteście oczekiwani.

Na spotkanie wyszedł niższy od Gradowa łysy osobnik w okularach na wydatnym nosie.

– Cieszę się, że was widzę.

Uścisnęli sobie dłonie, z tym że gospodarz paluszki miał delikatne niczym u pianisty.

– Możecie wracać. Przejmuję naszego gościa.

Ochroniarze natychmiast się wycofali.

– Ładny instytut. Wy jesteście tu dyrektorem?

– Instytut? – Łysielec zabawnie wybałuszył oczy. – To nie jest tak, jak wam się wydaje. Jednak wcześniej załatwmy formalności, dobrze? Tak będzie najlepiej. Już przecież przechodziliście przez tę procedurę.

Mógł się domyślić. Debil z niego.

– Zapraszam do biura.

Sekretariat był przestronny, a urzędniczka za biurkiem, choć nie pierwszej młodości, wciąż zachwycała urodą.

– Trzeba podpisać tu, tu i... jeszcze tu. – Krwistoczerwony tips o eleganckim kształcie wskazał odpowiednie miejsca. – Proszę długopis.

Znał tę szopkę aż za dobrze – jakiegokolwiek informacje nie mogą zostać ujawnione osobom trzecim, kara to grzywna, więzienie do lat dziesięciu i tak dalej,

paragrafy, podpunkty i notki drobnym drukiem. Nawet nie zapytano go, czy chce tu być.

– Proszę... Śmiało, śmiało. Tu sami przyjaciele. – Łysielec z uśmiechem berii grał rolę wzorowego gospodarza. – Nadiu, zrób nam kawy. A może profesor jest głodny? Mamy tu świetną kantinę.

– Może później.

– Oczywiście. Praca przede wszystkim.

Weszli do gabinetu. Podobnych do tego miejsc widział setki. Tu biurko, tam szafa i palma pod oknem.

– Zapewne domyślacie się, Piotrze Siergiejewiczu, po co was tu ściągnęliśmy.

– Prawdę mówiąc, to nie.

Łysielec wiedział o nim wszystko, a sam nie raczył się nawet przedstawić. Palant.

– Napisał pan interesującą pracę doktorską pod kierunkiem profesora Nachotkina.

– To było dawno.

– A ona otworzyła przed wami drogę dalszej kariery. Dość wspomnieć projekt Kameleon.

– Aha.

To jesteśmy w domu.

Do pokoju weszła sekretarka z tacą w dłoniach. Puszysty dywan tłumił stukot obcasów. Robota mistrzów z Samarkandy.

– Z cukrem, dwie łyżeczki. Innej nie pijecie.

Aż nim zatelepało. Do domu dziś nie wróci. Niech już ten łachudra powie, o co chodzi, skoro – jak się wydawało – problem nie mógł czekać.

– Proszę mi powiedzieć, w jakim celu zostałem tu ściągnięty. Domyślam się też, że ten piękny obiekt nie jest placówką badawczą, a wojskową.

Przez twarz łysielca przebiegł grymas zakłopotania. Facet przestał się uśmiechać i stał się bardziej zasadniczy.

– Chodzi o bezpieczeństwo narodowe.

– Domyślam się.

– Zdaje się, że jeden z waszych kameleonów zerwał się ze smyczy.

3

– Mateusz, posłuchaj, to jest jedyna szansa uratowania Golicyna. Te pieprzone sukinsyny z fsb go zajebią. Ja o tym wiem, ty o tym wiesz, wie każdy zainteresowany tematem.

– Odradzam.

– Mam tu takie ciśnienie...

– Już i tak zrobiliście więcej, niż od was wymagano.

Plazma całkowicie rozumiał Kruczkowskiego. Szef czuł się za nich odpowiedzialny. Inaczej zresztą nie mogło być. To nic, że parali się niebywale ryzykownym fachim. Jeżeli nie musisz, nie wysyłaj żołnierzy na śmierć.

– Jesteśmy im to winni – tłumaczył Ernest cierpliwie. – Do niczego nie możesz mnie zmusić.

Zestresował się i telefon zaczął wysuwać mu się ze spoczonej ręki.

– Mogę, bo ci płacę.

– Bądź rozsądny. Ja już i tak jedną nogą jestem w ich rodzinie.

– Ernest, załamujesz mnie.

– Ja o nic nie proszę, tylko cię informuję. Anna na mnie liczy, Wiera też. Najpierw chciały jechać same, ale doskonale wiesz, że to bez sensu.

Opodał stali Oliwia i Cyrus. W domu Golicynów huczało. Aż trudno uwierzyć, że jeszcze rano ich chata stała z kraja.

– Mamy poparcie jednego fagasa z rządu.

– Który to?

– Popow, minister rolnictwa.

– Słabo.

– Może, ale jest po naszej stronie. Powiedział, że dołoży wszelkich starań, by nam pomóc. Ma kontakty.

– W to nie wątpię – powiedział Kruczkowski. – Głównie w fsb.

– Ty wszędzie widzisz problemy.

– Znam po prostu życie.

– Nie potrafisz... – przerwał, bo Parker zamachał do niego. – Poczekaj, Cyrus czegoś chce.

Przyłożył komórkę do ramienia, żeby zakryć mikrofon.

- O co chodzi? Jestem zajęty.
- Daj mi go – powiedział Amerykanin.
- To nie jest dobry moment.

Parker tego nie skomentował, tylko wyciągnął Ernestowi aparat z ręki.

– Cześć. Jest taka sprawa: już tu o tym rozmawialiśmy. Za chuja nie puścimy młodego samego. Gównu wie o życiu. Jeszcze napyta sobie biedy. Ktoś tego pacana musi pilnować.

Wolskiemu wydawało się, że śni.

– Nie rób mi tego.

– Przymknij się. – Parker odsunął go i zaczął klarować szefowi. – Jadę ja, Oliwia, Pablo i Piła. Jasper zostaje, będzie miał na wszystko oko. Jak ci się coś nie podoba, możesz tu dodatkowo kogoś przysłać, może się przyda. Czy ja, kurwa, mówię niewyraźnie? – Parker zaczął się irytować. – Wiesz, gdzie możesz sobie wsadzić swoje rady? No... Właśnie tam. Golicynowie nas wynajęli, kontrakt obowiązuje. Tak się sprawy mają... Aaa... sam się... Mnie, kurwa, też było miło.

Po wymianie tych uprzejmości Wolski dostał komórkę z powrotem.

– Wiesz, co ten luj powiedział? Że nas zwolni. On nas! Kurwa, nie do wiary.

– Halo. Mateusz, poczekaj. – Plazma spróbował przejąć kontrolę nad rozmową.

– Nie miałem z tym nic wspólnego. To całkowicie ich pomysł.

– Ale wy mnie wkurwiacie, wyłącznie jakieś kłopoty z wami. Jak wrócicie, to sobie z wami pogadam.

– A teraz?

– Zrobię, co będę mógł. Uważajcie na siebie, bo z ruskiego pierdła raczej was nie wyciągnę.

Co za ulga. Ernest wątpił, czy tam na miejscu ktokolwiek będzie się bawił w jakieś aresztowania.

4

Piotr Siergiejewicz Gradow niespokojnie poruszył się w fotelu. Od samego początku domyślał się, o co może chodzić, więc słowa urzędasza nie były dla niego zaskoczeniem.

Projekt Kameleon to dość stara sprawa. Miał z osiem albo nawet dziewięć lat. Gradow uczestniczył w nim od początku. Ba, można powiedzieć, że był jego twórcą. Na wszelkich aspektach klonowania znał się jak mało kto. W dodatku takie projekty wymagały jaj. Wyrzuty sumienia należy odstawić w domu na półkę obok ikony Matki Boskiej Kazańskiej. Eksplorowali niezbadany ląd i jeszcze tyle było do odkrycia.

– Wiecie, dla kogo pracowaliście?

– Od początku było jasne, że to projekt armii – spokojnie odparł Gradow.

– Pamiętacie, na jakim etapie zakończyliście prace?

– W zasadzie tak. Początki były obiecujące. Owszem, na końcu pojawiły się pewne problemy, z którymi nie potrafiliśmy sobie poradzić, lecz podkreślam, że...

– Amerykanie nam pomogli.

– Coś takiego. – Genetyk nie potrafił ukryć zaskoczenia. – Czego chcieli w zamian?

– Niczego. Zrobili to, że tak powiem, nieświadomie.

– Rozumiem.

W szpiegostwie dorównywali najlepszym, czyli Chińczykom. Reszta już dawno została daleko z tyłu jak wycieńczony peleton na górskiej premii. Oni jechali w żółtej koszulce lidera.

– Mają... a właściwie mieli kilka prywatnych firm, które się tym zajmowały. Stało się jednak tak, że my uzyskaliśmy konkretne efekty, zaś oni przegrali.

– Rozumiem, że powstał finalny produkt.

– Nie będę ukrywał, że tak właśnie jest.

– Co się więc stało?

Gospodarz ponownie zrobił zakłopotaną minę. Najwyraźniej niełatwo było mu o tym mówić.

– Produkcję kameleonów przenieśliśmy na południe, gdzie zaistniały do tego doskonałe warunki.

– Czyli gdzie? Do Iranu?

– Ależ nie. Na południowy Ural. Najwyższe czynniki zdecydowały o masowej hodowli nowego... człowieka.

– Dowiem się w końcu, co się zesrało?

Łysielec poprawił okulary jakby zaskoczony bezczelnością gościa, lecz w rzeczywistości ostrzegano go, że Gradow niczego nie owija w bawełnę. Wiedział też, że jedynym powodem, dla którego genetyka odsunięto od dalszych prac przy projekcie, było to, że zanadto lubił gwiazdorzyć. Dużo gadał i jeszcze więcej pił, ale to blask reflektorów stanowił dla niego pokusę nie do opanowania. Showman wprost pławiał się w ich świetle. Raz trzeba było przerwać wywiad telewizyjny, bo profesor prawie się wygadał. Przy tych wszystkich wadach Gradow był geniuszem. Bez niego byliby opóźnieni w badaniach o co najmniej trzy – cztery lata. I dlatego jeszcze żył.

– Mamy w Jamantau ośrodek... Tak, właśnie ten. Wiecie, jakie krążą o nim legendy. Obiekt jest w pełni zautomatyzowany i skomputeryzowany. Wydaje się, że do osiągnięcia pełnej dojrzałości przez kameleony brakuje nam co najwyżej dwóch lat. W obecnym stadium osobniki wydają się mocno niestabilne.

– Mówiłem o tym od samego początku.

– Wiem. Nikt nie ma do was żadnych zastrzeżeń. Niestety, stało się tak, że system komputerowy aktywował jedną z kapsuł i doszło do... cholera, jak to nazwać?

– Narodzin. Tak będzie najprościej. Nie mają ojca ani matki w czysto ludzkim sensie, ale nazwanie tego procesu po imieniu im się należy.

– Dobrze. Nie będę się spierał.

– Jaki to model?

Łysy stuknął w klawisze laptopa ustawionego na biurku.

– O, już mam. To FS/I/2282-1.

– Ktoś miał bardzo głupi pomysł.

– To nie my. Mamy powody przypuszczać, że do środka bazy przedostała się niepowołana osoba lub nawet grupa osób.

– Ogłoście alarm. Tego osobnika, a zwłaszcza kameleona trzeba złapać! – Gradow z emocji aż wstał. – Czy wy wiecie, jaki mogą być szkody?

– Dlatego wy zostaliście tu ściągnięci, profesorze Gradow. Nie muszę wam chyba mówić, że sytuację polityczną mamy mocno napiętą. Konflikt z Turcją, w dodatku zginął, a właściwie zaginął, minister Golicyn w drodze na spotkanie z

turecką delegacją w Nur-Sułtan. Nie należy dolewać oliwy do ognia, bo to się może skończyć niekontrolowanym pożarem. Obawiam się...

– Proszę nie kończyć.

Gradow przymknął oczy, rozmyślając nad możliwymi konsekwencjami tego, co się stało. Ta „niepowołana osoba” na razie aktywowała tylko jednego mocno niezrównoważonego klona. Przyciśnięta do muru wybudzi całą resztę, a wtedy drżycie niebios – nadejdzie armagedon.

– O jasn... w żopu... – zaczął kląć pod nosem.

– Zgadzam się w całej rozciągłości.

– Jak można było do tego dopuścić?

– Ochronie kazano się trzymać w pewnej odległości, żeby zapobiec możliwym przeciekom. Zresztą kto chciałby się tam pchać? W pobliżu stacjonują dwa garnizony, a w razie potrzeby możemy szybko przerzucić tam większe siły. To akurat nie stanowi problemu.

– Ktoś tam jednak wlaźł.

– Są przypuszczenia, że chodzi o jedną z grup terrorystycznych, jakie niedawno pojawiły się na tym terenie.

– Islamiści? Te dzikusy? Jak oszukali nasze zabezpieczenia?

– Spokojnie. Mamy wśród nich naszego agenta.

– Kto tak mówi? Gru?

– Towarzysze z gru są niezawodni.

– Pozostaje mi tylko usilnie w to wierzyć.

Gradow przestał krążyć po pokoju i ponownie usiadł. Na kawę już nie miał ochoty. I bez niej serce łomotało w jego piersi.

– Ile czasu upłynęło od pierwszego ostrzeżenia?

– Ponad cztery godziny.

– Sygnał przyszedł natychmiast?

Łysy uśmiechnął się niepewnie.

– Tego też nie wiecie?

Na tajne ośrodki, dokładnie takie jak ten, w którym się znajdowali, wydawano miliardy rubli, a jak przyszło co do czego, nie wiadomo nic pewnego. Jaki to ma sens?

Od zawsze przygotowywali się do wojny – tej z kapitalistami, NATO, Zachodem, USA, a ostatnio również z ChRL. Zapomnieli, że wróg może objawić się wewnątrz, jakby na przekór całemu planowaniu. Wydawało im się, że mają wszystko pod kontrolą, a to nieprawda. Właśnie uruchomiono opcję równą sile rażenia bomby wodorowej.

– Im szybciej się tym zajmiecie, tym lepiej.

– Taa... Teraz jestem wam potrzebny, a wcześniej mnie wypieprzyliście.

– Chodzi o nasz kraj.

– I o wasze stołki. – Gradów powoli się uspokajał. – Tylko jak chcecie to zrobić? W inkubatorze można modelować wzorce zachowań. Jest to trudne, ale możliwe. Poza nim to już przekracza czyjekolwiek możliwości.

– Niemniej...

– Muszę się dowiedzieć, jakiej obróbce poddano ten egzemplarz.

– Zespół już na was czeka.

Wyszli z gabinetu i skierowali się do wind. Personel rozstępował się przed nimi na boki jak odepchnięty polem siłowym, co nawet byłoby i zabawne, ale nie teraz. Łysy przeciągnął przez czytnik identyfikator w formie plastikowej karty, który miał zawieszony na szyi. Zjechali na poziom minus sześć. Co jest niżej, jakoś Gradowa nie interesowało.

– Proszę.

W sali komputerowej na dwadzieścia stanowisk zajęta była połowa miejsc. Tych ludzi widział po raz pierwszy na oczy. Jezu, jacy oni byli młodzi.

– Profesora Gradowa nie będę wam przedstawiał, bo wszyscy wiecie, kim jest. Lepiej, jak od razu zabierzemy się do roboty. Nikita, wyświetl obraz z satelity.

Na ściennym ekranie pojawił się widziany z góry widok interesującego ich rejonu. Jamantau leżał w trójkącie Ufa – Czelabińsk – Magnitogorsk. Przynajmniej tyle dobrego.

– Czy możemy zlokalizować nasz obiekt? Ma wbudowany czip? – wołał się upewnić.

– Nic z tego – powiedział długowłose młodzienc o obliczu męczennika. – Właśnie dlatego, żeby zapobiec takim sytuacjom. Obawialiśmy się zhakowania naszych systemów i wyszło, jak wyszło.

– Fatalnie.

Rozumiał powód, ale w tym momencie było im to wyjątkowo nie na rękę.

– A normalne środki rozpoznania?

– Niedługo wyślemy drona. Mieliśmy tam jednego, ale zabrano go do monitorowania miejsca katastrofy samolotu.

Pięknie. Jedna katastrofa, druga, zaraz będzie kolejna. Jak w tych warunkach pracować?

Potrzebował chwili na zebranie myśli. Nie sprzyjało temu ani otoczenie, ani presja, jaką odczuwał. Nawet geniusze mają słabsze dni.

– Może kawy? – zaproponowała jedna z programistek.

– Nie.

Nie znosił tego czarnego szajsu. Raczył się nią, gdy już nie było niczego innego do picia – ale do rzeczy... W sumie to nawet lubił pracować pod presją. Potrafił się wtedy wspiąć na wyżyny intelektu i zaskoczyć pomysłami samego siebie. Niemniej dziś tak nie będzie. Wiedział to na pewno. Wiedział też, że się nie podda.

Powstał kryzys i należało go zażegnać. Być może do problemu trzeba było podejść z innej strony. Nie kameleon był tu istotny, a system, który go nadzorował.

– A gdybyśmy tak... pomyślmy... Damy radę podłączyć się do programu zarządzającego Jamantau?

– Teraz już nie.

– Chciecie mi wmówić, że działa on w pełni autonomicznie? Kto na to zezwolił? Równie dobrze można machać odbezpieczonym pistoletem. Dowiem się, o co w tym wszystkim chodzi? – Próbował spojrzeć w oczy któremuś ze zgromadzonych w pomieszczeniu.

– Wraz z przekazaniem instrukcji o aktywowaniu pierwszego osobnika utraciliśmy taką możliwość. Teraz system można wyłączyć tylko od środka – wyjaśnił człowiek, który, jak się Gradow domyślił, pełnił funkcję szefa zespołu.

– Tyle że w środku kompleksu siedzi banda islamskich radykałów, którym nie możemy się dostać do skóry. Na dodatek robi użytek z naszej technologii, a my nie jesteśmy w stanie temu zapobiec.

– Tak to wygląda.

– Jamantau, z tego, co wiem, jest zdolne wytrzymać zmasowany atak bronią nuklearną, więc odpada nam opcja atomowa. Systemu nie da się wyłączyć, a przynajmniej my nie dysponujemy takimi możliwościami. No to przepraszam, ale ja jestem naukowcem, a nie cudotwórcą. – Gradów bezradnie rozłożył ręce. – A nie zastanawia was, dlaczego aktywowali tylko jednego osobnika? Co z resztą?

Pytanie zawisło w powietrzu i nikt nie potrafił udzielić na nie sensownej odpowiedzi.

Z zadaniem, jakie spadło na barki Gradowa, jeszcze nikt się nie mierzył. Powszechnie z klonowaniem kojarzy się co najwyżej owieczka Dolly, która i tak zdechła po paru latach. Od tamtej pory jednak, z dala od wścibskich oczu opinii publicznej, poczyniono kolosalne postępy, a jemu w udziale przypadnie stawienie czoła nie jednemu łagodnemu roślinożercy, a całej armii inteligentnych istot, które nie dawały się kontrolować. Najprostsza rada to pizgnąć atomówkami, aż do skutku. Niech się ten cały Jamantau zapadnie w piekielne czeluście i po sprawie. Wiedział jednak, że rząd na to nie pójdzie. Orłów to cienias, a o pozostałych również nie miał najlepszego zdania. Wszystkim, może oprócz Pierunowa, brakowało zdecydowania.

– Potrzebuję sprawnej ekipy tam na miejscu. Proszę ją zorganizować.

– Jak duża ma być to grupa? – Jajogłowy szef ośrodka wciąż nie doszedł do siebie.

– Pluton? Kompania? Nie wiem. To się może zmienić. Najlepiej, jak połączycie mnie z dowódcą garnizonu w Mieźgorje.

– Podejrzewamy, że podpułkownik Markow zdradził i przeszedł na stronę wroga.

– To przykre.

– Na razie nie wszczynaliśmy alarmu.

– Kto o tym postanowił?

– Towarzysz Kostiukow. Ma to pomóc gru w likwidacji tej rebelianckiej bojówki.

– Pożyjemy, zobaczymy, a na razie proszę przygotować oddział do działania. Może to być specnaz wywiadu. Tak nawet będzie lepiej. Im szybciej znajdą się na

miejscu, tym lepiej. – Gradow wyprostował się dumnie. – Kto będzie autoryzował moje rozkazy?

Jako cywil nie posiadał żadnej władzy, za to dobrze znał mundurowych. Będą się wkurzać, że dowodzi nimi zwykły cywil, więc najlepiej od razu pozamykać im gęby. Czas pokaże, czy miał rację.

5

Podpułkownika Konstantina Mamontowa gnębiła jedna myśl – co takiego stało się z ich najlepszym, jak twierdziło wielu, agentem. Nazar Larysow przepadł jak kamień w wodę. Ani widu, ani słyhu, a to podobno najprawdziwszy geniusz, który w dodatku sam zgłosił się do roboty operacyjnej.

Tacy są najgorsi. Wiele sobie po nich obiecywano, sami też mieli o sobie nader wysokie mniemanie, ale jak przychodziło co do czego, to wymiękali.

To jedna sprawa... Druga – tu się dopiero pieprzyło: cholerna katastrofa, i to teraz, w przeddzień negocjacji.

Na biurku zawarczał telefon. Przez głowę Konstantina przemknęła niepokojąca myśl: znaleźli martwego Golicyna. Pełen złych przeczuć z wahaniem sięgnął po słuchawkę.

– Mamontow, słucham.

– Czurikow z ośrodka Echo Jeden.

Głos w słuchawce wydawał się lekko piskliwy, ale podpułkownik uznał, że jest to wina połączenia.

– W czym mogę pomóc?

– Pod Jamantau powstał wyjątkowo niekorzystny zbieg okoliczności.

– Właśnie nad tym pracujemy. Wkrótce spodziewamy się odnaleźć ministra Golicyna.

– Aaa... Ja nie o tym. Mamy powody przypuszczać, że kompleks został opanowany przez terrorystów.

– Kompleks? Myślałem, że chodzi o tę baterię S-400. Właśnie organizuję grupę mającą przyjrzeć się temu bliżej.

– Powoli. Bateria to jedno, ale ja potrzebuję zaufanej ekipy w Mieźgorje. Jak szybko jesteście w stanie ich tam przerzucić?

- Powiem szczerze, że brakuje nam środków.
- Lepiej szybko coś wymyślcie – zagroził rozmówca. – Inaczej minister dowie się o waszej niekompetencji.
- Zrobię, co będę mógł.
- Może przynajmniej dowódca tej ekipy ma jaja?
- Zapewniam, że...
- Niech ruszają. Na razie mają się nie wychylać, chyba że wydam taki rozkaz.
- Tak jest – szczerzył odruchowo, bo tak został wytresowany, ale już zachodził w głowę, o co w tym wszystkim chodzi. ■

ROZDZIAŁ ÓSMY

1

– Obiecuj mi, że będziesz na siebie uważał.

– Aha.

Nie był pewny, czy spakował wszystko, czego będą potrzebowali. Może jeszcze raz zajrzeć do toreb? Co z apteczką? Ta staza, którą znaleźli, kompletując wyposażenie, nie budziła zaufania. To nic niewarte chińskie badziewie. Co z tego, że tanie i wszędzie go pełno się wala. Jak przyjdzie zatamować krwawienie, pęknie, ranny wykituje, a ich starania okażą się gównem warte.

– W ogóle na mnie nie patrzysz.

– Co mówiłaś?

Dezaprobatą w oczach Anny sprawiła, że Ernestowi zrobiło się głupio.

– Ja też cię kocham – powiedział trochę na odczepnego.

– Masz uważać i wrócić do mnie w jednym kawałku, razem z ojcem.

– No...

W drzwiach stanął Parker, dopinając bluzę z kapturem.

– Pospiesz się. Już na nas czekają.

– Jeszcze pięć minut. – Tak bardzo nie chciał wyjeżdżać.

– Nie masz pięciu minut. Myślisz, że jesteśmy dla nich priorytetem?

– Dobra. Idę.

Co by tu powiedzieć, żeby nie wyjść na głupca... Wszystko, co pasowało do okoliczności, brzmiało banalnie.

– Sama widzisz, jak to wygląda.

Krótki pocałunek musiał wystarczyć. Jak wróci... Jasne, kurwa, jak wróci... Takiej gwarancji nikt im nie dawał.

Wyszli przed rezydencję, gdzie już stały dwie furgonetki Forda mające zawieźć ich na lotnisko. Podzielili się na dwie grupy i zajęli miejsca. Rano, między czwartą a piątą, znajdą się w Ufie, o ile wcześniej nikt ich nie zestrzeli. Dalej polecą helikopterem należącym do Ministerstwa Rolnictwa i rozpoczną poszukiwania. Jak to będzie wyglądało na miejscu, dopiero się okaże.

Wiera i Anna, pożegnawszy odjeżdżających, stały jeszcze na ganku. Nastroje panowały ponure. W szumie silnika usłyszał, jak Cyrusowi na komórkę przyszła jakaś wiadomość. Parker powoli wyciągnął telefon i rzucił okiem na ekran.

– Coś ważnego?

– Raczej nie.

Jak nie, to nie. Spróbował uspokoić własne nerwy starą wypróbowaną techniką kontrolowanego oddychania. Trochę pomogło, ale mniej, niż się spodziewał.

Na lotnisku Szeremietiewo czekał na nich transportowy An-72. Przerzucenie kłopotów zajęło im niecałe pięć minut. Tylko z torbami należącymi do Piły Appeltona był mały problem, ale jak się taszczy UKM-2000 wraz z amunicją, to bolą ręce.

Na wała Jamesowi karabin maszynowy? Mają znaleźć zaginionego ministra, a nie rozpoczynać wojnę. Piła mógł zabrać coś bardziej poręcznego, na przykład snajperkę Fishera, ale takiemu do rozumu nie przemówisz. Jak chce, to niech nosi.

Plazma zajął miejsce w fotelu, zapiął pasy i zaczął odliczać w myślach od stu do jednego. Na zewnątrz panowały egipskie ciemności. Maszyna ryknęła silnikami i podkołowała na stanowisko, rozpoczynając procedurę startową.

– A ty dokąd? – Zauważył kątem oka, że Cyrus dźwignął się ze swojego miejsca.

– Lać mi się chce.

– Poczekaj, aż wystartujemy.

Parker posłuchał, choć niechętnie. Coś mu najwyraźniej nie dawało spokoju. Na problemy z prostatą był za młody.

Nie o Cyrusa tu jednak chodziło w tej wyprawie, a o Golicyna. Problemy przyjaciela musiały poczekać.

Gdyby tylko Ernest wiedział, co dzieje się w duszy Amerykanina, nie podszedłby do tego tak lekko.

Parker niecierpliwie odczekał, aż obiorą odpowiedni kurs, wstał i poszedł w stronę pokładowego ustępu. Serce w jego piersi biło jak szalone. Nie takiej wiadomości się spodziewał.

Starannie zamknął za sobą drzwi i dla pewności oparł się o nie plecami. Lepiej, jak mu nikt nie będzie przeszkadzał. Niezdarnie sięgnął po aparat. Palce nie chciały

się go słuchać. Szybciej. Uff... jest...

Zdjęcie, chociaż niewyraźne, na pewno przedstawiało Yvonne – już nie tak piękną jak kiedyś, ale to na pewno była ona. Słaba jakość fotografii nie pozwalała uchwycić większości szczegółów. Od razu nabrał wątpliwości co do czasu i miejsca jej wykonania, mimo że data widniejąca na dole sugerowała zeszły tydzień.

Przez kolejny ping w komórce omal nie dostał ataku serca.

„Chcesz ją odzyskać?”

Przecież to jasne jak słońce.

Odpisał i poczekał na nową wiadomość.

„Będziemy w kontakcie”.

Tylko tyle? Jak ma teraz żyć?

Ciężko osunął się na aluminiowy kibelek i ukrył twarz w dłoniach. Upłynęło już tyle czasu, a on wciąż nie potrafił o niej zapomnieć. Kolejny raz nadzieja walczyła w nim z rozpaczą.

Łomotanie do drzwi wyrwało go z zadumy.

– Żyjesz?

– Taa...

– To wychodź. Innym też się chce.

Umył ręce i chwycił klamkę.

– Trochę się zatyka. Próbowałem przepchnąć – powiedział na odczepnego.

– Ręką? – zapytał Pablo z obrzydzeniem.

– Jakiś ty zabawny.

Nastrój miał podły. Niech się lepiej trzymają od niego z daleka. Jak znał siebie, za parę godzin mu przejdzie, ale na razie był chodzącą bombą.

Znalazł sobie miejsce daleko od pozostałych i udał, że śpi. Całą tę wyprawę uznał za zwykłą stratę czasu. Chciał wracać. Najlepiej od razu do Polski.

2

Kompletnie stracił poczucie czasu. Nic dziwnego, skoro dopiero oprzytomniał i tkwił wciąż zamknięty. W zasadzie nic go nie bolało, tylko czuł się rozbity wewnątrz. No i we łbie mu szumiało. Do tego dochodziło pragnienie i poczucie osamotnienia.

Gdzie on właściwie jest? Pamiętał samolot i kapsułę. Po dłuższej chwili wy dobył z chaotycznych obrazów moment, gdy został wystrzelony, lecz z późniejszych wydarzeń już nic nie zarejestrował. Co się dziwić, spadł z kilku tysięcy metrów. Systemy zadziałały prawidłowo, skoro żyje, a mała niedyspozycja może się zdarzyć każdemu.

Oblizął usta, lecz niewiele to pomogło. Uniósł rękę. Ważyła chyba z tonę. Dopiero teraz uświadomił sobie, że wciąż jest w kapsule. Domyślił się tylko dlatego, że pod prawą dłoń dostrzegł szereg światełek. Jedne migają na zielono, inne na czerwono. Poza tym było ciemno choć oko wykol.

Jak to szło?

Na brzuchu wyczuł klamrę z pasami przytwierdzającymi go do fotela. Wymacał ją teraz i zwolnił blokadę, podciągnął nogi i spróbował wstać, co jednak okazało się niemożliwe, bo natychmiast trafił głową w sufit, o ile można tak powiedzieć o wnętrzu kuli. Jak ma się stąd wydostać? Jest tu jakaś dźwignia czy uchwyt?

Przypomniał sobie, że w kieszeni spodni ma zapalniczkę. Wyciągnął ją teraz i skrzesał iskrę. Szybko pożałował swojego pomysłu, gdy zaczął się krztusić i kaszleć od dymu z przypalanej wyściółki fotela. Na dodatek oparzył sobie palec. Wyjątkowa z niego niezdar. Przynajmniej dojrzał nad sobą plastikowy uchwyt, na którym uwiesił się całym ciężarem z braku lepszego pomysłu. Właz z cichym szcęknięciem odjechał na bok, a ocalały minister mógł w końcu zaczerpnąć świeżego powietrza.

Gdzie on, u diabła, jest?

Choć trudno mu to było sobie wyobrazić, na zewnątrz było jeszcze ciemniej niż w środku. Za to duszną spalenizną wnętrza zastąpił oszałamiający zapach wilgotnego lasu. Czerpał go głębokimi wdechami, co sprawiło, że poczuł się jak na haju. Po dłuższej chwili dostrzegł gwiazdy lśniące wysoko na niebie. Musiało być pochmurno, bo ich nieliczne światełka pojawiały się tylko na chwilę to tu, to tam.

Przypomniał sobie pierwszy wyjazd z Wierą, przed trzydziestu laty... Siedzieli wówczas przy ognisku, gapiąc się w górę, urzeczeni ogromem przestworzy i miriadami gwiazd.

Szybko, wraz z mocniejszym chłodnym powiewem, przyszło otrzeźwienie. Nie wiedział, gdzie jest i co ma robić. Zrobiło się też chłodno, a on miał na sobie

jedynie lekki garnitur, koszulę i buty, które w żaden sposób nie nadają się do chodzenia po lesie.

Pomysł z roznieceniem ogniska odrzucił od razu. Zanim nazbiera odpowiednią ilość drewna, zrobi się widno. Lepiej wrócić do kapsuły i przeczekać w niej do rana. Był przecież na Uralu, a tu się roiło od dzikich zwierząt. Jeśli trafi na niedźwiedzia, nic z niego nie zostanie. Być może rano ktoś go znajdzie. Przyjaciele z rządu nie zostawią go przecież na pastwę losu.

Choć z nimi nigdy nic nie wiadomo.

3

Noc minęła spokojnie.

Niestety.

Spodziewał się czego innego. Od momentu pochwycenia Markowa upłynęło przeszło dwanaście godzin, a dowódcą garnizonu w Mieźgorje nikt się nie interesował. Jak to możliwe?

Przekazanie służby przebiegło bezproblemowo. Obowiązki przejął jeden z majorów – sądząc po urodzie, należący do któregoś z ludów zamieszkujących Syberię, jakiś Czukcza czy Tuwiniec. Reitzowi to zwiślało. Ważne, że pozwolono im spokojnie odjechać. W domu Markowa obyło się bez hysterii. Wcześniej wysłał tam dwóch zaufanych ludzi, by przygotowali grunt. Żona podpułkownika zachowywała się godnie, nad dziećmi panować już się nie dało. Zamknięto ich wszystkich w piwnicy, pod nadzorem.

Pozostawało czekanie, a to nużyło. Telefon wciąż milczał. Co to za garnizon, skoro przez cały wieczór nikt nie ma sprawy do dowódcy? Na dodatek w telewizji i radiu ogłoszono, że w pobliżu doszło do katastrofy lotniczej – i dalej nic. Żaden alarm w jednostce nie zmącił panującej ciszy, co oznaczało, że rosjanie domyślają się, co zaszło. Na pewno działają, tyle że tajnie i skrycie. Akurat w tym byli nieźli.

Wyjął komunikator i nacisnął przycisk nadawania.

– Mus, słyszysz mnie?

Odczekał chwilę. Czubarow się nie zgłosił. Niezrażony podjął kolejną próbę.

– Odezwij się.

– Tak?

– Gdzie się podziewasz?

– Spokojnie.

Buta bijąca z Czubarowa niespodziewanie wyprowadziła Reitza z równowagi.

– Nie wyjeżdżaj mi tu z drętwą gadką, gnoju. Zadałem ci proste pytanie.

– Niedługo dotrę na miejsce katastrofy.

– Pojechało cię? Miałeś pilnować rakiet... – Reitz zazgrzytał zębami. – Tobie się wydaje, że rozkazy są dla innych?

– Na posterunku zostawiłem Mahmmuda i Sabriego, poradzą sobie. A tu pojawia się szansa dowiedzenia się czegoś istotnego.

– Wracaj na stanowisko.

Upłynęło z pięć minut, zanim Czubarow przemówił ponownie.

– Jak chcesz.

– Przez ciebie straciliśmy przewagę. Jak zawalisz akcję, policzę się z tobą osobiście.

A to łachudra. Inicjatywa Tatara była Reitzowi całkowicie nie na rękę. Co z niego za bojownik?

Właściwie to mógł mieć żal tylko do siebie. Środki, jakie podali Mustafie, sprawiły, że całkiem mu odjechało. Facet zrobił się nieobliczalny, wciąż chciał zabijać. Reitz z Paullym to zauważyli. Był jak bestia, nad którą z trudem panowali, lecz była zbyt przydatna, by pozbyć się jej natychmiast. Paully się zeźli, gdy się dowiódł o tej niesubordynacji.

Zmienił kanał, mając nadzieję, że tym razem uda mu się złapać współnika.

– Jestem.

Odetchnął.

– Dobrze cię słyszeć. Jak tam kompleks? Spenetrowaliście wszystko?

– Wciąż nad tym pracujemy.

Sygnal był stłumiony, jakby rozmawiali przez ścianę.

– Broni jest tu pod dostatkiem, nie wyjmemy wszystkiego, nawet połowy. To faktycznie jest arsenał... co najmniej... i jeszcze...

– Co? Powtórz – poprosił, lecz bez efektu.

Powodów zakłóceń mogło być kilka. Sama góra tłumiała nie najmocniejszy przecież sygnał z nadajników, nie wiedział, jak tu działa retransmisja. Albo to

sprawka rosjan i ich zagłuszania. Kolejny sygnał, że coś się święci. W tej sytuacji sam musiał podjąć decyzję.

Wróg czaił się u bram i zaatakuje ich nad ranem. Markow wypadł z gry, a skoro tak, to pora się ewakuować, połączyć siły z Paullym i zastanowić się, co dalej. Nie mógł tu przecież siedzieć bez końca, gdy tam były znacznie ciekawsze rzeczy do zrobienia.

Na lufę pistoletu już wcześniej założył tłumik, teraz przesunął bezpiecznik. Dalsze działanie to tylko efekt podjętego wcześniej postanowienia.

Powoli zszedł po schodach do ciasnej piwnicy. Pilnującego więźniów komandosa odesłał na górę. Dzieci spały, żona Markowa spała i tylko podpułkownik wpatrywał się w Reitza szklanym wzrokiem. On już wiedział.

– Zrób to szybko – usta rosjanina wyszeptały cichą prośbę.

Walka w tych warunkach nie miała sensu. Rosjanin stracił całą nadzieję, czym tylko rozzłościł Reitza.

Wymierzył i strzelił oficerowi prosto między oczy. Hukiem wystrzału obudził pozostałych. Nic do nich nie miał, ale świadków za sobą nie zostawi. Chodziło też o strach: niech rosjanie wiedzą, z kim przyszło im się mierzyć.

Następny do rozwałki poszedł chłopiec. Broń podskoczyła w dłoniach egzekutora, lecz szybko skierował ją na kolejny cel, jakim było drugie dziecko, nieznacznie przesuwając lufę w prawo.

Celował w głowę. Pocisk kalibru 9 mm przeszył ją na wylot i głucho wbił się w podłogę.

Kobieta zawyła, choć tylko na moment. Cztery strzały, cztery trupy. Wyrobił się w sześć sekund, ale też nie było powodu zbytnio się spieszyć. Towarzysz podpułkownik już się nie stawi na służbę. Pewnie nie spodziewał się, że skończy w piwnicy własnego domu.

Reitz zabezpieczył broń, myślami będąc już daleko. Zdaje się, że nie docenił wroga. Początek zapowiadał się obiecująco, ale na tym etapie powoli tracili kontrolę nad operacją. Zupełnie jakby jeszcze ktoś włączył się do gry. Za bardzo poszli na żywioł, a to niekoniecznie musi dobrze się skończyć. Muszą wzmóc czujność, by nie pozwolić zapędzić się w pułapkę.

Powoli wspiał się na górę wąskimi schodami. Egzekucja nie wzbudziła wśród komandosów zdziwienia. Prowadzili dżihad, a to usprawiedliwiało w zasadzie każdy mord.

Przez taras wymknęli się do pobliskiego lasu. Marsz, po tym, co ostatnio przeszli, wydawał się spacerkiem. Na końcu, jak szczerze wierzyli, czekało ich zwycięstwo. Allah był po ich stronie.

4

– Jabril...

Gdzie się podział ten drań? Jeszcze przed momentem ciągnął się tuż za nim.

– Jabril, gdzie się podziewasz?

Marsz przez las nocą dostarczał niezapomnianych wrażeń. Zewsząd dochodziły do nich najróżniejsze odgłosy. Raz usłyszał dalekie wycie drapieznika, a kiedy indziej uderzenie gromu. Ścieżka była wąska, a oni rozciągnięci w długą linię. W tych okolicznościach łatwo zgubić drogę.

– Niech cię szlag.

Algierczyk gdzieś przepadł. Prawdopodobnie oddalił się za potrzebą i teraz nie potrafi odnaleźć kierunku. Co za idiota...

Niedawna rozmowa z Reitzem mocno rozdrażniła Mustafę. Szczerze mówiąc, miał do niego żal. Pokonali spory kawał trudnego terenu i teraz mają wracać? Nastawił się na zabijanie, a wyszło na to, że tylko niepotrzebnie się zmachali.

Przez moment, ale tylko przez moment, był gotowy zignorować polecenie i dalej robić swoje. Zreflektował się prędko, uznawszy, że Reitz ma rację. Bateria S-400 była ważniejsza niż jego pomysły.

Zerknął na fosforyzujące wskazówki zegarka. Nawet on czuł się zmęczony, a co dopiero mówić o towarzyszących mu żołnierzach. Tych to musiały boleć nogi. Nie skarżyli się jednak, pamiętając, na co się pisali.

Pozostawał Jabril.

Czubarow przemaszerował ścieżką, licząc obecnych. Byli wszyscy oprócz jednego. Nakazał wszystkim absolutną ciszę. Zastygł i ponownie wyteżył słuch wraz z innymi, lecz żaden z dobiegających z okolicy dźwięków nie kojarzył się z posapującym lub choćby idącym człowiekiem.

Odczekał równo pięć minut, zanim dał znak do wymarszu. Niech palant radzi sobie sam. Skończy się to tak, że w końcu dorwą go federalni i załatwią. Byle od razu, bez przesłuchania.

Krótką przerwa pozwoliła im się zregenerować. Egipcjanom tajga jawiła się zapewne pełną niebezpieczeństw dżunglą. Otrzaskani z zupełnie innymi przestrzeniami, tracili tu pewność siebie, co było widać po ich nerwowych ruchach. Tak zapewne czuli się rzymscy legioniści, którzy w dziewiątym roku naszej ery zapuścili się w mroczne ostępy Lasu Teutoburskiego.

Dość, że powrót przyjęli z zadowoleniem. Nie wiedział, o czym myślą, ale nikt nie odstawał. Może bali się, że zostawi ich tak samo jak Jabrila?

W drodze zatrzymali się tylko raz, blisko strumienia, gdzie uzupełnili wodę. Dalej ruszyli po kwadransie. Czubarow przestał zwracać uwagę na otoczenie, co omal nie skończyło się dla niego tragicznie.

Od miejsca rozlokowania baterii dzieliło ich może z pięćset metrów. Na tym ostatnim odcinku wysunął przed oddział szperacza i dopiero widok szatkowanego przez odłamki mężczyzny uświadomił Mustafie, że pokpił sprawę.

– Kryj się! – wrzasnął ile sił w płucach.

Serie z automatów przecinały powietrze tuż ponad jego głową. Zdążył zalec w wilgotnej trawie, ale idący za nim człowiek już nie. Trafiło go co najmniej pięć kul, a to dość, by z wnętrzości zrobić sieczkę.

Wpakowali się prosto w zasadzkę. Mógł to przewidzieć. Powinien to przewidzieć. Okazał się głupcem. Teraz już niczego nie naprawi.

Trzymając głowę nisko, nie widział swoich prześladowców. Bydlaki świetnie się poukrywali. Co do Mahmmuda i Sabriego to nie miał złudzeń. Zdjęto ich odpowiednio wcześniej, po cichu.

Żyjący odpowiedzieli niemrawym ogniem z Kałasznikowów. Wróg przydusił ich do ziemi, nie licząc się z amunicją. Sam ich wszystkich nie pozabija. Może do spółki z Paullym czy Reitzem byłaby na to niewielka szansa, ale mając do dyspozycji tylko kilku wymęczonych ludzi, mógł jedynie o tym pomarzyć.

Zacisnął swędzące powieki, żeby dać sobie kilka sekund na podjęcie decyzji. Atak odpadał. Pozostawał im odwrót.

Bliski wybuch granatu przyspieszył działanie. Tak szybko, jak tylko potrafił, zaczął pełznąć pomiędzy drzewami i krzakami, pozostając niewidocznym dla nieprzyjaciela. Trwało to do momentu, gdy dziesięć metrów przed nim zamajaczyła postać w maskującej bluzie i w kapturze naciągniętym na głowę. Zwiadowca skradał się, przeskakując pomiędzy pniami, po prawej towarzyszył mu kolega. Na reakcję pozostały ułamki sekund. Do pierwszego Mustafa strzelił instynktownie. Wiedział, że trafi – z kilku metrów to nie problem. Pocisk kalibru 7,62 mm opuścił lufę z prędkością siedmiuset piętnastu metrów na sekundę, trafiając rosjanina w brzuch. Akcję należało zakończyć finalnym strzałem w czerep, co wymagało nieco staranniejszego mierzenia. Uniósł tułów...

To, niestety, okazało się błędem.

Drugiemu z tych, których miał przed sobą, ten ruch wystarczył, by posłać w stronę Mustafy krótką serię. Jedna z kul dosięgła Czubarowa, który poczuł ból, jakby pomiędzy żebra ktoś mu wbił rozżarzony do czerwoności pręt.

Zdezorientowany stracił zwiadowcę z oczu. Wypuścił z rąk automat, nagle tak ciężki, jakby cały był z ołowiu.

Lepiej zdechnąć tu niż w więzieniu. Żywcem wziąć się nie pozwoli. Pomyślał o pistolecie, ale zanim zdoła sięgnąć po broń, zostanie po nim jedynie wspomnienie, przekreślił się więc na bok, przyciskając dłoń do rany.

Specnazowiec podkradł się bliżej. Wiedział, gdzie leży Czubarow, i zmierzał dokładnie w tym kierunku, lecz jego zamiary pokrzyżował pocisk, który rozerwał mu pół głowy.

– *Allah Akbar.*

Lider egipskich specjalsów uważnie zlustrował najbliższą okolicę. Nie dojrzawszy wroga, pomógł Mustafie wstać. Tu zostać nie mogli. Wraz z Egipcjaninem pojawił się jeden z podoficerów. To on, choć raczej niski i żylasty, zarzucił sobie Mustafę na barki i pobiegł z nim przez las. Chcąc ująć obławie, musieli się spieszyć. Rosjanie właśnie przystąpili do wyrównywania rachunków.

5

Widok z nahałmowych kamer komandosów nie należał do szczególnie atrakcyjnych, chyba że ktoś lubuje się w obrazach przedstawiających

zmasakrowanych ludzi, a Gradow akurat się do nich nie zaliczał. Tak samo żadna to atrakcja oglądać przesłuchiwanego człowieka i to, jak mu się wybija zęby i przypala oczy petami. Rozumiał stojącą za tym konieczność, choć jej nie pochwałał.

Nieszczęśnik wił się, co w niczym nie poprawiało jego sytuacji. Sypać zaczął od razu. Na imię miał Mahmmud i nawet znał rosyjski na podstawowym poziomie. Powiedział, że jest Syryjczykiem i służył w armii Asada. Powoływał się przy tym na jakiegoś rosyjskiego majora, który go wszystkiego nauczył. Spokojnie, sprawdzi się i to.

Mahmmud wygadał im wszystko, co chcieli. Jak na dżihadystę był miękki. Temu drugiemu marzyły się hurysy, więc szybko został do nich wysłany.

Swoją drogą, jak tak można było pokpić sprawę? Gdzie podziała się ochrona tych S-400?

Zabezpieczenie baterii to już czysta formalność, a rozwalenie islamistycznej grupy okazało się przyjemnością nawet dla Gradowa. Mały sukces, a cieszył.

Niestety dalej nie będzie już tak przyjemnie. Profesor doszedł bowiem do wniosku, że kameleon prawdopodobnie wy dostał się z ośrodka i ukrywa się gdzieś w okolicy. Jego rozumowanie było dość proste: gdyby klon został w kompleksie, obudziłby swoich towarzyszy, razem bez problemu zlikwidowałiby grupkę kozojebców, po czym cała horda wyszłaby ze schronu, a to już dałoby się zaobserwować. Nie ukrywaliby się we wnętrzu, bo i po co. Skoro tak się nie stało, kameleon musiał opuścić kompleks samotnie. Czy rozwalił przedtem dżihadystów, to się okaże. Pozbawiony twardych danych z badań i eksperymentów, Gradow musiał zdać się na intuicję w przewidywaniu zachowania tego konkretnego obiektu. Na razie nie podpowiedziała mu ona, jak dorwać uciekiniera.

– Dowódca oczekuje dalszych rozkazów.

– Niech maszerują na kompleks... albo nie, muszę się chwilę zastanowić. – Gradow zaczął wykazywać oznaki podenerwowania. – Przypomnijcie mi, kto dowodzi garnizonom w Mieźgorje?

– Podpułkownik Iwan Pawłowicz Markow.

– Połącz mnie z nim... na komórkę.

– Ale...

– Nigdy więcej nie kwestionuj moich poleceń! – Gradow wydarł się na Nikitę.
– Dotyczy to was wszystkich. Jak się komuś nie podoba, od razu może trafić na Krym.

Słowo „Krym” zabrzmiało złowieszczo, coś jak front wschodni, a nikomu nie uśmiechało się narażać życia na jakiejś wysuniętej placówce.

– Wykonuję.

Poszło szybko, tyle że telefon dzwonił i dzwonił, a nikt nie odbierał.

– Wystarczy. Kto go zastępuje?

– Major Romanow.

– Łączcie.

Tym razem rozmówca Gradowa odebrał od razu.

– Romanow. Nie znam tego numeru...

– Telefonuję z ośrodka Echo Jeden – Gradow na wstępie uciął wszelkie wątpliwości. – Szukamy podpułkownika Markowa.

– Od wczoraj nie ma go w jednostce.

– A gdzie jest?

– Pojechał do domu wraz z tym oficerem inspekcyjnym. Trochę się dziwiłem, że tak nagle...

– Wyślijcie tam patrol. Mają sprawdzić, co z Markowem. To sprawa wagi państwowej.

Przynajmniej jedna kwestia się wyjaśniła. Jeżeli dopisze im szczęście, uniemożliwią terrorystom ucieczkę. To, czy Markow przeżyje, nie wydawało się tak istotne.

– Ile ten podpułkownik wiedział o Jamantau? – zapytał Gradow szefa ośrodka.

– Myślę, że sporo.

– Sporo to znaczy ile? Określenie kameleon coś mu powie?

– Raczej nie. Chodziło o sprawy ogólne, automatyzację bazy i tak dalej.

– I jej zabezpieczenia.

– To również. – Na łysym czole Czurikowa pojawił się pot.

Do tej pory dyrektor autoryzował wszystkie wychodzące z centrum polecenia. Jak coś pójdzie nie tak, porażka obciąży i jego osobę.

Atmosfera, o ile to w ogóle możliwe, zagaściła się jeszcze bardziej. Trwało to dokładnie dziesięć minut, a później wydarzyło się to, co przewidział Gradow.

– Markow nie żyje – zameldował ponuro Romanow. – Jego rodzina również.

– Posłuchajcie mnie uważnie, majorze. – Profesor musiał wykazać się maksymalną cierpliwością, na jaką było go stać, chcąc wytłumaczyć oficerowi, czego od niego oczekuje. – Wiemy, że kompleks został opanowany przez terrorystów.

– To dlatego nasz posterunek wciąż milczy. – Romanow domyślił się natychmiast. – Markow mówił, że sam się tym zajmie.

– I jak widzicie, zajął się.

– Ogłoszę alarm.

– Nie! – wrzasnął Gradow do słuchawki. – Macie tego nie robić.

– Dlaczego?

– Niedługo dotrze do was oddział specjalny. Dowodzący nim oficer będzie wiedział, co ma robić. Wy macie zakaz zbliżania się do kompleksu. Czy wyraziłem się jasno? Zakaz. Całkowity. Zbierzecie ludzi i zaczniecie przeszukiwać kwadrat D-16. Do odwołania. Ale bez ogłaszania pogotowia bojowego. To ważniejsze niż baza. Będziecie... poszukiwać zbiega.

– A nie ministra Golicyna?

– Jego przy okazji też, ale zbieg jest ważniejszy. I nie próbujcie go przypadkiem schwytać. Ubić na miejscu. Jest niebywale groźny.

– Dezerter?

– Nie do końca. Raczej... no... nieważne.

Dla Gradowa była to jedna z trudniejszych rozmów w życiu. Jak tu przekazać istotę sprawy, a jednocześnie nic nie ujawnić?

Wciąż nie potrafił dociec, o co chodziło islamistom. Weszli do kompleksu, aktywowali klona, a teraz czekają i nikt nie wie na co.

Jeden kameleon na wolności to już nielichy problem, dziesięć może stanowić udrękę dla brygady, a sto dla dowództwa okręgu. Po aktywacji wszystkich kraj może przestać istnieć. Co siedziało w głowach twórców tego, pozał się Boże, projektu?

Owszem, też maczał w tym palce, ale ostrzegał, żeby nie posuwać się za daleko. Zrobili po swojemu, pozostawiając mu gównu do posprzątania.

Klony, czy też jak wolała większość zorientowanych kameleony, wciąż były dalekie od doskonałości, najwyraźniej uznano, że skoro do końca projektu pozostawało trochę czasu, to zdąży się wymyślić sposób ich skutecznej kontroli. Ale jakoś się nie zdążyło. Zdaniem Gradowa warunkowaniem należało się zająć na pierwszym etapie, nie zaś na ostatnim. Wciąż jednak rządziła szkoła planowania optymistycznego imienia towarzysza Jakoś To-Będzie.

Tym geniuszem, który postanowił zrealizować na szeroką skalę niedopracowane pomysły, zapewne był Pierunow albo ktoś od niego. Putinowi podobały się takie idee: wpuścić bestie pomiędzy zwykłych śmiertelników gdzieś w Polsce, USA, na terytorium dowolnego wroga i niech sieją śmierć. Armia i lokalna policja będą się uganiać za cieniami, a my będziemy jeść popcorn i popijać stoliczną.

Narzędzie lepsze od specnazu, wyhodowane z najdoskonalszych komórek, w kilku wariantach. Wszystkie znane mu egzemplarze powstały z piętnastu mężczyzn i czterech kobiet.

Na uwolnionego osobnika składały się geny młodej pięcioboistki o nadzwyczajnej wytrzymałości i uporze. Któregoś razu zadał sobie trud i sprawdził dossier dziewczyny. Wyniki posiadała imponujące, trenowała jak szalona i deklasowała rywalki. Jej rodzina wywodziła się gdzieś spod koła podbiegunowego, a wyrwanie się z panujących tam marazmu i biedy stanowiło dla niej życiową szansę.

Lekarze sportowi szybko się na niej poznali. Zdała wszystkie wyczerpujące testy, jakimi ją poddali, lecz i to dla Gradowa było za mało.

Choć to z pewnością przykre, to z przeciętnego kanapowca nie da się zrobić zawodnika nawet na przyzwoitym krajowym poziomie – do tego niezbędne są wrodzone predyspozycje. Sama dieta i motywacja nie wystarczą. Sonia posiadała to wszystko, a nawet ciut więcej, bo nagle zaczęła budzić jego sympatię. Gradow najchętniej zakopałby te wspomnienia parę metrów pod ziemią. Do innych dawców nie miał żadnego emocjonalnego stosunku. Szczęście nie trwało jednak długo. Podczas próby pływania pod lodem jego muza utopiła się. On był wówczas gdzieś

na konferencji naukowej w Petersburgu czy Mińsku. Śmierć Soni wstrząsnęła nim bardziej, niż przypuszczał. Tak naprawdę chyba nie przeszło mu nigdy. Na swój pokrętny sposób postanowił uczynić ją nieśmiertelną.

Badania doprowadził do pewnego etapu, lecz później w wyniku nieporozumień z kierownictwem został odsunięty od projektu. Wyjechał bez większego żalu. Przez następne lata próbował zapomnieć. Teraz wszystko wróciło.

Usiadł przy wolnym stanowisku i wszedł do systemu, gdzie znalazł tylko ogólne dane o projekcie, który objawił się światu pod postacią FS/I/2283-1. Zdjęcie przedstawiało twarz pierwowzoru, uff... co za fatalne określenie. Sonia była żywą osobą, kimś niezwykłym, nie czymś wyciągniętym z probówki.

Na przykład taki FS/K/551-5 wywodził się od komandosa z Alfy. Profesor doskonale pamiętał tamtego drania – niewysoki, krępy, niebywale silny, o wybitnie analitycznym umyśle. Podobno zginął w wypadku nad Amurem, ale kto go tam wie. Kierownictwo potrafiło ukryć nie takie rzeczy. Czasami profesor dziwił się, że sam jeszcze żyje. Czyżby ktoś wyżej zachował resztki realizmu i dopuścił myśl o potencjalnych problemach?

Gradów ponownie przeskoczył do pierwszego zdjęcia. Sonia nie była może klasyczną piękną, z pewnością nie typu rosyjskiego, ale miała w sobie to coś, co określiliby słowem zajadłość. Nigdy nikomu nie odpuszczała. Raz skrzywdzona pamiętała o tym długo.

Ile w tym klonie pozostało dawnej Soni?

Zapewne niewiele.

6

Temu leszczowi, co poszedł się wysikać i o mało nie natknął się na porzuconą kapsułę, skrzyknęła kark bez większego problemu. Frajer był tak nieuważny, że bardziej nie można. Zanim rozpiął rozporek, odłożył broń. Sapał i jęczał pod nosem całkiem nieprofesjonalnie. Zaszła go z boku, zupełnie się przy tym nie kryjąc. Na jej widok zdurniał zupełnie, już nawet otwierał usta, ale położyła palec na swoich wargach, co przyjął za wstęp do czegoś więcej. Cały czas się uśmiechając, złapała i cyk, kręgi szyjne chrupnęły, gdy przekręciła głowę o sto osiemdziesiąt stopni. Zwłoki zaciągnęła w największą gęstwinę, tak by nie zostały szybko odkryte.

Koledzy zabitego postali trochę na nieodległej ścieżce i w końcu zniechęceni poszli sobie, co przyjęła z ulgą. Trudno byłoby jej wyeliminować wszystkich bez hałasu.

Będąc pewną, że nikt jej więcej nie przeszkodzi, wróciła w pobliże kapsuły. W niewytłumaczalny dla siebie sposób wiedziała, gdzie znaleźć tę szarą, matową kulę.

Zdjęła resztki zwisającego z drzewa spadochronu, a na koniec wykonała małą rundkę po okolicy. Usłyszała śmigłowiec, ale ten przelatywał daleko. Dla pewności usunęła z kapsuły antenę nadajnika, choć i tak wyglądała na uszkodzoną.

Teraz pozostało tylko czekanie.

Usiadła parę metrów dalej i przymknęła oczy. To nawet było przyjemne. Świat budził się z nocnego snu. Temperatura nieznacznie wzrosła, czuła to, lecz nie robiło to na niej większego wrażenia. Kilka stopni w jedną czy w drugą stronę to bez różnicy. Wiedziała, że przetrwa w naprawdę ekstremalnym chłodziu i zabójczo wysokich temperaturach. Tak było i już.

Siedziała po turecku, mając karabin ułożony na udach i łokcie oparte na kolanach. Lokator kapsuły jakoś się nie spieszył z wyjściem. Ciekawe, jak zareaguje na jej widok. Na pewno się zdziwi.

Upływały kolejne minuty i nic się nie działo. Jej głód wciąż rósł. Nie mogła jednak pozwolić sobie na dekoncentrację. Posili się później. Przykre doznanie zepchnęła w czeluść umysłu.

Ile to może potrwać? Godzinę? Dwie? Nie ma całego dnia do dyspozycji. Ktoś się tu w końcu pojawi, a ona – zgodnie z tym, co zostało jej narzucone – zacznie działać. Wołałaby tego uniknąć, ale jak inaczej się nie da...

Wyraźne stuknięcie dobiegające z wnętrza kuli rozwiało jej obawy. No, nareszcie.

Na idealnie gładkiej powierzchni pojawił się owalny zarys włazu. Wewnętrzny mechanizm odblokował luk i ukazała się w nim rozczochrana męska postać w stroju niepasującym do okoliczności.

Typ wyczołgał się ze środka, stanął na nogach i otworzył usta. Uciszyła go jednym gestem. Z gadułami są jedynie kłopoty. Przecież powinien o tym wiedzieć.

■

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

1

O tej godzinie nikt już nie spoglądał na zegarek.

Nad salą wisiał ciężki obłok tytoniowego dymu, chociaż palących dawało się policzyć na palcach jednej ręki. Orłow, mimo że palenie rzucił całe lata temu, patrzył na to przez palce. Sam chętnie skradłby jednego i zaciągnął się dymem. I pieprzyć lekarzy. Oni zawsze gówno wiedzieli. Nadęci idioci przekonani o własnej nieomyślności.

Ministrowie niespokojnie kręcili się na swoich miejscach. Niedługo za oknami przysłoniętymi ciężkimi kotarami wstanie nowy dzień. Czas kurczył się w straszliwym tempie. A jeszcze niedawno wydawało się, że mają go w nadmiarze. Dopiero teraz prezydent federacji rosyjskiej dostrzegł, w jak wielkim stresie żył ostatnio. Dalsze przeciąganie decyzji niczego już nie zmieni, będzie tylko gorzej, z czego sprawę zdawali sobie wszyscy przebywający w sali.

– Z danych wywiadu i nasłuchu wynika, że turecka delegacja wróciła do Ankary zaraz po tym, jak przekazano oficjalne informacje o wypadku samolotu z naszą delegacją na pokładzie – powiedział minister spraw wewnętrznych Nikołaj Pierunow. – Moim zdaniem potraktowali to jak nieoficjalne zerwanie rozmów, które i tak się skończyły, nim tak naprawdę się zaczęły. W ciągu następnych godzin zintensyfikowali koncentrację wojsk na pozycjach wyjściowych.

– Dokonają desantu na Krymie? – zapytał Orłow.

– Do tego są za słabi – o odpowiedź pokusił się szef resortu obrony Lew Andrejewicz Sacharow. – Doskonale wiedzą, że to się nie powiedzie. Mają tylko jeden, nie największy zresztą, lotniskowiec i słabe siły desantowe. Mogą być dokuczliwi, ale to niczego nie zmieni.

– A ich lotnictwo transportowe?

– Zmieciemy je z nieba, jak tylko zdecydują się na start – zapowiedź ministra zabrzmiała groźnie. – Bardziej martwi mnie koncentracja sił w Azerbejdżanie. Na pewno spróbują wyjść poza Kaukaz. Temu zapewne służy tak duże nagromadzenie ciężkich związków pancernych i zmechanizowanych w rejonie Qubadli i Saatli.

– Co na to Rumunia i Bułgaria?

– Ich wojska pozostają w strategicznej gotowości, ale to normalne. Bardziej obawiałbym się polskiego kontyngentu na Ukrainie.

– To możliwe? – Orłow musiał przepłukać wodą gardło, czując, że dym je podrażnił.

– Takie pomysły chodzą po głowie niektórym polskim politykom i generałom. Ja dałbym im nauczki.

– Jeszcze trafi się okazja.

– Taaak, ale możemy na nią trochę poczekać. Oni obwód kaliningradzki uważają za śmiertelne zagrożenie dla swojej państwowości. Wcale bym się nie dziwił, gdyby działając środkami militarnymi, próbowali je zlikwidować właśnie teraz, gdy my jesteśmy zajęci na południu, a sam rejon jest słabo broniony.

– Słabo broniony? Dlaczego?

– Bo wycofaliśmy stamtąd 79 Brygadę Strzelców Zmotoryzowanych i 244 Brygadę Artylerii. Obecnie rejonu broni nie więcej jak siedem tysięcy żołnierzy i marynarzy, co gorsza, raczej nie pierwszoliniowych jednostek.

– A nasze przeciwdziałanie z Zatoki Fińskiej?

– Mogą je zablokować jednym z dywizjonów Morskiej Jednostki Raketowej, przerzucając ją na Sarewę. Parokrotnie już to ćwiczyli.

Wyspa u wybrzeży Estonii posiadała strategiczne znaczenie dla każdej ze stron. Wiedział o tym równie dobrze Sacharow, co oficerowie z Dowództwa Operacyjnego Rodzajów Sił Zbrojnych w Warszawie.

– Dysponujemy niesprawdzonymi jeszcze informacjami, że ich komandosi z Formozy są już na Saremie. Być może dotyczy to również fińskich jęgrów z sił specjalnych. To działanie wyprzedzające, po prostu zabezpieczają teren. W morze wysłali wszystkie jednostki raketowe, nawet te, które właśnie szły do remontu. W trybie alarmowym uzupełniły paliwo, pobrały prowiant i amunicję i są teraz gdzieś pod Gotlandią. Jak dla mnie to jawny wstęp do wojny.

Pierunow, nieustannie przesuwający palcem po tablecie, chrząknął dla zwrócenia na siebie uwagi.

– To nie wszystko. W Ługańsku wybuchła bomba. Jest paru poszkodowanych, na szczęście nikt nie zginął. Ten zamach na pewno zorganizował ukraiński wywiad.

A jak już jesteśmy przy tym temacie, to w wyniku ostrzału w rejonie Gorłówki zginęło pięciu naszych żołnierzy.

– Naszych? – Orłow wolał się upewnić.

– Z 96 Brygady Rozpoznawczej. Urlopowanych, ale w czynnej służbie – zapewnił Pierunow. – Dalej nie będzie tak słodko. Zaatakowano posterunki rosgwardii w Astrachaniu, gdzie mamy dwóch rannych funkcjonariuszy, a pod Rostowem zestrzelono śmigłowiec transportowy. Traf chciał, że na pokładzie znajdowali się tylko piloci. Jednak to nie rakieta była przyczyną zestrzelenia, a armata kalibru 23 milimetry zamontowana na ciężarówce. – Głos Pierunowa stał się głośniejszy. – Ci bandyci robią się coraz bardziej zuchwali. Pozwolimy im wejść do naszych domów i narzucić sobie ich sposób myślenia? Cięży na nas duża odpowiedzialność. To już dawno przestały być żarty. Jeżeli szybko nie postawimy tamy przemocy, skończy się to dla nas źle, ale tego przecież nie muszę wam mówić.

Mógł tak przemawiać godzinami, sypiąc przykładami jak z rękawa – tu bomba, tam snajper, jeden zabity, pięciu, stu – to bez znaczenia, podobnie jak rozprawa z islamistycznym rządem Turcji i ich azerskimi poplecznikami. Tak uważał do niedawna. Dopiero awantura w Jamantau na dobre przestraszyła ministra. Takiej akcji nie zaplanowano w pijackiej melinie ani w leśnym szałasie. Kierowali tym wysokiej klasy specjaliści.

Opanowanie baterii S-400 to przecież koszmar w czystej postaci. Efektem było zestrzelenie rządowego Iła, a to jedynie element większej rozgrywki. Co by się stało, gdyby samolotem podróżował on albo Sacharow?

Do grupy kryzysowej dokooptowano Gradowa, który jako jedyny miał dostateczną wiedzę, by poradzić sobie z zagrożeniem płynącym z wnętrza góry. Na razie zajmował się wszystkim, tylko nie problemem, ale niech mu będzie, taktyka małych kroczków bywa równie dobra jak frontalny atak. Była tylko zakończyła się sukcesem.

W tym wszystkim kwestia, gdzie podział się Golicyn, była najmniej ważna. Może dobrze się stało, jak się stało, bo temu sukinsynowi najchętniej osobiście wpakowałby kulę w łeb.

Negocjacje z Turkami uważał za zbędne. Nie potrzebowali ich. Mimo wielu lat umizgów uważał Osmanów za zagrożenie. Za szybko urosli w siłę i zaczęli narzucać rejonowi swoją politykę.

Za każdym razem na widok gęby Sulejmana Dżabbara w telewizji dostawał dreszczy. Patologicznie go nie znosił, uważając, że to jeden z tych, którzy nigdy nie zapominają, a polityka to przecież taka suka, która zawsze wykorzysta słabość przeciwnika. I nie to, żeby Turcja była szczególnie silna, to rosja stała się słaba. Stało się to nie wiadomo kiedy. Poprzedni prezydent jeszcze coś znaczył. Gdy zginął, cały świat się zmienił. Zupełnie nic już nie było takie samo jak przedtem. Ostatnie lata to chaos. Choć epidemia dosięgła jedynie Stanów Zjednoczonych, to ich upadek oddziaływał w skali globalnej. Zamknięcie tak wielkiego rynku i ograniczenie handlu międzynarodowego doprowadziły do poważnych napięć wewnętrznych w Chinach. Maszyna państwowa napędzana wyłącznie eksportem nieomal stanęła. Końca kryzysu nie było widać, bezrobotnych i niezadowolonych na wszystkich szczeblach drabiny społecznej przybywało. Pęknięć nie dawało się już ukryć za pomocą szpachlowania propagandą. Przedstawiciele odleglejszych rejonów, zostawieni z problemami samym sobie, zrobili się już na tyle pewni siebie, że decyzje Pekinu traktowali w sposób umowny. Do otwartego buntu niewiele brakowało. Państwo Środka już to przerabiało. Wojny warlordów pustoszyły kraj przez ponad dekadę – od 1916 do 1928 roku – a i później nie było dużo lepiej. Czyżby szykowała się powtórka? To byłby kolejny ból głowy dla zasiadających przy tym stole.

Na szczęście to jedynie ewentualność, realnym kłopotem był gad wyhodowany tuż pod bokiem.

– Nasz agent w otoczeniu tureckiego przywódcy twierdzi, że decyzja o wojnie już zapadła. Podjęto ją jeszcze przed wylotem delegacji do Nur-Sułtan – odezwał się Pierunow. – Już samo to nie pozostawia nam zbyt dużego pola manewru.

– To pewne?

– Na dziewięćdziesiąt procent. Zawsze mogą się cofnąć, choć nie wierzę, żeby tak się stało. To dla nich wymarzona sytuacja. Mają nas prawie na kolanach.

– Spróbuję porozmawiać z Dżabbarem, może to coś pomoże. – Orłow nerwowym ruchem pomasaował skronie.

– Odradzam. Stanowczo odradzam. Uznają to za słabość, a to jeszcze bardziej utwierdzi ich w przekonaniu, że osiągną cel. Zresztą jak to będzie wyglądało? Sam fakt rozmowy zostanie nagłośniony w mediach i odpowiednio zinterpretowany. Stracimy wizerunkowo. Niedawne starcia nad Krymem znacznie zredukowały nasz potencjał, wciąż jednak jest on ogromny. Operacje lądowe na długie dystanse odpadają, ale od czego posiadamy siły powietrzno-desantowe i specjalne?

Wzrok Orłowa z Pierunowa przesunął się na Sacharowa. Generał był zwolennikiem starej szkoły, wiedziała o tym każda z osób przebywających na sali: wroga należy postawić pod murem i niech błaga o litość.

Sacharow skinął na jednego z przebywających w pobliżu oficerów, a ten bez słowa zaczął rozkładać przed członkami rządu dokumenty w czerwonych okładkach. Nie było ich wiele, zaledwie ogólne założenia planu operacyjnego, ale na niektórych i to zrobiło wrażenie.

– Cel naszych działań jest dwojaki – zaczął minister obrony cichym, wystudiowanym głosem. – Po pierwsze uderzenie naszych sił powietrznych i raketowych doprowadzi do rozbicia zgrupowań, jakie Turcja szykuje do inwazji, bo to będzie inwazja, nie ma co się oszukiwać. Atak zresztą już trwa. To, co obserwujemy, jest wstępem do szerszych działań. I tak: najsilniejsza grupa została dyslokowana w Azerbejdżanie, więc przeciwko niej rzucimy większość naszych sił. Druga zajmuje pozycje w pobliżu Trabzonu, a trzecia, rezerwowa, zabezpiecza Bosfor. Nie będę ukrywał, że przed nami niebywale trudne zadanie. Turcja jest wymagającym przeciwnikiem, ale... podkreślam to z całą mocą – Sacharow postukał palcami w stół – jej złamanie leży w naszym żywotnym interesie. To ona finansuje bandy plądrujące nasz kraj. Nie wszczynamy wojny, musimy tylko skończyć to, co ona zaczęła...

– A ten drugi cel, o jakim pan wspomniał? – Orłow przerwał generałowi.

– Zrobimy to, o czym marzymy od dawna.

– To szaleństwo – wyrwało się ministrowi rolnictwa. – Zamiast skończyć wojnę na rozsądnych warunkach, na dobre ją rozpalimy.

– Nie sądzę, żeby do tego doszło – odparował Sacharow. – A osiągniemy rozliczne korzyści. Dzięki zajęciu cieśnin skrócimy drogę z południa Rosji do Europy, jednocześnie uwalniając Greków i Serbów od niezbyt przyjemnego

sąsiedztwa. – Generał uśmiechnął się złośliwie. – Grupa okrętów z Floty Północnej płynie już w kierunku Morza Egejskiego. Dołączą do nich jednostki z Eskadry Śródziemnomorskiej. To pozwoli nam zablokować Dardanele z obu stron.

– Aż się boję zapytać, co będzie dalej.

– Postąpimy tak, jak planowali to zrobić Amerykanie, szykując się do wojny z kontynentalnymi Chinami – odpowiedział bez zająknięcia generał. – Batalionowe grupy taktyczne zostaną wyposażone w przeciwokrętowe i przeciwlotnicze systemy rakietowe mogące razić przeciwnika na długich dystansach. Obsadzimy nimi kluczowe miejsca.

– To się nie uda. Turecka armia jest duża, ma rezerwy i jest dobrze wyszkolona. Dla mnie wysłanie naszych chłopców przez Morze Czarne z takim zadaniem jest... co tu mówić... to się skończy porażką.

– Tak nie można myśleć. Sama groźba otwarcia drugiego frontu zmusi Turcję do ustępstw. Hm... Dlatego w obecnej sytuacji im szybciej wynegocjujemy układ pokojowy, tym lepiej. Zatem potrzebujemy nowego kierownictwa Ministerstwa Spraw Zagranicznych. – Sacharow powiedział to z miną zawodowego pokerzysty. – Sami widzicie, że nie możemy dłużej zwlekać z jego wyborem.

– Wciąż brakuje potwierdzenia śmierci Golicyna.

– To jedynie kwestia czasu.

W ciszy, jaka zapadła po tych słowach, dawało się wyłowić pojedyncze westchnienia.

– Do czasu odnalezienia ministra Golicyna negocjacje może prowadzić wiceminister Szafirow, skoro to taka pilna sprawa. Ministerstwo przecież działa – zasugerował Popow.

– Autorytetów nam nie brakuje, a nowa osoba będzie się kojarzyła z nowym rozdaniem. – Pierunow miał wątpliwości.

– Poczekajmy z tym czterdzieści osiem godzin – zaproponował Sacharow.

– Niby dlaczego?

– Bo tyle potrwa najbardziej aktywny etap naszego uderzenia. Po dwóch dniach tureckie siły zbrojne powinny zostać rzucone na kolana i rozmowy nie będą się wydawały niczym nadzwyczajnym.

– Słusznie – zdecydował prezydent. – Głęboko wierzę w to, że kwestia życia bądź śmierci Aleksandra będzie już dla nas jasna.

– Z pewnością – oświadczył Sacharow.

– A teraz poproszę o szczegóły. To będzie duża operacja?

– Największa od lat, panie prezydencie.

Generał zaczął mówić, a co niektórym zebranych zaświtała w głowie myśl, czy zbyt pochopnie nie stawiają wszystkiego na jedną kartę.

2

Na wąskim skrawku lądu oddzielającym Azerbejdżan od federacji rosyjskiej i masyw Kaukazu od Morza Kaspijskiego kończyła się rześka noc. Nadchodzący dzień zapowiadał się duszny i gorący – dosłownie i w przenośni.

Sierżantowi Abdulowi Karimowi chciało się palić. Zdusił jednak w sobie to pragnienie, świadom, jak może być niebezpieczne. Nigdy nie uważał się za nałogowca, jednak gdy był zdenerwowany, tak jak w tym momencie, pokusa dawała o sobie znać.

Ostatnie lata nie rozpieszczały Karima. Swoje przeżył. Walczył w północnej Grecji, z kurdyjską rebelią na południu, brał udział w rajdach na wyspy Morza Egejskiego i wraz z azerskimi braćmi tropił ormiańskich partyzantów w Górskim Karabachu. Z powodzeniem mógłby odejść do cywila. Właściwie od dawna nosił się z tym zamiarem i już się prawie zdecydował, tyle że zbyt późno. Jego przełożeni nie zgodzili się i jako jeden z najbardziej doświadczonych komandosów został wyznaczony do oddziału, jakiemu powierzono niebywale ważne zadanie w wojnie, która – zdaniem wielu – miała położyć kres wszelkim konfliktom. Gdy tego słuchał, nie potrafił ukryć zdumienia, że ktoś jeszcze wierzy w takie brednie.

Początek był niewinny. Przerzucono ich nad Samur – rzekę, która na sporym odcinku wyznaczała granicę pomiędzy Azerbejdżanem a rosją. Jej rozlewisko w dolnym biegu poznał jak własną kieszeń.

Jako powód relokacji dowództwo podało najpierw obawy Azerów, że sąsiedzi z północy wyślą tędy oddziały dywersyjne, i dopiero kilkanaście dni później Abdul poznał prawdziwy cel, którym były most i przejście graniczne po drugiej stronie rzeki.

Ruch w obie strony odbywał się w miarę normalnie. Może nie był duży, ale samochody odprawiano sprawnie, nie uprzykrzając nikomu życia procedurami. Ktoś postronny mógłby pomyśleć, że to zwykła rutyna, a funkcjonariusze po prostu wykonują to, co do nich należy. Nic bardziej błędnego, Karim wiedział o tym doskonale. Spasionych celników zastąpili ludzie z fsb. W przypadku konfrontacji przyjdzie mu zmierzyć się z dobrze wyszkoloną grupą, a nie z tłustymi szczurami żerującymi na zwykłych podróżnych. Parę kilometrów dalej, w Sowietskoje, wywiad namierzył kompanię specnazu oraz jednostkę WRE, dalej w Kullar batalion strzelców zmotoryzowanych. Większe siły, w tym pancerne, skoncentrowano sześćdziesiąt kilometrów od granicy w Derbencie.

To na pewno nie będzie przyjemny spacer. Wróg będzie bronił się do upadłego. Propaganda może twierdzić, że idą z pomocą gnębionym muzułmanom i azerskim pobratymcom, więc będą witani kwiatami, lecz Abdul wiedział swoje. Jego przyszłość rysowała się w czarnych barwach.

– Gotowy?

Przytaknął.

– Sprawdź ludzi.

– Tak jest.

Z kapitanem Demircim nie było żartów. Oficer najwyraźniej utożsamiał się z sułtańskimi janczarami, elitarną formacją dawnych władców, której namiastkę stanowiły dlań siły specjalne. Do wieczora przeleją wiele krwi.

Biały ford transit z logo lokalnej firmy przewozowej najlepsze lata miał już za sobą. Do zamkniętej przestrzeni transportowej wsiadło dziesięciu komandosów. Wszystkim kazano ubrać się w cywilne łachy. Karim miał na sobie dżinsy i luźną koszulę kryjącą kaburę i dodatkowe magazynki. Granaty zaczepił na pasie z boku i na plecach. Pistolet maszynowy MP5K kalibru 9 mm z przednim uchwytem trzymał w rękach. Do przejechania mieli zaledwie czterystumetrowy odcinek drogi. Jak już uporają się z załogą placówki granicznej, ruszą dalej i nim wstanie świt, pokonają kilka kilometrów, mając za sobą cały korpus pancerno-zmechanizowany.

– Trzy minuty.

Czuł narastającą presję. Mające ich wesprzeć szturmowe śmigłowce T-129 ATAK już wystartowały. Jako weteran Abdul nie miał złudzeń – maszyny zostały

wykryte w chwili, gdy oderwały się od ziemi, i to, jak nisko lecą, było już bez znaczenia. Rosjanie monitorowali każdy ich ruch. Za minutę informacja o starcie dotrze do osób pilnujących przejścia i dopiero wtedy rozpocznie się główkowanie, o co w tym wszystkim chodzi – czy to rutynowy lot patrolowy, jakich ostatnio bywało wiele, czy też wstęp do czegoś poważniejszego.

– Ruszamy.

Kapitan Demirci jechał białym osobowym tofąsem. Jeżeli wszystko pójdzie zgodnie z planem, przekroczy granicę i zatrzyma się tuż za nią, wspierając oddział w razie konieczności z drugiej strony.

Teraz kolej na nich.

Kierowca przekręcił kluczyk w stacyjce i wrzucił bieg. Karimowi żołądek zwinął się w małą kulkę. Zaczął się obawiać, że zasłabnie. Dłonie zaciśnięte na broni już się spociły. Wytarł je w spodnie, nerwowo łykając powietrze. Z każdą akcją było coraz gorzej. Ta chyba będzie ostatnia. Drużyna w ładowni zachowywała absolutną ciszę. Reszta kompanii zajęła pozycje wśród zabudowań przejścia po azerbejdzańskiej stronie. Ruszą, gdy nocną ciszę przerwie pierwszy wystrzał.

Wjechali na most, wolno tocząc się do przodu. Karim wbił wzrok w tofąsa przed nimi. Demirci już przejechał i teraz wszystko zależało od tego, czy rosjanie poddadzą go osobistej kontroli, czy też nie.

A jednak.

Oficerowi kazano wysiąść i otworzyć bagażnik. Transit znajdował się trzydzieści metrów z tyłu.

– Zwolnij.

Z tego, co Karim pamiętał, kapitan posiadał pistolet ukryty pod ubraniem. Bagażnik wozu był pusty, nie licząc koła zapasowego.

– Idzie na osobistą – zameldował prowadzący furgon komandos.

– Widzę.

Na przejściu w tym momencie nie powinno znajdować się więcej niż piętnastu funkcjonariuszy zajętych kontrolami i papierkową robotą. To jednocześnie mało i dużo. Wystarczy jeden, by ich posłać na tamten świat.

– Co robimy?

– Swoje.

W zasięgu wzroku zmaterializowało się dwóch rosjan, obaj młodzi i rośli, w ruchach zdecydowani.

Opuścił szybę, kątem oka obserwując odprowadzanego kapitana. Karimowi coś tu nie pasowało.

Szósty zmysł wysyłał sygnały ostrzegawcze, lecz on ciągle się wahał.

– Co wiecie? – łamany azerski pogranicznika skaleczył uszy Abdula.

– Jesteśmy... – zaczął i zaraz przerwał.

– Mów wyraźniej.

– Jesteśmy zwiastunem burzy.

Z przeciwka nadjeżdżał ciężarowy KamAZ, którego masywna bryła zdawała się pochłaniać światło poranka niczym czarna dziura.

– Naprzód.

Sam nie wiedział, czy rozkaz wyszeptał, wychrypiał, czy też wykrzyczał, strzelając do rosjanina niemal z przyłożenia. Dwa razy próbował otworzyć drzwi samochodu, zanim mu się udało, gdy ciało ofiary wreszcie upadło.

– Ruchy! – krzyknął, wyskakując z auta.

KamAZ przyspieszył i szarżował wprost na nich. Ryk silnika rozrywał uszy. Ktoś strzelał i dopiero po chwili zorientował się, że to kapitan odepchnął rosjan od siebie, wyszarpnął spluwę i w każdego posłał po dwie kule. Tyle mu się udało, zanim zniknął pod kołami ciężarówki. Koła tylko nieznacznie podskoczyły na ciele oficera.

Karim wygarnął wściekłą serię w stronę kabiny, ale nie trafił. Jedyne, co mógł zrobić, żeby nie zostać przemielonym jak jego dowódca, to zerwać się do ucieczki. Niemoc, jaką odczuwał jeszcze przed chwilą, gdzieś się ulotniła. Przeskoczył ponad ładą samarą, parkującą trzy metry od niego, i przekoziółkował po betonie. KamAZ minął go o włos, rąbnął w furgonetkę drużyny i zepchnął ją na ścianę murowanego baraku odpraw. Zgrzyt dartego i zgniatanego metalu paraliżował zmysły. Niczego głośniejszego w swoim życiu nie słyszał. Było to porównywalne do detonacji kilkudziesięciokilogramowej bomby lotniczej.

W panującym zamieszaniu niewiele widział. Strzelił na oślep, w miejsce, gdzie jak mu się zdało, przebiegała czarno ubrana postać. Spudłował kolejny raz. Może

to i lepiej, bo nie wiedział, czy nie był to ktoś z jego ekipy.

Ocierając się ramieniem o ścianę, ruszył w kierunku najbliższych drzwi. Powinien mieć wsparcie, a działał w pojedynkę. Większość chyba została sprasowana w transicie. Z jatki uratowali się nieliczni. Nie będzie ich szukał, każdy musi radzić sobie sam.

Dłonią namacał klamkę i lekko uchylił drzwi. Nie zamierzał pchać się do środka jak pierwszy lepszy frajer. Granat oczyści mu drogę. To zawsze działa.

Wyrwał zawleczkę, cisnął zabójcze jajo i zatrzęsął drzwi, jednocześnie odskakując w drugą stronę. Walnęło tak, że zatrzęsły się mury, a na Abdula posypało się szkło ze stłuczonej lampy. Tym się nie przejął. Wykonał zwrot i śmiało wszedł do pomieszczenia. Zaskoczony widokiem stanął w progu. Dopiero po sekundzie zorientował się, że mózg splątał mu figla – spodziewał się normalnego biura, a nie komnaty rodem z filmów gore.

To, co z początku wziął za farbę, okazało się krwią, która zbryzgała wszystko – podłogę, ściany i sufit. Być może ktoś próbował przechwycić ładunek i wyrzucić go na zewnątrz, a wtedy doszło do wybuchu. Najbliżej wejścia stało biurko. Spod niego wystawały nogi w zadartej spódnicy. Podeszedł bliżej i szybko tego pożałował. Ofiara przyjęła na siebie sporo odłamków, które zmasakrowały jej twarz. Kałuża krwi rozlewała się teraz wokół bezkształtnej pulpy głowy. Szybko obszedł pomieszczenie i znalazł jeszcze dwa kolejne trupy. Ciała należały do kobiet. Żadna nie posiadała broni. To tyle, jeżeli chodzi o bohaterskie czyny.

Na zewnątrz wciąż trwała gwałtowna strzelanina. Wystawił więc automat przez drzwi i pociągnął długą serią po rosjanach ostrzeliwujących się z przeciwnej strony parkingu. Nie potrwa długo, zanim go nie dorwą i nie rozwalą.

Gorączkowe poszukiwanie wyjścia z tej dramatycznej dla Karima sytuacji skończyło się pojawieniem się nad przejściem większego drapieznika. T-129 zawisł dwadzieścia metrów ponad ziemią, a trzy lufy zamontowanego w przedniej części kadłuba działka kalibru 20 mm zaczęły obracać się we wszystkie strony. Operator uzbrojenia działał ostrożnie, żeby serie nie dosięgły któregoś z tureckich komandosów. Ogień broni małokalibrowej nie czynił opancerzonej bestii szkody, choć któryś z pocisków mógł w końcu uszkodzić mechanizm przekładni.

Obrońcy szybko nikli w krwawych rozbryzgach. Niedobitkami zajęli się ci, którzy dotarli na miejsce lekkimi transporterami w drugim rzucie.

Po dziesięciu minutach okazało się, że z oddziału szturmowego przeżyło czterech ludzi. Bez obrażeń pozostał tylko on. Jeżeli tak ma to dalej wyglądać, to najrozsądniej poddać się od razu. Karim zastanowił się, co takiego dowództwo miało w głowie, decydując się na wojnę. Nie znał oczywiście wszystkich argumentów, ale już na tym etapie stało się dla niego jasne, że to nie może dobrze się skończyć.

3

W dalszą drogę ruszyli, gdy tylko dołączyła do nich reszta oddziału, a ponieważ był jedynym żołnierzem w cywilnych ciuchach, dostał kluczyki do samochodu i rozkaz pomknięcia międzynarodową drogą E119 w stronę Derbentu, a jak się uda, to dalej, i ostrzegania posuwających się za nim oddziałów o wszelkich niebezpieczeństwach.

Zadanie, choć nieledwie samobójcze, dawało Karimowi wiele swobody. To samo miał robić kapitan Demirci, ale po oficerze pozostało już tylko wspomnienie.

Wsiadł do wozu, całkiem nowego SUV-a Nissana, którego właściciela wojna zastała w chwili, gdy próbował przekroczyć granicę. Z tego, że ma oddać samochód na potrzeby armii, i to wrogiej, nie był oczywiście zadowolony, nie stawiał się jednak, wiedząc, czym się to może zakończyć. Dziurę w karoserii, efekt trafienia karabinową kulą, zalepiono taśmą tak, że niemal nie było nic widać. Gorzej z paliwem – bak był prawie pusty. Abdul nie przejął się tym jednak. Co ma być, to będzie, Allah miłosierny czuwa nad swoimi wyznawcami. Może nie nad wszystkimi w tym samym stopniu, ale nietknięty w tyłu walkach Karim uważał się za wybrańca. Jeśli łaska Najwyższego będzie z nim, spokojnie dojedzie do Machaczkały albo i samej Moskwy.

Wcisnął gaz, nissanem szarpnęło. Nie prowadził nigdy tego modelu, nie był przygotowany na tak mocny silnik. Jak się nie uspokoi, wyląduje w rowie, a tego nie chciał. Już znacznie rozsowniej wyprowadził SUV-a na szosę, omijając wraki rozbitych aut.

Nie przejechał więcej jak pięćset metrów, gdy z przeciwka minęły go dwa radiowozy drogówki pędzące na sygnale. Robiły tyle hałasu, że meldunek o nich uznał za zbędny. Pamiętał, że kilka kilometrów dalej znajduje się stacja benzynowa. Musiał tam dotrzeć, zanim zostanie zamknięta, a stanie się to szybko, gdyż wiadomość o przekroczeniu granicy przez Turków rozprzestrzeni się niczym pożar stepu.

W schowku znalazł butelkę wody, wypił resztę. Minął pierwszą wieś. Gdzieś w pobliżu stacjonowała jednostka walki radioelektronicznej, lecz przy drodze nie dostrzegł ani jednego żołnierza. Z tymi kolesiami były same kłopoty. Podobno ich sprzęt zakłócał działanie tureckich dronów. Ile w tym było prawdy, nie wiedział. Miał nadzieję, że niewiele, jak w pozostałych opiniach o ruskim sprzęcie, *kotoremu niet analoga w mirie*.

Tymczasem nadszedł świt. Wraz ze słońcem niebo rozjaśniła luna i grzmot pioruna. Zerknął w lusterko. Helikoptery szturmowe okładały rakietami wykryte rosyjskie pozycje.

A jednak...

Przed sklepem trzech staruszków spoglądało w kierunku nieodległych wybuchów, zastanawiając się pewnie, o co tu chodzi. Jeszcze nie wpadli na to, żeby ładować dobytek i uciekać stąd w pośpiechu.

Zwolnił, bo droga skręcała w lewo pod kątem prostym, i ponownie przyspieszył, uważnie obserwując wskaźnik paliwa, przez co o mało nie wpakował się w rolniczy ciągnik wyjeżdżający z pobliskiego gospodarstwa.

Walnął dłonią w kierownicę i wrzucił wyższy bieg. Za przekroczenie prędkości raczej nie beknie.

Gnał teraz setką, próbując odskoczyć do przodu przynajmniej na parę kilometrów.

Tuż za wsią na poboczu dostrzegł samotnego BTR-a, którego załoga czegoś szukała na mapie. On im raczej nie pomoże. Sięgnął po radiotelefon i w trzech słowach przekazał, co widzi. Resztą niech się martwią inni.

W końcu dostrzegł reklamę stacji paliwowej. W samą porę, jechał na oparach. Już tak nie szarżował. Na głowę wcisnął wypłowiałą bejsbolówkę, którą znalazł pod siedzeniem. *One size* pasował doskonale. MP5K raczej mu się nie przyda,

granaty też nie. Nim wysiadł, odpiął pas i wsunął go pod siedzenie, to samo zrobił z automatem. Pistolet schował na plecach, podwinął rękawy koszuli i swobodnym krokiem podszedł do dystrybutora. Wyjął wąż z uchwytu i odkręcił korek baku. Lał do pełna. Nie zamierzał oszczędzać. Skończył i ruszył w stronę sklepiku. Za ladą stał młody człowiek, któremu broda pasowała jak kozie wianek.

Gdy tylko się pojawił, tamten zaczął gadać jak najęty. Karim rozumiał tylko poszczególne słowa, na wszelki jednak wypadek potakiwał, mruczając pod nosem „aha” i „uhmm”, ale i to nie zniechęciło sprzedawcy, który zamilkł dopiero wtedy, gdy w oddali rozległ się kolejny wybuch. Facet był przerażony, co niemal ucieszyło Karima. Musiał się zwijać, ale z pustymi rękami nie wyjdzie. Znalazł plastikową reklamówkę i zaczął do niej wrzucać wszystko, co znajdowało się w zasięgu ręki – butelkowaną wodę i soki, słodczyce, słone przekąski oraz mapę. Tego brakowało mu najbardziej.

Takim szczegółem jak wysupłanie z kieszeni paru rubli zapłaty nawet sobie głowy nie zwracał. Po pierwsze, nie posiadał rosyjskiej waluty, a po drugie, kto w tym burdelu będzie się za nim uganiał?

Wyszedł, nie spojrzawszy za siebie, ścigany wściekłymi okrzykami. Chętnie wystawiłby środkowy palec, ale dłonie miał zajęte.

Łup rzucił na boczny fotel i po chwili był już w drodze. Niedługo na szosie zrobi się gęsto, w jedną stronę ruszą uchodźcy, w przeciwną armia. Tak było, jest i będzie. Ten konflikt nie różnił się od poprzednich. Kaukaz to od zawsze beczka prochu, która aż prosi się o podpalenie. Ktoś to musiał zrobić – tym razem padło na nich.

Tylko koniec stanowił dla Karima zagadkę.

4

Nie można powiedzieć, że turecka ofensywa spadła na rosyjskie dowództwo niespodziewanie. Od dawna się z nią liczone, analizując nagromadzone siły i przewidując kierunki uderzenia. Problemem było to, że nastąpiła dwadzieścia cztery godziny przed tym, nim do akcji weszły ich własne siły, które miały dokonać uprzedzającego ataku. Spływające do Moskwy informacje przyprawiały generalicję o ból głowy. Jak to się mogło stać?

W powietrze wzbily się dziesiątki samolotów i dronów. Na bazy, zgrupowania wojsk, centra logistyczne i przeładunkowe, rozpoznane obiekty dowodzenia i łączności, radary, stacje kolejowe i mosty w promieniu pięciuset kilometrów od granicy spadły tureckie pociski i bomby. Najpoważniejsze straty odnotowano w Machaczkale, Rostowie nad Donem, Astrachaniu i Krasnodarze. W bazie sił powietrznych w Millerowie zniszczono trzy bombowce Tu-160M, akurat przygotowywane do zaskakującej operacji. Wraz z nimi spłonęły dwa Tu-22M3M oraz osiem MiG-ów 29, uszkodzone zostały również budynek kontroli lotów, pas startowy i zbiorniki paliwa. Ze wstępnych ustaleń wynikało, że przywrócenie bazy do działania potrwa co najmniej kilka tygodni.

Na lotnisku w Taganrogu straty były jeszcze większe. Ustawione skrzydło w skrzydło szturmowe Su-25SM stały się łatwym łupem dla pocisków JDAM. U ujścia Wołgi do Morza Kaspijskiego zatopiono korwetę, a drugą poważnie uszkodzono.

Tureckie siły powietrzne ze szczególną zjadłością tropiły jednostki przeciwlotnicze uzbrojone w zestawy Buk, Tor, Pancyr oraz S-300 i S-400. W miejsca, gdzie straty przy ataku mogłyby być zbyt duże, wysyłano siły specjalne bądź muzułmańskich partyzantów. Obiektywnie należało powiedzieć, że rosjanie bronili się dzielnie, ale w ich system dowodzenia powoli wkładał się chaos. Informacje nie zawsze docierały na czas, a przewaga wroga wydawała się przygniatająca. Było to oczywiście złudzenie, ale w ekstremalnej sytuacji strach ma zawsze wielkie oczy.

Wypadki nad rzeką Samur w ogóle nie przebiły się do masowej świadomości, co bynajmniej nie znaczy, że przejście graniczne nikogo nie obchodziło. Turcy i Azerowie doskonale wiedzieli, ile znaczy swobodny przejazd, i nie zamierzali zaprzepaścić takiej okazji. Przyczółek miał kluczowe znaczenie dla dalszej operacji, wystarczyło rozgromić pancerny batalion w Sowieckim.

Drony oraz grupy lekkiej piechoty uzbrojone w środki przeciwpancerne sprawiły rosjanom krwawą łaźnię, tym łatwiej, że oddział nie zdołał się rozwinąć i zająć pozycji. Tylko trzem T-72BM udało się wyrwać z pierścienia ognia, lecz i tak żaden nie uszedł przeznaczeniu. Jako że jednostkę WRE obłożono ogniem artylerii w pierwszych minutach wojny, drony TB2 oraz większe TAI Anka krążyły

bezkarnie nad granicą bez obaw, że ich obwody ulegną sfajczeniu na skutek działania rosyjskich systemów antydronowych. W każdy czołg poszły po dwie rakiety MAM-L i po sprawie. Sukces cieszył, ale o niczym jeszcze nie przesądzał.

Starcia nad Krymem nie były już tak gwałtowne. Ankarą wiedziała, że półwysep jest silnie broniący, a próby wyrzucenia z niego Rosjan skazane na niepowodzenie, dlatego skoncentrowała się na innych kierunkach – Krajach Stawropolskim i Krasnodarskim oraz obwodzie rostowskim. Powodzenia upatrywano w systematyczności. Cele bombardowano tak długo, aż uzyskano potwierdzenie o jego całkowitym zniszczeniu. To, rzecz jasna, powodowało szybki ubytek precyzyjnej amunicji, tyle że przewidziany wcześniej – dzięki sojusznikom arsenały wciąż były pełne.

Od samego początku toczono również wojnę informacyjną, kto wie, czy nie ważniejszą od konfrontacji sił zbrojnych obu państw. Stacje telewizyjne, radiowe i internetowe grzmiały na jedną nutę: toczy się wojna z niewiernymi, na bok należy odłożyć wszelkie spory i stanąć w jednym szeregu. Przekaz kierowano do wszystkich muzułmanów na całym świecie. Rosjanom przychodziło to z większym trudem. Europa mówiła o wartościach i prawie uniwersalnym, ale poza tym zachowywała się biernie. Paryża, Rzymu, Berlina czy Londynu wojna nie dotyczyła bezpośrednio. Co innego mniejszości zamieszkujące szemrane dzielnice jak kontynent długi i szeroki.

Pierwsze manifestacje rozpoczęły się już o dziewiątej rano pod czujnym okiem policji. Marsze i przemowy gromadziły z początku niewielu zainteresowanych, ale wraz z upływającym dniem robiło się na nich tłoczno. Ich kierunek był jeden – rosyjskie placówki dyplomatyczne i biura, a gdy tych nie było lub też dostępu broniły oddziały porządkowe, wyżywano się na wszelkich obiektach utożsamianych z federacją rosyjską, w tym na sklepach czy też knajpach, wybijając w nich szyby i bejsbolami okładając personel.

W Atenach i paru innych greckich miastach atakowano nie Rosjan, a muzułmanów. Nie była to zorganizowana akcja, tylko spontaniczne działanie obywateli, którzy w ten sposób pragnęli odreagować okrojenie ich państwa przez Turcję. Ofiary liczone w dziesiątkach. Najwięcej, bo aż pięćdziesiąt osiem osób zginęło w podpalonych barakach socjalnych w Argos na Peloponezie.

Tysiące niewinnych ofiar znalazły się w pułapce bez wyjścia. Grecja ich nie chciała, do Turcji wrócić nie mogły, zaś szlak do Niemiec przez Bałkany został definitywnie zablokowany. Ponieważ w większości byli to młodzi mężczyźni, pozostało im jedno – walczyć – co też uczynili.

Tego dnia miejscem desperackich ataków i wytrwałej obrony stał się nie tylko front, ale też getta neutralnej, jak się wydawało, Europy.

W Grecji zamieszki zduszono szybko i zdecydowanie, ale tam, gdzie muzułmanie stanowili pokaźny odsetek obywateli, a rządy nie dość stanowczo przeciwdziałały przemocy, istniało ryzyko wywrócenia obecnego układu politycznego, bo w historii często tak jest, że sił raz wprowadzonych w ruch nie da się już zatrzymać w miejscu. ■

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

1

W momencie, gdy z samolotu przesiedli się do śmigłowca, Ernesta dopadły czarne myśli.

Traktowano ich niczym powietrze, uciążliwą kulę u nogi, psa, którego można kopnąć i nikomu nie będzie go żal.

Pierwszy etap przeszedł w miarę spokojnie, ale w Mi-8 dano im odczuć, kim są. Pierwszy pilot o mało nie napluł na Parkera, okazując mu pełną pogardę. Powód mógł być tylko jeden – uważano ich za śmiertelnych wrogów, którzy niepotrzebnie wtrącają się w ich wewnętrzne sprawy. To przykre, ale prawdziwe. Plazma nie wiedział, jakim autorytetem wśród rodaków cieszy się Golicyn, ale najwyraźniej nie była to ulubiona postać wśród rosyjskich muzyków.

Zamiast do Mieźgorje albo któregoś z osiedli znajdujących się w pobliżu miejsca katastrofy trafili do osady, gdzie czas zatrzymał się w dobie wczesnego breźniewa – wśród chat przeważnie murowanych, czasem drewnianych, krytych eternitem albo blachą niegdyś ocynkowaną, tu i ówdzie dał się zauważyć samochód, niekiedy nawet z wszystkimi kołami. Kilka budów nawet rokowałoby na przyszłość, gdyby nie to, że zastygły w początkowych fazach przed czterdziestu laty, sądząc po zardzewiałym sprzęcie. Zabudowania ciągnęły się na sporej przestrzeni, aż do zbocza zalesionego po sam wierzchołek. Za to widok stoku zapierał dech w piersi. Przyroda z nadwyżką rekompensowała wszelkie trudy wędrówki, jak i paskudztwo ludzkich wytworów.

Helikopter wystartował, gdy tylko udało się im wyciągnąć z ładowni cały majdan, jaki ze sobą przywieźli. Zostali sami, co zakrawało na kpinę. Poranny ziąb przenikał przez ubrania, a oni kompletnie nie wiedzieli, co mają robić. Gdzie tu iść? W prawo, w lewo, w dół czy w górę? Wydawało się, że Popow wystawił ich do wiatru. Szkoda. Wydawało się, że mu zależy.

– Cudowne miejsce do życia – zachwyciła się Oliwia.

– Do umierania też się nadaje – burknął Cyrus.

Piła Appelton rozpiął jeden z pokrowców i wyciągnął ze środka Remingtona 700 z celownikiem optycznym. Dla niego strzelanie było jak oddychanie. Bez wizyty na strzelnicy nie potrafił wytrzymać jednej doby. Z karabinem przy ramieniu wyglądał na myśliwego przymierzającego się do odstrzelenia grubego zwierza.

– Ktoś skrewił. – Ortiz Castillo strzyknął śliną przez zęby. – Mówiąc wprost, zostaliśmy wydymani.

– Tak uważasz? – zapytał Plazma.

– Ja to wiem. Widzisz tu kogoś? Ten kutas z ministerstwa okazał się skończonym złamasem.

– Obiecał pomóc.

– No i komuś pomógł, w moskwie pozbyli się problemu. Tu nawet nie ma zasięgu.

– Kurwa. – Ernest spojrział na wyświetlacz swojej komórki. – Faktycznie.

– Dalej będziesz się upierał, że wszystko gra?

Z głodu nie umrą, ale w poszukiwaniach Golicyna nie pomogą. Na dobrą sprawę wpakowali się w to szambo na własne życzenie.

– Zejdźmy trochę niżej, tam jest droga. – Appelton, który przypatrywał się krajobrazowi przez lunetę, wskazał ręką kierunek. – Nie będą na nas czekali.

Istotnie, od strony lasu, podskakując na wertepach, zbliżał się terenowy UAZ. Był z kilometr od nich, ale stanowił jedyny ruchomy punkt w zasięgu wzroku.

Pospiesznie zebrali bagaże. Jeżeli Piła miał rację, to właśnie doczekali się podwózki.

Kierowcą okazała się krótko ostrzyżona kobieta w powyciąganym szarym swetrze, dzinsach i ciężkich butach.

Wsiedli. Oliwia z przodu, reszta na twardych drewnianych ławeczkach z tyłu.

– Jedziemy do Aszy – oznajmiła rosjanka.

Plazma nie potrafił się zorientować, czym zasłużyli sobie na jej wyraźną niechęć, ale na wszelki wypadek wołał nie pytać. Nie przedstawiła się, nie wiedzieli więc, jak ma na imię, natomiast nazwa osady nic nikomu nie mówiła.

– To daleko? – zapytała Szczepańska.

– Czy wam się zdaje, że ja nie mam nic innego do roboty, tylko wozić wam tyłki z jednego miejsca w drugie?

Wjechali w większą koleinę. Wozem podrzuciło tak, że Plazmę rozboleły tyłek i kręgosłup.

– My z polecenia ministra Popowa.

– Kogo? – Zdumienie kobiety wydawało się autentyczne. – Moim przełożonym jest Wadim Jakowlew, zastępca gubernatora. Jakby co, to do niego z pretensjami.

Jakowlew? Kto go znał?

2

Zatrzymali się przed sporym, dwukondygnacyjnym domem z drewnianych bali. Niech który wysiądzie i otworzy bramę.

Plazma miał najbliżej. Przeskoczył przez burtę i plasnął nogami w lepkie błocko. Rosja jak na obrazku. Buty i spodnie aż do kolan ubabrał żółtawą mazią, co doprowadziło go do szału. Z trudem zdusił w sobie gniew. Furtka w drewnianym płocie była otwarta. Śmiało wszedł na podwórze i poodciągał zasuwy. Dziś już nic gorszego nie mogło go spotkać. Terenówka, przyskajac ziemią spod kół, wtoczyła się na dziedziniec. Zaraz też przybiegł zabiedzony kundel, ale obwąchał ich tylko i gdzieś sobie poszedł.

Nawet najmniejszy szczegół na zewnątrz nie zdradzał luksusów panujących w środku. Drewniane ściany wręcz wypolerowano, więc połyskiwały miodowo w świetle kryształowego żyrandola. Meble i cały wystrój wyraźnie wskazywały, że właściciel nie jest pierwszym lepszym gołodupcem.

– Do kogo to należy? – Plazma szeroko otworzył oczy, sycąc zmysły.

– Nie wasz zasrany interes.

Wolski spojrzał w górę, ciężko wzdychając. A tyle się słyszało o uprzejmości mieszkańców rosyjskiej prowincji.

– Ten cały Jakowlew przyjeżdża tu pewnie dymać swoje dziwki. Bardzo bym się zdziwił, gdyby było inaczej – ocenił całokształt Appelton, sięgając po jabłko leżące w misie na stole. Ugryzł je, głośno przy tym mlaszcząc.

– Tam jest jadalnia. – Rosjanka z wyraźnym niesmakiem malującym się na twarzy wskazała im boczne drzwi. – Każę służbie coś przygotować.

– Służbie? Witamy w kraju proletariackiej rewolucji – powiedział Pablo po angielsku tak cicho, że usłyszał go tylko Ernest.

Cała ta wystudiowana uprzejmość i epatowanie bogactwem mocno nużyły. Przybyli tu w określonym celu, a nie podziwiać kurwidolek podrzędnego urzędasza. Podobnie uważali pozostali, bo żadne z nich się nie ruszyło.

– O co chodzi? – Głos kobiety ponownie stał się napastliwy. Plazma dopiero teraz zauważył jej pożółkłe zęby i krzykliwy makijaż maskujący braki urody. Ile ona mogła mieć lat? Czterdzieści? A robiła się na dwudziestkę.

– W moskwie... – słowo „moskwa” starał się mocno podkreślić – ...będą chcieli wiedzieć, jak nam idzie. Czas nie jest naszym sprzymierzeńcem. Najlepiej, jak od razu zostaniemy zawiezieni tam, gdzie rozbił się samolot.

– Musicie czekać.

– Przecież tłumaczę...

– Nikt was nie wpuści na miejsce wypadku. Tam rządzi fsb. – Kobieta zmarszczyła nos. – Niezależnie od tego, co wam powiedziano w moskwie, tu rządzą lokalne układy. Dobrze o tym wiecie.

Tu rodziło się pytanie, czy Jakowlew był po ich stronie, czy towarzysza ministra Pierunowa. Plazma zaczynał się w tym wszystkim gubić.

– Co więc mamy robić?

– Niedługo ktoś się pojawi – rzuciła na odchodnym i wyszła, trzaskając drzwiami.

Zdaje się, że nie lubiła się powtarzać.

3

Plazma, rozwalony na fotelu, bawił się telefonem, rozdarty pomiędzy tęsknotą a panującymi w grupie zasadami. Na razie nic nie ustalili. Utknęli w jakimś gównianym miejscu i jeżeli nic się nie zmieni, spędzą tu trochę czasu. Krewkiej walkirii więcej nie widzieli. Po domu kręciło się starsze małżeństwo, ale na ogół trzymało się swojej części domu, pozostawiając im całkowitą swobodę. Ze wszystkiego mogli korzystać do woli. Była nawet bania kusząca brzożowymi witkami i dobrze zaopatrzoną barkiem. Nic, tylko oddać się uciechom. Tak zapewne myślał gospodarz, którego wciąż nie mogli się doczekać.

– To czekanie mnie wykończy. – Oliwia przeszła przez salon, by usiąść obok Ernesta.

– Nie ciebie jedną – odpowiedział, chowając telefon do kieszeni na ramieniu bluzy. – Patrz na Jamesa i Pabla. Niedługo kompletnie ześwirują.

Każdy z komandosów zabijał nudę na swój sposób – Piła rzucał lotkami, Ortiz Castillo grał sam ze sobą w bilard, a Parker czytał kieszonkową powieść, chyba coś z fantastyki, i to polskiej.

– Golicyna już pewnie znaleźli.

– W radiu nic o tym nie mówili.

– Znaleźli i rozwalili. Pójdzie na konto terrorystów. Nie wiesz, jak się to robi? Podobno Sacharow to kawał skurwiela. – Oliwia zmarszczyła brwi.

– Czy ktoś ci kiedyś powiedział, że jak przeklinasz, wyglądasz uroczo?

– Spadaj, Plazma. Twoje poczucie humoru mnie nie bawi.

Podnosiła się, by wstać, kiedy do środka wkroczył mężczyzna. Sądząc z wyglądu, niedawno przekroczył trzydziestkę. Blond włosy i starannie przystrzyżona broda przydawały mu elegancji. Do tego dochodził kaszkiet na głowie i brązowy golf pod marynarką w angielską kratkę. Gdyby nie to, że byli na Uralu, można by pomyśleć, że urwał się prosto z Windsoru. James Bond?

Od razu skupił ich uwagę. Szczerze mówiąc, jeżeli to sam Wadim Jakowlew, to Wolski spodziewał się kogoś starszego.

– Widzę, że humory dopisują – rzucił gość zamiast powitania, położył kaszkiet na stoliku i swobodnym krokiem pomaszerował do barku, gdzie nalał sobie szkockiej, po czym kontynuował uprzejmie: – Witamy w Aszy. Na pewno się wam spodoba. Mamy szereg atrakcji.

– Pomyliłeś nas z turystami. – Słowa Szczepańskiej były wyprane ze wszelkich emocji. – Na dodatek wydaje ci się, że jesteś zabawny.

– A nie jestem?

– Daruj sobie.

Zapadło niezręczne milczenie. Bez wątpienia ten facet miał prawo tu być, ale jego pretensjonalne zachowanie raziło.

– Wadim jest moim przyjacielem.

Przyjacielem, czyli kim? Chodzą do łóżka czy tylko chleją na umór i rzną w karty?

– A ty to kto?

– Oleg, ale mówią na mnie Girkin.

– Interesujące.

Słyszeli o takim jednym. Drań nad dranie.

– Mam się wami zająć.

– W jaki sposób? – Wydawało się, że Oliwia prowadzi przesłuchanie.

– Przecież wiemy, o co chodzi, to po co udawać? Mam was zaprowadzić na miejsce wypadku. – Oleg nie dał się zrazić.

– Ty?

Wydawało się, że powietrze wypełniły ładunki elektryczne i zaraz dojdzie do zwarcia.

Wzajemna lustracja trwała może z piętnaście sekund, a później na twarzy Girkina pojawił się uśmiech.

– Nie jestem taki, jak myślicie. Dajcie mi parę minut, to się przebiorę i zaczniemy. Postaram się sprostać waszym oczekiwaniom.

– Tak sądzisz? – Parker odłożył książkę i założył nogę na nogę. – Dobra. Działaj. Zmarnowaliśmy już tyle czasu, że pięć minut nas nie zbawi.

Cyrus pozwolił facetowi odejść. Co innego mógł zrobić?

4

Pięć minut szybko przeszło w dziesięć i Plazma zaczął tracić cierpliwość, aż w końcu na schodach rozległ się tupot nóg w ciężkich butach.

Tym razem Oleg nie kojarzył się z dandysem, ale z żołnierzem. Przemiana była całkowita. Czasami Ernest używał podobnego camo, gdy wymagały tego okoliczności.

– Popatrzcie.

Na stole została rozłożona nad wyraz szczegółowa tradycyjna mapa obejmująca swoim zasięgiem spory kawałek obwodu czelabińskiego i Baszkirii.

– Samolot rozbił się mniej więcej w tym rejonie. – Czerwony pisak trzymany przez Girkina zatoczył spory okrąg. – Tam wstępu nie mamy.

– Było mówione... – Plazma spróbował wrócić do wstępnych ustaleń.

– Nic z tego. Aresztują was pod zarzutem szpiegostwa czy nawet terroryzmu. To pewne na bank. Mamy stan wojenny na terenie całego kraju i... czego nie rozumiecie?

– Chyba stan wyjątkowy?

– Nad ranem turecka armia przekroczyła granicę na Kaukazie i maszeruje na północ.

Byli tak zaskoczeni, że zaniemówili.

– Nic nie wiedzieliście? – Na czole Girkina pojawiły się bruzdy. – Bomby i rakiety spadają na nasze miasta. Prawdopodobnie utracimy Machaczkałę. Tak mówili eksperci w mediach. Sami więc widzicie, że nie jest to najlepsza pora na akcję ratunkową.

Słowa Olega sporo wyjaśniały. Trafili tu w najgorszym możliwym momencie.

Sprawa Golicyna przestała być ważna, jej znaczenie zmniejszyło się do kolejnego nieszczęśliwego wypadku, jakich wiele.

– Mój pomysł jest taki. – Girkin zamienił pisak na ołówek. – Kapsuła oderwała się od Iła tuż przed katastrofą. To kula, spadając, na pewno pokonała wiele kilometrów w tym kierunku, a to daje nam obszar... No, sami popatrzcie.

Jeżeli wyliczenia były choć w części poprawne, to do przejrzania były setki kilometrów kwadratowych tajgi, tak na oko gdzieś z pięćset. Na nogach to niewykonalne. Zajmie to lata, a i tak efekt ich starań będzie mizerny.

– Potrzeba do tego dywizji wojska. – Parker również miał świadomość tego, co ich czeka.

– Czarna skrzynka już została przewieziona do Instytutu Lotniczego w Czelabińsku. Tam zostanie odczytana.

– Doprawdy?

– Jak tylko to zrobią, dowiemy się szczegółów. Dalej to już proste obliczenia matematyczne. – Choć Girkin się nie uśmiechał, to widać było po nim pełne zadowolenie.

– Czas się nam kurczy.

– Wiem. Dlatego wyruszmy od razu.

– Czym? Tym rupieciem, jakim nas tu przywieziono?

Oleg wyprostował się. Był dobrze zbudowanym facetem. W mundurze prezentował się lepiej niż w tweedowej marynarce.

– Czy wy cały czas musicie narzekać? Czy to ja prosiłem o waszą pomoc, czy odwrotnie?

5

Przyjrzał się bestii, na grzbiecie której której już niedługo pocwałuje w siną dal.

Konik, leniwie skubiąc lichą trawę, stał na lewo od Plazmy, mając gdzieś człowieka i wszelkie jego troski. Zwierzę nie należało do szczególnie dużych i wydawało się spokojne, jednak gdy spróbował się zbliżyć, odbiegło w kierunku reszty stada. Początek rozczarowywał, ale nie zamierzał dać tak łatwo za wygraną.

– No chodź ... nic ci nie zrobię.

Czarne oko łypnęło na Plazmę bojaźliwie.

– Nie daj się prosić.

– Przygotuj siodło. Zaraz go przyprowadzę. – Z pomocą przyszedł Girkin, który bez trudu spędził zwierzęta z pastwiska. Ufały mu, wystarczyło, że nasypał obroku i nalał wody do poidła.

– Są cztery, nie wystarczy dla wszystkich. – Parker szybko zaznajomił się z siwą kłaczą i klepał ją pieszczotliwie po karku. Wydawało się, że na koniach zna się równie dobrze jak Oleg, co nieco zaskoczyło Ernesta.

– Kto z was sobie poradzi?

Oliwia kiwnęła głową, Cyrus wiadomo, gorzej z Pablem i Piłą.

– A ty?

– Radzę sobie – odparł Plazma nonszalanckim tonem, choć do tej pory tylko kilka razy siedział w siodle, i to bez większej przyjemności.

– Pojedziecie samochodem jako wsparcie. – Girkin przeszedł do konkretów. – Spotkamy się... o tutaj, to sześć kilometrów stąd.

– Dobra. – Ortizowi Castillo takie rozwiązanie wydawało się jasne i logiczne. Mniej się zmęczą, a jednocześnie do terenówki zapakują więcej specjalistycznego sprzętu. Górskie drogi wymagały sporych umiejętności, ale tym się akurat nie martwił, przekonany, że lepiej mieć pod stopami sprzęgło, gaz i hamulec niż

strzemiona. Terenówką okazał się nissan patrol, a nie rozklekotany UAZ, co cieszyło tym bardziej.

Ernestowi już tak wesoło nie było. Mimo jego starań zwierzę wciąż wydawało się płochliwe. Bał się, że w pewnym momencie wierzgnie nogami, a on wyleci z siodła jak z procy, łamiąc sobie ręce i nogi albo i kark. Pełen obaw dosiadł wałacha, bacząc, by wykonać jak najmniej nerwowych ruchów. Poszło nadspodziewanie dobrze, a później – po kilku uwagach Girkina – odzyskał pewność siebie.

Przez następne pół godziny kompletowali wyposażenie. Oleg wciąż wisiał na telefonie. Albo on dzwonił, albo telefonowano do niego. Odchodził wówczas na bok, mrużąc coś pod nosem. Za każdym razem gdy wracał, wydawał się wręcz roztrzęsiony. Przyczynę złego humoru rozszyfrowali bez trudu – na froncie działo się źle, o ile nie tragicznie.

– Powiesz nam, o co chodzi? – Parker jak zwykle nie bawił się w subtelności.

– Rozbili jedną z naszych dywizji. – Rosjaninowi trzęsły się ręce. – Całkowity pogrom.

– Zdarza się.

– Ale ja mam tam brata. Dowodzi plutonem w kompanii rozpoznawczej.

– Przykre.

Tocząca się tysiąc kilometrów dalej wojna wydawała się czymś nierealnym. W tym zakątku świata panowała niczym niezmacona cisza, powietrze było czyste, drzewa zielone, a góry monumentalne.

Porozrzucane osady robiły wrażenie wyludnionych. Część mieszkańców pewnie przeniosła się do większych miast. Wielu pozostało, lecz nie rzucali się w oczy. Tu informacje dochodziły dzięki telefonom satelitarnym, takim jak ten Olega. Ich komórki czasem łapały zasięg, ale częściej pozostawały bezużytecznymi zabawkami. Wszystko zależało od nielicznych przekaźników, co było nie tylko ich problemem.

Kołysząc się w siodle, Plazma popadał w coraz większe przygnębienie. Znalazł się tu tylko dlatego, że obiecał to Annie. O to nie mógł mieć do siebie pretensji. Pewnym problemem byli pozostali członkowie zespołu. Bez nich czułby się swobodniej, a tak uważał, że jest za nich odpowiedzialny.

Uznał, że to dylematy związane z dowodzeniem, ale pewny nie był.

Droga, czy raczej wąska ścieżka, wiodła zakosami w stronę szczytu. Ze wszystkich stron otaczał ich gęsty las. Wieś, którą opuścili, znalazła się daleko za nimi. Z trudem wyobrażał sobie podobną pustkę. Każdy odgłos kopyt na kamieniach brzmiał jak wystrzał. Broń trzymał na łąku siodła, nie wiedząc, jakiego zagrożenia należy się spodziewać. Stracił kontrolę i to wydawało się najgorsze.

Zatrzymali się nad górskim strumieniem, gdy słońce powoli zaczynało zachodzić, a ciche „ping” w telefonie Girkina obwieściło przychodzącą wiadomość. Oleg przyjrzał się jej, następnie na mapie określił współrzędne.

Przysunęli się bliżej.

– Wiem już, co trzeba. – Siedział na kamieniu, mając podkurczone nogi, przez co mógł kojarzyć się z karłem lub jakimś leśnym trollem.

– Można tym ludziom ufać? – Plazma niejedną raz przykro się zawiódł.

– Niektórym... A mamy inne wyjście?

Dobrze wiedzieli, że nie. Pochyleni śledzili ruchy długopisu Girkina starającego się nanieść na płachtę jak najdokładniejsze poprawki.

– Kapsuła waży trochę ponad dwie tony, samolot leciał tym korytarzem w kierunku Nur-Sułtan z prędkością siedmiuset pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, na wysokości jedenastu tysięcy metrów.

Krzyżykiem zaznaczył punkt, w którym głowica systemu S-400 rozerwała poszycie i uszkodziła silniki. Na przedłużeniu trasy, którą Ił zdążył przelecieć, wyznaczył obszar w kształcie kropli, dość luźno określający rejon, gdzie mogła spaść kapsuła. Zaczynał się tuż obok zakazanej strefy, gdzie nie mieli wstępu, na samym jej skraju, raptem kilka kilometrów od miejsca ich aktualnego postoju.

– Dotrzemy tam dziś, to nie jest szczególnie daleko. – Ernestowi nagle zaczęło się spieszyć.

– Dopiero wieczorem. Konie muszą odpocząć.

Parker przejął mapę, przyglądając się jej z uwagą. Pewnie szukał najkrótszej drogi. Ernestowi w takich momentach Amerykanin wydawał się wyciosanym z bryły granitu. Umiejętności i doświadczenie, które Parker posiadał, czyniły z niego najniebezpieczniejszego człowieka, jakiego znał. Może nie znał takich wielu, tak z tuzin, ale na wszelki wypadek wołał nie odwracać się do niego plecami.

Sam zresztą uważał się za kogoś o nadzwyczajnej sprawności. Morderczy trening, jaki z powodzeniem przeszedł, był tego najlepszym dowodem. W akcji radził sobie świetnie, nie ustępując zbytnio mistrzom.

Czego się więc bał?

Jakoś na to pytanie nie potrafił znaleźć odpowiedzi.

6

Rozdzielili się. Girkin poszedł z Parkerem, a on towarzyszył Oliwii we wspinaczce. Konie uwiązali w prowizorycznym obozie u podnóża góry. Wierzchowce już nie radziły sobie na stromiznach, a na Jamesa i Pabla nie było co liczyć. Najbliższa w miarę przejezdna droga znajdowała się pięć kilometrów dalej. Po krótkiej naradzie zdecydowali, że Piła i Ortiz Castillo przeszukają znajdujący się na północy wąwóz. Oba zespoły musiały się spieszyć. Niedługo zapadnie zmierzch i stracą kolejne kilka godzin. Od katastrofy upłynęło ich już... za dużo.

To się nie mogło udać. Trafienie przez pocisk przeciwlotniczy, lądowanie w kapsule bezpieczeństwa, cała doba w kompletnej dziczy... Szczęście kiedyś przestanie dopisywać nawet takiej osobie jak Golicyn.

Na próżno robił Annie nadzieje. Od początku należało ten pomysł wybić jej z głowy i skoncentrować się na tym, co tak naprawdę było ważne i możliwe, czyli ewakuacji. Chciał być szlachetny, to ma za swoje.

Spod nogi usunął mu się kamień. Plazma byłby upadł, gdyby nie chwycił się smukłego pnia. Popatrzył w górę. Podejście robiło się coraz bardziej strome.

– Potrzebujesz zachęty?

Oliwia wyminęła Ernesta, stawiając drobne kroczki. Wydawało się, że jest w o wiele lepszej kondycji od niego.

– Nie – odparł zziębnięty.

– Poczekam na górze.

Ruszył zaraz za dziewczyną. Miał teraz na wysokości oczu jej tyłek opięty maskującym kamuflażem. Z tej strony jeszcze jej się nie przypatrywał.

Niby znali się sporo czasu, a tak mało o niej wiedział. Prawie nic. Znał adres zamieszkania i orientował się, że bardziej lubiła herbatę od kawy, ale to same mało istotne detale. Od początku zachowywała się powściągliwie, raczej milczała,

unikając spięć. Wyczuwał w niej nieokreśloną melancholię, jakby kiedyś coś albo kogoś utraciła i od tamtej pory nie potrafiła pogodzić się ze stratą.

– Mogę ci zadać pytanie?

– Jeżeli musisz – odpowiedziała zdawkowo.

– Masz faceta?

– Co ci przyszło do głowy? – Przyspieszyła, jakby próbując uciec od niewłaściwego pytania.

– Brałaś wszystkie nadgodziny, jakie się trafiają, a to oznacza, że nie masz z kim spędzać wolnego czasu.

– A nie wpadłeś, Holmesie, na to, że mogę mieć długi albo być pracoholiczką?

– Ty i długi – zakpił, ocierając rękawem pot z czoła. – Brzmi zabawnie.

– Masz ze mną jakiś problem?

– Żadnego. Wiera cię lubi, a Anna ubóstwia. Szybko znalazłyście wspólny język.

– Nie tak szybko jak ty – odgryzła się.

– To co innego – skwitował. Chciał dowiedzieć się czegoś o Oliwii, a nie gadać o sobie. – Jeżeli...

– Cicho bądź.

– Słuchaj, ja tylko...

– Zamknij się wreszcie. Nie jesteśmy sami. – Dziewczyna przyłgnęła do wielkiego głazu, wodząc lufą karabinu w przestrzeń przed sobą.

Jednym susem zajął pozycję po drugiej stronie ścieżki.

– Widzisz coś? – zapytał szeptem.

– Ktoś tam jest. Na bank.

Odłożył broń, by wyjąć małą lornetkę. Nie istniał powód, dla którego miałby jej nie wierzyć. Była tak samo, jeżeli nie bardziej doświadczonym agentem jak on i skoro instynkt ostrzegał ją o zagrożeniu, to tak musiało być. Gorzej, że on nic nie widział, a przejrzał teren z lewej na prawą dwa razy i nic.

– Jesteś pewna?

– Całkowicie.

Sięgnął po krótkofalówkę, mając nadzieję na połączenie z Olegiem i Cyrusem. Zdziwił się, słysząc dobiegające z urządzenia trzaski.

– Kurwa ... – zaklął odruchowo, nie do końca nawet tego świadom.

– Zagłuszają nas.

– Kto?

– Miejscowi. Resztę dopowiedz sobie sam.

Szczepańska ruszyła trawersem wzdłuż zbocza, przeskakując od jednego ukrycia do drugiego i zapadając w większe plamy cienia.

Sam tu nie zostanie, mowy nie ma. Poszedł jej śladem, lecz z o wiele mniejszym wdziękiem.

– Spróbujmy ich obejść – powiedziała, gdy już znalazł się blisko niej.

– Ja ciągle nikogo nie widzę i nie słyszę – poskarżył się niespodziewanie dla samego siebie.

– Prawdziwy z ciebie tropiciel.

Gdzie, do ciężkiej cholery, podzieli się Parker i Girkin? Mniejsza z ruskiem. A może za szybko mu zaufali?

– Lepiej, jak zawrócimy – zaproponował. – Jeżeli tam faktycznie siedzą, mają nas na widelcu.

Zgodziła się z nim bez zastrzeżeń.

– Idź pierwsza, będę cię osłaniał.

Nie dawała się prosić. Odczekał jeszcze chwilę i podążył śladem dziewczyny, ale ona zdążyła już zniknąć mu z oczu. Pozostało mu tylko podążać w ustalonym kierunku.

Żeby tylko odwrócenie się plecami do potencjalnego zagrożenia nie było takim trudnym doświadczeniem. Maksymalnie skoncentrowany starał się kontrolować zarówno otoczenie, jak i grunt pod nogami.

Wiedział, że rejteruje, i to przed niebezpieczeństwem, którego nie potrafił określić. Jeżeli się mylą...

– Tu jestem.

Szept Oliwii doszedł do uszu Plazmy z lewej strony. Dostrzegł jej szczupłą sylwetkę objuczoną plecakiem, wciśniętą w korzeń wiekowego drzewa, które niczym wąż oplatało skały i ziemię na podobieństwo Jormunganda – mitycznego stworzenia z nordyckich sag.

Świadom ogarniającej go desperacji uczeplił się myśli, że postąpił zbyt bojaźliwie. Dookoła panował wprost nieludzki spokój. Aż się wierzyć nie chciało, że są obserwowani. Gorzej, że krótkofalówka zdechła na dobre.

- Chyba baterie się wyczerpały.
- Przed wylotem były pełne, do tej pory nieużywane.
- Sam nie wiem. Oleg przy nich majstrował.
- Lepiej już nic nie mów.

Jako dowódca się nie sprawdził. W którymś momencie sytuacja go przerosła.

– Teraz ty.

Nie będzie z nią dyskutował. To nie miejsce ani czas. Najważniejsze to wyjść cało z opresji.

Przez następne minuty nic się nie wydarzyło. Ernest ochłonął. Cała sytuacja zaczęła go nawet nieco śmieszyć. Zupełnie niepotrzebnie dał się ponieść emocjom. Jeszcze nie zwątpił w szósty zmysł Oliwii – być może tam faktycznie czaiło się niebezpieczeństwo pod postacią niedźwiedzia czy innego dzikiego zwierza – ale im bardziej zbliżali się do obozu, tym mniej chciało mu się w to wierzyć. Nikt ich nie ścigał – tego był pewien i to go uspokajało. Przez pięć minut tkwił nieruchomo, nasłuchując i przyglądając się okolicy. Oprócz szumu wiatru i zwykłych odgłosów lasu panowała absolutna cisza.

W dole, pomiędzy smukłymi świerkami i jodłami, dawało się zauważyć ich miejsce wypadowe w góry, a z ogniska, którego przed wyjściem nie rozpalili, snuła się strużka dymu.

– Cyrus i Oleg już wrócili.

W tym krótkim stwierdzeniu kryło się więcej troski niż zdziwienia. Wrócili? Po co? Przecież nie tak się umawiali.

Rozejrzał się na boki jak osoba podejrzewająca podstęp i podobnie jak wcześniej nie dostrzegł zagrożenia. Na koniec wstał, otrzepał kolana i siedzenie i kiwnął głową zachęcająco, lecz Oliwia wciąż pozostawała w ukryciu.

– Chcesz tam iść?

– Dlaczego nie? Boisz się? – Zabezpieczył broń. – Możesz tu zostać, ale co oni sobie pomyślą?

– Mam złe przeczucia.

– To przez stres. Jak odpoczniesz, wszystko minie.

Znalazł w końcu racjonalne wytłumaczenie przewrażliwienia partnerki. No bo faktycznie cała ta sytuacja z Golicynem, wojną i te bezkresne dzikie ostępy, które same w sobie mogły wywołać niepokojące wrażenie na nich, jak by nie patrzeć, mieszczuchach...

Nie spieszył się, idąc powoli w stronę kumpli.

– Gówniane podejście. Może spróbujemy z drugiej strony? – powiedział, będąc parę metrów od nich. – Jak się wam zdaje, czy ta kapsuła mogła się zaklinować pomiędzy drzewami?

Parker odwrócił głowę. Miał szklane spojrzenie. Oleg, obrócony plecami, dorzucał drewna do paleniska.

– Co jest? – Spróbował uchwycić rękojeść automatu, wiedząc jednocześnie, że jest już za późno.

Zamaskowane postacie wysunęły się z cienia wokół. Było ich co najmniej kilkanaście, może dwadzieścia. Małe plakietki z boku hełmów wskazywały formację – federalna służba bezpieczeństwa federacji rosyjskiej. Czyżby przekroczyli granicę zastrzeżonej strefy? To raczej niemożliwe. Pod tym względem mocno się pilnowali.

– Oddaj broń.

Co miał robić? Piętnastu – już policzył – takich jak oni nie pokona. Dwóch to aż nadto.

Przyprowadzono Oliwię. Ją też rozbrojono, a na dodatek kilka razy mocno szturchnięto w plecy.

– To nieporozumienie – spróbował załagodzić sytuację. – Mamy zezwolenie. Wystarczy zatelefonować do Moskwy...

Nim skończył, oberwał kolbą kałasza w twarz. To nie było miłe. Od razu w ustach pojawił się nieprzyjemny smak. Ustał na nogach, choć kosztowało go to wiele wysiłku.

– Za co? – wycharczał wkurzony.

– Jesteś terrorystą – odpowiedź uzasadniała brutalność komandosa. – Takich jak ty się wiesza.

– Powoli. Nie tak prędko.

Tym razem cios w splot słoneczny sprawił, że zgiął się w pół i padł na ziemię, niezdarnie przebierając nogami.

– Masz odpowiadać na pytania, a jak nie, to siedź cicho.

Dowódcy oddziału nawet nie było jak spojrzeć w twarz chronioną przez gogle i chustę. Tego sukinsyna nic nie obchodziło. Dostał rozkazy i je precyzyjnie wypełniał.

Żołnierze przyciągnęli go do ogniska. Dopiero teraz dostrzegł, że Cyrus ma spuchnięte usta, a Girkin podbite oko.

– Nie mogłeś nas ostrzec? – powiedział do Parkera z wyrzutem. – Weszliśmy prosto w pułapkę.

– Mają snajperów. Ciesz się, że cię nie rozwalili.

Niby racja, ale i tak miał żal.

Trytytkami spętano im ręce na plecach. Z wyposażeniem mogli się pożegnać. Najbardziej oberwał Oleg, a przy okazji nasłuchał się, że jest zdrajcą i jako pierwszy trafi na gałąź. Nienawiść emanowała z mundurowych niczym ciepło z elektrycznego piecyka. Porucznik oddalił się z radiotelefonem przy uchu. Gdy wrócił, kazał im się zbierać. To dawało nadzieję, że jeszcze trochę pożyją.

Pognano ich ścieżką obchodzącą zbocze od wschodu. Jeżeli miałby zgadywać, dokąd ich prowadzą, to za cel uznałby punkt, w którym zarządzano akcją ratunkową. Ratunkową już tylko z nazwy.

Jak na razie nikt nie wspomniał o Castillo i Appeltonie, co pozwalało mieć nadzieję, że przynajmniej tej dwójce nie stało się nic złego.

Tylko jak ich powiadomić? To niemożliwe. Skoro okolicę obsadziły siły bezpieczeństwa, to natkną się na nich niemal na pewno. Zważywszy na sprzęt, jaki posiadało tych dwóch, dostaną taki sam wyrok.

Znając Piłę i Pabla, wcześniej zabiorą paru ruskich ze sobą na tamten świat, co tylko wzmocni opinię, jak bardzo niebezpieczni są złapani współnicy. Kolejna myśl była zdecydowanie bardziej dołująca: nie pomogli, wręcz zaszkośli. Anna zostanie sama, bo nie sądził, by Popow pospieszył im z pomocą. Nastął czas wojny i wrogowie – ci rzeczywiści i ci wyimaginowani – szli do rozwałki. Z kumplami też już sobie nie pogada. Rosjanie traktowali ich podle, wszelkie wyjaśnienia puszczając mimo uszu. Każdego, czy to islamskiego bojownika, zwykłego

bandziora, czy członka nieformalnej ekipy ratunkowej, czekało to samo. Nic ich nie uratuje. Przykre, ale prawdziwe, choć przecież niczego złego nie zrobili. Nie chciał zbytnio przywiązywać się do nadziei na wieloletni pobyt w kolonii karnej, bo żeby tam się znaleźć, najpierw musieliby trafić przed oblicze sądu. ■

ROZDZIAŁ JEDENASTY

1

Lepszą okazję trudno sobie wyobrazić. To jak manna prosto z nieba.

Pojmanie przez grupę specjalną fsb osób zamieszanych w tragiczną w skutkach katastrofę rządowego samolotu stanie się kluczowym elementem w rozgrywce, którą prowadził. Ci idioci sami wpakowali się im w ręce, a na dodatek okazali się nimi ochroniarze samego Golicyna.

Sacharow uśmiechnął się pod nosem na myśl, że trafił mu się komplet asów. A najlepsze, że sprawcami okazali się islamscy terroryści do spółki z polskimi i amerykańskimi wywrotowcami. Sam by tego nie wymyślił. Jak ten kraj miał zwyciężać, skoro rak przeżerał go od środka, zaś gangrena dotarła do najwyższych państwowych stanowisk, bo przecież ta miękka faja Golicyn musiał być w to umoczony. Dawno go podejrzewał – żaden patriota nie wolałby, tfu, negocjacji od wojny.

Jeszcze nie był pewny, jak to medialnie wykorzystać, ale od takich spraw posiadał prawdziwych speców. Już ci się zajmą odpowiednim marketingiem. To, że najemników Golicyna udało się pojąć żywcem, było atutem na wagę złota. Zamknie się ich w klatkach i będzie pokazywać w telewizji jako ostateczny dowód na istnienie spisku. Tą głupią krową Wierą i jej niewydarzoną córeczką, puszczającą się na prawo i lewo, nie będzie się teraz zajmował. Na to przyjdzie jeszcze czas. Teraz... no, właśnie... Zdrajców było wielu, a ten najważniejszy zasiadał w fotelu prezydenta. Ludzie Pierunowa dostarczyli generałowi całą masę materiałów, z których niezbitcie wynikało, że Golicyn i Orłow spiskowali, mając na celu uczynienie z rosj wasala zachodnich kół politycznych i biznesowych. Główna siedziba tej klikki znajdowała się w Warszawie. Jeżeli natychmiast czegoś z tym nie zrobi, upadek będzie całkowity. Najchętniej spopieliliby Warszawę i Ankarę w nuklearnej pożodze. Szybkie to i skuteczne, ale z tym zawsze zdąży. Musi tylko upewnić się, że nie będzie potrzeby wprowadzać armii w radioaktywne zgliszcza. Co prawda, marszałek żukow prowadził takie ćwiczenia, lecz było to dawno i w zupełnie innych warunkach.

Najważniejsze to wydrzeć władzę z rąk Orłowa i samemu przejąć stery.

W zasadzie był do tego gotowy. Sam prezydent przekazał Sacharowowi narzędzie. Stan wojenny na terenie całego kraju znacznie ułatwiał działanie. Nikt nie spyta, dlaczego wojska przemieszczają się tak, a nie inaczej. Skoro tak robią, to istnieje powód. Koniec, kropka. Sam oczywiście niewiele zdziała, ale od czego są sojusznicy. Pierunow aż przebierał nogami, by objąć urząd premiera. Armia i aparat bezpieczeństwa, połączone razem we wspólnym wysiłku. Wokół tego rdzenia odbudowane zostaną ład i porządek. Dla wymiaru sprawiedliwości też się znajdzie miejsce.

Akcję należało przeprowadzić precyzyjnie. Pierwsze rozkazy już zostały wydane i oddziały stacjonujące pod moskwą podjęły marsz na stolicę. Szczególnie wielkiego oporu się nie spodziewał. Pewne wątpliwości budziła postawa żołnierzy pułku kremlowskiego, zawsze lojalnych względem prezydenta, ale tych zneutralizuje fsb do spółki z jednostkami specjalnymi. Reszta operacyjnych pracowników służby bezpieczeństwa wyłapie zdrajców i przewiezie do któregoś z zamkniętych ośrodków na prowincji. Tam poczekają na decyzję, co dalej.

On się z nimi patyczkował nie będzie. Krótka rozprawa i pluton egzekucyjny albo pętla na szyję i w górę, hej... Nie okaże litości, tak samo jak nie spodziewał się jej po swoich oponentach. Paru potrafił wymienić bez trudu. Już sobie wyobrażał ich strach, gdy po nich przyjdą.

Najgorszy był Golicyn. Cwaniak. Reszta szła za nim jak owce za przewodnikiem. Sacharow domyślał się, kiedy ta miłość Golicyna do liberalnych poglądów rozkwitła na dobre. To podczas pobytu w Warszawie skumał się z tamtejszymi służbami i uległ ich wpływom, a później próbował przeszczepić tamtejszą zgniliznę na lokalny grunt.

Zabrał się do tego w swoim przekonaniu sprytnie, niby to pod pretekstem ochrony zatrudniając osoby z prywatnej firmy świadczącej usługi wojskowe i powiązanej z polskim wywiadem. Na pewno wiedział, co robi, aż tak nieświadomy być nie mógł. Gdy już wszyscy zainstalowali się pod moskwą, zaczął krecią robotę, urabiając Orłowa i ministrów. Końca, jaki go spotkał, z pewnością się nie spodziewał. Kto do tego doprowadził, interesowało generała w dużo mniejszym stopniu. Intryga była wielowymiarowa i jakiś element nie spał się z drugim. A

może tak właśnie miało być i Golicyn przestał być potrzebny? Nie wszystko musi tam działać jak w zegarku. Najważniejsze, że wypadł z gry, i tylko to się liczyło.

Z początku generał nosił się z zamiarem aresztowania ministrów podczas narady na kremlu, ale szybko zrezygnował z tego pomysłu. To nie był jego teren, za dużo zmiennych elementów. Lepiej rozegrać wszystko spokojnie, bez pośpiechu, jak na szachistę przystało.

Niespodziewany turecki atak uznał za jedno z działań mających przede wszystkim zdyskredytować go w oczach opinii publicznej. Jako dowódca pokonanej armii musiałby się podać do dymisji, a tym samym zostałyby odsunięty na boczny tor i pozbawiony wpływów. Przewidział to jednak i w porę przed taką ewentualnością się zabezpieczył. Posiadał dostatecznie duży autorytet w armii, by przeciwdziałać warcholstwu i wichrzycielstwu. Przed nim niespokojne dni, zanim ponownie postawi kraj na nogi.

Ocknął się z zamyślenia, gdy obok stanął adiutant.

– Prezydent opuścił kreml i udaje się do zapasowego punktu dowodzenia.

– Dobrze. Informujcie mnie na bieżąco.

Zapasowym punktem dowodzenia tuż pod moskwą była baza Echo 1. Wystarczy, że Orłow przekroczy bramę i znajdzie się na jego łasce.

Sacharow sięgnął po telefon i wybrał odpowiedni numer.

– Dyrektorze Czurikow, jak tam wasze zdrowie? – Nie widział twarzy rozmówcy, ale dałby sobie rękę uciąć, że pod tamtym ugięły się nogi.

– Dziękuję. Wciąż pracujemy...

– Wiem, wiem, nie musicie nic mówić – uspokoił dyrektora. – Na pewno jest u was pułkownik Sobolewski.

– Zjawił się rano.

– Świetnie. Będziecie współpracować. Podwładni pułkownika to wybitni specjaliści.

– Rozumiem.

– Na pewno wiecie, że prezydent Orłow zmierza w waszym kierunku i dotrze do was... – Sacharow spojrzął na zegarek. – Za jakieś czterdzieści minut.

– Wszystko przygotowane, łącznie z apartamentami dla prezydenta – zapewnił dyrektor ośrodka.

– Doskonale. Właśnie tego po was oczekiwałem. Jak my się doskonale rozumiemy.

– Jestem zwykłym pracownikiem ministerstwa.

– I po co ta skromność? Wiecie, że jej nie lubię. Wkrótce spodziewajcie się awansu.

– Nie zasłużyłem.

– O tym to ja decyduję.

Postawa Czurikowa nużyła generała, ale najważniejsze, że był lojalny i nie będzie wchodził Sobolewskiemu w paradę. Od tego, jak pułkownik sobie poradzi, zależała przyszłość kraju.

– Zachowajcie spokój. O to was proszę.

– Naturalnie.

Czurikow nie należał do spisku i mógł wszystko spieprzyć. Sacharow nie miał o nim najlepszego zdania, ale też nie mógł go zneutralizować. Najlepiej, jak dyrektor nic nie będzie robił, nie będzie się wtrącał. Tylko w ten sposób ocali życie. Niczego więcej się od niego nie wymaga.

2

Piotr Siergiejewicz Gradow od razu wyczuł, że coś się święci. Stało się to zaraz po tym, jak Czurikow odebrał telefon. Zmiana była od razu widoczna. Facet zrobił się spięty i nerwowy, szybko też się ulotnił. Widać dostał ochrzan z samej góry. Dziwne, że nie wyżył się na nich, co byłoby całkiem zrozumiałe i, co gorsza, uzasadnione.

Prawda bowiem była, niestety, taka, że postępy w namierzaniu kameleona, który zerwał się z postronka, były zerowe. Żaden system nie potrafił sobie z tym poradzić, ludzie też na niego – na nią – nie trafili. Klon krył się gdzieś na obszarze setek kilometrów kwadratowych i chyba przyjdzie im czekać, aż zaczną rozrabiać.

Zdeprymowany własną indolencją i wkradającym się do zespołu rozdrażnieniem, zapragnął wyjść z pomieszczenia i zaczerpnąć świeżego powietrza. Już zbyt długo tu siedział, a dzień zaczął mu się mylić z nocą. Musi odpocząć, inaczej zwariuje. Nikt nie tyra dwadzieścia cztery godziny na dobę bez konsekwencji.

– Niedługo wracam – oświadczył. – I niech ktoś mnie zawiezie na górę. Muszę zjeść i się kimnąć.

Jako cywilny konsultant posiadał ograniczone uprawnienia i nawet do kibla chodził z przyzwoitką.

Tym razem była to drobna specjalistka od psychologii, o długich rudych włosach upiętych na czubku głowy i wielkich oczach za równie dużymi oprawkami okularów. Brzydka jak pochmurny październikowy dzień, ale sympatyczna, w dodatku dawało się z nią zamienić parę zdań i nie bolały go od tego zęby.

Wjechali na poziom zero. Pierwsze, co zwracało uwagę, to żołnierze rozstawieni wzdłuż korytarza. I nie były to zwykłe poligonowe wycieruchy, a jakaś elitarna formacja. Jaka? Nie sposób było się zorientować – na umundurowaniu brakowało jakichkolwiek oznaczeń. Zaraz też do profesora podszedł jeden z nich.

– Przepustka.

– Jestem profesor Gradow z uniwersy...

– Przepustka.

Pitbull lubił się powtarzać.

– Wszystko wytłumaczę. – Towarzysząca Piotrowi psycholożka wyciągnęła przed siebie magnetyczną kartę. – To jest...

– Nie pytałem ciebie, tylko jego.

– Zawiadomcie dyrektora Czurikowa.

Gradow nie skończył. Jego ręce zostały wykręcone, a głowa znalazła się zaledwie kilkanaście centymetrów od podłogi.

– Marina, co się dzieje? – Dyskusję z tym troglodytą uznał za zbędną. Do tego typu nic nie trafiało.

– Wszystko wyjaśnię.

Nawet się nie wystraszył. Pozamiatali nim i wrzucili do pokoju o wielkości znaczka pocztowego, na szczęście z kiblem i umywalką. Apartament w Hiltonie to na pewno nie był. Świadomość, w jak fatalnym położeniu się znalazł, dotarła do Gradowa dopiero teraz. Nic złego nie zrobił, dał z siebie wiele, a taka spotkała go nagroda. Przykre to i jakże rosyjskie.

Po raz nie wiadomo który zajrzała do lodówki. Przejrzała po kolei każdą z półek i zamknęła drzwiczki, niczego ze środka nie wyjmując. Wydawało się jej, że ma ochotę na lody. Znalazła tylko śmietankowe, a wolałaby kawowe, ale te zjadła po kolacji. Może jednak się skusi? Gdzie łyżeczka i talerzyk? Rozkojarzenie zupełnie nad nią zapanowało. Nie potrafiła skoncentrować się na niczym, najchętniej spała, łagodząc w ten sposób napięcie.

– Jeszcze nie śpisz?

Przelotne spojrzenie, jakim Anna obdarzyła matkę, mówiło wiele. Każda z nich radziła sobie z emocjami na swój sposób. Ona koncentrowała się na jedzeniu, Wiera na kolejnym kieliszku czerwonego wina.

– Czekam na telefon.

– Myślisz, że zadzwonią? – Żona ministra przesunęła się wzdłuż kuchennego stołu i usiadła na jednym z krzesel. – Ja już straciłam nadzieję.

– Szybko się poddajesz – powiedziała Anna z wyrzutem.

– Nie wiem, o co ci chodzi. Czepiasz się, podczas gdy ja...

– No dokończ. – Wiedziała, że prowokuje matkę, a jednocześnie nie potrafiła się powstrzymać.

– Łatwo ci mówić.

Wkroczyły na kolejny szczebel drabiny eskalacyjnej. To mogło doprowadzić do awantury, jakiej obie wołały uniknąć. Anna wbiła wzrok w stół, Wiera wybrała kieliszek. Sztorm wisiał w powietrzu. Trwało to z pół minuty, gdy rozległo się buczenie telefonu.

– Mój. – Wiera podskoczyła nerwowo i zaczęła przetrząsać kieszenie swetra. – Tak... Igor, to ty? Jak się cieszę.

Szczebiot matki działał Annie na nerwy.

– Jest... a dlaczego?

Ton głosu matki sprawił, że lodowata ręka przerażenia chwyciła dziewczynę za gardło.

– Dobrze.

Wiera przełączyła aparat na tryb głośnomówiący, w kuchni rozległ się głos Popowa.

– Musicie uciekać.

– Igor, na litość boską ...

– Natychmiast. Orłow został internowany, a razem z nim wielu ministrów. To robota Sacharowa.

– Na pewno?

– Wiem, co mówię. Ten drań dokonał puczu. Uciekaj, dobrze ci radzę. Ukryj się gdzieś z Anną, na pewno macie bezpieczne miejsce.

– A co z tobą?

– O to się nie martw, poradzę sobie. Muszę kończyć.

– Igor... – Wydawało się, że Wiera zaraz się rozpadnie. – Igor...

Rozmowa zwabiła do salonu Jaspera. Rosyjski nie był jego mocną stroną, ale zrozumiał wszystko.

– Bierzcie pieniądze i dokumenty. Za pięć minut wyjeżdżamy – zarządził. – Nie siedźcie tak, bo zaraz nas dopadną, a ja nie zamierzam reszty życia spędzić w Lefortowie.

– Mamo?

Wierę zamurowało. Już tragiczna wiadomość o katastrofie mocno ją przybiła, ale pucz Sacharowa wstrząsnął nią do głębi.

– Mamo, powiedz coś.

– Wyprowadzam samochód – oznajmił Jasper. – Za trzy minuty macie być w środku.

I już go nie było.

Strach ustąpił miejsca determinacji. Poderwała się i popędziła do swojego pokoju. Ernest dobrze jej radził – plecak uciezkowy znacznie ułatwia działanie. Po chwili była z powrotem, tymczasem Wiera ledwie zrobiła parę kroków. Złapała matkę za ramię i pociągnęła do drzwi. Wydawało się, że z oddali dobiega do nich dźwięk policyjnych syren.

Jasper siedział już za kierownicą. Wóz był przeciętny, raczej mały, przez to nie rzucał się w oczy. Ruszyli z piskiem opon. W paru domach, jakie minęli po drodze, paliły się światła. Pewnie nie oni jedni zostali ostrzeżeni. Aż strach było pomyśleć, co się teraz wydarzy.

W ambulatorium napięcie sięgnęło zenitu, lecz każda z przebywających w środku osób zachowywała wystudiowany spokój.

– Niestety. – Lekarz wyciągnął słuchawki stetoskopu z uszu i zawiesił je sobie na szyi.

– Próbuje dalej.

– To już nic nie zmieni.

– A ten... no... defibrylator?

– Przecież już próbowaliśmy.

Medyk odczepił elektrody EKG z ciała, jako tako poprawił rozerwaną na piersi koszulę, na koniec prześcieradłem przykrył twarz zmarłego.

Pułkownik Sobolewski wreszcie odetchnął głębiej. Przez całą akcję resuscytacyjną mimowolnie wstrzymywał oddech, przejęty usiłowaniami lekarzy. Takiego finału nie spodziewał się nikt. Gaz wpuszczony do systemu wentylacyjnego miał tylko uspić prezydenta i jego ochronę. Stało się jednak inaczej – serce Orłowa nie wytrzymało. Reszcie nic nie było, przeznaczenie dopadło tylko jego. I to w takim momencie...

Sacharow nie będzie zadowolony, ale cóż, rewolucja wymagała ofiar. Martwy prezydent też ma zalety – da się nań zrzucić wszystko, od wojny po gradobicie, a lud to kupi. Zawsze kupował. Dlatego przegrywał, a oni prowadzili to stado owiec dalej.

– Mamy go wynieść? – zapytał lekarz. – Obok jest kostnica.

– Dobrze. – Pułkownik miał kwaśną minę. – I postawcie wartę. Niech się nikt tam nie kręci.

Można powiedzieć, że Orłow im uciekł. Ciekawe, czy w tych ostatnich minutach był świadom tego, co się z nim dzieje? Chyba nie, ale to tylko przypuszczenia. Najważniejsze to zawiadomienie towarzysza ministra o zaistniałym fakcie, co nie będzie łatwe. Sobolewski doskonale pamiętał, co spotkało wielu wyższych oficerów armii i wywiadu, którzy zawiedli pokładane w nich zaufanie. Jeden wypadł przez okno, drugi utopił się w wannie, a jeszcze innego potrafił rowerzysta, i to tak nieszczęśliwie, że skręcił kark, biedaczysko. Rotacja była spora. Teraz to samo mogło spotkać i jego. Owca

Cholerny gaz. Podobno był bezpieczny. Używano go od lat, a na koniec i tak musiało się zesrać.

Jak to się właściwie stało? Nieważne. Już do tego nie dojdzie.

– Dyrektorze Czurikow, niech wszyscy wracają do pracy.

– Wszyscy?

– Podobno był jakiś problem. – Sobolewski pomasaował się po brodzie.

– Nasz konsultant...

– Ach tak, konsultant, już sobie przypominam. Z tego, co słyszałem, nie chciał się podporządkować poleceniom.

– Eee...

– Niech posiedzi. Takim ludziom nie wolno ufać.

Zawsze to jakieś rozwiązanie. Powiązanie Gradowa ze śmiercią prezydenta będzie karkołomne, ale nie niemożliwe.

– Długo ma to trwać? – Czurikow odważył się na pytanie.

– Aż zadecyduję inaczej.

Na tym zakończyli rozmowę. Obu czekało sporo roboty i trudno powiedzieć, czyje zajęcie było ważniejsze.

5

Ta noc należała do najkoszmarniejszych w jego dotychczasowym życiu. Pytanie, czy rozwałą ich od razu, czy dopiero po przewiezieniu do więzienia, kołatało się w głowie nie tylko Plazmy. Pozostali mieli równie ponure miny. Zwłaszcza Oliwia mogła się obawiać tego, że zostanie „zdobyczą wojenną” dowodzącą operacją oficera.

O takich drobiazgach jak jedzenie czy picie mogli zapomnieć, to jednak nic w porównaniu do braku snu. Gdy tylko popadał w odrętwienie, zaraz był szturchany przez wartownika.

Około północy rozpoczęto przesłuchania. Zaczęto od Girkina. Na drugi ogień poszedł Cyrus. Gdy wrócił, przedstawiał sobą opłakany widok. Gęba mu spuchła, ale w jego oczach Ernest dostrzegł śmierć. Poprzysiągł ją swoim prześladowcom.

– Twoja kolej.

Wartownik pomógł Wolskiemu wstać, a następnie zaprowadził go do namiotu usytuowanego w środku obozu. Urządzono tu kancelarię, a teraz również prowizoryczne miejsce przesłuchań. Z trójki znajdujących się w środku ludzi liczył się tylko jeden. Facet spożywał właśnie późną kolację, nie przejmując się tym, że więźnia na widok pełnego talerza zemdliło z głodu.

– Siadajcie.

Rosjanin robił wrażenie swojaka gotowego pomóc przyjacielowi w każdej potrzebie. Tylko że oni nie byli przyjaciółmi.

– Nazywasz się Wolski, prawda? – to nawet nie było pytanie, a stwierdzenie faktu.

– Sporo o mnie wiecie.

– Taki mam zawód. – Oficer uśmiechnął się serdecznie od ucha do ucha, a następnie wpakował sobie do ust spory kawałek kotleta. – Ale do rzeczy. Wasz status jest wyjątkowo niejasny.

– Ochraniałem waszego ministra.

– Czy nie wiecie, że to zadanie dla odpowiednich służb? Sami powiedzcie, jak to wygląda. Obcy są odpowiedzialni za bezpieczeństwo jednego z najważniejszych urzędników w kraju. Coś tu nie gra.

– Córka Golicyna została porwana...

– Znam tę historię. – Rosjanin przełknął to, co już zdążył przeżuć, i zabrał się do następnego kęsa. – Cudownie ocalona dziewczyna zakochuje się w swoim wybawcy. Banalne. Kto wam napisał taki scenariusz?

– Nie wiem, jaki ma to związek...

Tak samo jak poprzednio Ernestowi nie dane było skończyć.

– A ma, ma. Ja wam powiem, jak było. Wkradliście się podstępem w łaski Golicynów i wykorzystaliście ich łatwowierność, zyskując wpływy.

– Jakie, do diabła, wpływy?

– Ja wam dobrze radzę, nie podnoście głosu. Ciężą na was poważne zarzuty, łącznie z tym, że doprowadziliście do śmierci samego Golicyna, powodując katastrofę w ruchu powietrznym.

– Ja?

– Są na to niepodważalne dowody.

– Niby jakie?

– Widziano was w towarzystwie muzułmańskich bandytów w moskwie.

– Przecież my ich... – Plazmę zatkało ze wzburzenia.

– Ostrzegam was ponownie, nie próbujcie manipulować faktami. Te niezbicie świadczą o waszej działalności jawnie szkodzącej interesom federacji rosyjskiej.

– Tego już za wiele.

Spróbował wstać, lecz dostał pięścią w ucho, przez co na moment stracił kontakt z rzeczywistością.

– ...ale możecie to jeszcze naprawić – doszedł go po chwili głos oficera.

Na stole obok talerza leżały długopis i kartka papieru.

– Napiszecie wszystko, jak było, nie pomijając najdrobniejszych szczegółów. Nazwiska, adresy, pseudonimy, co tam pamiętacie. A na koniec wasze przyznanie się do winy. Sąd uwzględni to przy wydawaniu wyroku. W ten sposób odkupicie swoje winy i na powrót traficie do społeczeństwa. Kto wie, może Anna też wam wybaczy. To rosja, tutaj różne rzeczy się zdarzają. Każdy się do czegoś przyznawał i żył dobrze.

– Mowy nie ma.

– Jak tam chcecie – odparł oficer niechętnie. – Tylko że my i tak dowiemy się wszystkiego. I nie liczcie, że ktoś się za wami ujmie. Rano zostaniecie odstawieni do Czelabińska. Tam nie będą tak mili jak ja.

Kartka kusiła. Jej nieskazitelna biel raziła w oczy. Parę zdań i przyszłość już nie będzie taka czarna. Wystarczy ująć długopis i coś tam naskrobać. Kawa pewnie zaraz się znajdzie i ciepły posiłek, Oliwia dostanie koc... Same korzyści. Prawie się złamał, ale przypomniał sobie twarz Cyrusa i od razu mu przeszło.

Najchętniej bym ci, gnido, napluł do talerza – pomyślał złośliwie.

Do rana miał święty spokój. Dopiero kopniak w nogę sprawił, że Ernestowi wróciła świadomość.

Na polanie stały trzy opancerzone Tigry. Więźniowie zostali wrzuceni do środkowego. Dobrze, że nie kazano im biec całą drogę do Czelabińska za samochodami. Rozmowa, poza kilkoma zdawkowymi słowami, jakoś im się nie kleiła. Nastroje panowały podłe.

Ruszyli, gdy tylko eskorta zajęła miejsca. Nie była to szybka jazda, bo i stan drogi na nią nie pozwalał, i warunki panowały paskudne. Od rana lało i nic nie zapowiadało szybkiej zmiany pogody. Góry i lasy okryły się grubym kożuchem lepkiej mgły i pewnie dlatego zamiast śmigłowcem zdecydowano się przerzucić ich transportem kołowym.

Plazmę szybko dopadła senność. Kiwał się na siedzeniu, rozmyślając, jaki koszmar zostanie im zgotowany w imię wyższych racji. Nic nie będzie im oszczędzone.

Ze stanu odrętwienia wyrwała go dopiero potężna eksplozja. Odwrócił głowę, próbując wyrzeć spoza ramienia kierowcy. Widok był zaskakujący. Poprzedzający ich Tigr wyleciał w powietrze, a jego wrak rozpadł się na kawałki. Totalna masakra. Obecni w nim funkcjonariusze fsb musieli zginąć.

Kierowca pancерnej więźniarki wcisnął hamulec, a zaraz potem wsteczny. Było już jednak za późno. Seria z karabinu maszynowego skrzesała iskry na pancерzu. Na razie byli bezpieczni, ale długo to nie potrwa, tym bardziej że od tyłu doszedł ich huk kolejnej detonacji. Robiło się coraz ciekawiej. Trakt został zablokowany, a objazd przez las był niemożliwy. Wrażenie, że znajdują się w konserwie, potęgował fakt walących w pancierz pocisków. Żołnierze do siebie krzyczeli. Atak był dla nich całkowitym zaskoczeniem.

W obu Tigrach przebywało ich jeszcze około dziesięciu. Z tego, co widział, część z nich próbowała zająć dogodne pozycje na zewnątrz. To jedyne, co pozostało rosjanom. Im tej szansy nie dano, bo wciąż tkwili przypięci kajdankami do siedzisk.

Komandos z miejsca obok kierowcy wyskoczył na drogę i padł trafiony w twarz. Tak strzelać potrafił mało kto, a już na pewno nie pierwszy lepszy poborowy.

Dowodzący eskortą porucznik został wyeliminowany dosłownie parę sekund później. Komendę przejął sierżant. To na jego rozkaz zaczęto ciskać granaty dymne mające utrudnić przeciwnikowi obserwację.

Kanonada jakby faktycznie trochę przycichła, ale wtedy pojawił się on.

Plazma nie był pewny tego, co widzi. To cień czy realna postać? Pojawiał się i znikał, dezorganizując obronę. Tylko trochę przypominał człowieka, bardziej

wytwór ludzkiej wyobraźni.

Potwór? Kosmita?

Nie wierzył w takie brednie, choć tym razem zasiane zostało w nim ziarno wątpliwości.

Z tego, co nastąpiło później, niewiele pamiętał. Pod kołami wozu wybuchł pocisk z RPG, a on odpłynął w nicość – co wcale nie było takie złe.

6

– No, już... ocknij się.

Ktoś go klepał po twarzy, tylko że on wcale nie miał ochoty otwierać oczu.

– Ernest, mówię do ciebie.

– Polej go wodą.

Zdobył się na wysiłek i zamrugał powiekami. Miał nad sobą pochylonego Pabla, w oczach którego dojrzał troskę.

– Chcesz pić?

– Chętnie.

Już nie był przykuty kajdankami, co przyjął z zadowoleniem. Przy pomocy Ortiza Castillo poddźwignął się nieco i pociągnął wody z manierki.

– Wiedziałem, że to wy – powiedział pomiędzy jednym łykiem a drugim. – Pięknie ich załatwiliście.

– Żebyś wiedział – odparł Latynos. – Musimy pryskać. Za parę minut zaczną nas szukać.

Wciąż oszołomiony wypelzł z wozu. Kiedy już stanął na nogi, obmacał potłuczoną głowę. Tym razem tajga śmierdziała paloną gumą, prochem i trupem. Ciała funkcjonariuszy fsb spoczywały na znacznej przestrzeni. Wśród nich snuli się Cyrus i Girkin, zbierając broń i wyposażenie. Aż się wierzyć nie chciało, że Piła i Ortiz Castillo tylko we dwóch dokonali takiej jatki, i to podczas krótkiej w sumie potyczki.

Widział tu jeszcze kogoś.

– Pablo...

– Streszczaj się, kolego, bo nie mamy czasu.

– Kto ich tak urządził?

Castillo uciekł spojrzeniem w bok.

– Mieliście automat i erkaem z ograniczonym zapasem amunicji, a ja tu widzę całkowity pogrom jak pod Kłuszynem. Skąd mieliście materiały wybuchowe i granaty?

– To nie my – odparł szczerze Ortiz Castillo.

– A to ciekawe, bo nikogo poza wami tu nie widzę. – Plazma wybrał sobie nowego Kałasznikowa i kamizelkę taktyczną z ładownicami na osiem magazynków. Kolba AK-203 była, co prawda, odrobinę ubabrana krwią, ale nic nie szkodzi, starł juchę rękawem bluzy. Broń w rękach sprawiła, że od razu poczuł się lepiej. Tym razem nie pozwoli się zaskoczyć. Porozmawia o tym z Cyrusem, do którego jednak miał żal – choć wiedział, że nie powinien. Stało się, jak się stało. Kolejne życiowe doświadczenie nie należało do przyjemnych.

– On nas tu ściągnął.

Plazma rozejrzał się na boki, ale nikogo nie dostrzegł.

– Żartujesz sobie?

– Tam stoi.

– Czyli gdzie?

Na wskazanym przez Pabla miejscu szumiały jedynie drzewa.

Zmrużył oczy. Pewien fragment obrazu uległ na chwilę rozmazaniu, jakby przestrzeń nie nadążała za czasem. A potem z nicości wyłonił się ON.

Szedł wolno. Czarny pancerz okrywał mroczną postać od stóp do głowy jak w komiksach o Czarnej Panterze. Trzymał broń o futurystycznym kształcie, przypominającą monolityczne skrzyżowanie automatu i granatnika.

– To żyje? – pytanie Parkera pełne było niedowierzania.

– Najwyraźniej.

– Pojeb, przebrał się w kostium i straszy ludzi.

– Nie zapominaj, kto załatwił naszych strażników.

Zgromadzili się, przyglądając nadchodzącej postaci, jak gdyby instynktownie zwierali szeregi. Gość budził grozę samym swoim wyglądem.

– Widzieliście coś takiego? – zapytał Girkin, jako jedyny trzymający broń wycelowaną wprost w przybysza.

– Tylko na filmach – odparł Appelton. – Gdy przyszedł do nas w nocy, o mało nie narobiłem w spodnie. Zjawił się jak duch. Na początku myślałem, że Pablo nasypał mi psychotropów do kawy i mam halucynacje, a gdy zaczął mówić idealną angielszczyzną, poprzysiągłem sobie, że już nigdy nie sięgnę po flaszkę.

– I co powiedział?

– Jak sprawy wyglądają, o puczu i tak dalej.

– Jakim znowu puczu? – Przez plecy Wolskiego przebiegł zimny dreszcz.

– Wy nic nie wiecie? Nie ma już Orłowa, jest Sacharow. Od wczoraj.

– A co stało się z poprzednim prezydentem?

– Tego nie wie nikt.

Ale się porobiło. Z deszczu wpadli pod rynnę. Nie dość, że odnalezienie Golicyna stało się niemożliwe, to na dodatek utknęli w państwie toczącym wojnę i rządzonym przez psychopatę. Najbliższa przyszłość rysowała się w czarnych barwach. Upiór tymczasem stanął parę kroków od nich. Czarną przysłoną hełmu odsunął do góry i mogli ujrzeć oblicze kryjącego się pod nią człowieka.

Zapadło milczenie, gdy oddział Plazmy przyglądał się duchowi nareszcie obleczonemu w ciało, nie wiedząc, co powiedzieć. Tylko Oliwia wiedziała i nie były to miłe słowa.

– Matt, ty skończony bydlaku, za to, co mi zrobiłeś, obyś smażył się w piekle.

7

Rosyjski kontratak nie miał tej siły, jaką planowano, i nastąpił z parogodzinnym opóźnieniem.

Z lotnisk, których nie sięgnęły tureckie bomby i pociski manewrujące, wystartowały bombowce Tu-160M, Tu-22M3M, wielozadaniowe Su-35S oraz Su-34, zaś z niewykrytych do tej pory stanowisk Iskanderów wystrzelono rakiety, celując w miejsca istotne z militarnego punktu widzenia.

Samoloty nie musiały przedzierać się przez obronę przeciwlotniczą. Wystarczało, że odpalały pociski daleko od linii frontu, a te już samodzielnie pokonywały setki kilometrów, by spaść na bezpieczne z pozoru obiekty. Jednym z nich był most w Samur, lecz nim został zniszczony, tureckim saperom udało się

wykonać dwie inne przeprawy, tak więc strumień pojazdów IX Korpusu mógł płynąć nieprzerwanie dalej.

Zniszczeniu uległy też porty w Synopie, Trabzonie i Samsun. W tym ostatnim na dno poszła fregata TCG „Salihreis” oraz zaopatrzeniowiec. Pożar portowych magazynów trwał przez następne dni, jednak prawdziwą katastrofą było zniszczenie Mostu Bosforskiego w Stambule, łączącego Europę i Azję. Po utracie mostu Mehmeda Zdobywcy w wyniku eksplozji gazowca – a więc też za sprawą Rosjan, jak uważano – najludniejszej metropolii w Europie została tylko jedna, i to odległa od centrum, przeprawa między dzielnicami położonymi na dwóch kontynentach. Cios ugodził w prestiż tureckiego państwa i nie mógł pozostać bez odpowiedzi.

Kampania lotnicza przybrała na intensywności. Bombardowano się z zjadłością, jakiej nie notowano od dawna. Rosyjski potencjał wojskowy był wyższy, ale Turcja rekompensowała sobie niedostatki fanatycznym wręcz poświęceniem. Na front wysłano islamskich bojówkarzy, dla których mordowanie prawosławnych obywateli federacji było wręcz mistycznym przeżyciem. Kto mógł, chwycił więc za broń, niełatwo jednak było sprostać technicznej i materiałowej przewadze wroga.

Czołówki tureckiej 4 Brygady Pancерnej ominęły Debrent, próbując jak najszybciej dotrzeć do Machaczkały.

Do bitwy doszło pod Pierwomajskiem, mniej więcej w połowie drogi pomiędzy Debrentem a Kaspijskiem, gdzie T-72B3 z rosyjskiej 42 Dywizji Zmechanizowanej starły się z Leopardami 2A4 i wciąż nielicznymi Altayami armii tureckiej. Po wielogodzinnym boju równinę zasłały wraki przeszło stu dwudziestu pojazdów pancernych. Rosjanie nie wygrali, lecz pochód wroga został powstrzymany, przynajmniej na razie. Obie strony spieszenie podciągnęły posiłki. Bitwa pożerała maszyny i ludzi. Druga runda nastąpiła po dwunastu godzinach i była jeszcze bardziej zacięta od poprzedniej. Znajdujące się w okolicy wsie zostały całkowicie zniszczone. Pociski kalibru 155 mm tureckich haubicoarmat typu Firtina i rosyjskie kalibru 152 mm z 2S3 Akacja oraz 2S19 MSTA-S orały teren, który zaczął przypominać obszar zmagania z okresu bitwy pod Verdun. Do legendy przeszło poświęcenie żołnierzy 429 Pułku Zmechanizowanego z Władykaukazu, którego

straty osiągnęły ostatecznie poziom ponad sześćdziesięciu procent rannych, zabitych i zaginionych. Ci, którzy przeżyli, i tak nie byli w stanie dalej walczyć, otepiali ze zmęczenia i szoku. Wozy BTR-82 i BMP-2, nawet te zmodernizowane do poziomu Bierieżok nie były w stanie sprostać uderzeniom licznych dronów różnych typów, w produkcji których Turcy się wyspecjalizowali. Pewnym pocieszeniem było, że tureckie ACV-300, Cobry i Kirpi też płonęły.

Krążące nad całym obszarem odrzutowce spadały niczym jastrzębie na rozpoznane oddziały wroga. Z braku precyzyjnej amunicji używano zwykłych bomb, co od razu przełożyło się na większą ilość zestrzelonych maszyn. Frontowe bombowce Su-24M2 i szturmowe Su-25SM padały łatwym łupem dostarczonych przez Katar Rafale'i i Typhoonów z międzynarodowej eskadry islamskich pilotów. Zdawało się, że piekielny taniec trwa bez końca i żadna ze stron nie potrafi zdobyć przewagi.

Kolejny dramat rozegrał się w pobliżu Chasawiurtu, gdzie przez przypadek, a może i nie, całkowitej destrukcji uległ skład kolejowy wywożący ludzi z zagrożonego regionu.

Oczom ratowników, którzy jako pierwsi dotarli na miejsce katastrofy, ukazał się koszmarny widok wagonów ociekających krwią. Zginęło osiemset osób, głównie starszych, kobiet i dzieci. Uratowali się nieliczni.

Siły ze Wschodniego Okręgu Wojskowego pilnie przerzucano na front, a jednostki policji i rosgwardii skierowano do tłumienia muzułmańskiej rebelii na tyłach. Próbowano też rozniecić płomień buntu wśród Ormian i Kurdów zamieszkujących Turcję, ale ci, nauczeni rozlicznymi porażkami, jakoś nie kwapili się do działania. Nieliczne akty sabotażu, do jakich doszło, niczego w ostatecznym rozrachunku nie zmieniły. ■

ROZDZIAŁ DWUNASTY

1

Droga pomiędzy górami, las, niebo, nawet rozbite pojazdy i zabici komandosi, to wszystko nagle przestało mieć znaczenie. W umyśle Plazmy szalała burza. Powoli gubił się w domysłach. Zresztą nie tylko on. Na twarzach pozostałych malowało się takie samo zdziwienie.

– Znacie się? – Roześmiał się nerwowo.

Ruchem szybkim jak błyskawica dziewczyna wymierzyła pistolet w przybysza. Wydawało się, że Oliwia ma wielką ochotę strzelić do nieznanego, aby przyspieszyć działanie swojej klątwy.

– Pozwolisz mi się wytłumaczyć?

– Nie. Dobrze ci radzę, nie zbliżaj się – ostrzegła.

Tamten jednak nie usłuchał.

– Jeszcze krok... – W głosie Oliwii dawało się wyczuć pierwsze tony nadciągającej hysterii. Lufa broni drżała, co nie najlepiej świadczyło o formie psychicznej agentki.

Mogło to trwać jeszcze długo lub bardzo krótko, gdyby nie Parker, który wyjął dziewczynie pistolet z ręki i odprowadził ją na bok. Usiadł z nią na kamieniu i coś klarował. Nikt nie słyszał słów, ważne, że działały.

– Dzień nie wstał jeszcze na dobre, a ty już narozrabiałeś. – Plazma chrząknęła dwa razy, czując, że coś mu ściska gardło. Wszystko przez dym z płonącego Tigra.

Napięcie w grupie nadal rosło. Nikt się nie ruszał, choć każdy wiedział, że muszą uciekać.

Pierwszym, który to zrobił, był Ortiz Castillo. Za nim powędrował Appelton i reszta. Duch, bo tak nieznanego w myślach ochrzcił Wolski, błyskawicznie gdzieś się rozplynął. Może to i lepiej, biorąc pod uwagę stan, w jakim znalazła się Oliwia.

Pablo od początku narzucił mordercze tempo. Droga wiodła w góry, co przy możliwościach rosjan wydawało się bezsensownym przedsięwzięciem. I tak ich

znajdą. Fsb nie daruje im masakry. Jedyne, co pozostało, to drogo sprzedać swoją skórę.

Plazma zrównał się ze Szczepańską. Parę kwestii wymagało omówienia.

– Dobrze go znasz?

– Kogo?

– Nie błaznuj, dobrze wiesz, o kogo pytam.

Minęła minuta, zanim doczekał się odpowiedzi, a raczej wykrętu.

– Stare dzieje.

– Jak stare?

– A ty co, książkę piszesz? – Spróbowała go wyprzedzić, ale nie dał się zbyt łatwo.

– Ten gość nie znalazł się tu przypadkiem. Pablo gadał z nim po angielsku, ty po polsku. Przypadek? – W Erneście zaczęła narastać złość. – Nie sądzę. Pancierz na nim to najnowsza technologia. Jest fotochromowy i z tego, co widziałem, daje nieprawdopodobne możliwości.

– Zjawił się nieproszony.

– Skąd o tym wiesz? Rozmawiałaś z nim?

– Nie prowokuj mnie – ostrzegła.

– Widzę, że się nie lubicie.

– Po prostu się ode mnie odczep.

Dalsze drażnienie tematu uznał za stratę czasu. Przesunął się na koniec kolumny i skupił na obserwacji terenu za nimi, tak jak to pamiętał ze szkolenia. Nie chodziło tylko o rosjan, ale i o Ducha. Ducha przez duże D. Jeszcze przed godziną Plazmie do głowy by nie przyszło, że zetknie się kiedyś z iście kosmiczną technologią, zwłaszcza na tym zadupiu.

Duch uratował im tyłki, ale jego pojawienie się zmieniło zasady działania. Nie przybył tu przecież bez powodu. Jakie są jego cele, dlaczego jest aż tak tajemniczy i co to oznacza dla oddziału?

2

Pozostałą część dnia zajął im marsz przez góry. Już nikt nie zachwycał się widokami. Ernesta bolały nogi i grzbiet. To samo dotyczyło pozostałych. Dobrze,

że byli w formie, bo inaczej już dawno wypłuliby płuca.

Wieczorem schronienie dała im mała jaskinia ukryta w stromym zboczu i otoczona gęstym zagajnikiem. Miejsce „takie sobie”, jak zgodnie ocenili, bowiem trudno by się było z niej niezauważenie ewakuować, lecz uznali, że skoro podczas całodziennego wędrownictwa nie słyszeli odgłosów pościgu, to może z jakiegoś powodu rosjanie sobie odpuścili.

Co prawda, czasem dało się słyszeć śmigłowiec, ale daleko, więc niekoniecznie musiało to mieć związek z nimi.

Wartę pierwszy objął Cyrus. Wolskiemu w tym czasie trochę się przysnęło. Gdy otworzył oczy, duch, a raczej Duch, pojawił się w wejściu. Wyglądał tak samo jak rankiem, z tą tylko różnicą, że teraz dawało się od niego wyczuć zapach krwi i dymu.

Zrobiło się wręcz nienaturalnie cicho. Oliwia już się nie awanturowała, wciśnięta w kąt.

– Powiesz nam, co cię tu sprowadza? – zapytał Parker, przerywając milczenie. – Chyba że nie możesz. W takim razie nie było pytania.

– Chodzi o bezpieczeństwo krajowe.

– Czyje? Chyba nie mówimy o rosjanach?

– Oczywiście, że nie. Działam na zlecenie wywiadu.

– Polskiego? – Parker nie dawał się zbyć ogólnikami. – Chcesz powiedzieć, że Warszawa prowadzi działania operacyjne na Uralu? Może jest was więcej?

– Jestem sam.

– A jak się nazywasz? To chyba nie jest tajemnica? – Cyrus otaksował wzrokiem Szczepańską.

– Matt Pulaski.

– Nie znam.

– Ty mnie nie, ale ja ciebie tak, podobnie jak pozostałych. Podziękujcie waszemu szefowi, że tak szybko zareagował.

– To miłe wiedzieć, że stary nad nami czuwa – zarechotał Appelton, prostując nogi w kolanach. – Wiem, że masz cudowny skafander, ale i tak szybko się pojawiłeś. Ile czasu upłynęło od ich zatrzymania? Siedem godzin? Osiem? Nie więcej. Można powiedzieć, że przyleciałeś jak na skrzydłach.

- Byłem w pobliżu.
- To znaczy, że też szukasz Golicyna?
- Nic z tych rzeczy.
- Przysługa?
- Na to wychodzi.

Ogniska raczej nie rozpała, ale i tak zrobiło się przyjemnie. Siedzieli razem i nie słyszeli ujadania wściekłych psów, a to już dużo. Pulaski też dawał gwarancję, że tak szybko się z nimi nie rozprawią.

- Co robiłeś przez cały dzień?

Pytanie zadane przez Oliwię sprawiło, że znieruchomieli.

- Odciągnąłem pościg na północ – powiedział Matt po chwili.
- Dlaczego właśnie tam?
- Bo my idziemy na południe.
- My? Nie mieszaj nas do swoich gier. Jesteśmy tu tylko z jednego powodu, a ten powód nazywa się Aleksander Golicyn. Na pewno o nim słyszałeś.
- Nawet widziałem parę razy w TV. Oślizgły typ.
- Nie tak bardzo jak ty – znów odezwała się Szczepańska. Gdyby mogła, plułaby jadem.

– Mamy wyjść? – zapytał Cyrus. – Wtedy podacie sobie ręce w spokoju, wyjaśniając to i owo.

Propozycja nikogo nie zaskoczyła. Wszyscy domyślali się, że tych dwoje łączy coś więcej niż tylko zajadła nienawiść.

– Obejdzie się. – Pulaski potarł policzek. – Nie widzę powodu, żeby robić zamieszanie.

– To teraz powiedz nam, co tu robisz, dobry człowieku, skoro zabicie kilkunastu czekistów jest dla ciebie zwykłą przysługą. A ten kostium...

– To kombinezon – sprostował Matt. – Jedyne w swoim rodzaju. Jego zdobycie sporo mnie kosztowało.

- Rąbnąłeś go ruskim? – niewinnie zapytał Piła.

– Nie, ale to akurat nie ma nic do rzeczy.

– To tylko twoje słowa. – James przejechał szmatką po lufie erkaemu niemalże pieszczotliwym ruchem.

Lubił drażnić. Miał tak od urodzenia.

– Krawcowa wypruła metkę, więc jeżeli o to chodzi, to niestety, ale nie mogę pomóc.

– Cwaniak.

– Tak jak ty.

Rozmawiali po angielsku, płynnie przechodząc na polski. W tym towarzystwie nikomu to nie przeszkadzało.

– To mówisz, że Kruczkowski dogadał się z twoimi przełożonymi – Parker wrócił do porzuconego wątku. – Uznał, że sobie nie poradzimy, tak? Ale, kurna, syf.

– Z pudła w Czelabińsku już bym was nie wyciągnął.

– A skąd ty tak dobrze wiesz, co robi fsb? Ci kolesie to mistrzowie dezinformacji i manipulacji, a ty nic sobie z tego nie robisz. Jak to możliwe?

– Podśłuchuję ich. To nie jest znowu takie trudne, zwłaszcza po tym, jak się im zapodziało parę nadajników, bo nie przypilnowali nowej dostawy. To rosja, tu każdego można kupić i każdy się sprzeda. – Pulaski trochę się rozgadał. – Sorry, może nie każdy, ale wiecie, jak jest. Bieda tu wielka.

– Jak u kogo – parsknął pod nosem Ortiz Castillo.

– Zgoda. Jest tu paru takich, co żyje ponad stan, ale większość z trudem wiąże koniec z końcem. Wystarczy nacisnąć i można się dogadać. Później to już dostrojenie własnych odbiorników. Nie są tak hermetyczni, jak im się wydaje.

– Armie też podśłuchujesz?

– Jak trzeba.

Plazma nie sądził, by Matt mówił im wszystko. Tylko czy to takie ważne? Tajemnic wywiadu nie należało rozgłaszać na prawo i lewo.

– Chcesz powiedzieć, że Golicyn jest... był naszym agentem?

– On? – Pulaski się zdziwił. – Nic z tych rzeczy. To przypadek, że samolot z delegacją rozbił się właśnie tutaj, a nie, dajmy na to, sto kilometrów dalej.

– Wtedy...

– Kto wie. – Matt uprzedził pytanie. – Mam własne zadanie.

– Pętanie się po tym pustkowiu nazywasz zadaniem? – dociskał Piła.

Ernest obserwował twarz Pulaskiego, próbując wyczytać, co nim kieruje. Było to trudne, bo niewiele widział, ale szybko uznał, że jeżeli koleś gra w pokera, to na pewno zgarnia całą pulę. Wydawało się, że nie ma takiej siły, która zmusiłaby go do działania wbrew jego woli. Powie, jeżeli uzna to za przydatne.

– Czy wy w ogóle wiecie, gdzie jesteście?

– Na Uralu – odpowiedział Parker. – Więcej wiedzieć nie muszę. I tak wiem, że mi się tu nie podoba.

– Na południowym Uralu, jeżeli już chodzi o ścisłość. Region nazywa się Baszkortostan. Mieszka tu wielu muzułmanów.

– Którzy sprzyjają buntownikom.

– Bez wątpienia. Jest tu też pewna góra. Nazywa się Jamantau.

– To ciekawe – powiedział Appelton, nie siląc się na cień zainteresowania.

– To niezwykle miejsce. Przez całe lata próbowano wyjaśnić, dlaczego rosjanie budują w niej tunele.

– Już kapuję. – Piła palnął się dłonią w czoło. – Wysłali cię na przeszpiegi. Teraz wszystko jasne. Wejdiesz do środka i poznasz wszystkie rosyjskie tajemnice. Tylko do czego my ci jesteśmy potrzebni?

– Widziałeś kombinezon – odrzekł niewzruszony Matt. – I wiesz, że jest skuteczny. Daje możliwości, o jakich nie śniło się Supermanowi. W boju jest niezastąpiony. Wraz z dodatkowym wyposażeniem czyni człowieka niepokonanym. Wyobraź sobie drużynę albo pluton w takiej zbroi. Wygrywasz bitwę, a wróg nawet nie wie, co go pokonało.

– Jesteście w stanie wykonać tego więcej?

– Twórca tego cudu zginął. – Pulaski wolał nie wnikać w szczegóły. – Nieważne. Musicie mi jednak uwierzyć na słowo, że po tym świecie chodzą ludzie, którzy sami z siebie potrafią to, co mnie daje ta technologia.

– Jak to możliwe?

– Ulepszono ich w laboratoriach i wypuszczono na wolność.

– A co ma to z tobą wspólnego?

– Mam ich wyeliminować. Stanowią zagrożenie.

Działała w trybie ochrony. Ten program uruchomił się niejako automatycznie i należał do priorytetowych. Jeżeli jakimkolwiek przedstawicielowi rządu groziło niebezpieczeństwo, należało zrobić wszystko, by przeżył, nawet za cenę własnego istnienia.

Gdy znalazła swojego podopiecznego, ten wyglądał na zaskoczonego jej widokiem, nie próbował jednak narzucić swojej woli, całkowicie podporządkowując się poleceniom. Był przy tym słaby i niezdarny. Poruszał się wolno i z ociąganiem, a najgorsze, że wciąż mówił. Te tyrady w niczym im nie pomagały. Gadał dla samego gadania. Dobrze, że znalazła dla niego odpowiednie buty, zdejmując je z nóg zabitego wcześniej żołnierza. Kolejnego, jaki się napatoczył. Zrobiła to jednak tak, że jej podopieczny niczego się nie domyślił, podobnie jak to miało miejsce wcześniej.

Szli i szli, coraz wolniej. Do bezpiecznej kryjówki wciąż było daleko. Oceniała, że nie dotrą tam wcześniej niż za osiem godzin. O tym, co dalej, jakoś nie myślała. Ten problem miał rozwiązać się sam. Do tej pory trochę tak właśnie było. Wszyscy stanowili zagrożenie. Nie rozróżniała, kto „swoj”, a kto „obcy”. Niewielka część wolnej woli, jaką jej pozostawiono, tak to właśnie odbierała.

4

– Wiesz, jak do nich dotrzeć? Mają to wypisane na czole?

– Są... specyficzni. – Pulaski wstał i zrobił parę kroków, a następnie zawrócił i przysiadł na piętach. – Trudno to wytłumaczyć, ale najogólniej rzecz ujmując, największą frajdę sprawia im zabijanie i okaleczanie.

– Więzienia pękają od takich typów.

– Żadnego z nich nie zapudłujesz. Wolą zginąć.

– Zabiłeś jakiegoś?

– Zdarzało się.

Plazma przez skórę czuł, że wdepnęli w kolejną aferę. Z pierwszej ledwie uszli z życiem, a tym razem z pewnością nie skończy się na paru siniakach. Pulaski do czegoś ich potrzebował i ta myśl tylko rozdrażniała Ernesta. Nie pisał się na łowcę psycholi.

– Ale nie o nich chodzi. Pod Jamantau jest laboratorium, gdzie stworzono linię produkcyjną klonów. Są ich tam setki. Na szczęście pozostają w hibernacji. Jak zapadnie decyzja o ich wybudzeniu, zrobi się nieciekawie. Wszystkich nie wyłapię, a wierzcie mi, zgotują nam piekło na ziemi.

– To twoje zadanie – powiedział Parker. – Trzeba tam wejść i ich wyłączyć.

– Nic dodać, nic ująć...

– Sam sobie poradzisz. Z tym... – Cyrus machną ręką – ...wyposażeniem jesteś gość.

– Tyle że akurat w międzyczasie trochę się popieprzyło i kompleks opanowali islamiści. Jest tam ich co najmniej kilkudziesięciu.

– Że co?

– Dobrze słyszysz. Rosjanie podciągnęli wsparcie i nikt nie wie, jak się to skończy. Do środka prowadzi tylko jeden szyb, pomijając wejście zlokalizowane w pobliżu Mieźgorje. Zanim specnaz spróbuje zneutralizować radykałów, musimy to zrobić przed nimi.

– My? Trochę nas mało, nie sądzisz? – Mówiąc to, Oliwia nawet na niego nie spojrzała.

– Nie próbujecie mi chyba powiedzieć, że was to przerasta.

Appelton zrobił minę rozjuszonego byka, Ortiz Castillo splunął Pulaskiemu pod nogi, Oliwia wywróciła oczami, a Parker skwitował słowa Matta krótkim: „Pieprz się”.

Z całej paczki tylko Girkin zachował spokój. Niewiele go to wszystko obchodziło. Znalazł się tu przypadkiem.

– Wy pomożecie mi, a ja pomogę wam – powiedział Matt.

– Niby w czym?

– Wiecie już, jak wyjechać z Rosji? Granice zablokowano, a was poszukują jako zbiegłych z konwoju więźniów. Fakty nikogo nie obchodzą.

Parker wyciągnął nóż z pochwy i wytarł ostrze o rękaw bluzy.

– Pokroję cię, sukinsynu, a wtedy nie będziesz już taki mądry.

– Przestań się wydurniać.

Głowy wszystkich obróciły się w stronę Oliwii. Od dawna nie widzieli jej tak wkurzonej.

– Dobrze ci radzę, schowaj ten scyzoryk, chyba że chcesz sobie zrobić krzywdę. Ten człowiek... – wskazała palcem na Pulaskiego – ...to szuja, ale to nasza szuja i ja mu wierzę.

– W jakiej kwestii?

– W każdej. Powiedział, co kryje się pod tą cholerną górą i jakie ma zadanie. Po co miałby kłamać? Wyciągnął nam też tyłki z ognia.

– Nie zrobił tego bezinteresownie.

– Być może, ale mimo wszystko oddychasz świeżym powietrzem, a nie smrodem więziennego karceru.

Parker niechętnie wsunął ostrze z powrotem do pochwy przy pasie.

– To znaczy, że odpuszczamy sobie Golicyna?

– Przynajmniej na razie.

To się rozumiało samo przez się. Minister zszedł na drugi, a nawet na trzeci plan. W tych okolicznościach bujanie się po tajdze i szukanie śladu, gdzie spadła kapsuła, to proszenie się o guza.

Problem w tym, że propozycja Pulaskiego nie gwarantowała niczego oprócz niemal pewnej śmierci.

5

Imponujący masyw Jamantau widać z daleka, gdy promienie wschodzącego słońca krzeszą iskry na śnieżnej kopule przykrywającej szczyt. W krystalicznie czystym powietrzu wydawało się, że góra znajduje się niemal na wyciągnięcie ręki. Żłudna nadzieja, że dotrą tam przed południem, rozwiąła się po zaledwie paru godzinach, gdy już mocno bolały ich nogi, a cel wciąż znajdował się daleko.

– Rusz swój chudy tyłek albo zejź mi z drogi. – Cyrus, idący za Plazmą, przyspieszył kroku. Wydawało się, że jest napędzany przez reaktor atomowy, któremu zaraz stopią się pręty kontrolne.

– Co go ugryzło? – Ernest spytał Oliwię, gdy już Parker przeszedł obok nich.

– Od wczoraj jest w złym humorze.

– To niech weźmie na wstrzymanie. Zaczyna mnie wkurzać.

– Witaj w klubie.

– Ciebie też doprowadza do szału?

– Nie on – nieledwie wypluła te słowa.

– Rozumiem, że masz na pieńku z Pulaskim. Dla mnie to spoko gość – powiedział ciekaw, z jaką spotka się to reakcją.

– Bo go nie znasz tak dobrze jak ja.

– Zaraz mi powiesz... moment... – Zasapany, musiał wziąć głębszy oddech. – No już. Że to psychopata, zgadza się?

– Żebyś wiedział.

– Czy ty przypadkiem nie jesteś uprzedzona do niego? – Pewna oczywista prawda jakoś dopiero teraz dotarła do Ernesta. – Długo razem byliście?

– Zamknij się.

– To nie jest trudne pytanie.

– Zrobiłeś się wyjątkowo upierdliwy – fuknęła. – Najwyraźniej związek z Anną rozmiękczył ci mózg.

– Nie mówimy o mnie.

– A niby dlaczego nie? Próbujesz grać bohatera, ale ci nie wychodzi.

– Czyli zraziłaś się.

– Co ty nie powiesz.

Idący z przodu Pulaski przystanął.

– Słysząc was na kilometr.

Plazma był zmieszany, a Oliwia zdenerwowana.

Dziewczyna nawet nie patrzyła na Matta.

Chciał dobrze, a wyszło jak zwykle. W całym swoim życiu tylko raz zaangażował się poważnie, a skutki odczuwał do tej pory. To przecież nie była jego wina – próbował wrócić, tymczasem wylądował w anclu. Tak wyglądało całe jego syfiaste życie. Gdyby nie przypadek... O ile to był przypadek... Znając skuteczność tego starego pryka, emerytowanego szefa wywiadu Emila Banacha, gotów był pomyśleć, że samolot z Golicynem na pokładzie spadł na jego osobiste życzenie... A więc przez przypadek dostał szansę na ponowne spotkanie z Oliwią. No i?

Swoją drogą, Banach ciągnął za sznurki z wprawą samego Niccolò Machiavellego. O laboratorium pod Jamantau dowiedzieli się od jednego z asystentów profesora Gradowa. Facet wyleciał z programu, a że miał głęboką

depresję i myśli samobójcze, to tylko odrobinę go przycisnęli, tak bardziej dla formalności, i dostali to, co chcieli. Facet też. Wnioski nie były ciekawe. Należało działać, i to natychmiast, stąd pomysł przerzucenia Matta na Ural. Oprócz Jamantau było tu jeszcze kilka interesujących wywiad obiektów, choćby tajne miasta w pobliżu Czelabińska. Do nich też warto by się dostać. Sytuację ułatwiała pełzająca muzułmańska rebelia wprowadzająca w tym stosunkowo bezpiecznym regionie federacji element chaosu. Takie warunki, do tego wojna i pucz – walka wszystkich przeciwko wszystkim – to wszystko pikuś.

Dopiero widok Oliwii poruszył nim na dobre.

Nic się nie zmieniła przez ten długi czas. Myślał o niej codziennie. Już będąc w Warszawie, próbował się z nią skontaktować, ale właśnie wtedy wyjeżdżała do Moskwy. Ich drogi rozminęły się, nie pierwszy zresztą raz.

Nie dziwił się, że w pierwszym odruchu posłała go do diabła. Pewnych spraw nie da się już skleić. Za dużo narosło pomiędzy nimi nieporozumień, którym nikt nie był winien. Stało się i tyle. Trzeba z tym żyć, bo nic innego nie wymyśli.

Przez cały dzień starał się uważnie obserwować teren, co jakiś czas zerkając do tyłu. Już parę razy skarcił sam siebie za ten idiotyczny odruch. Wciągnięcie Oliwii w operację o dużym ryzyku uważał za niewybaczalny błąd, tyle że niewiele miał w tej kwestii do powiedzenia. Najważniejsze decyzje podejmował Banach, a zniszczenie ośrodka uznano za działanie o najwyższym priorytecie. Tu nie było z czym polemizować. Wiedział, do czego są zdolni metaludzie.

Zatrzymał się, ujrawszy złamaną gałązkę o metr przed sobą. Zaciśnięta pięść powędrowała do góry.

Znieruchomieli, obserwując swoje sektory. Napięcie od razu zrobiło się namacalne. Nie byli sami. Najwyraźniej ktoś tędy przechodził, i to całkiem niedawno.

– Zostajecie.

Przeszedł w tryb bojowy. Wiedział, jakie to robi wrażenie. Był i nagle zniknął, rozplywając się w powietrzu. Dopiero gdy zaczynał się poruszać, dawało się rozpoznać miejsce, w jakim znajdował się dosłownie przed sekundą. Jeśli poruszał się powoli, nie było widać nic.

Zamiast pójść za tropem, pierwsze kroki skierował w przeciwnym kierunku, próbując znaleźć odpowiedź na nasuwające się pytania. Ślady na ziemi wskazywały, że chodziło o dwie osoby: jedną ciężką i niezdarną, może ranną, co do drugiej nie był pewny. Raczej lekka i zwinna. Kobieta? Może. Nie można tego wykluczyć. Szli w stronę Jamantau. Czego tam szukali?

Dwie osoby to nie patrol. Nie znalazły się tu też przez przypadek. To również nie myśliwi czy traperzy. Buciorzy były wojskowe, co widział po bieżniku, żadne tam cywilne lakierki. Może to ranny odprowadzany przez sanitariusza do Mieźgorje? Tak też się mogło zdarzyć. Albo to któryś z islamistów. Ten drugi to dzieciak albo nastolatek, a nie kobieta. Wszystkie opcje otwarte. Para wyprzedzała ich o dwie, może trzy godziny, więc szanse na jej doścignięcie były niewielkie. Zresztą, jaki to miałyby sens?

Wrócił i nic nie mówiąc, dał znak do wymarszu. Ku jego satysfakcji już nie gadali, zachowując absolutną ciszę.

Jak miło współpracować z profesjonalistami.

6

- Gdzie ich widziałeś?
- Na tej drodze. Co najmniej kompania.
- Ciężki sprzęt?
- Kilka BTR-ów i Tigrów.

Paully i Reitz przyglądali się komputerowej mapie, bezpieczni w centrum dowodzenia Jamantau. Mapę mieli, ale podglądu satelitarnego już nie. W jaki sposób Rosjanom udało się ich pozbawić dostępu doń, pozostanie tajemnicą, ale przynajmniej jedno nie ulegało wątpliwości – powoli ich osaczano. Żeby zdobyć informacje, wysyłali patrole. Metoda skuteczna, tracili jednak ludzi. Do tej pory nie wróciło ich już jedenastu, i to tylko z najbliższego otoczenia kompleksu.

- Wiadomo, co z Czubarowem? – zapytał Paully.
- Przepadł – prychnięcie Reitza wystarczyło za odpowiedź.
- Dostał proste zadanie.
- Które i tak go przerosło. Przejął wyrzutnię, a później gdzieś sobie poszedł. To do niego podobne. Nie sądzę, byśmy go jeszcze zobaczyli.

– Dupek.

– Jak oni wszyscy.

O ludziach – zwykłych ludziach – mieli ugruntowane, jak najgorsze zdanie. Obaj należeli do zupełnie nowego gatunku ludzi. Niewielu mogło im sprostać, a prawdę mówiąc, takie osoby dałoby się policzyć na palcach jednej ręki. Nawet zawodnicy MMA, i to w szczytowej formie, odpadali przy bezpośredniej konfrontacji. Byli szybsi, silniejsi i bardziej brutalni niż cały gang Cripsów razem wzięty.

Ale też mieli swoje ograniczenia. Na przykład brak kontroli nad przestrzenią powietrzną znacznie utrudniał im rozpoznanie, a przez to i dalsze planowanie.

– Spróbuję jeszcze raz – zaproponował Reitz, szukając wyjścia z rysującego się przed nimi impasu. – Nie ma się co łudzić, nikt nie przyjdzie nam z pomocą. Nadepnęliśmy ruskim na odcisk. Tego nam nie darują.

Było w tych słowach dużo prawdy. Za przeniknięcie do Jamantau będą ich ścigać do upadłego. Tylko że niczego tu nie znaleźli. Ziścił się czarny scenariusz – kompleks okazał się schronem i magazynem, niczym więcej. Ilekroć Paully przemierzał te korytarze, nie potrafił oprzeć się wrażeniu, że został oszukany. Gdzie te tajemnice kryjące się pod tonami betonu i skał? No, gdzie?

– Dobrze, ale resztę ściągnij w pobliże bramy. Niech się przygotowują do obrony.

Improwizowali. Na szczęście baza zapewniała bezpieczne warunki do przetrwania, łącznie z ambulatorium, a magazyny dostarczą im zapas amunicji. Trochę ubolewał, że tak mało posiadali cięższego sprzętu. Samymi automatami i granatnikami bitwy nie wygrają, a oblężenie na pewno będzie długie i krwawe.

– Zagonię Larysowa do roboty. Niech znajdzie wyjście z tej szczurzej nory.

Paully zaczął ciężko oddychać przez nos. Działo się tak zawsze, gdy emocje brały w nim górę.

– Jak tam uważasz. – Reitzowi było wszystko jedno. – Plany przeglądaliśmy setki razy.

– To uciekniemy stąd przez szyb wentylacyjny. Nikt nie buduje takiego kompleksu z jednym tylko wejściem. Nie ma to sensu. Masz tu schron na tysiące osób, a przez służbę przejdzie ich najwyżej dwudziestu.

– No, wejścia są dwa...

– A gdzie jest siłownia? Do tej pory jej nie znaleźliśmy. Plany z całą pewnością są niekompletne.

– Obyś miał rację – powiedział Reitz i wyszedł.

Siedzenie w tym miejscu działało na niego przygnębiająco. Wolał świeże powietrze. Podziemia to miejsce dla karaluchów. On się do nich nie zaliczał.

7

– Tak... Oczywiście... Tak... widzimy ich. W tej chwili około czterdziestu. Podejrzewam, że reszta ukrywa się w kompleksie.

Oczy podpułkownika Konstantina Mamontowa łzawiły. Składało się na to wiele przyczyn. Był zmęczony, niewyspany, palił papierosa za papierosem, a spływający z czoła pot dostał mu się do oka. Ależ to było irytujące.

– Myślę, że rano. Nie później niż o siódmej. Im szybciej, tym lepiej – zapewniał rozmówcę siedzącego sobie wygodnie w moskwie w siedzibie Głównego Zarządu Wywiadowczego.

A może nie?

Trwała wojna. Kto wiedział, gdzie przeniosły się sztaby, dowództwa i organy zarządzania?

Najgorsza była jednak świadomość ciężącej na nim odpowiedzialności. Zupełnie niespodziewanie okazało się, że ma zaplanować atak na Jamantau i dopilnować, by kompleks został zdobyty. Straty, jakie poniosą, wydawały się nie mieć znaczenia i nikogo nie obchodziły.

Pierwszy etap już się rozpoczął i oznaczał oczyszczenie bezpośredniego podejścia. Żołnierzy z 11 Gwardyjskiej Samodzielnej Brygady Desantowo-Szturmowej z Ułan Ude i batalion rosgwardii przerzucono śmigłowcami i ciężarówkami. W ataku weźmie też udział garnizon Mięgorze. Nie było sensu go oszczędzać. Zawiódł. Niech własną krwią odpokutuje winy. Ludzi zatem będzie dość. Problemem był ciężki sprzęt. Czołgi im nie pomogą. Są BTR-82, Tigry i parę gąsienicowych BMP-2 i BMP-3 oraz ich atut: szturmowe helikoptery Ka-52 w ilości dwóch sztuk. Tylko tyle udało się wydębić, cała reszta utrzymywała front pod Pierwomajskiem. Informacje przekazywały krążące nad tą przeklętą górą drony Forpost. Mamontow wolałby Oriony, ale dobre i to.

– Pułkowniku, mówi generał Sacharow.

Takiego zaszczytu się nie spodziewał.

– Tak jest.

– Wiem, że sprawa jest poważna, a wy nie dysponujecie odpowiednimi środkami, ale ta baza musi zostać zdobyta, i to za wszelką cenę. Szansę macie tylko jedną.

Mamontow nie należał do tchórzy, ale przed Sacharowem czuł respekt. Bądź co bądź, generał nie słynął z łagodnego charakteru. Jednak teraz należało mówić otwarcie.

– Od paru godzin obserwujemy ruch na przedpolu. Oni szykują się do obrony. Kopia stanowiska, transzeje i stawiają miny. Obawiam się...

– Co chcecie mi przez to powiedzieć?

Mamontow struchlał.

– Tylko tyle, że nasze straty będą zatrważające. Być może artyleria by ich zmiękczyła, ale mam tylko parę moździerzy, i to mniejszego kalibru.

– Dział potrzebujemy na froncie.

– Tu też jest front – podpułkownik powiedział, co myśli, z pełną świadomością, jakie to może przynieść skutki.

– Jeżeli się poddajecie, mogę was odwołać, a na waszym miejscu postawię kogoś, kto wykaże się większą siłą charakteru.

– Ależ...

– Tak mi się wydawało.

Perspektywa stanięcia w pierwszej linii z kałachem w dłoni i poprowadzenia szturmego jakoś nie nęciła Mamontowa. Nie był młody. Mimo że kondycji nikt mu nie mógł odmówić, to sala ćwiczeń niewiele ma wspólnego z polem bitwy. A że będzie to wyjątkowo krwawe pole bitwy, nie ulegało wątpliwości. Dżihadyści coś tam kombinowali i potrzebowali do tego czasu, za to propozycja przywalenia z powietrza ciężkim ładunkiem została momentalnie odrzucona przez dowództwo. Ci też się bali, tylko Mamontow nie wiedział czego. Chowają tam fabrykę porcelany, że tak boją się wstrząsów? Baza miała wytrzymać bezpośredni atak nuklearny, a kilku półtonówek zrzuconych na okolicę nie wytrzyma?

– Ilu terrorystów tam się chowa?

Takiego pytania bał się najbardziej. Nie był dobry we wróżeniu z fusów.

– Dysponujemy jedynie szacunkami.

– No więc?

– Nie mniej niż stu. Prawdopodobnie stu dwudziestu, ale nie więcej niż stu pięćdziesięciu. I to raczej sami najemnicy. Są wyjątkowo niebezpieczni.

– No, a wy macie nie mniej niż dwa tysiące ludzi.

Mamontonowi wydawało się, że Sacharow zaciera z uciechy ręce.

– Tak – przyznał ostrożnie.

– Nasi chłopcy też nie wypadli sroce spod ogona. Specnaz da sobie radę.

– Jest tak, jak mówicie, towarzyszu generale.

– Oczekuję wyników. Jak szybko uporacie się z problemem, dostaniecie szlify generała.

Sacharow zawiesił głos, dając podpułkownikowi czas na docenienie tak nęcącej propozycji jak pominięcie stopnia pełnego pułkownika i generalska gwiazdka.

– ...Jak zawiedziecie... Nawet nie chcecie wiedzieć, co was czeka – dokończył zwierzchnik.

– Rozumiem.

Jaśniej nie dawało się tego wyjaśnić. Wcześniejsze zasługi zostaną zapomniane, a jego czeka śmierć w hańbie. Na szczęście dysponował jednym atutem, człowiekiem w bandzie, która zajęła Jamantau. Nazar Larysow był jego kołem ratunkowym, ostatnią osobą, która mogła oddalić od niego widmo śmierci w męczarniach.

Tylko gdzie on jest? Dostał najwyższej klasy sprzęt i co?

Co najmniej pięć razy powinien nawiązać połączenie. Tak się jednak nie stało.

Myśl, że Larysow nie żyje, przeraziła Mamontowa, bo to oznaczało, że i jego godziny są policzone. ■

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

1

Nie potrzebował lornetki. Oprócz tego, że posiadał znakomity wzrok, to w razie konieczności używał hełmu, który był połączeniem miniaturowego centrum dowodzenia i rozpoznania. Mógł też wypuścić miniaturowego drona i na bieżąco odbierać przekaz, mógł zhakować wrogie systemy, a także posłużyć się zestawem kamer przybliżających.

Właśnie tak postąpił tym razem i prawdę mówiąc, był teraz w kropce. Golicyn żył. Wspinał się właśnie na skalną grań półtora kilometra od niego. Ale nie był sam. Towarzyszyła mu kobieta, a konkretniej mówiąc, wyśrubowany do granic możliwości system bojowy pod postacią kobiety.

Nie wiedzieli, że są obserwowani. Golicynowi było wszystko jedno, ale kameleon wydawał się czujny. Ciągle węszył, choć jego zmysłom daleko było do sensorów kombinezonu. Obchodzili Jamantau od północy, a więc z dala od głównego wejścia. Na pewno nie czynili tego bez powodu. Nie chcąc ich zgubić, wypuścił w powietrze szerszenia, miniaturowego drona, by stale mieć ich na oku i samemu nie stać się przypadkowym celem dla nich bądź jednostek gru, które licznie ściągają w pobliże kompleksu.

Przyspieszył. Zmarnował zbyt wiele czasu na obserwację. Najgorsze było jednak to, że dysfunkcyjna parka – minister i kameleon – kierowała się w tym samym kierunku, co rodziło podejrzenie, że może im chodzi o ten sam tunel, do którego zmierzał.

Szlag by to.

Kodowanym łączem przekazał idącej za nim ekipie współrzędne i sam zagłębił się w las. Przy okazji pozwolił sobie na odrobinę wygody, jaką było odchylenie przyłbicy hełmu do góry. Wolał oddychać świeżym powietrzem niż filtrowanym przez układ skafandra. Właściwie już się nie spieszył. I tak będzie przed wszystkimi, a poza tym musiał sobie przemyśleć parę rzeczy. Zbliżali się do finału. Teraz wszystko zależało od tego, jak silny opór stawią islamiści i czy specnazowi uda się dostać do środka dziś, jutro, a może wcale.

Wiedział, że dżihadystami dowodzi dwóch psychopatów. Trudno było orzec, który z nich jest gorszy, Reitz czy Paully. Obaj posiadali kartoteki godne zbrodniarzy wojennych. Wiedzę o nich przywiózł ze Stanów, gdzie zostali poddani modyfikacjom. Współpracowali ze sobą od lat, tworząc morderczy duet. Jakiś czas temu skumali się z tureckim wywiadem, od którego dostali zaszczytne zadanie siania fermentu na obszarze federacji rosyjskiej, z czego wywiązywali się na medal. Ich sumienia obciążały setki, o ile nie tysiące ofiar. Dopuszczali się przy tym niewyobrażalnego okrucieństwa. Cudze życie nic dla nich nie znaczyło. Matt wiedział, że takie stwierdzenie to banał, ale zdjęcia i filmy z miejsc ich działalności przywracały frazesom ich koszmarną treść. Te porąbane zwłoki, okaleczone dzieci... patologom robiło się od tego niedobrze. Niejako przy okazji byli też niezwykle sprytnymi i doświadczonymi komendantami polowymi. Podobno prowadzili też własne, i to całkiem udane, eksperymenty z modyfikacjami. Że też ziemia nosiła takich skurwysynów.

Po świecie pętało się, niestety, wielu im podobnych. Jednego namierzyli w Egipcie, gdzie podawał się za inkarnację samego Ramzesa II – tego samego, który walczył z Hetytami pod Kadesz. Można by pomyśleć, że to ciężki odpał, ale zaczął gromadzić wiernych. Niektórzy z nich przybywali na Bliski Wschód nawet z Europy.

Jeszcze inny działał w Indiach, gdzie został przywódcą sekty Thugów, nawiązujących do legendarnych dusicieli mordujących podróżnych na subkontynencie od siedemnastego po dziewiętnasty wiek. Policja i służby próbowały go złapać, ale on wciąż pozostawał nieuchwytny.

Podobnie jak gość o ksywce Fantomas, który przejął kontrolę nad półświatkiem Paryża.

Każdego z nich można określić jako skrzyżowanie Pabla Escobara i Kuby Rozpruwacza. Wypuszczenie na wolność dodatkowo tej zgrai, jaką stworzono w Jamantau, do reszty pochłonie stary świat. Nic już nie będzie takie samo jak przedtem.

Martwił się. Konkretnie martwił się tym jednym żywym kameleonem. Klon powinien siedzieć w inkubatorze, a nie grasować wśród gór i lasów Uralu.

I dlaczego jako zakładnika wziął Golicyna? Tu się kompletnie nic nie kleiło, a czas płynął.

2

– Przypomnijcie mi, jak wy się tam nazywacie?

– Czurikow.

– Czurikow? Zapamiętam sobie.

Dyrektorowi ośrodka Echo 1 zrobiło się jednocześnie zimno i gorąco. Nie tak to miało wyglądać. Na razie dostawał po łbie, zaś emanująca z słuchawki telefonu wściekłość ministra obrony zaraz doprowadzi dyrektora do zawału. Poluzował krawat, rozpiął guzik kołnierzyka, nie pomogło.

– I z czym nie potraficie sobie poradzić, Czurikow? Wyjaśnijcie mi to precyzyjnie. Polecenie było jasne.

– To nie jest takie proste. – Dopiero co usiadł w fotelu, ale poczuł potrzebę, żeby wstać. Opanował się jednak, nie chcąc robić z siebie błazna na oczach całego zespołu. – Nie wiem, jak to się stało, ale mamy problemy z przeniknięciem do systemu komputerowego Jamantau.

– Jak to?

– Zupełnie jakby uruchomione zostały systemy obronne.

– To miały być super zabezpieczenia.

– No i właśnie są. To znaczy... Uważamy, że doszło do jakiejś awarii, nie wiemy, czy sprzętowej, czy raczej programowej, nie wiem, jak to określić, i system przeszedł w tryb autonomiczny.

– Możecie mówić jaśniej?

– Zrobiły się od nas niezależne – pospiesznie odpowiedział Czurikow.

– A co z tymi, no... kameleonami?

– Istnieje niewielka ewentualność, że proces reaktywacji już został rozpoczęty, i to bez ingerencji z naszej strony.

Pytanie, przez kogo, Sacharow mógł sobie darować, podobnie jak to, komu będą posłuszne.

– Można to cofnąć?

– Zależy od etapu. No i pod warunkiem przejęcia kontroli nad Hel.

– Kim?

– Tak nazwaliśmy sztuczną inteligencję – odparł zmieszany Czurikow.

Hel, nordycka bogini krainy śmierci, władczyni armii zmarłych, świetnie pasowała jako patronka. Kiedyś ich to bawiło, dziś jakoś nie.

Sacharow na kremlu, a Czurikow w ośrodku, obaj wiedzieli, co teraz nastąpi. Ponieważ nie udało się wybudzić przynajmniej kilku klonów i wytłuc islamistów sposobem, pozostało użycie młotka. Metoda konwencjonalna, mniej subtelna, za to zawsze skuteczna.

3

Nazar Larysow z nudów dłubał palcem w nosie. Nie było to eleganckie, ale odprężyło. Rozkazów Paully’ego nie miał ochoty wypełniać. Polecenia przyjmował, co prawda, bez mrugnięcia okiem, ale wiedział o kompleksie wystarczająco wiele, by nie musieć robić nic konkretnego. Wtajemniczenie komendanta uznał za całkowicie zbędne. Najważniejsze to wydostać się stąd jak najszybciej, a nie mógł tego zrobić z wciąż szwendającym się za nim aniołem stróżem. Od bojowników co jakiś czas wychodzących na powierzchnię wiedział, że wojska rządowe zaciskają wkoło nich pętlę. W duchu modlił się więc o atak. Dżihadyści nie mogli żywi opuścić kompleksu, to jego przepustka do kariery. Mamontow już o to zadba. Pewnie się o niego martwił. Nazar bowiem wciąż nie mógł uporać się z błędem systemu, który uniemożliwiał mu nawiązanie jakiegokolwiek komunikacji ze światem zewnętrznym. Znalazł kilka furtek, ale wszystkie zamykały się, gdy tylko próbował z nich skorzystać, tak jakby miał jakiegoś żywego przeciwnika reagującego na bieżąco. Skoro jednak był tu jakiś admin, dlaczego nie zrobił nic więcej? Na to pytanie Nazar nie znalazł odpowiedzi, na razie więc postanowił, że – o ile to będzie możliwe – spróbuje sabotować obronę, choć na dobrą sprawę nie wiedział, na czym konkretnie miałyby to polegać. Na tym etapie haker nikomu nie był potrzebny.

Czując ruch za plecami, dla pozorów przebiegł palcami po klawiaturze.

I znów to samo. Wcześniej wszystko działało bez zarzutu, a teraz system zaczął strzelać fochy.

Może przynajmniej uda się zdiagnozować problem. Można powiedzieć, że się starał, choć nie za bardzo. Nie tracił jednak nadziei, nigdzie też się nie wybierał. Jeżeli ma przeżyć nadchodzącą bitwę, to łatwiej mu to przyjdzie tu, przed ekranem komputera, niż wśród śmigających nad głową kul, bomb i kartaczy.

Chyba że Paully każe inaczej.

Wtedy to i Mamontow nie pomoże. Gdyby przyszło do najgorszego, to najważniejsze, by o jego bohaterstwie dowiedzieli się ci, na których mu zależy.

Może uronią łzę... Może.

4

Reitz w tym momencie przypominał przyczajonego do skoku wilka. Nogami zaparł się mocno o ziemię, gotów przejść do działania natychmiast, gdy tylko nadarzy się sposobność.

Bardzo tego pragnął, lecz na razie musiał zająć się dowodzeniem.

– Selim, twoja drużyna zajmie pozycje na lewo, tam gdzie to zwalone drzewo, widzisz?

Brodąta gęba dawnego sierżanta pakistańskich sił specjalnych nie wyrażała nic. Haczykowaty nos i mięsiste usta upodabniały komandosa do baśniowego złoczyńcy. W odróżnieniu od pierwowzoru zakrzywiony sztylet trzymał przy pasie, a nie w zębach.

– Weźmiesz erkaem, osłaniacie tamten sektor.

Pakistańczyk skinął głową. Jako jeden z nielicznych tu nie chodził w mundurze, lecz w cywilnym stroju – luźnych spodniach i obszernej kurcie, pod którą trzymał wyposażenie. W sekcji Selima każdy wiedział, co ma robić i jaki jest łańcuch dowodzenia. Grupa działała precyzyjnie niczym szwajcarski zegarek. Nimi się nie martwił.

– Farid, to samo, ale po prawej.

Nim drużyna zdołała wyskoczyć z ukrycia i przebiec kilkanaście metrów, przeleciał nad nimi pocisk i uderzył w las sześćdziesiąt metrów za ich plecami. Głuche echo rozeszło się wśród świerków, jodeł i modrzewi.

– Cholera. – Reitz czuł na karku i rękach igły sypiące się z drzew.

Macają ich. To wyraźny znak, że zaraz się zaczną, a stok poniżej zaroi się od nacierających rosjan. Na razie nie potrafił ich dostrzec, ale byli tam na bank. Warkot wysokoprężnych silników przybrał na sile. Ale będzie jatka! Już się na nią cieszył. Po wrogu nie spodziewał się finezji. Główne natarcie pójdzie wzdłuż drogi z Mieźgorje, a pomocnicze z południa, tam gdzie nachylenie stoku było najłagodniejsze. I tak przyjdzie walczyć w okrążeniu, bo z pozostałych kierunków również wróg wyprowadzi uderzenia, choć o zdecydowanie mniejszej sile.

Po paru sekundach ciszy, mniej więcej w tym samym miejscu co poprzednio, doszło do trzech kolejnych eksplozji.

Te ruskie głąby nie wiedziały, gdzie są cele, a to oznaczało, że rozpoznanie kuleje u nich jak diabli. Prawdopodobnie rosyjski dowódca wyobrażał sobie, że czekają na nich w okolicach wartowni i baraku z windą. W rzeczywistości nikogo tam nie pozostawił, tylko raz na pół godziny wysyłał patrol, by przeczesać teren składowiska.

Kliknięcie w słuchawce sygnalizowało, że wróg jest blisko.

Spojrzał wzdłuż lufy karabinu, oceniając, że ma przed sobą wgląd w las na jakieś sto pięćdziesiąt metrów. Wystarczy, by z nadchodzących wypruć flaki. O amunicję się nie martwił, posiadali jej w nadmiarze, problem stanowiły szczupłe kadry. Zaczęli operację, mając prawie czterystu ludzi, z których wielu już się wykruszyło. Bardzo przydałby się teraz Czubarow i jego oddział.

Fala złości wypełniła Reitza, lecz nie pozwolił, by trwała za długo. Odsunął na później pragnienie podejrzenia gardła nieudolnemu Tatarowi i skoncentrował się na postaciach wyłaniających się w jego polu widzenia.

– Otwieracie ogień na moją komendę.

Rozkaz wydał przez radiotelefon. Trochę trzaskało na łączach, ale nie za bardzo, co stanowiło znak, że rosyjskie zagłuszanie pozostawia wiele do życzenia, podobnie jak działania zwiadowców na przedpolu.

Widział ich pięciu. Szli rozstawieni co dwadzieścia metrów, przeskakując od jednego ukrycia do drugiego. Reitz podejrzewał, jak się czują. Takie zadanie to wyjątkowo niewdzięczny kawałek chleba. Z tego, co wiedział, na szperacza wyznaczano największego kutasa w oddziale, osobę, której nikt nie lubił. Jak zginie, nikt nie będzie takiego żałował. Z własnego szkolenia w Legii

Cudzoziemskiej pamiętał, że najchętniej obarczano tym „zaszczytem” pastucha z Czadu czy Mali, już nie pamiętał. Czarnuch śmierdział, był tępy i nigdy nie zgłaszał sprzeciwu. Z tego, co słyszał, skosiła go seria islamistycznej bojówki pod Marsylią dwa lata temu. Zdaje się, że ci nie byli lepsi.

Jak ruscy nazywają ten gówniany pikselowy kamuflaż? Cyfrowa flora, liść dębu, zielona kurwa czy jakoś podobnie. Jak stali w cieniu, to jeszcze uszło, ale w lesie pełnym świetlnych refleksów przypominali goryle. Hełmy, kamizelki, broń, wszystko jak trzeba, ale ten wzorek... Może niepotrzebnie się czepiał. Przez ostatnie dekady międzykontynentalne mocarstwo atomowe poczyniło znaczne postępy. Ot, choćby wydano skarpetki, a onuce przekazano na opatrunki. Każdy szwej miał solidne buty, nie zaś to, co kto wziął z domu, niekoniecznie swojego – adidas czy walonki. Progres w wyposażeniu niewątpliwy. Zaraz się zobaczy, co z wyszkoleniem.

Moździerze rozpoczęły regularny ostrzał. Niemożebny huk nie cichł nawet na moment, co mocno wkurwiało nie tylko Reitza.

W przesiece pomiędzy drzewami, tam gdzie przebiegała droga prowadząca do wartowni, ukazał się kanciasty kształt gąsienicowego BMP-3. Niby nieczołg, ale armata kalibru 100 mm mogła narobić wiele szkód.

Kątem oka obserwował pojazd, odliczając od dziesięciu do jednego. Przerwał przy czterech. Pięćdziesięciokilogramowy ładunek zakopany tam wczoraj sprawił, że maszyna uniosła się w powietrze i spadła na prawą burtę. Takiej eksplozji nikt nie mógł przeżyć. Tę lekcję Reitz przyswoił sobie z działań Hezbollahu w Libanie, gdzie podobne improwizowane miny radziły sobie nawet z izraelskimi Merkawami.

Grom detonacji rozniósł się falą uderzeniową we wszystkich kierunkach. Nawet moździerze brzmiały przy tym jak orkiestra kameralna.

Pięknie. Dziura wyryta w ziemi miała półtora metra głębokości, a wrak BMP-3 utrudniał przejazd. Na razie nie oddali nawet jednego strzału, a zdecydowanie prowadzili.

Z lasu wysypała się piechota. Już nie kilku, jak z początku, tylko cała chmara. Żołnierze biegli przed siebie poganiani okrzykami podoficerów.

– Czekać.

Nie widział sensu ujawniać stanowisk, to jeszcze nie ten moment. Miał dla wroga więcej niespodzianek.

Punktem, w który się teraz wpatrywał, był marker przy pniu sosny. Minęli go zwiadowcy, a zielone ludziki były bardzo blisko. Reitza bawiła ta sytuacja. Oto, jak niewielkim kosztem można zaskoczyć przeciwnika. Schemat pola minowego miał w swoim smartfonie. Wystarczyło przesunąć palcem po ekranie i aktywować poszczególne ładunki. Nic prostszego.

– Czekać.

Powiedział to bardziej do siebie niż do podwładnych. Palec go świerzbiał, nerwy trzymał jednak na wodzy. To było lepsze od seksu. Przed wszystkim trwa dłużej, a skutek jest imponujący. Zresztą do kobiet nie miał cierpliwości. Ostatnią swoją dziwkę zatłukł w burdelu w Baku za to, że za głośno się darła, a on tego nie lubił. Zaciśnął palce na jej szyi, aż zsiniała na twarzy. Wielkie czarne oczy wpatrywały się w Reitza z przerażeniem, nawet kiedy już całkiem zwiotczała. Właścicielka burdelu próbowała go zabić, bo podobno wykończył jej córkę, więc starą zatłukł krzesłem.

Ocknął się ze wspomnień w ostatniej chwili, omal nie przepuścił pierwszej fali ruskich żołnierzy.

No to do roboty.

Na dobry początek wybrał MON-90 będącą rozwinięciem amerykańskiej przeciwpiechotnej miny kierunkowej Claymor. Ustawiono ją w środku pozycji. Koniuszkiem palca trącił symbol na ekranie. Koncert czas rozpocząć. W przeciwieństwie do wcześniejszych wybuchów ten nie wydawał się silny, ledwie pierdnięcie olbrzyma. Bum i już kilkaset stalowych kulek pomknęło szerokim łukiem, wybijając dziurę we wrogiej formacji. Kamizelki balistyczne były dobre, część odłamków została zatrzymana, ale było ich tyle, że raziły również nieosłonięte pancerzem miejsca: nogi, twarze i ręce. Wróg padł niczym łan skoszonego zboża, a nad jego linią rozległ się chóralny jęk rannych i konających.

Pora na poprawkę.

Tym razem detonował miny na skraju pozycji. Część odłamków wbiła się w pnie, ale znakomita większość poszatkowała ciała nadbiegających żołnierzy.

Obecnie przedpole przypominało rzeźnię z okrwawionymi kawałkami mięsa parującymi w świetle poranka. Mogłoby się wydawać, że to czas na antrakt, padną rozkazy, pojawią się sanitariusze i rozpoczną ewakuację, zamiast tego nadciągnęła druga fala atakujących.

– Czekać.

To trzecie „czekać” brzmiało jak zakłęcie. Biedni frajerzy szli do ataku gęstą tyralierą, lecz zamiast koncentrować się na przeciwniku, spoglądali wystraszeni pod nogi. Rozkazy brzmiały jednoznacznie – za wszelką cenę...

Uruchomiono cały batalion. Na drodze ponownie się zakotłowało. Następny BMP próbował ściągnąć płonącego poprzednika i zrobić szerszy przejazd.

– Selim, są twoi.

Pociski z erpegów pomknęły przez las. Z tej odległości nie sposób było chybić. Złomowisko powiększyło się o kolejne pojazdy, lecz nawet to nie powstrzymało przeciwnika próbującego ominąć pobojuwisko skrajem lasu i drogi. Kolejne sekcje piechoty pojawiały się i ginęły w zmasowanym ostrzale.

Reitz nie mógł poświęcić im całej uwagi. Główne starcie rozgrywało się przed nim. Ludzka fala przetaczała się właśnie w miejscu poprzedniej jatki.

– Ognia.

Sam też nacisnął spust, kładąc trupem żołnierza z wystającą ponad ramieniem anteną. Obserwator albo łącznościowiec. Niech mu ziemia ciężką będzie. Facet padł z przestrzeloną twarzą.

Coraz więcej pocisków z broni maszynowej przelatywało ponad Reitzem. Rosjanie wciąż ostrzeliwali ich na oślep, ale robili to wytrwale. Sekcje PKM-ów posuwały się do przodu, ogień moździerzy również przesunął się bliżej ich pozycji, obsypując obrońców ściętymi gałęziami i sporych rozmiarów drzazgami.

Wystukał cały magazynek i wyciągnął kolejny. Lakierowane na zielono łuski leżały dookoła stanowiska. Splunął i wybrał następny cel – medyka próbującego odciągnąć ранnego w bezpieczne miejsce. Położył go strzałem w pachwinę.

Dalej.

Jakiś żołnierz przyglądał się swojej oderwanej dłoni. Ten już nie był groźny. Innemu urwało nogę w kolanie. Jego kwik przebił się przez jazgot bitwy. To Selim i jego erkaem przyczynili się do całkowitego natarcia na lewej flance. Ziemia pod

rosyjskimi stopami zrobiła się czerwona od krwi. To już nie był twardy grunt, a błoto zmieszane z juchą i ludzką tkanką.

Głośne pizgnięcie i przestrzeń zafalowała od ognistej krechy, którą ledwo zauważył.

Co to, kurwa, było? Kawały darni wyleciały w powietrze, a po Selimie pozostała dziura. Skurwiel na bank już zabawia się z hurysami, ha, ha...

Oblizał usta i wypluł piach. Ledwo co słyszał. Smartfon leżał z boku. Co w nich tak przydzwoniło?

Szturmowy Ka-52 tańczył w powietrzu niczym śmierć wywijająca kosą. Piękna maszyna i zabójczo skuteczna, tyle że znali sposób, by się jej pozbyć.

Obsługi Wierb, przeciwlotniczych MANPADS-ów, czyli ręcznych zestawów krótkiego zasięgu, wiedziały, co robić. Od razu wypuszczono w powietrze trzy rakiety. Nie musieli oszczędzać. Najważniejsze to sprzątnąć Aligatora z nieba.

Jest! *Fuck...* To tylko flara. Cień przemknął ponad rebelianckimi stanowiskami. Pilot rzucał maszyną w ciasnych zwrotach, próbując uniknąć trafienia. Zabawa w kotka i myszkę nie mogła trwać długo, helikopter jest na to zbyt powolny. Wykiwał jedną raketę, potem kolejną, trzeciej już nie zdołał. Jeden z przeciwbieżnych rotorów został uszkodzony. Na niebie rozpoczęły się dzikie harce, gdy pilot próbował przywrócić kontrolę nad śmigłowcem. Aligator kręcił się coraz szybciej, jak bąk, co Reitzowi zdało się całkiem zabawne. Lotników nienawidził szczególnie mocno. Ci przemądrzali buce zadawali śmierć, sami będąc od niej z dala. Kawa, obiad, kibel, lot do strefy działań bojowych, pięć minut strachu i z powrotem do domu. Wojna to dla nich wyświetlacze, kontrolki i guziki na joystickach. Za to nigdy fruujące flaki i oderwane kończyny. Podobną estymą darzył również artylerzystów.

Tymczasem Ka-52 przewalił się na burtę i spadł na ziemię wprost na pozycje atakujących. Reitzowi chciało się śmiać. Maszyna trochę zaszkodziła bojownikom, ale swoim więcej.

Bitwa na moment przygasła, by po chwili rozgorzeć z nową siłą.

Najwyższa pora zmienić stanowisko.

Głośne „zzing” ponad jego głową sprawiło, że mocniej przywarł do gleby. Trwał tak przez parę sekund, nie próbując się unieść. Najwyraźniej ktoś się na

niego uwziął.

Rozpłaszczony przesunął się trochę w bok. Strzelano do niego nie z PKM-u, ale z czegoś cięższego. Uznał, że to NSW, wielkokalibrowy karabin maszynowy wypluwający z lufy pociski kalibru 12,7 mm. Trafienie oznaczało pewną śmierć.

Uznał, że dobrze byłoby wyeliminować skurwysyna.

I kto miał to zrobić jak nie on?

Przez radio wydał polecenie cofnięcia się na drugą linię obrony. W tym miejscu zrobili już dość. Dalszy opór spowoduje niepotrzebne straty. Wbrew temu, co o nim mówiono, był taktykiem, a nie rzeźnikiem.

Odwrót sprawił, że natężenie ognia obrońców spadło, co natychmiast zostało wykorzystane przez Rosjan. Zielone postacie, dodając sobie animuszu głośnymi okrzykami, ruszyły do przodu. Las całkiem się od nich zaroił, co zdumiało Reitza. Tyłu ich natłuki, a wciąż nadchodziła fala za falą.

Wystarczy.

Aktywował pozostałe ładunki. Ściana ognia niespodziewanie wyrosła wśród szarżującej piechoty. Kilka ciał wyleciało w powietrze w całości, by nabić się na gałęzie, wielu żołnierzom miny pourywały części kończyn. Z nieba spadł krwawy deszcz. Jeżeli to ich nie powstrzyma, to nie wiedział, co by mogło.

5

- Z pierwszego batalionu nic nie zostało.
- Drugi ma straty sięgające siedemdziesięciu procent stanów wyjściowych.
- Kompania zmechanizowana straciła cztery pojazdy.

Na stanowisko dowodzenia nieustannie spływały meldunki. Mamontow wysłuchiwał ich i na bieżąco wydawał rozkazy.

Do tej pory połowa garnizonu Mieźgorje została przemielona w krwawej maszynie. Chłopcy nie mieli większych szans. Widział przed natarciem ich przerażone twarze. Bali się. Ze spokojnej służby na tyłach posłano ich nawet nie do boju, tylko na pewną śmierć. Kilku nie wytrzymało napięcia i próbowało zawrócić. Tych dopadli specnazowcy. Jeżeli nie zawróciłeś tam, gdzie na dziewięćdziesiąt procent czekała cię śmierć, ginąłeś od razu. Ani kroku w tył. Jamantau ma zostać zdobyty. Nikogo nie obchodzi, za jaką cenę.

Koszary w Mieźgorje stały się szpitalem i kostnicą jednocześnie. Wywożono tam rannych, o ile udawało się ich wyciągnąć spod ognia dżihadystów.

– Przybyły posiłki z Białowiecka i Czelabińska.

Długi rząd miejskich autobusów zatrzymał się właśnie na szosie.

Kolejna porcja wsadu, chciałoby się rzec.

– Trzeci batalion atakuje tak, jak było zaplanowane, a specnaz ma wspomóc rosgwardię. I, na Boga, zdobądźcie w końcu te magazyny! – Mamontow zatoczył czerwonym flamastrem okrąg na mapie.

– Ciężko będzie.

Podpułkownik zgromił wzrokiem młodego kapitana, przez policzek którego biegła krwawa krecha.

– Możecie się wykazać.

Oficer zacisnął zęby. Widać było, że właśnie wrócił z pierwszej linii, gdzie raczej nie walił gruchy.

– Moja kompania...

– Właśnie się dowiedziałem, że majora Koniewa rozerwało na strzępy. Batalion jest do waszej dyspozycji.

– Batalion? – Kapitan aż się zatrzęsł. – Przecież z niego została kompania, nie więcej.

– Jest tam jeszcze dość żywych, by wygnieść bandytów do ostatniego. Dalsze podważanie moich rozkazów uznam za niesubordynację i... – Nie chciał kończyć, bo i po co.

– Odmeldowuję się.

Machnął ręką, odpędzając zuchwalca.

Atak rozwijał się niepomiarowo wolno. Nie spodziewali się aż takiego oporu. Walczyli z fanatykami mającymi na dodatek oparcie w potężnej betonowej konstrukcji. W tym przypadku trudno mówić o kolejnych fazach natarcia. Szturm trwał nieustannie, jak nie z jednej, to z drugiej strony. Federalni ginęli dziesiątkami, a może i setkami, ale pewnie zadawali straty. To mogło być jak dwadzieścia do jednego, acz równie dobrze proporcje mogły wynieść pięćdziesiąt albo i więcej do jednego. W skrwawionych batalionach zginęło bądź zostało rannych około

siedmiuset żołnierzy. Ta liczba powalała. To przecież nie Borodino, Stalingrad czy Kursk, tylko żałosna góra na końcu świata.

– Major Berg.

– Witam.

Oficer o smagłej karnacji zatrzymał się o trzy metry od Mamontowa. Cała jego postać wyrażała niepokój.

– Podejdźcie bliżej. – Podpułkownik odłożył pisak i sięgnął po wskaźnik. – Za pięć minut zabierzecie swoich ludzi w to miejsce. Porucznik Jusupow wam pomoże... Tak... – Przerwał, bo zaczynały mu się zamazywać znaki na mapie. – Atakujecie za dwadzieścia minut od teraz, radzę się więc pospieszyć.

– Dopiero przyjechaliśmy.

– Doskonale. – Mamontow zignorował narastający ból w piersi i przemierzył dzielącą ich odległość, żeby poufale objąć za szyję zdezorientowanego Berga. – Coś wam powiem... – Jego oddech śmierdział, lecz jakie to miało teraz znaczenie. – To jest Jamantau. Tam czai się wróg, nie wiem jak liczny, ale z tego, co widzę, na razie ma nad nami przewagę. Naszym obowiązkiem jest odbicie tej góry wszelkimi możliwymi sposobami. Rozumiemy się? Dowództwa nie obchodzi, jakim stanie się to kosztem. Mamy tam wejść i ich pozabijać, dlatego teraz zabierzecie batalion na pozycje wyjściowe i równo za osiemnaście minut zaczniecie działać.

Mówił łagodnym, niemal przyjacielskim głosem, chociaż w środku aż się gotował z emocji.

– Wykonać.

Z pobliskiego punktu medycznego dobiegły ich wrzaski rannych, co przydawało rozmowie odpowiedniej głębi.

– Moskwa pyta, jak daleko się posunęliśmy – ogłosił oficer łączności, a jego mina wystarczała za cały komentarz.

– Przekażcie, że poczyniliśmy postępy.

Mamontow żałował, że tu się znalazł. Ewentualne zwycięstwo już go nawet nie ucieszy.

Lepsza okazja mogła się już nie powtórzyć. Ostrzał nie był tak intensywny jak jeszcze parę minut wcześniej. Najwyraźniej ruscy przegrupowywali siły, a zatem pora na numer solowy.

Oblicze już wcześniej przyozdobił barwami wojennymi. Przypadkowym obserwatorom skojarzy się z demonem, a dokładnie tego pragnął. Wybrał sektor, gdzie stok był stosunkowo stromy, wyminął własne posterunki i zaczął pełznąć pomiędzy pniami i skalnym gruzem, co kilkanaście metrów zatrzymując się i pilnie nasłuchując.

Specnaz był dobry, ale nie bardzo dobry. Nadchodzili, powoli pnąc się po zboczu. Reitz przyłgął plecami do zagłębienia, całkowicie wtopiony w tło. Utyłany w błocie kombinezon sprawiał, że jego sylwetka zmieniła się w bezkształtny cień, jakich wiele w tym parszywym lesie.

Pierwszy komandos przeszedł dwa metry od niego. Reitz uznał, że brakuje im doświadczenia. Za czystości i za głośni. Co najmniej kilku z nich stuknęło wyposażenie objające się przy pasie i kamizelce. Niemniej szli nie najgorzej, rozstawieni tak, by jedna seria nie posłała ich wszystkich do piekła.

Uniósł się i zaatakował. Czarne ostrze kindżałuomal nie obcięło głowy żołnierza znajdującego się najbliżej niego. Tego po prawej raził, ostrzem trafiając w oko. Zwrot, odbicie z obu nóg, krótki lot i spadł na głowę trzeciemu, przygważdżając go do ziemi. Wystarczyło przekręcić paski hełmu, by skrócić chłopakowi kark. Trzasnęło aż miło.

Rozległy się wrzaski i nawoływania, lecz on pędził już w dół wprost na olbrzyma z PKM-em, klucząc i robiąc uniki. Prawo, lewo... jeszcze raz lewo. Lufa karabinu maszynowego wypluła długą serię.

Reitza niósł entuzjazm. Jak on to kochał! Zabijanie traktował jak misję powierzoną mu przez samego diabła. Nie chodził po wodzie, znał lepsze cuda – skakał długimi susami, a wywoływane przez niego chaos i przerażenie rozchodziły się jak kręgi w morzu krwi. Fale nadciągających wrogów uspokajał na zawsze. Pojawiał się i znikał. Kto jeszcze tak umie?

Nim dopadł operatora, niejako przy okazji wypruł flaki szeregowemu taszczącemu rurę RPG-a. Nie był to zwykły RPG-7, ale RPO Trzmiel, czyli podręczny miotacz ognia.

Jak miło, że o nim pomyśleli.

Obiegł kaemistę i gdy tamtemu zabrakło amunicji w pięćdziesięcionabojowej konserwie, przystąpił do szaleńczego biegu, pokonując przestrzeń długimi susami.

Nie bawił się w finezję, tylko wbił ostrze z całej siły w pierś. Gość miał prawie dwa metry wzrostu i ważył swoje, co jednak nie szło w parze ze sprawnością. Zwyczajny osiłek, a że natura nie poskąpiła mu pary w łapskach, dostał do dźwigania kawał złomu.

Siła, z jaką Reitz spadł na komandosa, sprawiła, że tamten poleciał na plecy. Reitz wyszarpnął żelastwo z jego ciała i już pędził po RPO.

Nawet nie tyle pędził, co frunął. Wokół śmigwały kule. Wydawało się, że jest od nich szybszy.

Na ścieżce poniżej kilku specnazowców właśnie wyciągało amunicję z drewnianych skrzynek. Wpadł pomiędzy nich, rozpychając się na boki. Doskonale się ustawili. Płynnie prześlizgnął się od jednego do drugiego, że tylko klinga błyskała im przed oczami. Zatracił się w zabijaniu. Pierwszemu uciął ramię w łokciu, drugiemu rozplątał szyję aż do kręgosłupa. Trzeciemu rozharatał tętnicę udową i pchnął na czwartego, próbującego strzałem z pistoletu wykończyć metaczułowieka. Niedoczekanie.

Przewrócili się, co Reitz wykorzystał, skacząc zuchwalcowi na głowę. Hełm z kevlaru nie wytrzymał. Czaszka też nie. Trzask pękającej kości nie przebił się przez kanonadę.

Następny w kolejności zaczął uciekać. Temu odpuścił. Trzech ostatnich zaszlachtował niczym prosiaki. Rura RPO, którą przewiesił na pasku przez plecy, trochę krępowała ruchy, ale uznał, że odrobina niewygody będzie warta planowanego pogromu.

Zdyszany, przypadł do ziemi. Potrzebował chwili na uspokojenie oddechu i rozeznanie się w sytuacji. Dalsze śmiganie po lesie uznał za zbyt ryzykowne. W końcu oberwie, a nie taki był zamysł samotnej eskapady. Na wszelki wypadek rozrzucił granaty dymne i wkrótce gęsta biała mgła przysłoniła okolicę, czyniąc ją jeszcze bardziej złowieszczą.

Już nie tak szybko jak wcześniej pobiegł wzdłuż ściany lasu. Niżej znajdowały się zabudowania Mieźgorje i droga, którą dostarczano mięso armatnie.

Przesunął Trzmiela na ramię, po czym wycelował w formującą się właśnie kolumnę. Szarpnięcie omal nie wyrwało mu tuby z dłoni, gdy stalowy baniak wystrzelił w stronę celu. Odrzucił niepotrzebną już rurę i przycisnął policzek do kolby karabinu. Nim oddał pierwszy strzał, doszedł do niego huk detonującej głowicy termobarycznej.

Z rosjan ani jeden nie pozostał na nogach. Masakra była totalna. Po niektórych ostały się jedynie buty i strzepy nadpalonych mundurów. Ocalałego dalej oficera sprzątnął jednym strzałem, a później to już rozwał cel metodycznie, jak się któryś wychylił, nie dając im większych szans.

Wystukał magazynek, odrzucił broń i rozpoczął odwrót, czując w nozdrzach swąd palonych ciał. Ilu tym jednym strzałem zdołał powalić? Dwudziestu? Co najmniej. Matki będą miały kogo opłakiwać. Rosyjska armia wciąż w znacznej mierze opierała się na poborze, a ogłoszona mobilizacja sprawiła, że do jednostek bojowych trafiali tępi rezerwiści, którzy już dawno wszystko zapomnieli.

Tak się rozochocił, że zmienił kierunek, postanawiając znaleźć obsługę NSW, która wcześniej dała się im we znaki. Po drodze nie spotkał zbyt wielu wrogów. Zdaje się, że nieliczni, którzy pozostali przy życiu, postanowili wycofać się na pozycje wyjściowe. W każdym bądź razie było ich tu mniej niż wcześniej. Kaprała próbującego wynieść nieprzytomnego podporucznika rozwalił z pistoletu. Podobnie jak obsługę mózdzierza.

W miejscu, gdzie wcześniej detonował miny, zwłoki leżały stertami, jedne na drugich. Uwijających się tam ratowników potraktował tak, jak na to zasługiwali, i pobił w stronę stanowiska wukaemu. Zabicie strzelca i dwóch amunicyjnych to była czysta rozkosz. Trochę ich ponacinał, wykrwawiają się sami. Ich słabnące jęki mu nie przeszkadzały, wręcz przeciwnie.

NSW obrócił w przeciwnym kierunku i załadował nową taśmę.

Gdy pojawią się zmiennicy, to z zaskoczenia potracą głowy. ■

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

1

Tunel był wąski, miał metr szerokości i jakieś dwa metry wysokości. Z początku wydawał się zwykłą, na poły zasypaną dziurą w zboczu z porzrzuconymi dookoła drewnianymi stemplami. Strach tam było wejść.

– Idę pierwszy – zakomunikował Matt.

Nikt nie zgłosił wątpliwości. Wydawało się to logiczne – tylko on posiadał odpowiedni sprzęt.

Zanim włączył do środka, ostatni raz obrzucił spojrzeniem otaczający ich teren. Korytarz znajdował się dokładnie w kwadracie określonym przez informatora, a szerszeń wskazał, że właśnie w tym miejscu kameleon z Golicynem zeszedł pod ziemię, tak więc nie było co się zastanawiać. Mrok, co prawda, odpychał, ale innej drogi nie mieli.

Uruchomił sensory kombinezonu i od razu wiedział, co znajduje się przed nim.

– Poświecisz nam? – zapytał Parker ustawiony tuż za Pulaskim.

Słumione ledowe światło z naramiennej latarki rozproszyło egipskie ciemności.

– Dzięki.

– Nie ma sprawy. Staraj się tylko nie strzelić mi w plecy.

– Nie obiecuję.

Postawa Cyrusa irytowała nie tylko Matta. Facet zrobił się nieznośny i żadne logiczne argumenty nie trafiały do jego tępej łepetyny.

– Masz problem? – Nie chciał eskalować, moment na to był najgorszy z możliwych, ale Parker nie pozostawił mu wyboru. Obrócił się, stając twarzą w twarz z komandosem.

– Ja? – Amerykanin zatrzymał się o metr od Pulaskiego. – To raczej ty masz problem. Wciąż się czepiasz.

– Nie musisz z nami iść. Możesz zostać, przymusu nie ma.

Cyrus zmrużył oczy, poruszając przy tym ustami. Wydawało się, że chce napluć Mattowi w twarz.

– To propozycja?

- Potraktuj to jak dobrą radę.
- I co tu będę robił? Stał i czekał, aż nie wrócicie?
- Na razie nam nie pomagasz.

Parker odwrócił głowę, pociągając nosem. Wydawało się, że ma ochotę odejść, ale lojalność wobec grupy nie pozwalała mu tego zrobić.

– Odsuń się. – Oliwia wkroczyła do akcji, stając pomiędzy mężczyznami. – Idź na koniec i ochłoń. Jak ci przejdzie, możesz pójść za nami.

– Od kiedy to rozkazujesz?

– Od teraz. Jestem oficerem, a ty zwykłym sierżantem. – Kobiety nie deprymował fakt, że Cyrus był od niej wyższy. Wiedziała, jak sobie radzić z takimi jak on. – Nikt cię tu nie ciągnął na siłę, mogłeś zostać w moskwie. Zdaje się, że tak byłoby najlepiej.

– Mieliśmy znaleźć Golicyna, a to, co wy chcecie zrobić, to nieudolna próba naprawienia świata. Jeżeli wydaje ci się, że go zmienisz, to jesteś w błędzie.

– Zawsze warto spróbować – odparła zadziornie.

– Golicyn jest w środku. Widziałem, jak wchodził. Był w towarzystwie klona, jeżeli koniecznie chcecie wiedzieć – powiedział Matt na tyle głośno, by zostać usłyszanym przez stojącego na samym końcu Girkina.

– Pieprzysz.

– Owszem, ale nie dziś. Weszli tu trzy godziny temu.

– Dlaczego miałyby to robić?

– A skąd ja mam to wiedzieć? – Dla Pulaskiego rozmowa była biciem piany. Czy ludzie nie mogą po prostu wykonywać jego poleceń? – Nie jestem specjalistą od zachowań kameleonów. Mam je zlikwidować, a nie badać.

– Dlaczego wspominasz o tym dopiero teraz?

– A pytałaś mnie wcześniej?

– Mam was obu, kurwa, serdecznie dość. – Oczy Szczepańskiej miotają gromy.
– Jesteście siebie warci. Te chore ambicje...

– Ciii... Nie krzycz. – Matt upomniał dziewczynę i wskazał na Parkera przestępującego niespokojnie z nogi na nogę. – Poradzimy sobie bez niego. Odwrotu też ktoś musi pilnować.

– Mowy nie ma.

– Przed chwilą twierdziłeś coś innego.

– Nie twierdziłem, że tam nie zejdziesz, tylko że nie podoba mi się twoja gęba i sposób, w jaki przejąłeś dowodzenie.

– Akurat.

– Uspokójcie się. – Oliwia rozpostarła ramiona, odpychając obu mężczyzn na bezpieczną odległość. – Jako najstarsza stopniem przejmuję całkowitą odpowiedzialność za misję, czy to się komuś podoba, czy nie. Są zastrzeżenia? Nie widzę. Zrobimy tak... my zajmiemy się Golicynem i klonem, a ty całą resztą. Jak ktoś ma obiekcje, może wypierdalać.

Zapadła cisza. Było to jakieś rozwiązanie, bo z szarżą się nie dyskutuje – co czasem wiele ułatwia. Natomiast brak zaufania to ostatnia rzecz, jakiej w tej chwili potrzebowali.

2

Korytarz opadał niezbyt stromo, mimo to należało uważać, by się nie poślizgnąć i nie przysiąść na tyłku. Po mniej więcej pięciuset metrach doszli do komina ze stalową drabinką niknącą w mrocznej czeluści. Innej drogi nie było, tylko ta wiodąca w dół.

Matt sprawdził mocowania. Mimo warstwy rdzy kotwy trzymały mocno. Postawił nogę na pierwszym szczeblu, zastanawiając się, czy wytrzyma jego ciężar. Na razie było OK. Właściwie mógł zjechać metodą strażacką, opierając tylko czubki butów i dłonie na krawędziach. Z wielu powodów nie chciał tego robić. Zrobi to wolniej i też będzie dobrze. Popisy to droga donikąd.

Pięć metrów niżej uniósł głowę, obserwując osobę schodzącą bezpośrednio po nim. Z żalem zauważył, że to nie Oliwia, a Ernest.

Wolski nie posiadał tej gracji co Szczepańska, choć poruszał się sprawnie, a strzelał znakomicie. Typowy *sicario*, a i z flaszki lubił sobie pociągnąć.

Trochę niżej czarny kwadrat bocznego korytarza wskazywał miejsce, gdzie rozpoczynał się pierwszy poziom. Tu się rozdzielili. On musiał dostać się niżej, sprawdzić, co z klonami, a na koniec pokombinować, jak...

Fuck, drabinka urywała się nagle, a przepaść pomiędzy nogami wydawała się ciągnąć bez końca. Dobrze, że nie szalał. Nawet dla kogoś w kombinezonie

mogłoby się to skończyć źle.

Oparł buty i dłonie o betonową ścianę. Ta metoda sprawiała, że przypominał Spider-Mana albo Venoma we własnej osobie.

Powoli zsunął się do miejsca, gdzie rozciągał się drugi poziom. Nim ruszył na zwiad, wypuścił przed siebie drona wielkości paznokcia, najmniejszego z zestawu, jaki posiadał. Odczekał minutę i podjął wędrówkę, nie mogąc oprzeć się wrażeniu, że trafił na samo dno piekła.

– Matt?

Słuchawki zatrzeszczały głosem Oliwii.

– Jaki tym razem macie problem?

– Stąd nie ma wyjścia. Korytarz ma pięć – sześć metrów długości i kończy się stalową ścianą.

– Poszukajcie panelu sterowania – poradził, trzymając nerwy na wodzy.

– Żartujesz czy masz nas za idiotów?

Tego się nie spodziewał. Przed nim rozciągał się rozległy labirynt, którego schemat dron przekazywał bezpośrednio do czujników hełmu.

– Zajmę się tym, jak tylko znajdę pierwszy terminal. Na razie zachowajcie ostrożność.

W tym momencie im nie pomoże, to przecież jasne. Przystanął, gdyż właśnie znalazł się na progu sali, w której w równych rzędach rozmieszczono inkubatory przypominające wyglądem butle gazowe, tyle że znacznie grubsze i z błyskającymi szeregiem znaczników konsolami przy podstawach. Pomieszczenie tonęło w blasku czerwonych żarówek – tak kiedyś wyglądały ciemnie fotograficzne. Cyfry i litery na wyświetlaczu zapewne identyfikowały osobnika w próbowce. FS/K/551-5.

Sprawdził, czy przez obudowę da się zajrzeć do środka. Nic z tego, powierzchnia kokonu była matowoszara. Następny kameleon należał do tego samego gatunku i następny... Wątpił, czy dałby radę wszystkim, gdyby nagle powstał.

Na klonowaniu nie znał się zupełnie. Te kilka opracowań, które przeczytał, bardziej zaciemniało, niż rozjaśniało obraz. Cała jego wiedza sprowadzała się do paru ogólników i doświadczeń z osobami, które poddano modyfikacji. Metaludzie byli najlepszym przykładem ślepej uliczki, w jaką zabrnęła nauka. Kameleony na

ich tle jawiły się prawdziwymi bestiami uwarunkowanymi do zabijania od początku istnienia. Żadnego wahania, żadnej własnej ambicji, całkowite podporządkowanie twórcom. Broń idealna, potężna, a przy tym niepowodująca opadu promieniotwórczego. Postanowił znaleźć centralę, przestał zatem zważać na sygnał drona.

Po drodze znalazł kolejną salę z inkubatorami i zbrojownię. Chwilę później zmienił zdanie – działając po omacku, niczego nie znajdzie. Zatrzymał się, aby wyświetlić sobie trasę, którą pokonał. Obiecujące miejsce znajdowało się za zakrętem korytarza. Wykonał zwrot i stanął jak wryty. Nie dalej jak dziesięć metrów od niego tkwił nieruchomo klon – ten sam, którego widział wcześniej wspinającego się z Golicynem po zboczu Jamantau. Ministra w pobliżu nie dostrzegł.

– Matt... ja... dzie...?

Dźwięk w słuchawkach był przytłumiony i zanikał, ale usłyszał tyle, że Oliwia się niecierpliwi.

– Pogadamy później – powiedział i wyłączył kanał. Wolał, by nikt go teraz nie rozpraszał.

Jeżeli ma umrzeć, lepiej będzie, gdy nie usłyszą, jak charczy przed śmiercią.

3

– Uważasz, że to zabawne?

Po plecach Larysowa spłynął pot. Pomieszczenie nagle wydało mu się duszne. Stojący przed nim Paully najwyraźniej był w złym humorze.

– Niczego podobnego nie... sugerowałem – ledwie wydusił z siebie kilka w miarę logicznych słów.

– Nikt cię nie namawiał. Sam się przyłączyłeś do dżihadu. Od dawna słyszałem, jaki to jesteś dobry, najlepszy haker na świecie, inni mogą ci buty czyścić. Tymczasem odkąd się pojawiłeś, więcej wynika z tego kłopotów niż pożytku.

– Robię, co w mojej mocy.

Paully założył kciuki za pas biodrowy, kołysząc się na piętach i nawet uśmiechając się przy tym, przez co Nazarowi wydał się jeszcze bardziej przerażający.

– Twoi bracia umierają, a ty w tym czasie siedzisz w bezpiecznym schronie, żłopiesz kawę i udajesz, że pracujesz. Nie pomagasz. Dostałeś proste zadanie. Ktoś z twoimi zdolnościami już dawno powinien rozgryźć system.

– Parę rzeczy odkryłem. – Nazar uznał, że koniecznie musi udowodnić swoje zaangażowanie w sprawę.

Paully zrobił krok w jego kierunku. Wydawał się upiorem, który zaraz wysie z niego życie, zostawi tylko zakrwawiony mundur.

– Na przykład?

Nazar bokiem wsunął się na stanowisko i wyświetlił schemat poziomy, na którym przebywali.

– Jesteśmy tutaj – wskazał palcem odpowiednie miejsce – ale to nie wszystko. Rosjanie sprytnie to zakamuflowali. Są tu trzy poziomy. My jesteśmy na najwyższym. Dostać się tu można szybem od strony wartowni. Tutaj... – zmienił obraz na aksonometryczny, tak było łatwiej wytłumaczyć pewne niuanse – to główny korytarz. Nazwijmy go zaopatrzeniowym. Przejadą tędy tiry i ciężki sprzęt gaśnicowy. Na razie nie został wyprowadzony na zewnątrz, jednak gdy mu się dobrze przyjrzeć, to tylko dziesięć metrów skały i cyk... – Strzelił palcami. – Można to zrobić w godzinę.

– Nam to kompletnie nic nie daje.

– To nie wszystko – pospieszył z wyjaśnieniami. – Pod nami są jakieś sale.

– Magazyny?

– Być może. W systemie nic na ten temat nie ma.

– To tam idź i sprawdź.

– Droga prowadzi tędy. – Kolejny raz wskazał na schemat.

– Przybliź.

Zrobił to niechętnie.

– Wygląda na szyb wentylacyjny. – Przez ściśnięte gardło Nazara słowa wydobywały się z trudem.

Dłoń Paully'ego na ramieniu ważyła tonę.

– Dostaniesz trzech ludzi. Chcę wiedzieć, czy jest tam przejście.

Komendant wyszedł, a Larysowowi nie pozostało nic innego jak ostro zabrać się do roboty.

W zasadzie wiedział co i jak. Dostęp do szybu zabezpieczała ruchoma przegroda. Dlaczego ten poziom pozostawał szczelny, stanowiło zagadkę.

Złamał kod dostępu i sprawdził, czy system działa zgodnie z oczekiwaniami. Na koniec „zerknął” na poziom trzeci, gdzie czekali uśpieni wojownicy. Miał nad nimi całkowitą kontrolę. Obudzenie ich wydawało się całkiem zabawne. Co mu mogą zrobić? To istoty pozbawione woli, zdane wyłącznie na polecenia przełożonych.

Doskonale pamiętał obrazki z wojen toczonych przez federację rosyjską na przestrzeni lat. Oficjalna telewizja ich nie pokazywała, ale od czego Internet. Czy to Czeczenia, czy Ukraina, wciąż to samo. Zwłoki rozszarpane przez psy, zabiedzeni jeńcy i głodni poborowi, którymi nikt się nie interesował. Komitety Matek Żołnierzy, które nie pozwalały się zastraszyć. Upływały lata, a niektóre rzeczy wciąż wyglądały tak samo. To pewnie stąd pomysł, jak temu zaradzić. Klona nikt nie będzie żałował. Jak zginie, zastąpi go inny. Proces produkcyjny był znany od lat. Ewentualnie można dopracować pewne elementy. Taki klon nie robi krzywdy twórcy.

Nazar złośliwie uśmiechnął się pod nosem.

Twórcom nie, ale wrogom na pewno.

4

Ściana drgnęła i przesunęła się w bok. Doszło do tego w momencie, gdy już traciła nadzieję, że stanie się cokolwiek. Przyczajeni pod ścianami po obu stronach korytarza, zastanawiali się, jakie to cuda i niespodzianki czekają tu na nich. Zagrozeniem byli islamiści, a skoro Matt nie szedł z nimi, to konfrontacja stała się znacznie bardziej ryzykowna.

– Za mną.

Chcesz być liderem, zawsze idź pierwszy. Wiedziała, że ją dobrze osłaniają. Naprzeciwko czał się Ernest, a tuż za sobą miała Piłę z ukaemem. Nie był to jego ulubiony M249 SAW, ale Pieczenieg, rosyjska giwera zmodernizowana pod wojska desantowe. Appelton wydawał się zadowolony.

Szybko dotarli do rozwidlenia korytarza. Obie strony wyglądały tak samo.

– Tędy – zdecydowała. Dała się prowadzić instyktowi, bo jak mówią szweje, od myślenia to tylko głowa boli.

Rząd stalowych drzwi po lewej budził ciekawość.

Stanąła dwa metry dalej i skinęła na Pabla. Ortiz Castillo zaparł się i przesunął w górę wajchę zamka. Rozległ się przy tym odgłos jak przy piłowaniu metalu.

– Ciszej – syknęła.

– Ciszej się nie dało – odparł urażony Latynos.

– Idź pierwszy.

– Ależ tu ciemno.

Weszli ostrożnie, ale w końcu cała grupa, przyświecając sobie latarkami, znalazła się w środku. Pomieszczenie okazało się rozległym magazynem pełnym metalowych regałów. Na półkach piętrzyły się retorty, alembiki, menzurki, pipety, równe rzędy kartonów i butli z odczynnikami chemicznymi. Osobne półki zajmowała apteka. Oprócz środków opatrunkowych były też farmaceutyki, wśród których prym wiodły sterydy, środki przeciwbólowe oraz takie specyfiki jak oczyszczona heroina, MDMA i metamfetamina – na oko tona wszystkiego.

– Na co im to wszystko? – pytanie Olega zawisło w powietrzu.

– Najwidoczniej lubią dać sobie w żyłę – skwitował Plazma.

– Nie żartuj.

– Słyszałem, że breźniew od rana chodził najebany, a taki andropow to nie wstawał bez zastrzyku. Poważnie. Najwyraźniej nowe kierownictwo idzie ich śladem.

– Tu są skafandry laboratoryjne.

Z wieszaka zwisało co najmniej dwadzieścia białych i czerwonych ubiorów ochronnych z kapturami, maskami na twarz i zbiornikami na powietrze.

– Wystarczy. Idziemy dalej.

Delikatnie odemknęła drzwi, wyjrzała i szybko docisnęła skrzydło, nakazując milczenie. Z głębi kompleksu nadchodziła uzbrojona grupa. Przewodził jej chłopczyna w za dużej jak na swój wzrost zielonej kurtce, któremu towarzyszyło trzech osiłków. Ci już z daleka wyglądali na zaprawionych w bojach weteranów.

Oddziałek przeszedł obok, a kroki wkrótce ucichły w oddali. To źle mieć ich za plecami, ale jeżeli chcą uratować Golicyna, nie mogą wdać się w strzelaninę.

Zaskoczenie dawało im przewagę, którą należało zachować do końca.

– Dalej.

Wymknęli się z magazynu o wiele czujniejsi niż przed kwadransiem. Appelton wzdychał i przewracał oczami. Zignorowała go. Jej też bardziej podobały się szerokie piaszczyste plaże niż te wąskie, zatęchłe podziemne korytarze. Nie chciała tu być, ale obowiązek coś jeszcze znaczył.

5

Pulaskiemu wydawało się, że mijające sekundy trwają bez końca.

Na razie nic się nie działo, stali tylko naprzeciwko siebie, mierząc się spojrzeniem. Specjalny dozownik, wmontowany w kombinezon, co i rusz faszerował Matta koktajlem z odpowiednich środków, na ogół pobudzających i przeciwbólowych, by utrzymać go w szczytowej formie. To była jedna z tych funkcji, o których dowiedział się dosyć późno. Komputer na bieżąco analizował skład jego krwi oraz potu, podejmując środki zaradcze, gdy któryś z parametrów spadał poniżej normy. Obecnie otrzymał dawkę leków uspokajających, inaczej serce w jego piersi oszalałoby na widok klona.

– Jest tutaj.

Matt nie był pewny, czy kameleon odezwał się, czy przekazał mu informację telepatycznie.

– Boi się – powiedziała.

Jednak powiedziała.

Klasyczna sytuacja z gier, w których bohater przemierza podziemia, eliminując potwory. Teraz sam znalazł się w takim położeniu i musiał podjąć decyzję. Nie mógł tak stać bez końca. Nie wyczuwał w kobiecie agresji, co najwyżej zmęczenie i rozdrażnienie.

Golicyn siedział na taborecie w małej salce, próbując założyć sobie opatrunek na ramię. Nie widział Matta, obrócony do drzwi bokiem.

– Witam, panie ministrze. Mogę w czymś pomóc?

Jak na kogoś jednak mocno doświadczonego przez los, Golicyn przyjął pojawienie się Pulaskiego dość spokojnie. Przestał się męczyć z bandażem

elastycznym i, zachowując resztki godności, stanął przed człowiekiem w czarnym jak smoła kombinezonie.

– Na tym świecie już mnie chyba nic nie zaskoczy.

Matt spodziewał się kogoś słusznej postury, a spoglądał na wymizerniałego faceta w brudnej białej koszuli, ciemnych spodniach i z parodniowym zarostem na twarzy. Ten gość w niczym nie przypominał wymuskanego szefa dyplomacji, jakiego pamiętał z newsów.

– Kiedy zostaną odstawiony do Moskwy? Czekają tam na mnie pilne sprawy. Prezydent Orłow...

– Pan o niczym nie wie? – Matt uchylił przysłonę, ukazując swoją twarz. – Orłow padł ofiarą przewrotu. Władzę sprawuje generał Sacharow.

– Jak to możliwe?

Facet może był twardy, ale nie aż tak. Najpierw dostał obuchem w łeb, a później podcięto mu nogi. Ostatecznie zachwiał się i usiadł na taborecie.

– Od dwudziestu czterech godzin federacja rosyjska jest w stanie wojny z Turcją. Sacharow uznał, że jako jedyny sprosta wyzwaniu.

– To niczego nie tłumaczy.

– Z tego, co wiem, doszło do aresztowania Orłowa, jednak jego serce tego nie wytrzymało.

Golicyn przez moment przyswajał informacje, przez co jego oblicze nabrało wyrazu roztargnienia.

– Kogo właściwie reprezentujesz? – Pytanie miało zweryfikować wcześniejsze rewelacje.

– Wywiad.

– Generała Naryszkina ze Służby Wywiadu Zagranicznego?

– Raczej czynniki zewnętrzne.

– Nie rozumiem.

– Wynajął pan ochronę, tak? Ci ludzie są tutaj, tylko piętro wyżej. Przybyli tu, by pana ratować.

– A co z Wierą i Anną?

W oczach Golicyna Matt dojrzał autentyczne przerażenie.

– Są bezpieczne, przynajmniej na razie. Uniknęły aresztowania i znajdują się pod naszą opieką. – Pulaski uznał, że skoro gość się ślania, to walnie go jeszcze pałą prosto w łeb, ciekaw, jak ów zareaguje na te rewelacje. – Zwolennicy Orłowa ukrywają się bądź zostali aresztowani. Sacharow zaczął czystki, a pan jest ostatnią osobą z dawnego kierownictwa, która wymknęła mu się z rąk.

– W takim razie kim ona jest? – Golicyn spojrzał w bok, gdzie stał klon. – Ma mnie zabić?

– Gdyby chciała, już by to zrobiła – wytłumaczył cierpliwie tropiciel. – Jest osobnikiem wyhodowanym w laboratorium jako rosyjska Wunderwaffe. Została przez kogoś aktywowana, lecz nie wiemy przez kogo.

– Gdzie ja właściwie jestem?

– W kompleksie Jamantau zajęтым przez muzułmańskich terrorystów i obleżonym przez siły podległe nowemu reżimowi.

Golicynowi równie dobrze można było wsadzić palce do kontaktu. Efekt porażenia byłby taki sam. Płynnie przechodził od jednej katastrofy do kolejnej. To jak grad ciosów na twarz. Nokaut murowany.

Matt westchnął, przesuwając się odrobinę w kierunku drzwi. Zaczynał się niecierpliwić. Tłumaczenia mogły potrwać jeszcze godzinę, a on miał konkretną robotę do wykonania. Golicyna należało stąd wyciągnąć, ale wcześniej posłać klona tam, gdzie jego miejsce, czyli w niebyt. Im dłużej nad tym myślał, tym więcej czuł obiekcji. Kameleon nie był agresywny, żadnym gestem nie zdradził wrogości wobec Matta czy Golicyna, któremu w dodatku uratował tyłek.

Nie to, żeby miał coś przeciw zabijaniu jako takiemu. Posiadał wprawę. Broń palna dawała nieograniczone możliwości i niezwykłą łatwość w odbieraniu życia. Dla niego to już jak splunąć.

– Trzeba przerwać to szaleństwo. – Minister, w którego wstąpiły nowe siły, zakończył jego krótkie rozmyślenia.

Nieco zaskoczył Pulaskiego.

– Doskonale, proszę tylko spojrzeć na siebie. W tym momencie nie przekonałby pan muchy, by usiadła na gównie.

– A ona?

– Proszę spróbować i nie wyobrażać sobie zbyt wiele.

Staął nieco z boku jak przed ulicznym widowiskiem.

Golicyn wyprostował się i chrząknął. Obdartus próbował roztoczyć aureę dostojeństwa. Wyglądało to komicznie.

– Ten człowiek twierdzi, że jesteś klonem.

Równie dobrze mógł to powiedzieć do słupa. Nawet nie drgnęła, obojętna na starania ministra.

– Jak się mam do ciebie zwracać? – Spróbował z innej strony. – Masz imię? Uratowałaś mnie. Chcę się odwdzińczyć.

Ponownie został zignorowany. Wydawało się, że słowa zupełnie do niej nie docierają. Wciąż siedziała w kącie, trzymając na kolanach Kałasznikowa. Widać było, że myślami jest daleko.

W ten sposób nigdzie nie zajdą.

– BACZNOŚĆ! – wrzask Pulaskiego odbił się od ścian. – ROZKAZY WAS NIE OBOWIĄZUJĄ?

Klon zamarł na ułamek sekundy. W niewidzącym spojrzeniu błysnęła iskra zrozumienia.

– CZY NIE DOŚĆ JASNO SIĘ WYRAZIŁEM?

Pancerna rękawica zawisała nad głową kobiety. Był gotowy na konfrontację. Ciekawe, czy ona też.

– Wiesz, jaka jest kara za niesubordynację? – powiedział już znacznie ciszej.

Wstała, mając zaciśnięte szczęki.

– Przydział i numer służbowy?

– 550101. Przydziału brak.

– Od tej chwili podlegacie wyłącznie mnie.

– Tak jest.

Golicynowi opadła szczęka. Dobre słowo w przypadku klona nie podziałało, ale odwołanie się do wdrukowanego programu czy sztucznego instynktu owszem.

– Wasza specjalizacja?

– Infiltracja, wywiad, sabotaż.

– Doskonale.

Matt nie za bardzo wiedział, co chce osiągnąć, ale w głowie zaczęła mu świecić pewna myśl.

– Musimy stąd iść – powiedział do Golicyna obserwującego z zaciekawieniem ich rozmowę.

– Dlaczego?

– Bo, kurwa, tak.

Nie będzie idiocie tłumaczył się z każdego kroku.

– Ty... – zwrócił się do klona – od tej pory będziesz Ev. Jazda.

Wyszedł na korytarz, gdy usłyszał nieprzyjemny trzask dobiegający z sali inkubatorów.

Stało się. Teraz nie było już odwrotu.

6

Zajebie tego chuja i będzie miał spokój.

Emocje Cyrusa krążyły wokół Pulaskiego. Ostatni okres w jego życiu był wyraźnie słabszy i łatwo dawał się wyprowadzać z równowagi. Wiedział też, że próbują nim manipulować, czego nie był w stanie zaakceptować.

Właśnie spoglądał w otchłań pod stopami. Gdzieś tam znikli jego przyjaciele.

Odeszli, a on został. Nie tak to powinno wyglądać. Z Pulaskim policzy się przy okazji. Dziś należało działać. I to szybko.

Zsunął się po drabince z wprawą szczura. Miał właśnie postawić stopę na betonowym podeście, gdy zobaczył wymierzoną w siebie lufę automatu i kudłatą głowę islamskiego bojca.

Znaczy... wpięprzył się po uszy w gówno.

– Patrzcie, kogo znalazłem.

Rosyjski nie należał do najmocniejszych stron Parkera, ale ten przekaz zrozumiał bezbłędnie.

Ten skurwiel nie był sam, towarzyszyli mu kumple. Teraz każdy z nich celował Cyrusowi w głowę i nie było to miłe doznanie.

Czterech kul nie ominie, to nie w jego mocy. Może gdyby dysponował kombinezonem Pulaskiego, miałyby szanse.

– Rzuć broń.

To również zrozumiał. Większej filozofii w tym nie było. Ostrożnie położył karabinek pod nogami i cofnął się o krok, tuż nad skraj przepaści.

– Zabijmy go – zajazgotał typ w woodlandzie, może niezbyt wysoki, ale za to szeroki w barach. – To niewierny pies.

– Nie tak szybko. Zawsze zdążymy to zrobić.

– Przyjdą za nim kolejni.

– Być może, ale ten akurat jest sam.

Zaskoczenie Cyrusa nie miało granic. Dowódcą brodatych bandytów okazał się wypłosz, za którego nie dałby złamanego centa.

– Do jakiej jednostki należysz?

– Oddział dyspozycyjny gru z Kazania – wypalił bez zastanowienia.

– Dlaczego z Kazania?

Wzruszył ramionami, nie potrafiąc znaleźć uzasadnienia.

– Rozwalmy go.

– Wcześniej Paully zamieni z nim parę słów.

Gówniarz obrócił się bokiem do Parkera, pokazując odpiętą kaburę. Albo to prowokator, albo też został wzięty za kogoś innego.

Aż żał nie skorzystać z okazji. Żeby tylko broń była naładowana. Frajer posłuży za osłonę. Do swojego chyba nie wypalą. Zresztą, kto ich tam wie...

Wyszarpnął giwerę, oplatając typa lewą ręką za szyję. W filmach takie numery wychodziły bez pudła. Ciekawe, czy i w realu to zadziała.

Pistoletem okazał się siedemnastonabojowy Jarygin w nowej wersji, odbezpieczony i gotowy do użycia.

Manewr wyciągnięcia z kabury i wymierzenia wykonywał już tyle razy, że zadziałała pamięć mięśniowa. Mierzył w głowę, co gwarantowało natychmiastowy zgon. Płynnie przechodził od celu do celu. Eliminacja przeciwników trwała nie dłużej jak dwie sekundy. Na deser zostawił sobie ich wodza. Obrócił go teraz, przykładając lufę do czoła.

– Zaczekaj!

Krzyk drażnił uszy Parkera. To jasne, że nie chce umierać. Kto w jego wieku chce?

– Jestem agentem gru. – Chłoptaş wypowiedział to zdanie jak magiczną formułę. Pewnie spodziewał się cudu.

– I co z tego?

– Prowadzi mnie pułkownik Mamontow.

– Nie znam człowieka.

– Wiem, że nie. – Młodziak wyprostował się z godnością. – Zawiadam dowództwo, pomogę wam wytłuc ich co do jednego.

Dla Larysowa dekonspiracja była ostatnią deską ratunku. Przed momentem uznał, że nadszedł jego kres, ale oto pojawiła się szansa na wyjście cało z opresji.

– Ilu ich tam jest? – Cyrus obrócił pistolet lufą ku górze. – Stu? Dwustu?

– To się zmienia. – Nazar podejrzliwie rozejrzał się na boki. – Gdzie jest reszta?

– Jestem sam.

– Zwiad?

– Raczej straż tylna.

– Nikogo nie spotkaliśmy.

– Bo jesteście głupi.

Rozwalenie Larysowa nie przyniosło Parkerowi ulgi. Jeszcze jeden ciul do statystyki, nic więcej, a te brednie, że jest agentem kogoś tam zupełnie Cyrusa nie obchodziły. Rosyjski wywiad nie należał do szczególnie błyskotliwych, a organy bezpieczeństwa państwa dosyć często potykały się o własne nogi. Byli okrutni i bezwzględni, ale w tym fachu oprócz tego potrzeba chociaż odrobiny inteligencji.

Parkera niepokoiło co innego – gdzie podziła się reszta, skoro tuż przy sztolni spotkał dżihadystów?

Zrobił źle, pozwalając, by emocje wzięły nad nim górę. To niewybaczalne, a winę zmyć może tylko krew.

7

Nigdy nie przypuszczał, że stanie się świadkiem narodzin nowej epoki.

Gdy tak stał w oparach wydobywających się z inkubatora, czuł, jak drżą mu kolana.

Można powiedzieć, że oto uczestniczy w świecie żywych trupów.

Na jego oczach powstał cały legion. To stanowczo za dużo jak na nerwy jednego, nie najmłodszego już człowieka.

W większości byli to mężczyźni, choć dostrzegł wśród nich parę kobiet. Wszyscy nadzy, podobni do siebie, pokryci śluzem, chwiejący się na nogach i spoglądający na świat z zaciekawieniem pięcioletniego dziecka. Dokładne zliczenie ich wszystkich wydawało się niemożliwe.

Co teraz? Jeszcze nigdy nie stał przed równie trudnym zadaniem. Musi ująć w karby całe to towarzystwo.

– DOWÓDCY KOMPANII I PLUTONÓW DO MNIE.

Był w pancerzu. Tak od razu go nie rozwałą.

Począł, aż z grupy oderwą się poszczególne osoby i podejda bliżej. Hełmowy skaner rejestrował ich twarze. Do tej pory naliczył dwanaście różnych podgrup. Golicyn już dawno skrył się w biurowym kantorku, dając Mattowi wolną rękę. Może to i lepiej, przynajmniej nie przeszkadzał.

Przed Mattem stanęła elita nowej armii, aczkolwiek na razie nikt z nich jeszcze nie był tego świadom.

– Jestem waszym dowódcą – ogłosił po rosyjsku, gdy się już wokół niego zgromadzili. – Rozkazy wydaję tylko ja. W drobniejszych sprawach będziecie się kontaktowali z moim zastępcą.

Wskazał na Ev.

Jeżeli nie uda się nad nimi zapanować, jedynym wyjściem będzie zawalenie sztolni i oczekiwanie, aż całe stado zginie z głodu i braku tlenu. Tylko czy uda mu się dotrzeć tam na czas?

Na razie stali i słuchali, równie niepewni przyszłości jak i on. ■

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

1

Jak na istotę wyższego rzędu, za jaką Reitz się uważał, zbyt szybko zaczynało ogarniać go zwątpienie, a to za sprawą nowej kolumny wojskowych Urali i KamAZ-ów, które właśnie pokazały się na drodze wiodącej do Mieźgorje. Koniec konwoju niknął w oddali i Reitzowi trudno się było zorientować, czy na miejsce dojeżdża kolejny batalion, czy też pułk. Jasnym się stało, że choćby nie wiadomo jak się starał, wszystkich i tak nie zabije.

Spróbował zebrać ślinę na języku, ale usta miał suche jak po długiej pieszej wędrówce po Saharze. Zamiast splunąć zaklął i wymierzył z karabinu do frajera ponaglającego gwardzistów do jeszcze większego wysiłku. To, zdaje się, był Czeczen wierny ramzanowi kadyrowowi. Nie żałował gnoja ani trochę, podobnie jak i jego podwładnych. Zwykle mięso armatnie, swołocz bez czci i honoru.

Począł, aż na przedpolu zrobi się zielono od wojskowych mundurów, i spróbował wydedukować, z której strony nastąpi kolejny atak. Właściwie szturm trwał nieustannie. Wróg próbował podejść to od zachodu, to od północy, leżąc jak ścierwojad na świeżego trupa. W końcu się przedrą, to nie ulegało wątpliwości. Za najwyżej pół godziny obrońcom przyjdzie zejść do podziemi, co tylko odwlecze nieuniknione.

Odwracał się właśnie, gdy tuż obok detonował pocisk z moździerza. Rzucony siłą wybuchu, poleciał na leżący tuż obok pień sosny, gdzie nadział się udem na kikut odłamanej gałęzi.

Chyba przecenił swoje możliwości. Nie był niezniszczalny. Mógł wiele wytrzymać, ale z tego to się nie wywinie. Z wielkim trudem dźwignął się na rękach, unosząc tułów. Krew lała się z niego niczym z zarzynanej świni. Do rany w nodze dochodziły odłamki, które powbijały się w całe ciało. Wszystkie bolały i piekły, przez co stracił zdolność racjonalnego myślenia.

Kto mieczem wojuje...

Spróbował dojść do ładu ze swoimi emocjami, co okazało się trudniejsze, niż przypuszczał. Musiał w jakiś sposób opatrzyć dziurę w nodze, inaczej wykrwawi

się na śmierć.

Unosił nogę, by wyrwać się z pułapki, gdy zaliczył uderzenie w głowę. Kompletnie nie wiedział, co się stało. Łup... tym razem niemal stracił przytomność. Wyszczrzył zęby, zbierając resztki sił. Zaraz przegryzie parę gardeł...

W tym czasie stojący nad Reitzem gwardzista, zobaczywszy, że truchło pod jego nogami wciąż się rusza, wymierzył z kałacha i energicznie pociągnął za spust. Seria trzech pocisków sprawiła, że głowa metac człowieka wyglądała teraz jak rozwalony na pół arbuz. Krew zabitego zbryzgała mu spodnie i buty. Obrzydliwość. Nigdy nikogo nie zabił, a dziś posłał do piachu już dwóch. Będzie miał co opowiadać, gdy wróci do domu.

Swoim sukcesem nie cieszył się długo. Kula wystrzelona przez byłego snajpera irackiej armii trafiła go w usta i wyszła z tyłu głowy. Umarł od razu i znalazł się w piekle. Jego śmierci nikt nie zauważył. Dziś zginęły już setki. Jeszcze jeden nikomu nie robił różnicy.

2

– Nazar.

Paully powoli zaczął tracić cierpliwość. Od dłuższej chwili próbował wywołać Larysowa i wciąż bez efektu.

Oprócz hakera na dolne piętro wysłał również trzech doświadczonych bojowników. Wszyscy nie mogli przecież zginąć. Nie w kompleksie, do którego prowadziła jedna droga.

Czyżby stało się to, co od dawna podejrzewał?

Stanowczo zbyt mało uwagi poświęcił temu pieprzonemu geniuszowi. Wydawało się, że trzyma go na krótkiej smyczy, a tak naprawdę mógł zostać wystawiony do wiatru... No nie... – w to, że pozostali poszli za Nazarem, już nie uwierzy. To najwierniejsi z wiernych, wypróbowani bojownicy, którzy nie raz kładli na szalę swoje życie.

Paully'ego załapała fala niekontrolowanej wściekłości. Sięgnął po kindżał, podobny do tego, którym posługiwał się Reitz, i machnął nim przed sobą parę razy. Broń idealnie leżała w dłoni. Prawdziwe dzieło sztuki wykute z damasceńskiej

stali. Zdaje się nawet, że ostrze zostało skradzione z muzeum w Damaszku i po setkach lat bezczynności trafiło tam, gdzie było dla niego miejsce, czyli na świętą wojnę.

Uwielbiał takie przedmioty. Mógł nimi zabijać, patrząc wrogowi w oczy. Jednak tym razem nie potrafił się zdecydować, co robić dalej – pójść tam samemu i wyjaśnić sprawę, czy też zlecić ją komuś z dostępnych oficerów?

Na powierzchni działał Reitz, więc z tamtej strony nic im nie groziło. Dobrze by było zatem przeczesać dolny poziom i przekonać się wreszcie, co się w nim kryje.

– Ruslan, zbierz ludzi – warknął na bojownika, którego podbródek pokrywało tylko kilka cienutkich kłaczków. Chłopak pochodził z okolic Jamantau i należał do grupy przewodników, która pomogła im dotrzeć do kompleksu. – Znajdziesz Nazara i przyprowadzisz go do mnie. Jak się będzie burzył, to go zastrzel, ale najpierw natrzyj świńskim tłuszczem z tych konserw, co to je pootwieraliście, a później wywaliliście do śmieci.

– Rozumiem – zarechotał radośnie Ruslan.

– Nie wracaj bez niego – zastrzegł Paully.

Już się uspokoił. Jak na komendanta zbyt szybko tracił nad sobą panowanie.

Coś za coś, wszelako jak na skutek uboczny takiego ulepszenia to naprawdę niewiele.

3

Rząd stojaków pełnych AK-12 robił wrażenie nawet na Pulaskim. Mógł tak stać i gapić się bez końca. Tony śmiertelności żelastwa pozwalały uzbroić cały kontyngent. Osobno w skrzyniach leżała amunicja. Na pewno nic się nie zmarnuje. Pewne wątpliwości budzili użytkownicy.

– Ev, znajdź dziesięciu gotowych do działania – powiedział do kamele... tfu, to już nie był kameleon ani klon, ale jego oficer dyspozycyjny. – Tylko pospiesz się, na rany Chrystusa.

– Kogo?

– Później ci wytłumaczę – odprawił dziewczynę z pobłażliwym uśmiechem.

Już się do niej przyzwyczył. Nie strzelała fochów ani nie próbowała wskoczyć na jego miejsce. Idealna podwładna. Szkoda, że tak mało wiedziała o realnym życiu. Jej poziom intelektualny stawiał ją na równi z pięcioletnim dzieckiem.

Ciekawe, jak szybko klony się uczą? Kwestie wojskowe to zupełnie co innego. Test sprawności na polu bitwy przejdą już niebawem.

Ev sprawiła się nad wyraz dobrze. Trzy minuty po wydaniu rozkazu stanął przed równym szeregiem klonów. Wszyscy wyglądali jak odbici od jednej sztancy – te same rysy twarzy, oporządzenie, mundury w *camo*, którego nie znał, i hełmy trzymane w prawych dłoniach. Brakowało im tylko broni.

– Jaka jest wasza specjalizacja?

– Przeszliśmy zaawansowany kurs walki piechoty w terenie oraz środowisku zurbanizowanym – wyszczeł pierwszy z lewego brzegu.

Kurs? Chyba wirtualny. Szczegółów czepiać się nie będzie.

– Pobierzcie broń i amunicję. Ruszamy za trzydzieści sekund.

Nie oglądał się za siebie. Zdążą, to zdążą, a jak nie, to poradzi sobie, mając jedynie Ev do pomocy.

Dostrzegł Golicyna, lecz ten na jego widok skrył się w pomieszczeniu socjalnym.

I dobrze. Przynajmniej nie próbował wtrącać się do dowodzenia, czego Matt i tak by nie zaakceptował.

Nim dotarł do szybu, usłyszał za sobą łomot ciężkich butów o beton. Tropiciele, psia ich mać... Muszą się jeszcze wiele nauczyć. Początkowa obawa, jaką wobec nich żywił, gdzieś się rozwiła. Z bliska nie budzili przerażenia. Znał gorszych od nich.

Dotarcie na wyższy poziom zajęło im dosłownie chwilę. Wystarczyło, że omiół spojrzeniem najbliższą przestrzeń, i od razu dostrzegł trupy. Na szczęście nie był to nikt, kogo znał. Wszystkich rozwalono w pełni profesjonalnie. A nawet rozwalono ich w iście kowbojskim stylu, o czym świadczyły jednakowe dziury w głowach. Wyminął zwłoki, uważając, by nie postawić stopy w kałuży zakrzepłej krwi. Później ciężko będzie domyć buty.

– Prawdopodobny kontakt z wrogiem – oznajmił, starając się nie mówić za głośno. – Strzelacie na mój wyraźny rozkaz.

Jego chronił pancierz, a co się stanie z pozostałymi, miało dla Matta drugorzędne znaczenie.

– Uważajcie na boczne sale.

Minęli pierwszą z nich. Dał znak. Ev i trzej stojący najbliżej niej żołnierze wkroczyli do środka, kierując broń w każdy zakamarek hali. To musiało potrwać, uzbroił się więc w cierpliwość.

Do następnej sali weszła kolejna ekipa. I tym razem nic im nie mógł zarzucić.

– Czysto – usłyszał, gdy już zajrzeli w każdą dziurę.

Trochę ich za mało na taką zabawę. To potrwa wieki, a dysponowali co najwyżej minutami.

Kanonada z przodu rozwiała wszelkie wątpliwości. Wiedział, że to się tak skończy.

To dlaczego gryzły go teraz wyrzuty sumienia?

4

– Pewnego razu, jak byłem na przepustce w Nowym Jorku...

– Daj już spokój. – Szczepańskiej przeżycia Latynosa nie interesowały ani trochę.

– To ważne. – Ortiz Castillo nie zamierzał ustąpić. – Trafiłem do takiego klubu na Manhattanie. Było tam tyle korytarzy, że nie potrafiłem się rozeznąć.

– I jak się to skończyło?

– Przy barze znalazłem super laskę.

– Ile brała za numerek?

– Nie była dziwką.

– Wciskasz nam kit.

– Właśnie że nie – obruszył się Pablo. – To była uczciwa dziewczyna. Chciała się ze mną umówić na następny dzień.

– Ale coś wam nie wyszło i kontakt się urwał. – Appelton wypunktował kumpla bez litości. – Ile ty masz lat? Dorośnij w końcu.

– Nic wam więcej nie powiem.

– I o to chodzi.

Korytarz ponownie rozchodził się na dwie strony. Może jakoś się to ze sobą łączyło, ale na razie poruszanie się po tym poziomie doprowadzało Oliwię do szału. Najgorsze, że wciąż nie udało im się zlokalizować Golicyna.

Girkin, który do tej pory trzymał się z tyłu, podszedł do Oliwii ze zmarszczonym czołem i zaciśniętymi zębami.

– Najlepiej, jak się rozdzielimy.

– Tak myślisz?

– Co nam szkodzi? Dwie grupy spenetrują więcej niż jedna. Ja to wiem i ty to wiesz. Mam wrażenie, że na razie kręcimy się w kółko.

– Dobrze.

Musiła podjąć decyzję, która nie była łatwa. Od tego, co postanowi, zależało ich dalsze życie.

– Zrobimy tak... – Obróciła się w stronę stojącej pod ścianą ekipy. Tylko ona i Girkin stali pośrodku korytarza. – Ernest i...

Huk wystrzału nie był taki głośny, jak się można było spodziewać w podziemiach. A może już się do tego przyzwyczaiła i słuch się jej przytępił? Nie miało to jednak większego znaczenia. Ponura gęba rosyjanina zrobiła się jeszcze bardziej smętna.

– Ożeż... – zdołał powiedzieć, nim krew popłynęła z jego ust.

Zamiast się kryć, patrzyła, jak uchodzi z niego życie. To było silniejsze od niej. Nie próbowała mu pomóc, tylko stała.

– Uciekaj, dziewczyno.

Kanonada wybuchła z całą mocą. Serie z automatów kruszyły beton, pozostawiając na ścianach odpryski. W powietrzu uniósł się pył i smród spalonego prochu, w uszach dzwoniło od wystrzałów i wielokrotnych rykoszetów. Nawet nie zauważyła, który z chłopaków odciągnął ją na bok.

– Masz krew na ubraniu!

Nie wiedzieć czemu Wolski wrzeszczał jej prosto do ucha.

– Co takiego?

– Dostałaś... jasna cholera... James, pomóż mi.

Usiadła oparta plecami o ścianę. Poczwała, jak przenika ją chłód. Co prawda, było jej trochę słabo, ale żeby zaraz robić z tego aferę?

Przesunęła dłonią po prawym boku. Mokro. Widać przycupnęła w kałuży jak ostatnia sierota. Teraz ma mokre spodnie. Tylko gdzie tu woda?

To nie woda, nie.

– Nie ruszaj się.

– Czy ja...?

– Nic ci nie będzie.

Zawsze tak mówią, a później: no cóż, nie udało się, szkoda, krótka modlitwa i drewniany krzyż.

– Kręci mi się w głowie.

– James, połóżmy ją, tylko ostrożnie – zdecydował Ernest.

Wszystko przewidzieli, a tego, że wpadną w zasadzkę, jakoś nie. Mogą sobie pogratulować oceny sytuacji.

– Przesuńmy ją dalej. – Appelton wskazał na Pabla prującego seriami w kierunku islamistów. – Tu trzymaj... Mocniej, kurwa, bo nam zejdzie.

Kątem oka Ernest ujrzał ciemną sylwetkę nadbiegającą od strony, z której przyszli. Złapał automat, lecz był to Parker, za którym, prawdę mówiąc, trochę się stęsknił.

– Długo kazałeś na siebie czekać.

– Co z nią będzie? – Teraz to Cyrus przyklęknął obok Oliwii. Drżał przy tym z wysiłku i emocji.

Plazma nie silił się na odpowiedź, nie miał ochoty bawić się we wróżkę.

Wymiana ognia się wzmogła. Dla Wolskiego nie ulegało wątpliwości, że jeśli pozostaną w tym miejscu, to już na zawsze. Należało stąd natychmiast wiać. Jedyne problem to Oliwia. Nie było mowy, by szła ani nawet czołgała się w stronę szybu o własnych siłach. Proste długie korytarze nie pozwalały na odskok. Zostaną natychmiast nafaszerowani ołowiem. Bez rannej może i miałiby minimalne szanse, ale Szczepańską trzeba nieść, a to komplikowało sprawę.

– Otaczają nas. – Tym razem to Appelton pierwszy sięgnął po karabinek. – Nie wiem, jakie masz plany, ale mnie żywcem nie wezmą.

– Czekać.

Na czele biegnącej w ich stronę grupy rozpoznał Pulaskiego. Wydawało się, że jego skafander pochłania całe światło w otoczeniu. Wraz z nim pojawiła się

nadzieja. Zwłaszcza że nie był sam. Tylko co to za ludzie? Nie spodziewali się przecież posiłków.

5

Widok zakrwawionej Oliwii sprawił, że zamarło w nim serce.

Spoglądała na niego wielkimi oczami, drżąc w niekontrolowanych odruchach. Była na krawędzi.

– Matt...

Odsunął przyłbicę, by zobaczyć jego twarz. Appelton przesunął się na bok, robiąc Mattowi więcej miejsca.

– Widzę, że dobrze się tobą zajęli.

– Ja umieram.

Pulaskiemu przez głowę przeleciały różne banały, z których żaden nie nadawał się do zacytowania. Jeżeli jej nie uratuje, równie dobrze sam może zginąć. Przynajmniej przestanie się męczyć.

– Wiesz co... – Plan jak na razie był mglisty, ale z każdą sekundą nabierał kształtu.

– No, wykrztuś to wreszcie. – Spojrzała na niego jakby z nadzieją. Krew z przegryzionej wargi spłynęła dziewczynie na policzek.

– To nowatorska metoda.

– Myślałam...

– Nie musisz mnie przeproszać. Wiem, że nie mówiłaś poważnie. – Delikatnie pogładził włosy Oliwii, nawiązując przy okazji do słów, jakimi go powitała. Po czym odwrócił głowę do zastępczyni: – Ev, wiesz, co robić. Nie oszczędzajcie nikogo. Wszyscy mają zginąć.

– Tak jest.

Rozkaz został wydany, a sfera spuszczone z łańcucha.

– Co ty chcesz zrobić? – pytanie Szczepańskiej prawie utonęło w jazgocie broni maszynowej.

– Dam ci nową przyszłość.

– Jeszcze się nie oświadczyłeś.

– Z tym się jeszcze chwilę wstrzymamy.

Najdelikatniej jak potrafił wziął udręczone ciało na ręce i pognął korytarzem, mając nadzieję, że nie jest za późno. Jediną szansą dla Oliwii był inkubator. Skoro dał życie klonom, to może inne życie uratować. Nie było alternatywy – nawet gdyby znaleźli salę operacyjną, to i tak potrzebowali jeszcze zespołu chirurgów gotowych przeprowadzić operację.

Te sekundy decydowały o życiu i śmierci Oliwii. Nie odpuści, aż będzie bezpieczna. W tym momencie cała reszta się nie liczyła.

6

O ile jeszcze przed chwilą odgłosy walki dobiegały z daleka, to teraz strzelano już całkiem blisko.

Paully przestał przeglądać schemat poszczególnych poziomów Jamantau, wstał od stolika i wyszedł na korytarz. Od początku podejrzewał, że w obiekcie nie są sami, ale żeby przeciwnik podszedł aż tak blisko? To się nie mieściło w głowie.

– Na co czekacie? Zbierać broń! – wrzasnął do kilku zmęczonych weteranów, jacy znaleźli się w pobliżu.

Wkrótce wróg poczuje, co znaczy jego gniew.

Nie bał się. Pętającego ciało i duszę uczucia pozbył się już dawno, niedługo po tym, jak stał się nowym człowiekiem. Wcześniej też nie należał do szczególnie strachliwych. Miał sporo za uszami.

Pierwszy raz zabił, mając siedemnaście lat. To był glina, którego dziabnął nożem podczas zamieszek w jednej z faweli w Rio de Janeiro. Policja namierzyła go parę dni później, zdołał jednak uciec i przez kilka następnych lat wędrował przez miejsca, o których większość cywilizowanych ludzi wolałaby nie wiedzieć, że istnieją. Na początek wyjechał do Argentyny, gdzie rozległe przestrzenie dawały poczucie swobody. Pracował tam jako pastuch i myśliwy. To właśnie wtedy nauczył się celnie strzelać i podchodzić zwierzynę. Trwało to jakiś czas, aż zapragnął odmiany. Był młody i głupi, myślał o żołnierce, ale z zapaskudzoną kartoteką nie miał szans na zrobienie kariery w regularnej armii.

Najemnicy to co innego.

Całą zarobioną forszę wydał na nowe dokumenty – podrobione, rzecz jasna. W Afryce nikogo nie interesowało, kim jest i co wcześniej robił. W Libii poznał

Reitza i od tamtej pory trzymali się razem. Dwóch wykolejeńców, którzy nie mieli nic do stracenia. Ostatecznie przyłączyli się do Państwa Islamskiego, przeskakując z kontynentu na kontynent, wszędzie tam, gdzie ich umiejętności cieszyły się uznaniem. Za którymś razem dorwał ich turecki wywiad. Prawdę mówiąc, spodziewali się najgorszego, pojawił się jednak pewien gość i złożył im propozycję, z gatunku tych nie do odrzucenia.

Ofertę udziału w eksperymencie naukowym uznali za żart. Co im do tego? Pigułki na gripę czy szpryca na covid to nie ich działka. Pierwszy zastrzyk mocno przechorował. Nowa metoda o mało nie wpędziła go do grobu. Gdy już jednak doszedł do siebie, poczuł się wspaniale. W walce nie miał sobie równych. Karate, judo, MMA czy krav maga – mistrzowie tych dyscyplin przy nim wymiękali. Posyłał na deski każdego, który się nawinał. W strzelaniu okazał się prawdziwym asem. Ręce mu nie drżały, a wzrok stał się sokoli. Przy okazji pozbył się wszystkich dotychczasowych dolegliwości – jak na przykład bólu w lewym kolanie, którego nabawił się w wyniku upadku z konia. Coś tam wtedy łupnęło i się poprzestawiało. Do lekarza nie poszedł, uznawszy, że przejdzie samo. Tymczasem ciągnęło się to za nim przez całe lata. Świadomość, że potrafi dać wycisk gościom znacznie od niego wyższym i silniejszym, wpłynęła na pewność siebie Paully'ego. W zasadzie był niepokonany. Co prawda, zbyt często czerwona płachta wściekłości przesłaniała racjonalne odruchy, lecz nauczył się z tym żyć, podobnie jak Reitz.

Misję wszczęcia rebelii na terenie rosjy uznał za szaloną, jednak szybko zauważył, że nie są sami. Pieniądze popłynęły szerokim strumieniem. We wszystkim, co robili, dostali wolną rękę. Mogli palić, rabować i zabijać do woli.

To były ich najwspanialsze dni. Nic się nie liczyło. Ochotnicy do dżihadu napływali z całego świata, a każde zadanie, jakie przed sobą postawili, okazywało się możliwe do wykonania.

Do czasu.

Już nie pamiętał, kto wpadł na pomysł wyprawy na Ural, nieważne. Ważne, że stanowczo przeliczyli się z siłami. Szeregowymi bojownikami się nie przejmował. Na miejsce poległych przyjdą następni. Najważniejsze, by on i Reitz wynieśli cało głowy z tej zadymy.

Walka trwała już całkiem blisko, co go zaniepokoiło. Coś zbyt szybko to szło.

– Przygotować się – powiedział do stojących tuż za nim podwładnych.

Przeładował karabin i ruszył korytarzem w stronę najbliższego rozwidlenia. Był może ze dwadzieścia metrów od niego, gdy dostrzegł widmową postać, która na mgnienie oka pojawiła się w zasięgu wzroku i zaraz potem skryła się za załomem muru.

O, cholera... Człowiek nie jest tak szybki. To domena metaludzi, ale nawet oni posiadali ograniczone możliwości.

Paully zatrzymał się, przyłożył kolbę do ramienia i wycelował w miejsce, gdzie znikł przeciwnik. Wypruje do sukinkota pół magazynka i wtedy się okaże, jaki tamten jest mocny.

Zamiast wroga dostrzegł granat. Już w tym momencie wiedział, że jest za późno na jakiegokolwiek działanie. Detonacja nastąpiła niespełna dwa metry od niego. Zdążył tylko zasłonić twarz przedramieniem. Odłamki wbiły się w niego, lecz nie zwały z nóg. Teraz się odegra.

Oszołomiony, nie zauważył wroga, który znalazł się tuż przed nim. Spłoszony wystrzelił i chybił. Podobnego przypadku nie zanotował od dawna. Spróbował odwrócić się bokiem, co nijak nie polepszyło jego już parszywej sytuacji. Czuł, że słabnie. Przyjął serię pocisków z kałacha prosto w korpus.

O, kurwa, to już koniec. Niech chociaż dorwie swojego prześladowcę.

Marzenie okazało się płonne. Kolejna seria rozerwała Paully'emu głowę i taki był koniec tego, który jeszcze przed chwilą uważał się za władcę Jamantau.

7

Mimo sukcesu nastroje panowały ponure. Klony unicestwiły islamistycznych bojowników i nie pozwoliły rosyjskim siłom szturmowym wejść do kompleksu. Kameleonów przybywało zresztą z każdą minutą. Aktualnie drużyna dysponowała dwoma pełnymi batalionami i trzecim, który dopiero się formował. Na czele pierwszego stanął Parker, drugiego Appelton, a trzeciego Ortiz Castillo. Wychodziło na to, że jedynie Wolski pozostał bez przydziału, co go akurat wcale nie martwiło.

Ważniejszy od dowodzenia był stan, w jakim znajdowała się Oliwia. Co się stanie, gdy kuracja w inkubatorze okaże się nieskuteczna? A tak w ogóle to świat

stanął na głowie. Zdaje się, że mieli unicestwić klony, a nie tworzyć z nich armię. Przynajmniej uratowali Golicyna i to właśnie od jego postawy wiele teraz zależało.

Facet postarzał się o co najmniej dwadzieścia lat i nie był już tym rzutkim, energicznym urzędnikiem najwyższego szczebla, którego Plazma znał. Ostatnie wydarzenia odcisnęły piętno także na jego psychice.

– Wiesz, co z Wierą i Anną?

– Są bezpieczne – odpowiedział Ernest, wierząc w to, co mówi.

– A Sacharow?

– Jak wyjeżdżaliśmy, to wszystko było po staremu. O wojnie z Turcją dowiedziałem się już tu, na miejscu, a o przewrocie dopiero od Pulaskiego.

– Podobno zaczęły się represje – powiedział Golicyn zrezygnowany.

– Sacharow to stary drań. Mając do pomocy Pierunowa, stłamsi wszystkich myślących inaczej.

Słowo „opozycja” nawet nie przyszło Ernestowi do głowy. W Rosji wszelki opór natychmiast likwidowano. Tolerowano jedynie fasadowe odchylenia, jak Liberalno-Demokratyczną Partię Rosji Władimira Żyrinowskiego, która przecież żadną opozycją nie była, a jedynie tubą propagandową reżimu, obojętnie jaki by on nie był.

– W warunkach wojny...

– Przestań – zwrócił się do swego przyszłego teścia w ten sposób po raz pierwszy, od kiedy się znali. Dłużej nie mógł ścierpieć jego usprawiedliwień. – Wojna to dla nich tylko pretekst, by skupić władzę i wyeliminować podejrzanych o konkurencję.

– Nie masz pojęcia, co się dzieje. Bandyci rozrywają nasz... mój kraj.

– Gównu mnie to obchodzi. Bandyci rządzą i rządzą tym krajem – odgryzł się z zadowoleniem.

– To...

– No, słucham? Co chciałeś powiedzieć? Że tak trzeba, bo wasi ludzie to bydło, które nie zasługuje na szacunek?

– Czeczeni na przykład...

– Masz na myśli kadyrowa, a nie Czeczenów – sprostował natychmiast. – Przydupasa putina, który zrobił sobie z nich swoją straż przyboczną.

- Nieprawda. – Golicyn zbladł jak przed ekstrakcją zęba.
- Dziwię się, że zamykasz oczy na oczywiste fakty. Tak ci wygodnie?

Golicyn uciekł spojrzeniem, a Ernestowi wisiało, czy z tego powodu jest mu przykro, czy też nie.

- Kocham swój kraj.
- To może coś dla niego w końcu zrobisz?
- Nie mów więcej do mnie tym tonem.
- Bo co? Obrazisz się i nie będziesz odzywał? – Momentalnie zgasił wybuch

rosjanina.

Dotarli do ściany, akurat to dla Plazmy nie ulegało wątpliwości. On sam osiągnął moment, w którym niewiele wciąż się liczyło. Anna stała się mglistym wspomnieniem, jakby jej w ogóle nie było. Ta obojętność zaskoczyła Ernesta. Dopiero co był przekonany, że to miłość na śmierć i życie, a teraz nagle poczuł, że nie do końca tak jest. Szansa na wkręcenie się do elity znaczyła teraz tyle co zeszłoroczny śnieg. Olśnienie przyszło niespodziewanie, aż się zdziwił, że nie wpadł na to wcześniej. Golicyn to szmata, nacjonalistyczna ruska szmata. Należy go wykorzystać i wycisnąć jak cytrynę, a dopiero potem wyrzucić.

- Jak sądzisz... Czy Sacharow ma duże poparcie armii? – zaczął ostrożnie.
- Nie wiem.
- Pięćdziesiąt procent czy więcej?
- To zależy od tego, jak dobrze radzimy sobie na froncie.
- Raczej chujowo.
- To już masz odpowiedź.

Zwycięska armia zawsze poprze wodza, ale taka, która bierze w dupę, już niekoniecznie. Podobno na zewnątrz Jamantau leżały setki ciał, głównie ruskich żołdatów. W tym momencie można by ich wybić do ostatniego. Klony sprawiły się dobrze, a wręcz lepiej od oczekiwań. Rosjanie jeszcze o tym nie wiedzieli. I niech tak zostanie przez jakiś czas.

– Jeżeli naprawdę zależy ci na ojczyźnie, to teraz pójdziesz do oficera, który dowodzi oblężeniem, i przekonasz go, że to właśnie w twoich rękach spoczywa dalszy los państwa. Jesteś przecież ostatnim przedstawicielem legalnych władz. –

Trochę to naciągnął, ale czegoż się nie robi w imię wyższych racji. – Możesz zatrzymać wojnę. Nic nie jest stracone.

Wywody Plazmy powoli torowały sobie drogę w umyśle Golicyna. To było widać po jego minie, najpierw zobojętniałej, później wściekłej, a na koniec skupionej.

– To wystarczy?

– Spróbuj. Wtedy się przekonamy.

8

– Co to znaczy, że przestali strzelać? – Zdziwienie podpułkownika Mamontowa nie miało granic. – Tak nagle? A co było wcześniej?

Brak oporu wyglądał na podstęp. On się na to nie nabierze. Jednym uchem słuchał dobiegającego ze słuchawki meldunku, a drugie zatykał małym palcem, nie chcąc ogłuchnąć od ryku silników transportowego Mi-8 krążącego nad stanowiskiem dowodzenia.

– Co powiedzieliście? Jaką białą flagę? Osobiście rozwalę sukinkota, który to zrobił! Jak to nie nasi? To kto?

No, proszę, chcą negocjować. Pewnie skończyła im się amunicja albo zdadni do walki ludzie. Mimo wszystko nie należało tracić czujności. Znał metody działania islamistów. Obwiesi się taki trotylem, podejdzie bliżej, udając, że się poddaje, a na koniec sru... i nie ma nikogo w promieniu pięćdziesięciu metrów.

– Dobra. Zgadzam się – oświadczył po głębszym zastanowieniu. – Pozbierajcie rannych i przegrupujcie się.

Oddał słuchawkę sierżantowi obsługującemu łącznicę. Jemu też się przyda chwila odpoczynku.

Ledwie siorbnął herbaty, gdy natarczywy dźwięk telefonu rozległ się ponownie. Długo to się nie nacieszył spokojem.

– Co znowu? – Przez kolejną minutę słuchał uważnie przekazu. – Jaki Golicyn? Co? Nie mówisz poważnie. Dawać mi go tutaj natychmiast.

Myślał, że jest zdenerwowany, ale to właśnie teraz poczuł palce strachu zaciskające się na jego krtani, podczas gdy przez głowę galopowały myśli. Słyszał wyraźnie, że minister spraw zagranicznych i pierwszy wicepremier nie żyją. Tak

twierdziły najwyższe czynniki w moskwie. W takim razie co on robi w Jamantau? Wysłać po niego samochód czy też nie? I kto właściwie teraz rządzi, skoro Orłow odszedł na dobre, a na jego miejsce wskoczył Sacharow? Pokręcone to wszystko.

Oczekiwanie trwało około dziesięciu minut. W tym czasie Mamontowa gnębiły liczne wątpliwości, z których najważniejsza była obawa przed mistyfikacją. To nie był pierwszy taki przypadek w ich historii. Mało to pojawiało się nawiedzonych idiotów lub sprytnych manipulatorów podających się za cudem ocalonego cara? Dlaczego tym razem nie miały to być minister?

Na widok zbliżającej się do niego postaci oficerowi zmiękły nogi. To faktycznie był Golicyn. Wymizerniały, ale on. Otaczający ich żołnierze udawali, że nic nie zaszło.

– Przykro mi, że poznajemy się w takich okolicznościach.

Dłoń Golicyna była koścista i wąska jak u pianisty.

– Jeżeli mogę...

– Chętnie się napiję.

– Oczywiście. – Mamontow był całkowicie skołowany. – Kawa i czysta filiżanka! – zawołał do dyżurnego. – Ale już.

– Dziękuję. – Golicyn usiadł na miejscu przeznaczonym dla Mamontowa. – Na pewno zadajecie sobie pytanie, skąd się tu wziąłem.

– Nie śmiałem zapytać.

– To długa historia. Samolot, którym leciałem, zestrzelili islamiści.

– Byliście u nich w niewoli?

– Można tak powiedzieć.

Jeżeli teraz aresztuje Golicyna i wyda władzom, zostanie obsypany złotem. Lub też skończy w dole nafaszerowany ołowiem jako niewygodny świadek. Może lepiej stanąć przy Golicynie? Ma kontakty w całych siłach zbrojnych, zaś oficerów niezadowolonych z obecnego stanu rzeczy jest mrowie. Władza Sacharowa wcale nie była taka mocna, jak się generałowi wydawało. Armię denerwowało jego podlizywanie się Pierunowowi i baty, jakie brali na froncie. Każde wyjście z tego impasu wydawało się atrakcyjne.

– Nie będę ukrywał, że zależałoby mi na transporcie do moskwy. Zdaje się, że parę spraw idzie tam nie po naszej myśli.

– Generał Sacharow... – zaczął ostrożnie Mamontow.

– Wiem. Jego władza jest bezprawna. To uzupator i trzeba mu o tym przypomnieć.

– Wybuchnie wojna domowa. Jedną już przerabialiśmy.

– Nic takiego nie nastąpi.

– Skąd ta pewność? – Podpułkownik wciąż się wahał.

– Proszę mi zaufać. Wystarczy mi jeden samolot.

– To się nie powiedzie. Zginie masa ludzi.

– Więcej wiary, przyjacielu. Tylko my możemy to zakończyć. Jeden samolot to niewiele, gdy stawką jest przetrwanie kraju.

– No nie wiem.

Golicyn uśmiechnął się wyrozumiale. Był spokojny i pewny siebie, jak na wielkiego męża stanu przystało.

– Proszę mi załatwić samolot. Tylko duży. Będę miał liczną świtę. ■

ROZDZIAŁ SZESNASTY

1

Normalnie na pokładzie transportowego Iła 76M mieści się stu czterdziestu skoczków spadochronowych. Oni wcisnęli dwustu, a i tak siły wydawały się zbyt mizerne do osiągnięcia celu, jaki sobie postawili.

Mają w dwustu zdobyć moskwę? Im dłużej Matt się nad tym zastanawiał, tym większe nachodziły go wątpliwości. Plan był szalony, za to towarzystwo doborowe i każdy będzie chciał się pokazać od najlepszej strony. Do pilnowania rannej Oliwii i kompleksu pozostał Ortiz Castillo. Sierżant wyciągnął najkrótszą słomkę i padło na niego. Później próbował przekonać pozostałych, że to wyjątkowo zły pomysł i że powinien lecieć, jednak nikt nie chciał się z nim zamienić.

Pablo został, a reszta wraz z oddziałem szturmowym zapakowała się do ładowni i odleciała. Maszynę wykombinował dla nich Mamontow. Załoga przebywała obecnie na przymusowym odpoczynku, jak się bowiem okazało, wśród klonów byli również piloci, a każda dodatkowa osoba pomagająca w szturmie była wręcz bezcenna.

Lecieli poza rozkładem, lecz w warunkach wojennych podobne przypadki zdarzały się dość często. Im bliżej Moskwy, tym robiło się bardziej nerwowo. Stolica Rosji to wielkie miasto. W ostatnim okresie przybyło tam wielu uchodźców. Garnizon szedł w tysiące, do tego należało doliczyć siły wystawione przez federalną służbę ochrony i rosgwardię. Wychodziło, że na każdego z nich przypadnie po stu albo i więcej przeciwników. On miał kombinezon, a co z pozostałymi?

– Matt, posłuchaj. – Wolski potrząsnął ramieniem Pulaskiego. – Mamontow chce z tobą gadać. Mówi, że ma nowe informacje.

– Już idę.

Poszedł do kokpitu ciekawy, co też takiego chce mu przekazać rosyjski podpułkownik.

Drugi pilot przełączył fonię, a Matt założył słuchawki.

– Co się stało, pułkowniku?

Mimo ochronników huk czterech turboodrzutowych silników był taki, że ledwie słyszał swój głos.

– Rozmawiałem z pewnymi ludźmi.

– I?

– Wiem, gdzie przebywa Sacharow.

– To nie ma go w Moskwie? – Pulaskiemu wydawało się logiczne, że głównodowodzący wydaje rozkazy z Kremla, ewentualnie z gmachu Ministerstwa Obrony.

– Wyjechał do centrum dowodzenia pod stolicą. Baza ma kryptonim Echo Jeden. Niebawem ciężko jest się tam dostać.

– Proszę o namiary.

Otrzymał je i sprawdził na tablecie, gdzie to jest. Od centrum ośrodek Echo 1 dzieliło osiemdziesiąt kilometrów, ale od granic miasta zdecydowanie mniej. Były tam lotnisko i bocznica kolejowa.

– Kurs bez zmian – zakomunikował kameleonowi za sterami. Klon poprowadzi maszynę choćby do piekła. Dla nich nie istniały misje niemożliwe do wykonania. Żyli i ginęli po to, by służyć, stanowiąc najbardziej zmotywowaną grupę w siłach zbrojnych.

Umiejętności są ważniejsze niż gotowość do poświęcenia życia, bo z trupa niewielki pożytek. Pochować takiego trzeba, a to robota niewdzięczna i kłopotliwa. Ciało przewieźć, przechować, trumnę wyszykować, popa poprosić, państwowy pogrzeb zorganizować... Za dużo z tym zachodu. Chyba że nieszczęśnik zostanie za liniami wroga, wtedy to już nie ich problem.

Pełen niewesołych myśli poszedł do miejsca, gdzie siedzieli Wolski, Golicyn, Parker i Appelton. Ekipa nie wyglądała na szczególnie zestresowaną. Chłopcy rznąli w pokera na forszę. Z tego, co widział, pula wynosiła już ze dwadzieścia dolców.

– Chcesz się przyłączyć? – Cyrus zrobił miejsce koło siebie.

– Brak mi drobnych.

– Możesz postawić kombinezon. Nie mam nic przeciwko. Prawda, chłopaki?

Zza pleców Pulaskiego niczym duch wyłoniła się Ev.

– Ją też możemy przygarnąć.

Na twarzy dziewczyny przez chwilę widać było zaskoczenie, lecz powoli zaczynała chytać pewne niuanse i podteksty.

- Nic z tego.
- Fakt, że trochę za chuda, ale jak nabierze ciała...
- Szybciej skręci ci kark.
- Nie dbam o to.
- A powinieneś. W twoim życiu jeszcze się wiele może wydarzyć.
- Wątpię – skrzywił się Cyrus, choć widać po nim było, że złapał przynętę.
- To duży kraj i ma duże możliwości.
- Jeszcze nie został podbity.
- To kwestia godzin. – Matt wyszczerzył zęby. – Mamontow świetnie się spisał.

Wiemy, gdzie przebywa Sacharow.

- Na kremlu.
 - Też tak myślałem, ale nie. Mają tu tajną bazę. Rozsądne – w kreml można przywalić atomówką, a to miejsce odosobnione i nieprzyciągające uwagi. W rosj są cztery takie ośrodki.
 - Skąd o tym wiesz? – zapytał Plazma, marszcząc czoło.
- Golicyn wciąż zachowywał dyplomatyczne milczenie.
- Odrobinę zgłębiłem temat.

Nie widział powodu, by wyjaśniać, że o wszystkim usłyszał od Emila Banacha, skrupulatnie zbierającego najdrobniejsze okruchy informacji dotyczące rosyjskiego systemu bezpieczeństwa oraz reagowania kryzysowego i wymieniającego się nimi z każdym, kto coś na ten temat wiedział.

Często działo się tak, że sami Rosjanie nie potrafili rozwiązać jakiegoś problemu i zlecali to zagranicznym podwykonawcom, oczywiście zastrzegając sobie całkowity wgląd w procedury, o zachowaniu tajemnicy już nie wspominając.

I tak na przykład systemy przeciwpożarowe to domena niewielkiej firmy z Monachium, będącej pod ścisłym nadzorem Federalnego Urzędu Ochrony Konstytucji. Z pozoru wszystko było OK, tyle że pracownicy firmy to cywile, nie tajniacy, mają znajomych i kumpli, przy tym nie pilnuje się ich dwadzieścia cztery godziny na dobę. Taki fachman używa własnego telefonu, więc wystarczy, że w knajpie ktoś usiądzie przy stoliku obok i przez odpowiednie łącze zhakuje aparat.

Facet staje się nieświadomą niczego ofiarą, mimo że przestrzegał wszelkich zasad. Czasami to nawet nie jego aparat był bezpośrednim obiektem ataku, a komórka żony, przyjaciółki, kumpla czy przełożonego, który nie opuścił Niemiec ani na chwilę. Wystarczy dobrze pogłównkować i nie myśleć ortodoksyjnie. Jak mówił klasyk – nie ma takiej rury na świecie, której nie można odetkać.

A sprzęt biurowy to co, wypadł sroce spod ogona? Każde biurko, szafę, stolik i skrzynkę trzeba gdzieś wyprodukować, zmontować, przewieźć i zainstalować.

Rosyjski system wcale nie był tak szczelny, jak chciałaby władza. Można rzec, że jakie społeczeństwo, taka też armia i organy bezpieczeństwa. Wszędzie korupcja. Co więcej, najwyższe czynniki dawały na nią pozwolenie, same mogąc przy tym służyć za wzór.

I tak zbierali ziarnko do ziarnka, od Niemców, Rosjan, Turków i każdego, kto mógł coś wiedzieć. Żmudne to i mozolne, ale innej drogi nie było.

Banach dzielił się z Pulaskim nie tylko szczegółami przydatnymi w działaniach operacyjnych, ale też poglądami na temat historii. Według niego to bolszewia rozsadziła Rosję od środka i na zawsze podkopała jej siły. Armia walcząca w wojnie krymskiej i z Japończykami, mimo że uległa, nie poszła przecież w rozsypkę. W czasie I wojny jakoś radziła sobie aż do ofensywy Brusilowa w czerwcu 1916 roku. Później zaczęło się to pasmo klęsk i odwrotów. Czerwoni agitatorzy osiągnęli to, co chcieli, ale ich państwo okazało się mocarstwem jedynie przez obszar odziedziczony po cesarstwie, a później dzięki broni atomowej. W końcu nawet to, co komuniści z mazołem budowali, samo się zawaliło, bez żadnych wojen, i żaden następny prezydent-dyktator nie potrafił uczynić Rosji wielkiej. To jak walka z wiatrakami. Z takim materiałem ludzkim świata się nie zawojuje. Podcinając zachodnie demokracje, kacapy nie zauważyły, że równocześnie podcinają gałąź, na której same siedzą.

Upadek mógł być albo duży, albo epicki.

Zdaniem Pulaskiego i Banacha nie wszystko należało niszczyć. Ktoś przecież musiał sprawować kontrolę nad tymi rozległymi przestrzeniami. Brakowało im jednak odpowiedniego kandydata i zaplecza. Kiedy już ewentualnie usuną Sacharowa, kogoś należało wmontować na jego miejsce.

Ostatnim razem, gdy o tym rozmawiali, Orłow żył i nikt nie wiedział, że Sacharow wskoczy na jego miejsce.

Może Golicyn jako marionetka?

Technokrata z ambicjami, sprawny urzędnik, lecz bez większego poparcia. Na jego korzyść działało tylko to, że był bliskim współpracownikiem poprzedniego prezydenta. Czy ludzie za nim pójdą? Szczerze w to wątpił. Zresztą polityka na tym poziomie nie była jego specjalnością. Banach miał do tego łeb, on nie.

– Rozumiem, że mamy tam wejść i wybić wszystkich jak leci – upewnił się Parker z typową dla niego bezpośredniością.

– Obawiam się, że to jest niemożliwe.

– Nie wierzysz w nas? W takim razie jakie opcje pozostają na stole?

Gapili się na Pulaskiego, oczekując odpowiedzi.

– Baza Echo Jeden jest zasilana reaktorem atomowym niewielkiej mocy, zapewniającym ośrodkowi całkowitą samowystarczalność energetyczną. Już rozumiecie? Zamiast dopaść Sacharowa, wystarczy... hmm... czy muszę kończyć?

– Eksplozja atomowa tak blisko wielkiego miasta? – Wolskiego naszły wątpliwości.

– Musicie wiedzieć, że reaktor umieszczono ponad sto osiemdziesiąt metrów pod powierzchnią ziemi, więc nie będzie tragedii. – Matt oparł się plecami o jedną z wręg.

– Jak chcesz tam dotrzeć?

– Nie mam najmniejszego zamiaru. To zadanie dla Ev.

2

Wylądowali w porcie lotniczym Żukowskij znajdującym się trzydzieści sześć kilometrów na południowy wschód od Moskwy. Przyłot, nawet jeżeli wcześniej nie został zasygnalizowany, najwyraźniej nie był niczym niezwykłym. Ani w trakcie lotu, ani przy lądowaniu nikt się o nic nie pytał. Na płycie startowej Matt naliczył kilkanaście transportowców wszelkiej ładowności. Przeważały Ily 76, niemniej dostrzegł również Ana 72, Turboleta L-410, jak i ogromnego Rusłana, czyli Ana 124. Oprócz tego bombowce i maszyny dalekiego rozpoznania. Czyżby wybierano się z wizytą nad Bosfor? Znając niezwykle dokonania tubylczych pilotów, to

wydawało się całkiem możliwe. Większość z nich to niezrównani specjaliści w unicestwianiu dzielnic mieszkaniowych.

Na miejscu czekał na nich kumpel podpułkownika Mamontowa. Facet nie miał zielonego pojęcia, że uczestniczy w spisku. Wyświadczał grzeczność, a że dysponował jakimiś możliwościami, to należało z nich skorzystać. Nazywał się Kamyszew, a dokładnie Wasilij Aleksiejewicz Kamyszew i był pełnym pułkownikiem. Do jego zadań należały kwestie związane z logistyką, głównie kolejową, ale transport samochodowy też leżał w jego gestii.

Już na pierwszy rzut oka wydał się Pulaskiemu mętą o szczerzym ryju w zdecydowanie za dużej galowej czapce. Z takimi należało postępować ostrożnie. Mogą być przydatni, ale również niebywale niebezpieczni. Taki to zgnoi podwładnych, ale przełożonym wejdzie w dupę, i to bez wazeliny.

Matt jako pierwszy opuścił pokład transportowca, schodząc po rampie załadowniczej na zalany słońcem pas betonu. Miał na sobie mundur majora, choć spodnie były po innym trupie niż bluza, nie znaleźli bowiem kompletu bez śladów krwi. Kombinezon miał pod spodem. Zżył się z nim jak z drugą skórą. Lekka i wygodna nanocząsteczkowa struktura chroniła właściciela przed zimnem, upałem, ogniem i kulami. Na razie obywatel się bez hełmu. Założy go dopiero wtedy, gdy przyjdzie odpowiednia pora, a do tego momentu oddał go pod opiekę specjalnie do tego wytypowanego kłona. Inaczej dojdzie do przedwczesnej dekonspiracji, a tego przecież chcieli uniknąć.

– Pułkownik Mamontow zapewniał, że będziecie tu na nas czekali.

Szczurowaty odwzajemnił uścisk ręki, zerkając przy tym ponad ramieniem Pulaskiego.

– Co to za oddział? – zapytał na widok wysypujących się z maszyny żołnierzy.

– Mamontow nie wspominał? Dziwne – powiedział Matt jakby sam do siebie. – Tutejsza komendantura wystąpiła o dodatkowe wsparcie.

– Nic o tym nie słyszałem.

– Podobno już w sobotę opozycja szykuje się do protestów. – Pulaski przyłożył palec do ust. – Wiecie, co się może wydarzyć. Lepiej dmuchać na zimne.

– Coś mi się obilo o uszy. – Słowa Matta nieco uspokoiły Kamyszewa. – Dokąd mam was odstawić?

– Do Ministerstwa Obrony. Tak będzie najlepiej. Poproszę jeszcze o transport dla mojego zastępcy. – Pulaski wskazał na Ev. – Ma pilne zadanie do wykonania.

– Dziwię się, że wasz przyjazd tak słabo zabezpieczono.

– Bo sprawa wypłynęła dopiero wczoraj.

Kamyszew nieustannie węszył. Co za typ. Zamiast do logistyki powinien trafić do fsb. Takiego zawsze lepiej trzymać przy sobie.

Dziesięć KamAZ-ów 4310 już grzało silniki. Kamyszew gdzieś zatelefonował i po paru minutach udało się wykombinować dodatkowego UAZ-a Patriota dla Ev. Gdy Matt zęgnął się z dziewczyną, wątpił, czy jeszcze kiedyś się spotkają. Misja, którą jej zlecił, była iście samobójcza. Wykończenie Sacharowa to pierwszy krok, by bezpiecznie osadzić Golicyna na fotelu prezydenta.

Sam pretendent przemykał się teraz chyłkiem do ciężarówki w towarzystwie dwóch wyznaczonych do tego zadania ochroniarzy. W tym momencie był ledwie cieniem siebie samego sprzed tygodnia.

Matt wpakował się do wozu Kamyszewa, tłumacząc się brakiem miejsc w KamAZ-ach, co akurat było prawdą.

– Ile jest prawdy w tym, że na południowym Uralu robi się niespokojnie? Pytam, bo w Czelabińsku mam bliskich i martwię się o nich. Nie wiem, czy mam ich tu ściągnąć, czy nie. Mieszkanie mam małe, a moja stara ciągle narzeka – spytał pułkownik.

– Ile to osób?

– Czte... nie, pięć. Ostatnio urodziło się im jeszcze jedno dziecko.

– Chłopiec czy dziewczynka?

– A jakie ma to znaczenie? – Kamyszew zredukował bieg, podjeżdżając do bramy.

– Zasadnicze. Chłopca wezmą do dżihadu, a dziewczynce każą chodzić w burce.

Szlaban się uniósł, a oni mogli wyjechać na drogę wiodącą do centrum.

– Nie mówicie poważnie. – Kamyszew wyraźnie się wzdrygnął. – Jest aż tak źle? Jak ostatnim razem z nimi rozmawiałem, nic o tym nie wspominali.

– Wielu naszych przechodzi na islam. Nie afiszują się z tym, ale to ukryci zwolennicy kalifatu. Jest gorzej, niż się nam wydaje.

– Znaczy się...

– Nie próbujcie ich tu ściągnąć. Mało tu mamy wywrotowców?

– Kto to może wiedzieć? Trzymają nas w niewiedzy.

– Sacharow?

To był test. Ciekawe, czy Kamyszew go zda.

– Uhm... od przejęcia przez niego obowiązków upłynęło zaledwie parę dni. Trzeba dać mu czas.

– Racja. Nie można walczyć na wszystkich frontach równocześnie.

Dojechali do pierwszego punktu kontrolnego, ale od razu zostali przepuszczeni. Obsadę blockpostu interesowało jedynie ściągnięcie haraczy od kierowców prywatnych samochodów, a nie użeranie się z oficerami dowodzącymi konwojem.

– Znacie Sacharowa osobiście? – W pytaniu Kamyszewa Matt wyczuł niekłamane zainteresowanie.

– Spotkaliśmy się parę razy, ale najczęściej współpracuję z jego zastępcą do spraw operacyjnych.

– Bardzo ciekawe.

– Tylko na mnie nie naciskajcie. Nic więcej nie powiem – roześmiał się Matt.

– Ależ naturalnie.

Wydawało się że Kamyszew trochę się rozluźnił. Krytyka jest dopuszczalna, ale w rozsądnych granicach. Każdemu zdarzają się niedociągnięcia i nawet wyższe czynniki nie są od nich wolne.

Pulaski łowił wzrokiem widoki za oknem. Gdzież podziały się te wszystkie samochody do niedawna korkujące miasto? Ruch na wielopasmowych arteriach był znikomy, za to pieszych dało się zauważyć o wiele więcej niż przed wojną. Natomiast wielotysięczne kolejki przed hipermarketami przywodziły mu na myśl obrazki z czasów wielkiej wojny ojczyźnianej. Ludzie dosłownie bili się o towar – co mogłoby zaskoczyć kogoś słyszącego opinię, że Moskwa jest najlepiej zaopatrzone miastem w kraju, gdyby nie uwzględnił, w jakim kraju.

Na parkingu mijanego przez nich sklepu szykowała się regularna bitwa. Ci, którzy już mieli, kontra ci, którzy przybyli za późno. Towar wyrywano sobie z koszyków, ziemię pokrywał rozsypany cukier, mąka, może też ryż, jakieś torebki i zgniecione pudełka. Zdaniem Matta oznaczało to jedno: stolica osiągnęła punkt

bliski wrzenia. Wcale go to nie martwiło, wręcz przeciwnie – chaos sprzyjał jego zamierzeniom.

Żołnierzy i gwardzistów nie interesowało to w najmniejszym stopniu, dopóki cywile szarpali się między sobą i nie próbowali wszczynać buntu. Dla nich zapewne też jasne było, że od pustej michy do pierwszego antyrządowego okrzyku droga jest krótka, lecz na razie nie dostali rozkazu pacyfikacji tłumu. Golicyna czekała trudna przeprawa. Oj, trudna.

Na Krasnohołmskiej, niedaleko Mostu Nowospasskiego, dostrzegł kolumnę BTR-ów, czołgów i BMP. Żołnierze wygodnie rozsiedli się na chodnikach, wygrzewali kości i jakby na coś czekali.

– Druga Gwardyjska – mruknął Kamyszew pod nosem.

– Jak u nich z dyscypliną?

– Powiem szczerze, że słabo. Są tu od trzech dni. Znajoma mówiła, a mieszka w pobliżu, że nocami strach wyjść z domu.

– Jak to możliwe?

– Dorwali dziewczynę, jak to oni... wyłomotali w krzakach. Podobno pobiegła ze skargą na policję, ale ci nawet nie próbowali interweniować.

– Gwałt? Tak blisko kremla? Nie sądziłem, że dożyję takich czasów.

– Oficerowie ich rozpuścili. Wielu rekrutów pochodzi z południa, z Powołża i Kraju Stawropolskiego.

– Dobrze, że to nie Czeczeni.

– Ale w szeregach mają wielu Dagestańczyków, a to hołota, przecież sami wiecie.

– Wiem, wiem.

Dotarli na ulicę Znamienka, dawniej Frunzego, do imponującej budowli Ministerstwa Obrony znajdującej się półtora kilometra od samego kremla.

Sprawdził godzinę – dochodziło południe. Teraz wóz albo przewóz. Innej możliwości nie ma.

3

Ev w mundurze kapitana prezentowała się znakomicie. To na wypadek zatrzymania przez patrol. W dłuższe rozmowy wdawać się nie będzie, ale co

szkodzi dobrze wyglądać? Nic. W razie potrzeby wykorzysta ten atut.

Martwiło ją natomiast co innego. Ponownie narastał w niej głód. Już myślała, że go zaspokoila, ale wrócił i nie dawał jej spokoju. To on pchał ją do działania i sprawiał, że była śmiertelnie niebezpieczna.

UAZ-a zostawiła w lesie, dwa kilometry od zewnętrznego ogrodzenia bazy Echo 1. Normalnie do środka jej nie wpuszczają, musiała więc trochę pogłówkować.

Ogrodzenie podobno było pod napięciem, ale dla niej to przecież żadna przeszkoda. Dwa i pół metra wysokości pokonała z łatwością. Po prostu najpierw oparła solidną gałąź o betonowy słupek, po czym, pomagając sobie lewą ręką, przeskoczyła ponad drutami.

Dziecinnie proste.

Następna przeszkoda znajdowała się pięćdziesiąt metrów dalej. Tu już należało być czujnym. Okolicznych mieszkańców przed wścibstwem miały ostrzegać tabliczki, wszelako większość z nich tak przerdzewiała, że gdyby nie resztki czaszek z piszczelami, nie sposób było się domyślić przekazu.

Wiedziała, że nie powinna lekceważyć przeciwnika. Bazę bez wątpienia dobrze chroniono, a samego Sacharowa z pewnością pilnuje zastęp dobrze wyszkolonych ludzi.

Minęła wydeptaną przez patrole ścieżkę i znalazła się przy drugiej linii zabezpieczeń, która podobnie jak pierwsza składała się z betonowych słupków i rozciągniętego pomiędzy nimi drutu kolczastego, ewidentnie pamiętającego czasy CCCP. Kawalek dalej w ogrodzeniu dostrzegła dziurę solidnych rozmiarów. Dawało się przez nią przecisnąć bez najmniejszego problemu. Uznała to za podstęp, bo we wzorcowych bazach, które uczyła się infiltrować, zawsze były kamery i czujniki.

Padła na ziemię w wysoką trawę, usłyszawszy odległy, lecz zbliżający się odgłos idących żołnierzy. Po jakimś czasie usłyszała dokładniej – sekcja wartownicza właśnie dokonywała obchodu. Obaj żołnierze, nie przerywając pogawędki, przeszli przez dziurę w płocie. To najwyraźniej musiał być stały skrót do wartowni. Ev odczekała nieco i poszła w ich ślady. Nie bała się. Te oferty nie były warte jej starań, niemniej nie widziała powodu, by ich od razu zabijać. Zrobi to, ale trochę później.

4

Gradow przeciągnął się na materacu, niechętnie wstał i szeroko ziewnął. Tyle dobrego w tym wszystkim, że przynajmniej się wyspał. Teraz przydałaby się kawka i coś na ząb. Profesorowi wydawało się, że jest rano, ale po tym jak stracił telefon i zegarek, kompletnie nie wiedział, która jest godzina. Ile już tu siedział? Chyba całe wieki. Nikt się nim nie interesował. Dostawał wodę i nędzne żarcie, a poza tym stanowił zbędny element wystroju.

Usłyszał trzask klucza przekręcanego w zamku. Znowu dostanie ciężkostrawne ochłapy, od których niedługo się rozchoruje. Ale jeść trzeba, inaczej się nie da.

– Wstawaj.

Facet w mundurze i stopniu porucznika nie wyglądał na klawisza.

– Przecież stoję – odparł pokornie Gradow.

– To idziemy.

– Dokąd?

– Dowiesz się później.

Nkwd, kgb, a wspólnie fsb działały dokładnie tak samo. Pytanie tylko, czy zostanie rozwalony na miejscu, czy też wywieziony do lasu i dopiero tam wrzucony do dołu z wapnem.

Podobne myśli krążyły po głowie porucznika, czego Gradow się domyślał, widząc jego zadowoloną gębę.

– Długo mam czekać?

Nie miał nic do zabrania, lecz spokojne pójście na śmierć jakoś nie mieściło się genetykowi w głowie.

– Nie musicie się bać, Gradow. Generał Sacharow kazał was zawieźć do domu.

– Czemu zawdzięczam tę łaskę?

– Podobno się znacie.

Znają? Spotkali się najwyżej dwa razy, i to w przelocie. Nie sądził, by taka szucha jak minister obrony w ogóle wiedziała o jego istnieniu.

– No już, raz-dwa, bo czas ucieka.

Wciąż miał wątpliwości. Sacharow to skończone bydło. Szybciej ubije, niż wypuści.

Na korytarzach ośrodka panował większy tłok niż zwykle. Oprócz porucznika eskortował Gradowa jeszcze jeden typ, lecz po cywilnemu, więc trudno się było zorientować, jaki ma stopień i w jakim charakterze służy.

Przeszli przez długi, oszklony korytarz. Po raz pierwszy od długiego czasu blask dnia poraził oczy naukowca. Mała rzecz, a cieszyła. Cieszyła, bo jeszcze żył.

– Na co się tak gapiacie?

Gradow wzruszył ramionami. Niektórzy nigdy niczego nie rozumieją.

Poszli w stronę garażu – wielkiej hali pełnej wszelkiej maści wozów, poczynając od ciężarówek i autobusów, na osobówkach zachodnich marek kończąc. Porucznik prowadził, Gradow szedł za nim, pochód zamykał milczący tajniak.

Skoro wraca do domu, to dlaczego jest tak pilnowany? Raczej nie chcą brudzić sobie rąk i wyposażenia. Zatrzymają się w lesie i odstrzelą, to już pewne. Za dużo wie. Tacy jak on nie mogą pętać się po świecie.

Rozejrzał się niespokojnie w poszukiwaniu pomocy, w złudnej nadziei, że nie wszystko stracone. Dostrzegł mechanika i kobietę w mundurze przechodzącą niedaleko z obojętną miną.

Tryby w mózgu Gradowa gwałtownie przeskoczyły i zatrzymał się w pół kroku.

– Jak leziesz, palancie? – Typ idący za profesorem w końcu się odezwał, bo o mało na niego nie wpadł.

– Przepraszam, przecież nic się nie stało – wymamrotał profesor, myśląc o czymś zupełnie innym.

– Jesteście skończonym idiotą.

Zdarzenie przyciągnęło uwagę kobiety, w którą Gradow wlepił wzrok. Jak tu trafiła? Od Jamantau dzieliły ich setki kilometrów.

Na usta cisnął mu się okrzyk: „To ja, twój ojciec!”. To przecież jakby jego córka. Może nie rodzona w sensie genetycznym, ale to on dał jej życie. Była chodzącą doskonałością. Świetnie pamiętał twarze każdego ze „swoich” dzieci.

– Mógłbym skorzystać z toalety? – spróbował odwlec nieuniknione.

– Do domu nie wytrzymacie?

– To kawał drogi.

– Nie zwracajcie głowy. Gdzieś się zatrzymamy.

Mocniejsze pchnięcie w plecy sprawiło, że przestał się ociągać. Porucznik już otwierał drzwiczki granatowej hondy.

– Kiedy ja muszę. – Chwytał się tego odroczenia jak tonący brzytwy.

– Co za upierdliwiec.

Skulił się, oczekując ciosu. A miał jeszcze tyle do zrobienia... Za cholerę tam nie usiądzie. Właśnie próbował zaprzeć się, gdy coś ciężko upadło za jego plecami.

Tajniak klęczał, a nad nim stała osoba prosto ze snów profesora. Jej wiotkie ramiona oplotły szyję mężczyzny, dał się słyszeć cichy trzask pękających kręgów i trup upadł genetykowi prosto pod nogi.

Porucznik próbował wyszarpnąć broń z kabury, lecz w porównaniu z klonem był jak leniwiec. Wystarczyło jej jedno odbicie, a pięść trafiła oficera prosto w nos. Facet zwiotczał i padł. Kopnięty jeszcze w krtań więcej nie wstanie.

Zanim Gradow wydukał pierwsze słowo, ona już przeszukiwała kieszenie ofiar.

– Jesteś... – Zawahał się, nie wiedząc, jak ugryźć temat.

– Seria 2282-1. Poznałam cię od razu, twórco.

– Jak?

– Tkwisz w mojej głowie, odkąd pamiętam.

Kolejne zaskoczenie. Tracił orientację.

– Jak się mam do ciebie zwracać?

– Mów mi Ev.

– Ev? Kto cię tak nazwał?

– Mój nowy dowódca.

5

Nie sądziła, że to się tak potoczy. Widok Gradowa był dla niej kompletnym zaskoczeniem, podobnie jak dla niego. Cóż, stało się. Trafili na siebie i teraz będą musieli z tym żyć. Związana z tym gmatwanina emocji musiała poczekać. Obecnie interesował ją reaktor, a nie wspomnienia, co do których nabierała wątpliwości. Profesor chciał gadać i wciągnąć ją w rozmowę, lecz ona skoncentrowała się na kartach magnetycznych umożliwiających dostęp do całego ośrodka. Najważniejsze, że nie były imienne.

– Przebieraj się.

– Co takiego?

Nie odpowiedziała, ściągnając marynarkę z trupa cywila. Na oko pasowała.

– Spodnie też?

– Twoje nie pasują.

Gdy on przebierał się schowany za samochód, gdzie – jak sądził – żadna kamera nie powinna go widzieć, ona wcisnęła zwłoki na siedzenie wozu.

– Jestem gotowy.

Gradow uporał się z marynarką w rekordowym, jak na niego, czasie. Nie była idealnie dopasowana, ale ważne, że się zmieścił. Ev wygładziła mundur i mogli iść. Karty zawiesili na szyjach – co automatycznie włączało ich do grona osób upoważnionych do przebywania w kompleksie.

Sacharow na pewno był w centrum dowodzenia, skąd wydawał rozkazy i prowadził wojnę. Tam nikt nieupoważniony nie podejrze, ich przebranie nie na wiele się zda. Nie o to jej zresztą chodziło. Geniusz, nazwiska którego historia nie zapisała, w ramach wirtualnego szkolenia wgrał jej cykl ćwiczeń, dla którego wzorem do infiltracji była właśnie baza Echo 1. Po co wymyślać coś od nowa, skoro ma się do dyspozycji oryginał? Nikt nie przypuszczał, że to się może zemścić. Klony miały ich bronić, a nie atakować.

Minęli jeden patrol, potem drugi i trzeci. Żołnierze przyglądali się im, ale o nic nie pytali, zaś zwykli pracownicy nawet ich nie dostrzegali.

– Dlaczego nie uciekamy? – Gradow poczekał z pytaniem, aż nikogo nie będzie w pobliżu.

– Bo muszę się dostać do serwerowni.

– Jesteś...

– Przecież mówiłam. Ev, seria 2282-1.

– Infiltracja, dywersja, sabotaż.

– Dokładnie.

– Matko Boska Mariupolska – jęknął Gradow. – Sacharow znalazł komuś nieźle za skórę.

– Proszę nie zwalniać – syknęła.

– Serwerowni pilnują tak samo jak samego Sacharowa. Na twoje potrzeby wystarczy wewnętrzny terminal.

– Racja – zgodziła się bez zastrzeżeń. Wciąż myślała zbyt szablonowo, to się może kiedyś na niej zemścić. – Dokąd więc idziemy?

– Do miejsca, z którego się tym wszystkim kieruje.

Teraz to Gradow przejął dowodzenie. Nie widział potrzeby, by pchać się tam, gdzie ryzyko wpadki było największe. Tu też były biura. Większość z nich do ich celów zupełnie się nie nadawała, ale gabinet Czurikowa to zupełnie co innego. Dyrektor to figura. Jeżeli ośrodek ma zniknąć z powierzchni ziemi, zapewne można tego dokonać właśnie z fotela szefa.

– Stać!

Struchlał na dźwięk rozkazu. Sierżant z ochrony właśnie kierował się w ich stronę. Minę miał zaciętą, a wzrok śmiertelnie poważny.

– Czego chcecie? – Ev założyła ręce do tyłu, stawiając czoła nieoczekiwanej kontroli.

– Przepraszam, że się narzucam, ale zobaczyłem naszywki 11 Brygady Desantowej.

– I co z tego?

– Mam tam brata. – Podoficer stracił rezon pod miażdżącym spojrzeniem Ev.

– Brygada wykonuje tajne zadania. – Mówiła prawdę. Większość jej żołnierzy gryzła piach, czego nie należało rozpowiadać.

– Martwię się o niego – powiedział żołnierz tonem usprawiedliwienia.

– Niepotrzebnie. Na pewno został dobrze wyszkolony. A wy wracajcie na posterunek. Tylko przez wzgląd na niego uznam incydent za niebyły.

– Tak jest.

– W którym jest batalionie?

– Druga kompania, pierwszy batalion. Nazywa się Zajcew. – Nie musiał tego mówić, bo nad kieszenią, na piersi, miał przszyty pasek materiału z nazwiskiem i grupą krwi.

– Jak go spotkam, to przekażę, że się o niego martwicie.

Odeszli zdecydowanym krokiem. Schodami dostali się na piętro, a stamtąd prosto do biura. Co prawda, drzwi były zamknięte, lecz karta magnetyczna sprawdziła się i w tym przypadku.

– To do roboty – powiedział Gradow, przysuwając sobie krzesło do dyrektorskiego biurka.

Komputer działał. Czurikow, fachowiec starej daty, nie zaprzętał sobie głowy skomplikowanymi trybami autoryzacji, a pewnie żaden admin nawet nie próbował niczego na nim wymóc. Dostali się do informacji o zasilaniu kompleksu. Teraz należało dokonać dwóch rzeczy naraz. Po pierwsze odciąć całą podziemną strukturę tak, by nikt stamtąd nie wyszedł, a później wyłączyć chłodzenie reaktora i niech gorąca para zrobi swoje, tak jak to miało miejsce swego czasu w Czarnobylu. W każdym reaktorze, choćby nie wiadomo jak bezpiecznym, zawsze można coś spieprzyć, w ten czy inny sposób. Wybrali najprostszy – stopią rdzeń. Im szybciej się z tym uporają, tym więcej czasu pozostanie im na ewentualną ucieczkę. ■

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

1

– Gdzie was wysadzić? – Kamyszew zwolnił, przymierzając się do parkowania.

– Ja wracam do biura. Trochę za długo mnie nie było.

– Tam będzie w sam raz. – Matt wskazał miejsce oddalone od głównego wejścia o jakieś osiemdziesiąt metrów.

Czterokondygnacyjny gmach dawnego Ludowego Komisariatu Obrony, a obecnie Ministerstwa Obrony federacji rosyjskiej, z elewacją w kolorze piaskowym i kolumnami przy wejściu, budził w Pulaskim instynktowną niechęć. Można powiedzieć, że budowla emanowała złem. Było w niej coś takiego, co przypominało, że po jej korytarzach kręcili się tacy bandyci jak żukow, budionny, ustinow i szojgu.

Pulaski poczekał, aż się zatrzymają, i wysiadł. Ciężarówki ustawiły się przy krawężniku. Każdy z dowódców wiedział, co robić. Atak frontalny już na etapie planowania Matt uznał za niepotrzebną stratę i tak niewielkich zasobów. Osiągnął swój cel, atakując ze wszystkich stron.

Kamyszew tymczasem przyglądał się im ze zdziwieniem. Wyczuł, że coś tu najwyraźniej jest nie tak, lecz zamiast interweniować, wycofał się, by z bezpiecznej odległości obserwować zdarzenie. Dla Pulaskiego przestał mieć znaczenie.

– Naprzód.

Przed budynek wybiegło kilku strażników, na czele z kapitanem w błękitnym spadochroniarskim berecie.

– Stać!

Matt zignorował wezwanie.

– Stać, bo będę strzelał.

Debil przeładował kałasza, którego trzymał w rękach. Matt wcisnął hełm na głowę. Nie było odwrotu.

Strażników skosił jedną serią. Masywne drzwi nie były w stanie ich powstrzymać. Szerokie schody prowadzące na górne kondygnacje nie interesowały Matta. Oczywiście, należało oczyścić gmach z wroga, nim przejdą do kolejnego

etapu, więc dał klonom wolną rękę. Rozpętała się burza. Odgłosy walki dobiegały z każdej części kompleksu budynków, co oznaczało, że pozostałe grupy szturmowe są już w środku.

Ministerstwa nie bronił elitarny oddział, zaś pracowali w nim przeważnie urzędnicy, którzy o wyszkoleniu bojowym dawno już zapomnieli. Tu, w zaciszu biur, planowano, jak podbić świat, gdzie urządzić jaką rzeź, co zbombardować, jaką atrapą sprzętu zadziwić glob. Wymyślano koncepcje, strategie i wojnę nowej generacji. Mózgowcy są przecież od myślenia, nie od działania.

Dla klona to żaden przeciwnik, tym bardziej że z Pulaskim przybył doborowy oddział. Szturmowcy szli do przodu aż furczało, nie oszczędzając nikogo. Równie dobrze mogli dusić kury na wybiegu. Plutony zajmowały kolejne piętra, metodycznie czyszcząc cały budynek.

Na interfejs Matta nieustannie spływały dane. W ciągu dwóch i pół minuty zlikwidowali stu pięćdziesięciu oficerów wyższego szczebla. O drobnicy nie było co mówić.

Mózg, a precyzyjnie mówiąc, pewien fragment mózgu rosyjskiej armii, odpowiedzialny za planowanie, przestał istnieć. Ciało jeszcze o tym nie wiedziało, ale gdy się dowie, cała konstrukcja rozsypie się na atomy.

Pozostawał jeszcze taki twór jak Kwatera Główna Naczelnego Dowództwa, czyli STAWKA i sam Sacharow, ale i jego wkrótce dopadną. Opanują kreml i postawią Golicyna na czele państwa. Zadanie karkołomne, lecz jak najbardziej wykonalne.

Ministerstwo i kreml łączył podziemny tunel określany jako Metro 2. Zwykle metro to sieć wykorzystywana do transportu publicznego. Metro 2 obsługiwało władze państwowe. Oba te systemy nie przecinały się w żadnym miejscu. Wejść na kreml od góry to zadanie dla o wiele większej grupy niż ta, którą dysponował. Natomiast ataku od dołu nikt się nie spodziewał.

Przeszedł do wąskiej klatki schodowej zabezpieczonej stalowymi drzwiami. Ewentualny wybuch atomowy rozniesie je na strzępy, ale zawsze to jakieś zabezpieczenie.

Z dołu powiało stęchlizną – i nic dziwnego. Pierwsze prace przeprowadzono tu już w latach trzydziestych ubiegłego wieku, od tamtej pory rozbudowując sieć i

dopasowując do zmieniających się okoliczności. Ostateczną emanacją tych podziemnych szaleństw okazał się Jamantau. Czy to nie paradoks, że wyhodowane w laboratorium klony unicestwią swoich twórców?

Kolejna śluza była już potężną konstrukcją o wadze kilkunastu ton. Za nią można było czuć się względnie bezpiecznym, choć dziś ta zasada nie zadziałała.

Wystrojowi stacji daleko było do podziemnych pałaców obsługujących zwykły ruch pasażerski. Styl oraz wyposażenie można by określić jako funkcjonalne. Tory ciągnęły się po dwóch stronach peronu, z tym że na tych po prawej stały zwyczajne wagony metra, zaś z lewej kilku mechaników dokonywało przeglądu torowiska. Niepomnie się zdziwili na widok typu żywcem wyjętego z komiksu.

– Coście za jedni? – Facet w poplamionym roboczym kombinezonie wystartował do Matta z kluczem francuskim w dłoniach. Ba, zdążył się zamachnąć – i natychmiast zginął, gdy za cel obrał go sobie klon podążający tuż za Pulaskim. Reszta konserwatorów pożegnała się z życiem sekundę później.

Pulaski zdecydował, że pięćdziesięciu szturmowców, na czele z Appeltonem, pozostanie w ministerstwie, żeby zabezpieczyć teren, a pozostałych zabierze na kreml. Chyba wystarczy?

Matt przeszedł do kabiny maszynisty, cicho postukując podszwami o stalową podłogę. Niedługo wagoniki staną się prawdziwą kolejką śmierci. Już nic ich nie zatrzyma.

Załadunek trwał niecałą minutę. Ekipy czyszczące ministerstwo musiały dopiero dotrzeć. Dać im wszystkim taki sam pancerz, jaki on miał na sobie, i galaktyka stanie przed nimi otworem. Nie było w tym ani słowa przesady.

Składem szarpnęło, gdy poruszył manetką jazdy. Trasa przejazdu wyświetlała się na monitorze zainstalowanym w lewym górnym rogu. Nie dostrzegł blokad – linia świeciła na zielono.

Przy kolejnej próbie wszystko poszło gładko, więc zwiększył prędkość. Jazda kolejką linii rządowej wydawała się Mattowi całkiem zabawna. Minęli kolejny dworzec, gdzie oddział federalnej służby ochrony stał na peronie w oczekiwaniu Bóg jeden wie na co. Widok pędzącego składu najwyraźniej ich zaskoczył, lecz tylko zdążyli odprowadzić kolejkę wzrokiem.

Tunele nie były zupełnie ciemne. Co kilkadziesiąt metrów świeciła lampa, w której przytłumionym blasku dawało się dostrzec, że wzdłuż ściany biegnie betonowa rampa, po której swobodnie można by przejechać łazikiem.

Obraz na ekranie zasygnalizował rozjazd, więc Matt sygnałem z kabiny przekierował zwrotnicę na linię wiodącą w stronę kremla. Od ataku na ministerstwo upłynął już kwadrans i należało się liczyć z gorącym powitaniem. Ciekawe, czy osoby odpowiedzialne za bezpieczeństwo mają procedurę na taką okoliczność? Atak lotniczy lub raketowy, to i owszem, ale taki – od strony, z której wydawało się to niemożliwe?

Pożywiom – uwidim.

2

– No, skarbie, możemy się zbierać.

Reaktor powoli nabierał mocy. Zanim dojdzie do wybuchu pary, upłynie nieco czasu, który zdaniem Gradowa należało wykorzystać w jedyny rozsądny sposób. Śmierć na posterunku nie przyniesie im chwały. Za kilka sekund podziemna część kompleksu Echo 1 zostanie odcięta na dobre i już nikt się stąd nie wydostanie. Profesorowi chodziło o to, by nie wywalić wielkiej dziury w ziemi i nie skazić atmosfery. Ev okazała się świetną specjalistką od destrukcji, a i on był nie w ciemny bity, więc – jeśli wszystko pójdzie dobrze – przegrzana i radioaktywna para wodna rozsądzi osłony reaktora, przez właśnie odblokowywane śluzy wypełni wszystkie pomieszczenia, których personelowi nie uda się zamknąć, po czym całość kompleksu albo się wysterylizuje i przetopi w radioaktywnym ukropie, albo wybuchnie i zapadnie się do środka pod ciężarem dziesiątków metrów ziemi i żelbetu. Tylko w ten sposób unikną większej katastrofy.

Jeszcze parę kliknięć w klawisze i...

Na szcęk otwieranego zamka profesorowi zamarło serce.

Czurikow nie od razu zorientował się, że coś jest nie w porządku. Klnąc pod nosem, przestąpił próg i zatrzymał się jak wryty.

– Gradow... – wycedził dyrektor ośrodka przez zaciśnięte zęby. – Przecież ty siedzisz.

– Właśnie wyszedłem.

– Kto cię wypuścił? Rozkazy były jednoznaczne.

Gradow wstał.

– Wszystkie polecenia można cofnąć.

– Wołam ochronę.

Czurikow chciał uruchomić alarm, ale nim zdążył sięgnąć do kieszeni, stanęła przed nim Ev.

– A kim ty, u diabła, jesteś?

Sprowadzenie dyrektora do parteru zajęło dziewczynie dosłownie moment.

– Puu... – Facet ślinił się, stękał i charczał.

Profesorowi nie było go żal. Co zrobić? Przeznaczenie. Odwrócił się, nie chcąc widzieć, jak jego dziewczuszka morduje człowieka.

Dźwięki ucichły jak nożem uciął.

– Coś jeszcze? – zapytała Ev.

– Nic. Chodźmy już, bo zaraz zjawi się ochrona. – Czuł się przy niej dziwnie bezpieczny.

W końcu to on ją stworzył i wyszło mu lepiej niż dobrze.

3

Jak zawsze przed akcją Ernestowi chciało się sikać. Wiedział, że to z nerwów, a i tak nic nie mógł na to poradzić.

Tym razem nie pójdzie na czele ataku. Wraz z Parkerem dostał inne zadanie: mają osłaniać Golicyna, co było tym trudniejsze, że z ministra pozostało niewiele. Zdaje się, że w ogóle nie wiedział, gdzie jest i dokąd zmierzają.

– Ocknij się. – Szturchnął niedoszłego teścia, ciekaw, jaką wywoła to reakcję. – Niedługo będziemy na miejscu.

Wagonikami zakołysało na rozjeździe.

– Czyli gdzie?

– Na kremle, baranie. – Cyrus był dla Golicyna mniej wyrozumiały.

– Nie mów tak do niego, to w końcu nowy prezydent.

– A on o tym wie? – Parker zaśmiał się złośliwie. – Jak tam wasze samopoczucie, prezydencie?

– Będę rzygał.

– To teraz, bo później nie będzie już czasu.

Kolejka zaczęła zwalniać, a przez plecy Wolskiego przebiegł dreszcz. A więc to już.

Klony wezmą na siebie główny atak, ale jeśli się załamię, zginą wszyscy. Trudno, w końcu taki wybrali fach. Byle chwycić Pierunowa za jaja, później będzie już łatwiej.

Gdy tylko stanęli, skład momentalnie opustoszał. Miejsce Plazmy, Parkera i Golicyna było na samym końcu, więc nie musieli się spieszyć. W otwartą walkę włączą się tylko w ostateczności. Tak zarządził Pulaski, który dowodził operacją, a Plazma nie miał zamiaru wcinąć się w jego kompetencje.

Jedyne, co zdziwiło Ernesta, to cisza. Spodziewał się kanonady, a na razie nie rozległ się ani jeden wystrzał. Oba wyloty tunelu pospiesznie zabezpieczyły sekcje z granatnikami przeciwpancernymi.

Ten dworzec stanowił całkowite przeciwieństwo poprzedniego – jakby pałatkę porównać z cesarskim pałacem. Wszędzie marmury, granity, złocenia, kryształowe żyrandole, rzeźby...

Nagle z góry dotarło echo silnej detonacji. Zatrzęsły się ściany, strop i sam peron. Nakładające się na siebie dudnienia o różnej tonacji szybko przybrały na sile.

Sto pięćdziesiąt klonów ruszyło na tysiąc pięciuset żołnierzy pułku prezydenckiego. Jak skończy się ta walka?

4

Wskaźnik HUD wskazywał cele, a jemu pozostawało tylko naciskać na spust, lecz nie bardzo miał na to czas. Krążące dookoła drony zbierały informacje tak, że stale wiedział, gdzie znajduje się wróg i jak najskuteczniej go dopaść. Klony wyposażone zostały w system bojowy Ratnik, na który składały się kamizelka, hełm i ochronniki balistyczne oraz układ wymiany danych. Zwykły piechociniec z kałaszem wojny już nie wygra, liczy się współdziałanie i znajomość aktualnej sytuacji. To wojna nowej generacji. On pełnił rolę centrum bojowego, zbierając informacje, przetwarzając je i wysyłając rozkazy. Postępujący za nim szturmowcy

znali się doskonale na swojej robocie i realizowali co do joty klasyczną rosyjską taktykę *wsiegda wpieryod* – ich twórcy powinni być dumni ze swojej roboty.

Nad nimi znajdował się wielki pałac kremlowski, którego dachy wystawały ponad czerwone mury; stąd od wieków *russskij mir* zatruwał cały świat. Dziś ta potężna budowla chwiała się w posadach.

I nic dziwnego. Z siłą ognia, jaką posiadali, rozwalą wszystko. Działali bez litości. Zdaniem Matta całe to miejsce należało wreszcie wypalić do gołej ziemi.

Nieliczni żołnierze i funkcjonariusze fsb próbowali nawiązać z nimi walkę, ale ginęli rozrywani na strzępy. Nieopodal wywaliło w powietrze część koszar pułku prezydenckiego, okolicę spowił dym.

Wysłał tam cały pluton. Niech się chłopcy zabawią. Właśnie do tego zostali stworzeni.

Korytarze pałacu, mimo ostentacyjnego przepychu, czerwonych dywanów, stiuków i złocień, kojarzyły się Mattowi ze strzelnicą – były długie, proste i co jakiś czas pojawiał się na nich cel. Walili wzdłuż, nie patrząc, kto znajduje się na linii ognia.

Wróg mógł się przecież poddać. *Wait...* Zapomniał, że zakazał brać jeńców.

Z bieżącego oglądu sytuacji zanosilo się na nudy. Do tej pory stracił trzech żołnierzy, a pięciu zostało rannych, zaś ofiary wroga szły w setki. Jeszcze tylko dopaść Pierunowa – żywego czy martwego, wszystko jedno – i to będzie koniec. Tylko gdzie ten drań się schował?

Obraz z kamery dronów dalszego rozpoznania pokazał boczne wyjście i stojącą przed nim limuzynę. Matt nabrał rozpędu i wyskoczył przez okno jednej z sal. Spadł na wyasfaltowany podjazd w deszczu szklanych odłamków akurat tak, by jedną serią skosić trzech agentów próbujących wskoczyć do opancerzonego merca. Reszta cofnęła się w głąb budynku.

Pobiegł za nimi, nie zważając na przelatujące obok kule. Kilka z nich utkwilo w pancerzu, lecz spowolniło go to tylko na moment. Chociaż poczuł je, siła uderzenia została rozproszona, nie wpływając na jego sprawność.

Z wyskoku wpadł biegnącemu przed nim rosjaninowi na plecy. Nastąpiło mało przyjemne trzaśnięcie pękających kości, gdy ciało zetknęło się z podłogą.

Następnego dorwał sekundę później, rzucając nim o ścianę. Kolejny zdążył się odwrócić, by stawić czoła przeznaczeniu. Odepchnięty, skończył jak koledzy.

Pierunow dopadł schodów i na czworakach próbował się po nich wspinać, dysząc ostatkiem sił. A niby taki był mocny i wszechwładny. Dopiero co drżała przed nim cała federacja.

– Zrobię, co zechcesz – wyjęczał minister.

Przeszli do fazy negocjacji. Matt milczał.

– Mam możliwości, o jakich się nikomu nie śniło.

Skoro tak, to dlaczego wijesz się na podłodze, zamiast zasiadać na tronie? – pomyślał Matt, wciąż patrząc na padalca bez słowa.

– Jeżeli chcesz, wystawię ci Sacharowa.

Żadna atrakcja.

Uporczywy brak odzewu ze strony Pulaskiego wybił Pierunowa z równowagi.

– Mam żonę i trójkę dzieci.

A kogo to obchodzi? Starą zdradzał, więc bękartów porobił całe mnóstwo.

– Ja się do niczego nie nadaję, nie będzie ze mnie pożytku.

To akurat fakt.

Takim robakiem nie będzie sobie zawracał głowy.

– Zaprowadźcie go na Wieżę Spasską i niech sobie popatrzy na moskwę – nakazał klonom.

– Dzięki. Nie wiem, jak się mam odwdzięczyć.

– A kto powiedział, że przeżyjesz?

Odszedł, ignorując jęki Pierunowa. Czekwały na niego sprawy wagi państwowej.

5

– Matt twierdzi, że możemy iść.

Ernest podrapał się po grdyce z dość niepewną miną.

– Szybko im poszło – zauważył Parker.

– Od kiedy Oliwia wylądowała w inkubatorze, koleśowi odbiło.

– Znaliście się wcześniej? – Cyrus ustawił Golicyna do pionu i pociągnął za ramię wzdłuż peronu.

– Nie.

– To jak możesz powiedzieć, jaki był wcześniej? – Głowa Amerykanina nieustannie obracała się na boki. – Jedno trzeba mu przyznać: ma chłop wyobraźnię i tupet. Właśnie zdobyliśmy moskwę.

– Kreml, nie moskwę. Zresztą, nic nadzwyczajnego. – Wolskiego nieco drażniła ekscytacja kumpla.

– Aleś wałnął. Tylko Bonapartemu to się udało.

– Zajrzyj do podręczników. Możesz się zdziwić.

– Co, może Hitler też?

– Idź, bo jak cię kopnę w tyłek... – Rozdrażnienie Plazmy nie miało granic. – Ignorant.

– Palant.

– Teraz musimy się tu utrzymać, a to już nie będzie proste. – Mocniej pchnął Golicyna w plecy.

Facet miał ostatnio pecha. Nawet jak zostanie prezydentem, to z pistoletem przystawionym do skroni. Nieciekawa propozycja, ale i tak najlepsza z możliwych.

– O, kurwa...

Leżący pod ścianą stos trupów, dość zresztą niekompletnych, bo wielu brakowało kończyn bądź głów, robił przykre wrażenie. Ale dokładnie tak w rosj zdobywało się władzę, okrutnie mordując politycznych przeciwników oraz ich stronników.

Ci postawili na złego konia i los srodze się na nich zemścił.

Spacer korytarzami pałacu był zresztą wielce pouczający. Ze ścian spoglądały na nich twarze władców i marszałków. Wszyscy groźnie marszczyli czoła, jakby samym swoim wyglądem próbowali przestraszyć wroga, tylko żuków robił wrażenie zadowolonego z siebie bydlaka. Obecnie miał ten powód, że jego portret najmniej ucierpiał w trakcie wymiany ognia, odłamki granatów nawet go nie tknęły.

– Bez poważnych porządków się nie obejdzie. – Plazma zwolnił, przyglądając się obleśnej gębie dawnego „bohatera”.

– Nie wiem, co masz na myśli.

– Od pięciuset lat ten kraj trzymają za pysk ludzie niemający szacunku dla innych. Może najwyższa pora to zmienić?

– Ja tam nie wiem. – Parker wyglądał na znudzonego. – Przemawia przez ciebie altruista, ale jak znam życie, takie pomysły zawsze się źle kończą.

– Według ciebie demokracja jest błędem?

– W tym przypadku jak najbardziej. Zaraz zjawi się nawiedzony mówca i obieca wszystkim, co mu ślina na język przyniesie. Pamiętasz Adolfa? Zaczynał w knajpie, a jak skończył? Dobrze wam radzę, tępcie wszelką opozycję, gdzie się tylko pojawi. Macie władzę, to się jej trzymajcie. Nie popuszczajcie nawet na cal.

Plazma przyznał Cyrusowi rację. Pojawienie się kolejnego lenina to jedynie kwestia czasu. Ba, w trudnych latach, jakie nastąpią, pojawi się ich całe mnóstwo. Wybuchną bunty i trudno przewidzieć, czy będą w stanie kontrolować całość terytorium federacji. Ernest miał nadzieję, że ktoś wyżej ma jakiś sensowny i realistyczny plan na przyszłość.

Jakoś doczłapali z pretendentem do gabinetu prezydenckiego. Szturmowcy właśnie wynosili ze środka ciała przedstawicieli poprzedniego rządu.

– Przewietrzy się i będzie OK – stwierdził Parker, pociągając nosem. W powietrzu wciąż unosił się swąd spalonego prochu. Ścianom też przydałoby się czyszczenie, zwłaszcza w miejscach, gdzie rozbryzgał się mózg jednego z polityków.

Pulaski siedział na miejscu przeznaczonym dla głowy państwa. Był bez hełmu, skupiony i poważny, trochę nieobecny.

– Od czego zaczniemy?

Pytanie Plazmy odnosiło się do fundamentalnej kwestii, jak utrzymać wszystkie nitki w jednym ręku.

– Spróbuję przemówić do narodu – wydukał Golicyn wyjątkowo zbolalym głosem.

– Nie próbuj, tylko przemawiaj. Zaraz ściągniemy telewizję. – Parker posadził rosjanina przy stole. – Tu masz kartkę i długopis. Wymyśl coś sensownego.

– Wiadomo, co z Sacharowem?

– Nie pękaj, rób swoje. – Parker zbył marudę, choć i jemu ten problem nie dawał spokoju.

Gradow nigdy się nie zastanawiał, jak to jest być mordercą – a co dopiero masowym mordercą.

Był zbyt porządny, a teraz kłamka zapadła. Znajdowali się właśnie przy zewnętrznym płocie, gdy w kompleksie rozległ się sygnał alarmowy. Ktoś mógł odkryć ciała w samochodzie bądź odnaleźć zwłoki Czurikowa. To już bez znaczenia – reaktor pracował pełną mocą, a od awarii dzielił ich tylko krok. Uwięzieni w podziemiach pewnie już wiedzieli, co się święci. Ilu ich tam przebywało? Stałych pracowników bazy było około dwustu, z Sacharowem przybyło drugie tyle.

– Idź, córeczko, ja tu zaczekam. – Gradow stanął.

– Na co?

– Na koniec. Nie zasługuję na życie. – Załamywał się, i to w iście ekspresowym tempie.

Do tej pory działał. Było zadanie do wykonania, to je wykonał, tyle że cena okazała się koszmarnie wysoka.

– Uratowaliśmy miliony.

– A zabijemy tysiąc.

– Opłaca się. To dobra wymiana – powiedziała Ev.

– Może dla ciebie. Ja z tym sobie nie poradzę. – Poszukał miejsca, gdzie mógłby usiąść.

– Nic z tego.

– Nie rozumiesz. Dla mnie to koniec... – Nieświadomie wszedł w rolę rodzica.

– Zrobiłem swoje i nie mam zamiaru...

Uderzenie w podbródek pozbawiło go przytomności. Zachwiał się, lecz zanim upadł, Ev podtrzymała go, wprawnym ruchem zarzuciła sobie na barki i od razu ruszyła kłusem. Irracjonalne moralne rozterki były jej obce. Może ludzie tak mają, ona na szczęście nie.

Bieg był iście sprinterski. Gradow mógł sobie jęczeć o sumieniu, ale i tak ona odwaliała większą część roboty.

Sabotaż na reaktorze przećwiczyła przed urodzeniem ze sto razy. Znała słabe i mocne strony wszystkich konstrukcji. Dobre zabezpieczenia mogłyby nastreczyć poważnych problemów, mimo że jakieś tam umiejętności hakerskie posiadała. Na

szczęście jak zwykle to człowiek okazał się najsłabszym elementem – Czurikow był leniwym bałaganiarzem na najwyższym stanowisku w organizacji, więc z komputera w jego gabinecie dawało się sterować całym kompleksem, zaś zestaw haseł i reguły zmian trzymał spisane w szufladzie. Jemu to ułatwiało pracę na co dzień, a im rozwalenie wszystkiego w drobny mak od święta. Inaczej nic by z tego nie wyszło. Sabotaż z zewnątrz odpadał. Projektanci stworzyli bazę Echo 1 jako system w pełni autonomiczny. Widać nikt nie pomyślał, że niebezpieczeństwo przyjdzie od wewnątrz.

Dopadła samochodu i wrzuciła profesora na tylne siedzenie. Ziemia pod jej stopami wyraźnie zaczęła drżeć.

Co złego, to nie ja.

Niby to tylko jeden nieduży reaktor, niemniej trochę się obawiała, że tuż za nią wyrośnie atomowy grzyb.

Trudno, najwyżej rosjanie znajdą sobie inną stolicę.

7

– Więcej pudru na czoło, idiotko. Nie widzisz, jak się świeci? Gdzie ty masz oczy?

Szef ekipy nadzorującej przygotowania Golicyna do występu szalał, wyzywając się na charakteryzatorce, która po prawdzie niczemu nie była winna, a już najmniej nerwom przełożonego. Ernest przyglądał się tej scenie z niesmakiem. Właśnie tracił kolejne złudzenia, że w światku innym niż armia ludzie są bardziej okrziesani, a hierarchia mniej feudalna. Niby robią w kulturze, a chamy jak wszędzie... Najważniejsze, że sam czempion wreszcie się ogarnął. Obecnie robił wrażenie osoby znudzonej publicznymi występami, ale Plazma był przekonany, że to tylko maska skrywająca stres.

– Pamiętaj, co masz powiedzieć? – Wolski odsunął producenta na bok.

– Oczywiście – odrzekł godnie minister.

– Chcesz to przećwiczyć?

– Nie ma potrzeby, nie jestem amatorem. – Golicyn zamrugał gwałtownie, gdy puder dostał mu się do oka, a jednak głowa ani mu drgnęła. – Gdzie Wiera?

– Już ją wiozą, niedługo tu będzie.

– To co, za miesiąc wyprawimy wesele?

Przymilny uśmiech nie uspił czujności Ernesta. Zrobi, co zechce, i na pewno nie stanie się to szybko – o ile w ogóle. Rozumiał Golicyna. Jego władza na czymś musiała się oprzeć, sam niczego nie dokonał. Następne dwadzieścia cztery godziny zadecydują, czy tureckie postępy zostaną powstrzymane i nowy przywódca zyska akceptację.

Sacharow wyparował, a trup Pierunowa wciąż spoczywał pod kremlowskimi murami. Ciało na razie nikt nie usunął. Część armii już zdążyła opowiedzieć się po ich stronie, ale bynajmniej nie cała. Niektórzy dowódcy zajęli pozycje wyczekujące, a jednostki rosgwardii groziły buntem. Na szczęście dowództwo Wojsk Raketowych Przeznaczenia Strategicznego zapewniło o lojalności wobec „konstytucyjnych organów państwa” w osobie eksministra.

Z Jamantau do Moskwy przybywały nowe oddziały. W tym momencie dysponowali pełnym batalionem. Szczegółami zajmował się Pulaski. Nikt nie miał wątpliwości, że to on stanie na czele armii nowego wzoru.

– Wystarczy – zdecydował Plazma.

– Jeszcze... – Charakteryzatorka próbowała wyretuszować Golicynowi brwi.

– Powiedziałem – warknął rozeźlony. – Za minutę kręcimy.

Golicyn był podobny do kukły. Szturchańce i afronty nie robiły na nim wrażenia. Wiedział, że on i rodzina są bezpieczni, dopóki nie zaczną kombinować za plecami nowych zdobywców.

Udrapowano flagę, ale zdjęto ze ściany zmutowanego dwugłowego ptaka. O nowym herbie dopiero się pomyśli.

– Poszła. – Reżyser dał znak.

Pomył się o słowo, skurwysynu, to zaraz zawiśniesz. Menda z tego Golicyna, ale to nasza menda – pomyślał nie bez satysfakcji Plazma.

– Rodacy! Od zawsze byliśmy narodem stojącym na straży wolności. W obronie tej wolności nieraz oddawaliśmy życie. Tym razem wróg okazał się bardziej perfidny. Nikt nie mógł przypuszczać, że nasz drogi przywódca zostanie podstępnie zamordowany przez obłąkaną klikę wyższych oficerów na czele z ministrem obrony generałem Sacharowem i ministrem spraw wewnętrznych

Pierunowem. Obaj zbrodniarze kierowali się tylko własnym interesem, a nie dobrem narodu.

Golicyn przerwał, zmarszczył brwi, groźnie spoglądając w obiektyw.

– Oświadczam, że uzurpatorzy, którzy dokonali zamachu stanu, zostali zlikwidowani. Jako wicepremier, najwyższy rangą ocalały członek ostatniego legalnie powołanego rządu federacji rosyjskiej, cofam wszelkie zarządzenia buntowników. Jednocześnie apeluję do resztki ich stronników, by złożyli broń. Jeszcze nie jest za późno. Dość bratobójczo przelanej krwi.

Plazma nie pamiętał, żeby ostatnie zdanie było w przygotowanym tekście. Oby się tylko nie zagalopował, bo trzeba będzie przywołać go do porządku.

– Zbrodniarze ci postanowili wykorzystać trudny moment dla naszej ojczyzny, jakim jest wojna z Turcją. Pucz w takim momencie to czyste zaprzaństwo, wbijanie noża w plecy naszej armii. Niestety, te zdradzieckie knowania przełożyły się na dotychczasowe losy tego konfliktu, przyczyniły się do dodatkowego cierpienia naszego bohaterskiego narodu. Dlatego jeszcze dziś wystąpię do władz tureckich o zawieszenie broni na potwierdzenie znanej całemu światu prawdy, że Rosjanie zawsze miłują pokój.

Plazma słuchał tego z rosnącym obrzydzeniem. Facet zmienił ustalony tekst, zdając się chyba na swą wieloletnią praktykę w lepieniu górnołotnych absurdów. Cały ten kraj jest sklecony z gówna i kradzionych patyków. Balon napompowany propagandą do granic możliwości. Gdy pęknie, nie pozostanie nic, a tej kukielce wydaje się, że właśnie wchodzi cała na biało. Na polityce Ernest niezbyt się znał, na wojsku bardziej i miał wyrobione zdanie: tysiące filmów o bohaterach stawiających czoła wrogom to żalosne zaprzeczanie faktom. Onuce to pizdy, a nie żołnierze. Sami z siebie nie zrobią nic, potrafią tylko zasypać wroga swoimi trupami.

Plazma przetarł dłonią czoło. Niech facet już kończy. Co za dużo, to niezdrowo.

– Nasz wielki naród...

Bla... bla... bla... Gadka dla frajerów, niemniej rozumiał Golicyna. Coś tam musiał obiecać, podnieść na duchu i pociągnąć za sobą, a przeciw innym.

– Jak wypadłem? – zapytał Golicyn, gdy już zgasły światła.

– Wspaniale. W przyszłym roku dostaniesz Oscara.

Kpina spłynęła po rosjaninie jak woda w kiblu.

– Jest parę kwestii do przekazania. Należy powołać nowy rząd...

– Jutro.

W sali pojawiła się Wiera, co wystarczyło, by Golicyn przestał myśleć o polityce. Była też Anna... i jakoś dziwnie mało Plazmę to obeszło. Podszedł i przywitał się raczej chłodno.

Ile go nie było? Tydzień? Przez ten czas świat stanął na głowie.

– Co się stało? – spytała dziewczyna, w lot wyczuwszy zmianę.

Kto nie przeżył tego co on, nigdy nie zrozumie. Szybko wyzwolił się z jej objęć, nawet nie próbując się tłumaczyć. Musiał odetchnąć świeżym powietrzem. Kremłowskie mury nadają się do tego znakomicie.

Dwa klony idą za nim krok w krok. Zdaje się, że już nigdy nie będzie sam. ■

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

1

Było ciepło, by nie rzec upalnie, a płyta lotniska Szeremietiewo nagrzała się jak patelnia.

Plazma co rusz rękawem bluzy wycierał spocone czoło. Samolot mający przetransportować Oliwię z Jamantau nieznacznie się spóźniał. Ernestowi nie pozostawało nic innego, jak gapić się na swoje buty. Wyrwał się z pomocą, to teraz musi uzbroić się w cierpliwość.

Minęły trzy tygodnie od pamiętnego przemówienia Golicyna i świat stał się inny. Może nie lepszy, ale inny. Turcja, korzystając z okazji, wspaniałomyślnie zgodziła się na rozmowy pokojowe i przedstawiła niebywale twarde warunki – w swoim mniemaniu, bo nie wiedziała, kto gra rosyjskimi pionkami. Chce Kaukazu? Niech go sobie weźmie. Dla nowych polskich władców region i tak był nie do utrzymania. Tylko Gruzja ma być nietykalna, a cała reszta już nie. Niedługo każdy z każdym weźmie się tam za łby. Jeżeli Turcji tak bardzo zależy, aby wziąć pod kontrolę ten wrzący kocioł, to nie ma sprawy. Podobno – w zamyśle Banacha – tyleż będzie to prezent, co kłopot dla Ankary na długie lata.

Natomiast kłopotem dla nowych władz rosjy stały się petersburg i Archangielsk, gdzie okopali się zwolennicy starego porządku, gromadząc wokół siebie nacjonalistyczną, jak i komunistyczną swołocz. Mer petersburga od razu stanął okoniem. Nie chciał rozmawiać, twierdząc, że są zagranicznymi agentami.

Najśmieszniejsze, że w końcu – po stu latach obrzucania tym epitetem każdego przeciwnika rosyjskiej władzy – trafił.

Na Dalekim Wschodzie, w Jakucji i w obwodzie amurskim działo się podobnie, jednakże jak zwykle większa część społeczeństwa zachowywała się biernie. A protesty, które się zdarzały, obywateli się bez przemocy.

Podczas narad na kremlu ustalili, że najistotniejsze są dla nich trzy punkty na mapie, w których władzę utrzymać muszą.

Pierwszy to Jamantau – rozumiał to każdy bez wyjątku. Laboratorium musi wyprodukować kolejną generację klonów. Gradów już się tym zajął, rzecz jasna

pod kontrolą Ev, nie zachodziła więc obawa nagłej dezercji czy przejścia na stronę wroga. Do pomocy przydzielono im kilkunastu specjalistów z Polski. To nie tylko naukowcy, ale i instruktorzy. Ktoś tą armią musiał dowodzić. Wkrótce pojawią się tysiące następnych kameleonów.

Pulaski już powołał odpowiednią grupę do tropienia metaludzi. Na wyniki przyjdzie im jednak trochę poczekać.

Drugim z kluczowych punktów była Moskwa, zaś trzecim Petersburg. Obszar pomiędzy tymi dwoma miastami to rdzeń kraju, resztę stanowią peryferia. Bez opanowania dawnej stolicy nie utrzymają się w Rosji, a konkurencyjnego ośrodka władzy nie mieli zamiaru tolerować. Nie użyją oddziałów złożonych z Rosjan – to byłoby proszenie się o kłopoty. Bunt spacyfikują więc przy pomocy klonów. Na czele ekspedycji karnej stanie Matt, mając do pomocy Parkera i Pabla oraz kilku polskich operatorów.

Niepokoje niepokojami, ale czekała ich masa problemów do rozwiązania – od transportu surowców po wyżywienie ludności i korekty granic. Prawdopodobnie Daleki Wschód na razie sobie odpuszcza.

Plazmie w tym momencie przypomniał się dawno zasłyszany wierszyk. Jak to było?

„Jak powiedział stary góral,
Polska będzie aż po Ural.
Za Uralem będą Chiny,
was nie będzie, skurwysyny”.

Federacja jako strefa buforowa pomiędzy Polską a Chinami? Czemu nie. Persja, Rzym czy Brytanie też rządili światem, zapewniając sobie wpływy na setki lat. Niby dlaczego teraz koło historii nie może się obrócić na ich korzyść?

Odrzutowy Gulfstream G650, przejęty od jednego z oligarchów, pojawił się tuż nad pasem startowym, na moment niknąc Ernestowi z oczu za pionowym statecznikiem transportowego Ił-76, do którego ładował się pododdział szturmowców. Zdaje się, że lecieli do Samary ostudzić rozpalone głowy i pomóc nowemu gubernatorowi mocniej usadowić się na stanowisku.

Samolot wylądował, a pilot powoli podjechał do hangaru. Plazma poczekał, aż opadną schodki, i dopiero wtedy podszedł do maszyny.

– Dobrze cię widzieć.

Widok Oliwii sprawił Ernestowi niekłamaną przyjemność. Uściskali się, jak na przyjaciół przystało.

– Zeszczuplałaś. – Cmoknął dziewczynę w policzek.

– To jedyny dobry objaw kuracji, jaką mi zaserwowaliście.

– Nie my. – Plazma postawił sprawę jasno. – To Matt cię tam wpakował. Innego wyjścia nie było – zaznaczył na koniec.

– Jakie to miłe z jego strony.

Ruszyli powoli w stronę samochodu.

– Martwiliśmy się. Nie wiem, co zapamiętałaś z tamtego zdarzenia, ale powoli zaczęłaś nam odpływać.

– Bolało.

– Ja myślę. Przy takim upływie krwi wystarczyłoby... tfu... Po co do tego wracać.

– A wy jak sobie radzicie?

Otworzył przed nią drzwiczki i poczekał, aż wygodnie usadowi się w fotelu, następnie obszedł wóz i zajął miejsce przy kierownicy.

– Chcą mnie zrobić gubernatorem Tatarstanu.

– Kto?

– Matt i pozostali. Czasami ponosi ich fantazja.

– Przecież miałaś się żenić?

– To już nieaktualne. – Docisnął gaz, podjeżdżając pod bramę. Szlaban automatycznie powędrował w górę. Na przedniej szybie tkwiła przyklejona przepustka, więc o nic się nie musiał martwić.

– Przykre, ale z drugiej strony masz jeszcze całe życie przed sobą.

Wspomnienie Anny tkwiło w nim jak cierń. Niektórych spraw, a zwłaszcza kobiet, tak łatwo się nie zapomina. Bycie pieskiem pokojowym Golicynów to zdecydowanie nie dla niego. Staremu wydawało się, że przez córkę umocni swoje wpływy. Przemawiała przez niego czysta kalkulacja.

Mając to na względzie, Plazma w kontaktach damsko-męskich zrobił się wyjątkowo ostrożny. Anna poszła w odstawkę. Z pogłosek, jakie do niego docierały, wynikało, że bardzo cierpi.

On też. Z kamienia przecież nie był. Ale w obecnych okolicznościach to jedyne sensowne rozwiązanie. Jak będzie chciała, załatwi jej wyjazd do Szwajcarii, czy gdzie tam sobie wymyśli.

Na razie nie będzie wracał do tematu.

– A ty? – zapytał niby od niechcienia.

– Co ja?

– Nie udawaj, wszyscy wiemy, co ci leży na sercu.

– Proszę cię, nie zaczynaj – ostrzegła.

– A więc jednak.

Dostał kuksańca pod żebro, co go tylko rozbawiło.

– Nabrałaś krzepy.

– Nie jestem pierwszą lepszą.

– Każdy to wie.

Rozwydrzona hołota w mundurach, która do tej pory zapełniała miasta, wróciła do koszar, gdzie od nowa zaczęła się wciskanie do tępych łbów wymogów regulaminu i dyscypliny. Na ulice powróciła policja wspomagana przez klony, co paradoksalnie było jakimś krokiem w kierunku normalności.

Na Arbacie kręciło się wielu przechodniów, ale już plac czerwony i okolice kremla świeciły pustkami. Tylko przed samym mauzoleum lenina stał tłumek zatwardziały komuchów. Najwyraźniej nie zamierzali pozwolić, by truchło ich wodza zostało wywiezione, a dumny ziggurat, z którego kacykowie odbierali defilady, wyburzony. Równocześnie likwidowano inne honorowe miejsca pochówku zasłużonych krzewicieli czerwonego terroru.

Popiersie breżniewa właśnie zawisło na pasach transportowych. Plazma już sobie wyobrażał, jak bryła zrywa się z mocowań i roztrzaskuje o bruk. Niestety, nietknięta całość wylądowała na platformie ciężarowego ZiŁ-a.

– Wielkie porządki – zauważyła Oliwia z niekłamana radością.

– Dłużej nie mogliśmy zwlekać. Ten odór nie pozwalał zasnąć.

– Golicyn się na to zgodził?

– Nikt go nie pytał o zdanie – wyjaśnił Ernest. – Chcesz popatrzeć?

– Chętnie.

Zatrzymał wóz i spokojnie mogli podejść bliżej. Mniej interesowała Plazmę rozbiórka, bardziej osoby, które protestowały. Bydlaka z rozwianymi siwymi włosami i z czerwoną chustą rozpoznał od razu. To przewodniczący partii komunistycznej, typowy intelektualny beton o umyśle ameby. W razie potrzeby potrafił zmobilizować dziesiątki tysięcy takich samych jak i on pierników.

Akcję rozbiórkową postanowiono przeprowadzić z zaskoczenia, metodą faktów dokonanych, ale ci tutaj jakoś się dowiedzieli. Może mieli okolicę pod obserwacją. Kolejni nieprzejednani spływali na plac w coraz większej liczbie.

Szef ekipy odpowiedzialnej za demontaż gadał przez telefon. Plazma podszedł do niego, mając nadzieję, że przestój nie jest spowodowany niczym poważnym. Kanciasta, wręcz kwadratowa twarz brygadiera wyrażała niepokój.

– O co chodzi?

– Nie chce przejść – wyjaśnił lakonicznie Ukrainiec.

– Co wam nie chce przejść, do diabła? Zaraz się tu zagotuje od komuchów. Wywozimy ich relikwie.

– Kryształowa trumna z leninem. No, nie mieści się. Mieliśmy ją zabrać w całości.

To faktycznie był problem i należało się z nim bezzwłocznie uporać.

– Wyciągnijcie truchło i do worka z nim. Resztę zrównać z ziemią – zdecydował Wolski.

– Będą skargi.

– Mam to w dupie. – Plazmę powoli zaczynała zalewać krew. Ile, kurwa, można... – Wszystko biorę na siebie. A ty nie pękaj, włos ci z głowy nie spadnie.

Dawno nie widział tak zadowolonego człowieka. To czysta przyjemność obserwować, jak ekipa podchodzi do zadania z nieokiełznanym entuzjazmem. Robota zaczęła palić się im w rękach. Mechaniczne ramię koparki przejechało po rzeźbach, strącając je z cokołów, a trzy buldożery od razu zaatakowały samo mauzoleum, krusząc płyty. Łysym pajacem już nikt nie zawracał sobie głowy. Rosjanie zaczęli się jednak burzyć.

Kto dziś pełnił dyżur w centrali? Chyba Fisher. Zaraz to sprawdzi.

Połączenie uzyskał niemal natychmiast.

– Mam tu kłopot.

– Widzę cię. – Fisher dziś zarządzał moskwą. Do pomocy miał armię, policję i klony. – Czego potrzebujesz?

– Ktoś musi usunąć tych debili.

– Już się robi.

– Tylko bez strzelaniny – zaznaczył. To w końcu akcja porządkowa, a nie pacyfikacja w starym stylu.

– Niczego nie obiecuję.

Policjanci zabezpieczający prace patrzyli po sobie bezradnie. Wyraźnie się bali.

– Idź do samochodu i zaczekaj tam na mnie – powiedział do Oliwii.

– Nie.

– Koniecznie chcesz oberwać kamieniem w głowę, tak? Mało ci? Lepiej się mnie słuchaj.

– Nie ucieknę przed tą hołotą.

Znał ten stan nerwowego podkurwienia. Zdecydowanym krokiem podeszła do jednego z gliniarzy i zabrała mu automat. Wyglądała jak walkiria, piękna i groźna zarazem.

Prezio komuchów wystąpił do przodu, darł się przy tym i nawoływał do linczu. Za nim postępowali inni. Narobił się niezły syf, ale dziadyga ani myślał ustępować.

Kiedyś to komuchy ruszyły z posad bryłę świata. Najwyższa pora osadzić ją z powrotem i przywrócić stare zasady. Albo wy, albo my. Innej możliwości nie ma i nie będzie.

Sięgał właśnie po spluwę gotowy zastrzelić każdego, kto się wtrąci. Bał się tylko o dziewczynę. Sporo przeszła.

Jak się okazało, troska Ernesta była zbędna. Nie sądził, że dożyje takich czasów, a jednak... Wściekłość i furia zderzyły się w bezpośredniej konfrontacji. Szczepańska pochwyciła jedną ręką oponenta za krawat, drugą za pasek u spodni, podniosła ponad głowę i cisnęła wprost w nadbiegających bolszewików. Zrobiła to bez większego wysiłku, jakby nie miała do czynienia ze zwalistym mężczyzną, lecz ze zwykłą słomianą kukłą. Takie wyczyny do tej pory widział na galach wrestlingu, ale nie na ulicy.

Efekt był murowany, a seria z kałasza w powietrze tylko potwierdziła siłę jej argumentów.

Nagle donośny rumor z boku sprawił, że Plazma przestraszony odwrócił się w tamtym kierunku.

Kryształowa trumna z bolszewickimi relikwiami spadła z łyżki podnośnika, roztrzaskując się w drobny mak. Dokoła rozszedł się niewyobrażalny smród.

Tego już się nie skleci. Całość dawało się tylko wyrzucić na śmietnik historii.

2

– Dokąd się wybierasz?

– Pogadam z Fisherem. – Plazma podał Oliwii kartę magnetyczną do apartamentu. – Możesz się tu urządzić po swojemu.

– Mam mieszkać na kremlu?

– Mój pokój jest obok – mruknął tylko, widząc zbliżającego się Matta. – Na razie. Zobaczymy się później.

Po Pulaskim widać było, że jest nieładnie zmęczony. Podkrążone oczy upodabniały go do pandy. Policzki zapadły się, a na skroniach pojawiło się więcej siwych nitek. Nim wyminął się z Ernestem, wpięrow spojrzeli na siebie jak starzy wyjadacze, którzy już wszystko widzieli i wszystko przeżyli.

– Nie przeszkadzam? – zapytał, stając niepewnie w progu. – Przepraszam, że po ciebie nie pojechałem, ale mam mnóstwo spraw na głowie.

– Nic nowego.

– Lepiej sobie pójdę. Zdaje się, że nie jestem tu zbyt mile widziany.

– Zostań... – wyrwało jej się, więc pospiesznie dodała: – nie chcę być tu sama, a Ernest sobie poszedł.

Śmielej wszedł do środka, a po chwili wahania zajął miejsce na sofie pod ścianą.

– Powinienem zapytać, jak się czujesz, ale... – uśmiechnął się pod nosem – widziałem, co zrobiłaś, i powiem szczerze, że jestem pod wrażeniem.

Spoważniała. Ponury wyraz oczu dziewczyny zaskoczył Pulaskiego. Przyczyna mogła być jedna – inkubator ją odmienił. Ile pozostało w niej z dawnej Oliwi? Może nic.

– Ty mnie tak urządziłeś.

Zupełnie jakby czytała w jego myślach.

– Nie miej mi tego za złe – powiedział. – Po prostu przyjmij ten prosty fakt do wiadomości.

Nic nie odpowiedziała. Patrzyła na niego, a on jak zwykle nie był w stanie nic wyczytać z tego spojrzenia.

– To co teraz będzie? – zapytał z rozbijającą szczerością.

Czuł się jak nastolatek na pierwszej poważnej randce, pełen obaw i nadziei.

– Wszystko zależy od ciebie.

Nigdy nie lubił tego przerzucania piłeczki – ja zrobię to, a ty tamto, a jak nie, to znajdę sobie kogoś innego.

– Przecież mnie znasz. Raczej się nie zmienię. Banach na tym etapie nie wyobraża sobie naszego powrotu. Mamy tu zostać i nie pozwolić, by rosja wymknęła się nam z rąk.

Jeśli spodziewała się innej odpowiedzi, nie dała tego po sobie poznać. To wiele ułatwiało.

– Powiedział już, od czego macie zacząć?

– Obsadzić arsenały, bazy jądrowych sił strategicznych, morskich i powietrznych oraz miejsca produkcji broni masowego rażenia.

– To będzie trudne.

– Na razie prawie niewykonalne. Na szczęście jutro, jak się spodziewam, przyleci tu co najmniej kilkudziesięciu fachowców i nam w tym pomoże. Jest tu tyle ośrodków do kontroli, że sobie nie wyobrażasz. Elektrownie, zapory, okręty podwodne z pociskami balistycznymi, tajne miasta, pola wydobywcze, o atomowych lodołamaczach już nie wspomnę.

– Nie lepiej podzielić rosję na mniejsze kawałki?

– Nam też tak się wydawało, ale generał jest innego zdania. Jeden ośrodek decyzyjny ma ułatwić sprawowanie nadzoru. Ośrodek jest, nowa twarz starej władzy też jest.

– Golicyn? Sympatyczny, w miarę młody, budzi zaufanie? Nowe wcielenie tej glisty niedźwiedzia? – roześmiała się głośno.

– Dobra, niech ci będzie. – Pulaski podzielał taki punkt widzenia. – Dla niektórych sympatyczny i budzi zaufanie wielu ludzi. Niemniej ma duże szanse

utrzymać się na stołku, przy naszej pomocy, rzecz jasna. Popow zostanie premierem. Bardzo z tego powodu się ucieszył.

– Czeka was tytaniczne zadanie.

– Nas? – Nie krył rozczarowania. – Myślałem, że się przyłączysz.

– Tak ci na tym zależy? – Podeszła bliżej Pulaskiego.

– Nie wiesz nawet jak bardzo.

Znalazła się na wyciągnięcie ręki.

– Parę razy mnie rozczarowałeś.

– To naprawdę nie była moja wina.

Można napisać całą masę podręczników, ale facet to naprawdę prosta konstrukcja. Jeżeli mu na czymś zależy, nigdy sobie nie odpuści.

– A mnie w jakiej roli widzisz? – Podeszła jeszcze bliżej.

– Jeden resort jest kluczowy. Każdy o tym wie.

– Słucham?

– Oświata – powiedział z głębokim przekonaniem. – Armia i cała reszta jest odbiciem społeczeństwa. Skądś się ci rekruci biorą, gdzieś otrzymali – no, bardziej prawdopodobne, że nie – podstawowe wykształcenie. Trzeba ich ulepić od nowa. Stare pokolenie jest stracone. Należy zacząć od najmłodszych. Wywalić wszystkie książki i filmy o dzielnych komisarzach niosących sprawiedliwość, bo to nieprawda.

Cofnęła się z westchnieniem, lecz zaraz podjęła z zainteresowaniem:

– Chcesz ich reedukować.

– W przypadku starszych pokoleń nie ma to sensu. Oni są zatruci strachem i aż po kres swoich dni będą z uporem twierdzić, że za komunistów, putina czy Orłowa było lepiej. O tym, jak cierpieli, nie chcą pamiętać.

Oliwia wyglądała na rozbawioną.

– I ty mi proponujesz najważniejsze stanowisko w rządzie.

– Jeżeli nie minister, to chociaż doradca. Roboty jest na dziesięciolecia.

– Zawsze myślałam o dzieciach...

– To znaczy, że się zgadzasz? – zapytał z nadzieją.

– Swoich – uściśliła.

– Chyba że tak. – Nadzieja pękła jak bańka mydlana.

– A właściwie naszych.

Zatkało go.

– Szkoda, że się teraz nie widzisz. Masz wyjątkowo głupią minę.

Ramiona Oliwii opłoty Matta w całkiem solidnym uścisku. Skoro bardziej subtelne sygnały nie działały...

– Nie gniewasz się na mnie?

– Już nie. Ale musisz mi poświęcić więcej czasu, inaczej poznasz, czym jest moja zemsta.

– Właśnie chciałem poprosić Banacha o zwolnienie ze służby.

– Zapomnij. – Jej wargi otarły się o policzek Matta. – Nigdzie się stąd nie ruszę. Może nawet zostanę nowym ministrem, jak mnie o to ładnie poprosisz.

– Proszę.

– Nie tak.

Sprawy federacji musiały poczekać. Zdaje się, że wygrał najważniejszą bitwę w swoim życiu.

3

Dyżur doktor Joanny Szczerbic dobiegał końca. Została tylko jedna pacjentka. Właściwie to już nie będzie praca, ale przyjemność. Pogadają, napiją się kawy i zobaczy się, jak to dalej będzie.

Zeszła właśnie po schodach z pokoju socjalnego i przed drzwiami gabinetu zobaczyła przyjaciółkę w towarzystwie klawisza.

– Nie spóźniłam się? – Otworzyła drzwi do gabinetu. – Panu na razie dziękuję. Jak będę czegoś potrzebować, dam znać.

– Ale...

Facet był nowy. Nie młody, ale nowy, bez znajomości lokalnych układów.

– Komendant wyraził zgodę. Proszę go o to zapytać.

Wózek z siedzącą na nim Yvonne wtoczył się do środka, a Szczerbic zamknęła strażnikowi drzwi przed nosem.

– Zgłosiła się dziś do mnie ta nowa, co siedzi w ósemce. Na pewno o niej słyszałaś. Poderżnęła staremu gardło za to, że się nad nią znęcał, a wcześniej do nosa i ust wepchnęła klej.

– Nic nie poczuł? – Yvonne wyraziła umiarkowane zainteresowanie.

Można powiedzieć, że w ciężkim więzieniu dla kobiet w Lublińcu była prawdziwą weteranką. Garowała już ładny kawałek czasu i nic nie wskazywało na to, że kiedykolwiek wyjdzie na wolność. Dostała dożywocie.

Wyjdzie... Ciekawe na czym. Nie posiadała nóg. Lewa została obcięta tuż pod kolanem, a prawa w połowie uda. Na wózku inwalidzkim przez mur nie śmignie, nie ma szans. Żaden oddział specjalny też jej stąd nie wyciągnie, nie te czasy. Efekt nieudanej akcji podczas operacji Hydra dawał o sobie znać bólami fantomowymi i słabą kondycją psychiczną. Dawna nieulekła zabójczyni ledwie wegetowała, boleśnie świadoma, że jej czas przeminął. Już nigdy nie wyjdzie na ulicę, nie przymierzy sukienki i nie napije się martini z wódką.

Brak ruchu sprawił, że powoli zaczynała przybierać na wadze. Tylko ramiona pozostały silne i żyłaste, a twarz godna anioła – choć poszarzała i z piętnem trudnych obecnych warunków.

– Nachlany był jak świnia. Podobno coś ze trzy promile – wyjaśniała Szczerbic. Głośnie pukanie sprawiło, że się zirytowała.

– Prowadzę badanie. Proszę poczekać! – krzyknęła nieznoszącym sprzeciwu tonem. – Jak już ci mówiłam...

Natręt z korytarza najwyraźniej się nie przejął, bo zapukał ponownie.

– Poczekaj, dowiem się, o co chodzi.

– Nigdzie się nie wybieram – odparła Yvonne.

Doktor Joanna nie należała do osób, którym łatwo wejść na głowę, a gdy już się za coś brała, to z całym przekonaniem o słuszności swych działań. Nie lubiła też, gdy się jej przerywało. Dlatego intruza spotka przykra nauczka.

– W czym mogę pomóc? – spytała zaskoczona widokiem mężczyzny lat około trzydziestu, ubranego w dzinsy i koszulkę polo. Spodziewała się strażnika, ewentualnie oddziałowego, a nie człowieka, który tu nijak nie pasował.

– Doktor Szczerbic, prawda?

– A pan to kto?

– Zajmę dosłownie minutkę.

– Ciągle nie wiem, kim pan jest.

– To akurat nie ma znaczenia – powiedział mężczyzna, bynajmniej nie speszony. – Dzisiaj robię za kuriera.

– Kuriera? – Kompletnie nie wiedziała, co ma o tym myśleć. – To pomyłka. Nie wiem, kto tu pana wpuścił, ale ten żart wcale nie jest śmieszny.

– Pani pozwoli, że wyjaśnię. – Stali nadal w drzwiach. – Pewna firma wykonała zestaw protez ortopedycznych. Właśnie je przywiozłem. Są tutaj. – Wskazał na pakunek, na który do tej pory nie zwróciła uwagi. – Jeżeli ewentualnie pojawią się problemy, chętnie je rozwiążemy. Pacjentka nie poniesie żadnych kosztów. Całość bierzemy na siebie.

– Kto bierze?

Nie odpowiedział od razu, nie uśmiechał się ani też nie próbował wejść do gabinetu. Wsunął tylko solidny karton w kąt przy wejściu.

– Przecież się pani domyśla.

– Jestem tylko lekarzem dyżurnym – wyjaśniła.

– Pani Yvonne na pewno będzie wiedziała. Z pozdrowieniami od generała.

Ku zaskoczeniu Joanny mężczyzna odwrócił się i odszedł.

– Proszę zaczekać.

Nie usłuchał i szybko znikł jej z oczu.

– Oż... – Zdezorientowana przyjrzała się przesyłce, jakby nasłuchiwała tykania mechanizmu zegarowego. Zbeształa sama siebie za skojarzenia z kreskówek, poszukała nożyczek i przecięła plastikowe taśmy.

– Co to jest? – zapytała Yvonne tak samo zaskoczona jak i Szczerbic.

– Zaraz się przekonamy.

– Słyszałam rozmowę.

– Masz wysoko postawionych przyjaciół w ministerstwie? Ten, co to przyniósł, dziwnie się zachowywał. Skoro jednak tu wszedł i wspomniał o jakimś generale...

– Nic mi o tym nie wiadomo.

Joannie dobrą chwilę zajęło rozpakowanie całości. Raz zacięła się w palec, ale nic to – trud był godny starań.

– O obcasach zapomnij, o mini też, ale i tak niedługo staniesz na nogi. Zaraz sprawdzimy, czy pasują.

– Nie chcę – zaprotestowała Yvonne, cofając wózek pod samą ścianę. Sama myślała, że mogłaby stać się samodzielna, nagle ją przytłoczyła.

– Czego się boisz? Są dla ciebie. Tak powiedział tamten facet. Co to za generał cię pozdrowia?

Yvonne ukryła twarz w dłoniach, a z jej gardła wydobył się skowyt. Takiej reakcji Szczerbic się nie spodziewała.

– Tu jest jeszcze jakaś kartka. – Wśród folii i papieru dostrzegła kopertę. Otworzyła ją.

Ze środka wypadło zdjęcie mężczyzny w polowym mundurze. Na drugiej stronie nakreślono jedno zdanie. Przeczytała je, choć nie powinna: „On czeka na ciebie” i inicjały EB.

– Znasz go? – podała zdjęcie Yvonne, ogromnie ciekawa, jaką tym razem wywoła reakcję.

– To Cyrus.

– Twój chłopak?

– W pewnym sensie.

– No to zabieramy się do roboty, dziewczyno! Skoro czeka, to na pewno chce cię zobaczyć. A na wózku nie zrobisz na nim takiego wrażenia jak na nogach.

– Nie jestem gotowa.

– Właśnie że jesteś. Dopóki oddychasz, zawsze jest nadzieja.

4

Mustafę Czubarowa bolało całe ciało. Był chory, gorączka wciąż nie odpuszczała. Łyknął już tyle antybiotyków, że niedługo zacznie świecić w ciemnościach. W rany wdała się infekcja. Lekarze robili, co mogli. Podobno najgorsze ma już za sobą. Skoro tak, to dlaczego wciąż czuje się tak parszywie?

Z wielkim trudem sięgnął po obtłuczoną filizankę, na dnie której zostało trochę wody. Łapczywie wypił ją, lecz tą resztką nie ugasił pragnienia.

Zaklął i powoli usiadł. Towarzysze walki zamelinowali Mustafę na końcu świata. Łatwiej stąd było dostać się do Uralska w Kazachstanie niż do Orenburga w Rosji. Od kiedy został postrzelony, przenoszono go trzy razy. Podobno był

bohaterem, jednym z nielicznych żyjących uczestników bitwy o Jamantau. Ciemny lud już nucił o nim pieśni.

– Na wał mi to było – powiedział do siebie bohater, próbując wstać.

Za pierwszym razem się nie udało. Musiał chwilę odpocząć, zanim podjął kolejną próbę.

Iii... hop.

Nigdy nie podejrzewał, że złapanie równowagi okaże się takim wyzwaniem. Jakby wypił ze trzy stakany wódki. Przytrzymując się ściany, zrobił pierwszy krok. Zapomniał, jak się chodzi. A jeszcze niedawno próbował sięgnąć chmur...

Przejście z pokoju do kuchni zajęło Mustafie pełne dwie minuty, co i tak uznał za wyczyn. Czym prędzej poszukał krzesła, by na nie opaść z jękiem. Wyciągnął nogi i odetchnął kilka razy. Palcem postukał w metalową kankę na stole. Była pełna wody. To dobrze. Nie będzie zmuszony dygać do studni na podwórzu. Aż trudno w to uwierzyć, ale w dwudziestym pierwszym wieku połowa gospodarstw domowych tego mocarstwa nie miała bieżącej wody, gazu czy elektryczności. Zupełnie jak za cara Mikołaja. Woda była, ale na podwórzu, gaz w butlach – jak go dowieźli do sklepu – a zamiast żarówek mogłeś sobie odpalić lampę naftową.

Mustafa tym razem napił się do syta i głośno beknął. Z gazet, jakie mu przynoszono, bo żaden Internet tu nie docierał, wiedział, że wojna się zakończyła. Nastaly nowe porządki. Władzę przejął Aleksander Golicyn, który zapowiedział, że dla Rosji nastąpi teraz złoty wiek. Na razie zapowiadała się powtórka z pieriestrojki. Intensywnie pracowano nad normalizacją stosunków z krajami bliższej i dalszej zagranicy, przemysł miano ponownie sprywatyzować, ziemię sprzedąć, a państwo otworzyć na świat.

No dobra, a gdzie w tym wszystkim miejsce dla szarego obywatela?

Usłyszał zgrzytanie furtki na zewnątrz i szybko sięgnął po pistolet. Jako wyrzutek miał się czego obawiać.

Przez okno dostrzegł Jegora, właściciela obejścia, w towarzystwie mężczyzny, którego nie znał. Nie będzie się przed nimi chował, nie miał zresztą na to siły.

– Kogo mi tu przyprowadziłeś, Jegor? – zapytał, gdy już obaj znaleźli się w środku. – To twój kuzyn? Niepodobny.

Jegor nosił siwą brodę, postury był zacnej, a twarz miał pełną bruzd od ciężkiej pracy, pijaństwa i częstego przebywania na powietrzu. Nieznajomy, choć pozował na ruskiego chłopca, wcale go nie przypominał.

– Ciężko do ciebie dotrzeć, Czubarow. – Przybysz odezwał się cichym głosem, kompletnie wyzutym z emocji.

– My się znamy?

– Mów mi Franz.

– Nie pierdol. – Mustafa wycelował spluwę prosto w czoło mężczyzny. – Gadaj, kim jesteś.

– Pully wspominał, że nerwowo z ciebie typ.

– Skąd ty możesz o tym wiedzieć? – Nieufność Czubarowa jeszcze wzrosła. Na takie spotkanie nie był przygotowany.

– Wspominał mi o tobie. Dobrze rokowałeś na przyszłość. Zgubiła cię jednak pycha.

– Gównu wiesz.

Franz pogroził Tatarowi palcem.

– Będziesz podskakiwał, to nie dojdziemy do porozumienia.

O czym ten człowiek bredził? Jakie porozumienie? W tym momencie balansował na cienkiej granicy pomiędzy życiem a śmiercią.

– Nie jesteś zainteresowany tym, co mam do przekazania?

– Raczej nie.

– Widzę, że tracę czas. – Franz wyglądał na osobę kompletnie znudzoną. – Poszukam sobie kogoś innego.

– Jesteś metaczuwkiem? – zapytał ostrożnie Mustafa. – Tak jak Reitz i Pully?

– Trudno się domyślić?

– Moja kuracja nie została zakończona.

– To się da naprawić.

Nadzieja walczyła w Mustafie z ostrożnością. Chciał być jak Pully, przepoczwarzyć się do końca, zyskać moc, o jakiej innym się nie śniło. Tylko czy to było warte ceny, jaką przyjdzie za to zapłacić?

– Co się stanie później?

– Zaczniemy od nowa. – Franz wydawał się szczery. – Pójdą za tobą miliony. Każdy już słyszał o bohaterach z Jamantau, a jak nie, to usłyszysz wkrótce. Przejmiemy władzę w Kazachstanie i pozostałych krajach i zbudujemy imperium od Bosforu po Amur i od Uralu po Morze Arabskie. Tym razem się uda.

– Skąd ta pewność?

– Bo w przeciwieństwie do naszych wrogów my uczymy się na błędach.

Pierwszy nieśmiały powiew nadziei rozpałił po chwili w duszy Czubarowa entuzjazm. Wizja urzekła. Nie potrafił się jej oprzeć, zresztą dlaczego miałby się opierać. Perspektywa spędzenia reszty życia w ukryciu wcale Mustafy nie nęciła. Lepiej walczyć. A jak już ogniem utoruje sobie drogę do władzy, pokaże wszystkim, że jest tego godny.

Bo jeżeli nie on, to kto inny?

5

Od leżenia w chaszczach bolały go ramiona, ale nie narzekał. Nosił symbol FS/S/V-222, lecz wolał, jak mówiono na niego Clark. Był klonem wyspecjalizowanym w strzelaniu na duże odległości. Zadanie, jakie otrzymał, okazało się banalnie proste. Wywiad zlokalizował, a on miał odstrzelić osobę, która figurowała w ich talii kart jako walet trefl.

Niech no tylko wyjdzie przed chałupę, to dostanie dokładnie to, na co zasłużyła. Mógł tak leżeć całą wieczność.

Może tylko to się liczyło? ■

NOTA AUTORSKA

To już ostatnia część przygód Matta Pulaskiego i jego przyjaciół, Czytelnikowi należy się więc parę słów wyjaśnienia.

Od połowy czternastego rozdziału pisanie stało się prawdziwą udręką. Bohaterowie nie mogli zginąć w tunelach Jamantau. Takie zakończenie nie zadowoliliby nikogo oprócz autora.

Wojna, ta prawdziwa, trwa w najlepsze (stan na sierpień 2022) i nie wiadomo, kiedy się zakończy.

W obecnej chwili konflikt rosyjsko-turecki wydaje się mało prawdopodobny, gdyż oba państwa więcej łączy, niż dzieli, jednak wewnętrzne tarcia w samej Rosji mogą doprowadzić do ostrych napięć, a kto wie, czy nie istotnych zmian.

Wykorzystywanie przez władze żołnierzy pochodzących z Kaukazu, Tatarstanu, Baszkirii czy Dalekiego Wschodu, a oszczędzanie tych z Moskwy czy Petersburga może – choć nie musi – doprowadzić do szybszej emancypacji tych regionów. Zwłaszcza Kaukaz ma pod tym względem długą tradycję i pozostaje na nią liczyć. Oby Dagestańczycy, Ingusze czy Tatarzy jak najszybciej zerwali się z łańcucha i wkroczyli na własną drogę politycznej niezależności.

Jak wspomniałem wyżej, to koniec. Ale że historia nie znosi próżni, to do zobaczenia wkrótce. ■

SPIS TREŚCI

Karta tytułowa
Karta redakcyjna
Rozdział pierwszy
Rozdział drugi
Rozdział trzeci
Rozdział czwarty
Rozdział piąty
Rozdział szósty
Rozdział siódmy
Rozdział ósmy
Rozdział dziewiąty
Rozdział dziesiąty
Rozdział jedenasty
Rozdział dwunasty
Rozdział trzynasty
Rozdział czternasty
Rozdział piętnasty
Rozdział szesnasty
Rozdział siedemnasty
Rozdział osiemnasty
Nota autorska